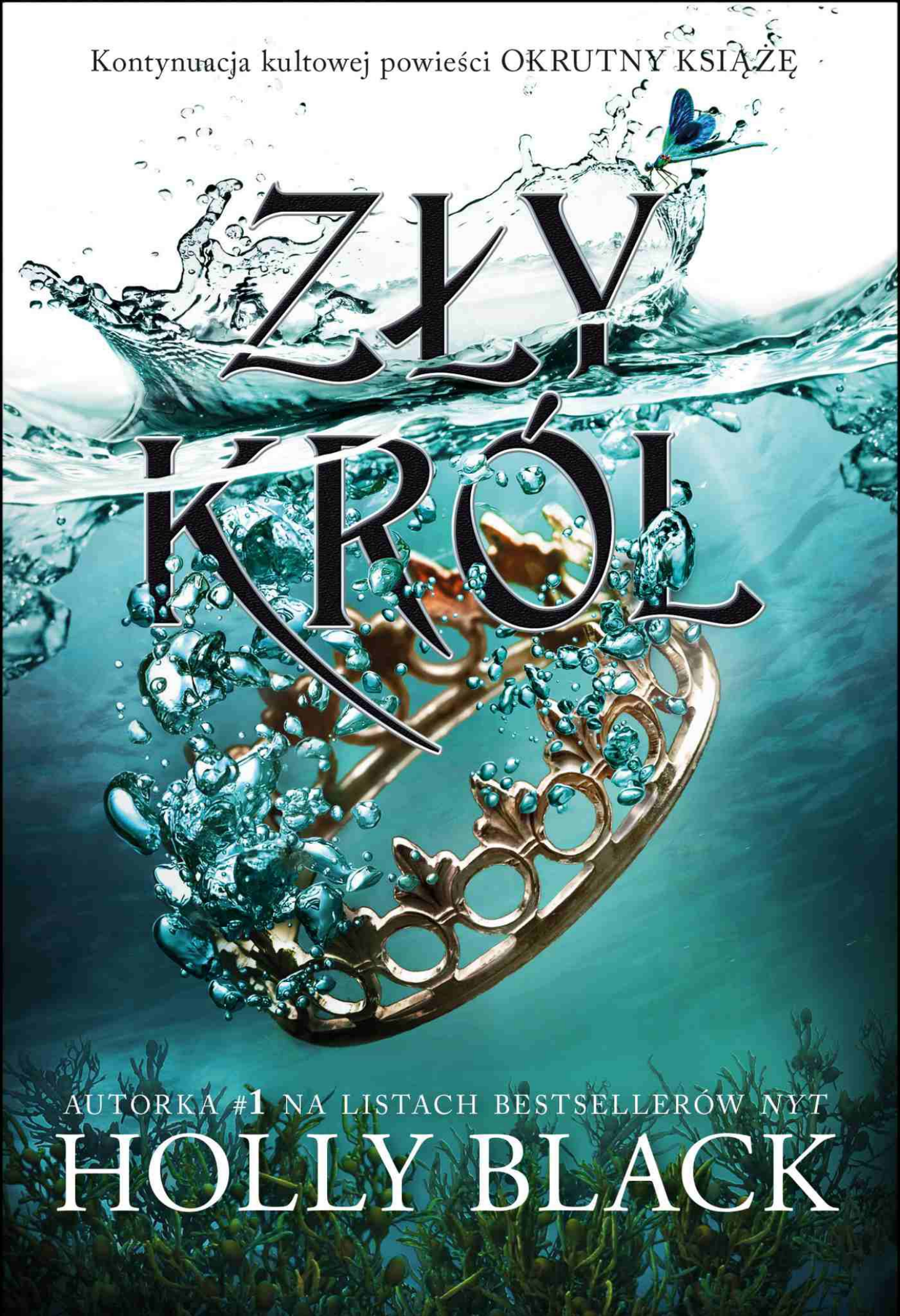


Kontynuacja kultowej powieści OKRUTNY KSIĄŻĘ



ZŁY KRÓL

AUTORKA #1 NA LISTACH BESTSELLERÓW NYT

HOLLY BLACK



Tłumaczenie:
Stanisław Kroszczyński

HOLLY BLACK



Tytuł oryginału: *The Wicked King*

Copyright © Holly Black, 2019

All rights reserved.

Illustrations copyright © Kathleen Jennings, 2019

Jacket design by Karina Granda

Jacket art © 2019 by Sean Freeman

Jacket © 2019 Hachette Book Group, Inc.

Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-782-3

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat:jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Księga pierwsza

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Księga druga

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Epilog

Podziękowania

Dla Kelly Link, jednej z syren



KSIĘGA PIERWSZA

Tako rzeknij: w twarz mu ciskam
Kłamstwa oraz zradę jego,
śmiertelnym go nazwę wrogiem
Wobec wszystkich i każdego;
Nadto, wedle mego zdania,
Nie elfów koronę nosić,
Lecz pomsty mu gromy znosić;
Nam go królem też nie głosić.

Michael Drayton,
Nymphidia

PROLOG

Jude uniosła ciężki ćwiczebny miecz i przybrała pierwszą pozycję – gotowości.

Przywykniesz do tego brzemienia – pouczał ją Madok. Musisz mieć dość siły, by zadawać cios za ciosem, cios za ciosem, nie poddając się znużeniu. To pierwsza rzecz, jakiej musisz się nauczyć – jak wykrzesać z siebie tę siłę.

Będziesz przy tym cierpieć. Ale ból daje siłę.

Stopy mocno ukorzenione w trawiastej ziemi. Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy przybierała kolejne pozycje. Raz: miecz przed sobą, głownia odchylona w bok zasłania ciało. Dwa: głowica rękojeści wysoko, jakby klinga była rogiem sterczącym z jej głowy. Trzy: dłoń na wysokości biodra, a potem niby od niechcenia, nagły wypad. Potem czwarta pozycja: znowu ręka w górze, na wysokości ramienia. Z każdej pozycji można bez trudu przeprowadzić atak lub przejść do obrony. Szermierka jest jak szachy, trzeba przewidzieć ruch przeciwnika i wyprzedzić go, nim wrogie ostrze dosięgnie celu.

Tak, tylko że w te szachy gra się całym ciałem. A po partii takiej gry prócz siniaków pozostają zmęczenie i żal do całego świata, a także do siebie samej.

Choć może należałoby jednak szermierkę porównać do jazdy na rowerze. Kiedy się tego uczyła, jeszcze w realnym świecie, wielokrotnie upadała. Miała tak pozdzieraną skórę, że mama zastanawiała się, czy nie zostaną jej trwałe blizny. Jednak Jude wzgardziła dodatkowymi kółeczkami i bezpieczną jazdą po chodniku – w przeciwieństwie do Taryn. Jude chciała pędzić ulicą tak jak Vivi, nawet jeśli oznaczało to grudy żwiru wbite w skórę na kolanach. Cóż, wieczorem tatuś wydobędzie je za pomocą pęsety.

Jude czasem tęskniła za swoim rowerem, ale w Elysium takich urządzeń nie było. Zastępowały je gigantyczne ropuchy, filigranowe zielonkawe kucyki i chude jak cienie rumaki o dzikich oczach.

No i miała broń.

I mordercę swoich rodziców, ojczyzna. W jednej osobie. Madok, głównodowodzący wojsk Najwyższego Króla, chciał ją nauczyć, jak się szybko galopuje oraz jak się walczy na śmierć i życie. I choć go młóciła z całej siły, on tylko się śmiał. Podobała mu się jej złość. Nazywał to ogniem.

Ona też lubiła, gdy ogarniał ją gniew. Lepiej się wściekać, niż się bać. Lepiej niż pamiętać, że jest się śmiertelną istotą pośród potworów. Tu już nie było opcji dodatkowych kółeczek.

Po przeciwnej stronie dziedzińca ćwiczebnego Madok sprawdzał kolejne pozycje

szermiercze Taryn. Taryn też się uczyła fechtunku, miała jednak zupełnie inne podejście do ćwiczeń niż Jude. Jej postawa zawsze była perfekcyjna, ale samych pojedynków nie cierpiała. U niej oczywistej obronie towarzyszyły oczywiste kontrataki, dlatego łatwo ją było podpuścić, stosując serię konwencjonalnych technik, by następnie z nagłą wybić z rytmu i pokonać. Za każdym razem, gdy tak się działo, Taryn okropnie się złościła, tak jakby Jude zmyliła krok w tańcu – a nie wygrała w pojedynku.

– Chodź bliżej – zawołał Madok do Jude.

Ruszyła w jego kierunku, brodząc w srebrzystej trawie, z mieczem opartym o ramię. Słońce chyliło się już ku zachodowi, lecz elfowie to stwory nocy, więc dla nich pora aktywności dopiero się zaczynała. Na niebie jaśniały miedziane i złote smugi. Jude głęboko wdychała aromat sosnowych igieł. W tej chwili czuła się, jakby była zwykłą dziewczyną, która poznaje tajniki zwykłego sportu.

– Teraz nowe ćwiczenie – zapowiedział Madok, gdy Jude podeszła bliżej. – Wy dwie przeciwko wylenialemu staremu wydze.

Taryn oparła się o miecz, wbijając jego sztych w ziemię. Nie powinna tego robić, w ten sposób tępi się bowiem ostrze, lecz tym razem Madok nie udzielił jej reprimendy.

– Czym jest władza? – odezwał się, po czym sam sobie udzielił odpowiedzi: – Władza to możliwość zdobycia tego, czego pragniemy. Władzę mamy wtedy, gdy to my jesteśmy w stanie decydować. W jaki zaś sposób można zdobyć władzę?

Jude stanęła obok siostry. Najwyraźniej Madok oczekiwał odpowiedzi, a co więcej, oczekiwał odpowiedzi błędnej.

– W taki, że uczymy się walczyć? – odpowiedziała, byle coś powiedzieć.

Gdy Madok uśmiechnął się do niej, błysnęły czubki jego dolnych kłów, dłuższych niż pozostałe zęby. Zmierzył jej włosy. Poczwała na skórze czaszki ostre końce szponów; lekkie muśnięcie, lecz wystarczające, by przypomniawsza sobie, z kim ma do czynienia.

– Władzę zdobywamy, biorąc ją sobie.

Wskazał palcem niski pagórek, na którym rósł kolcodrzew.

– Teraz się pobawimy. To jest moje wzgórze. Wy macie je zdobyć.

Taryn posłusznie ruszyła w tamtą stronę, Jude za nią. Madok przyglądał się im, szczerząc się w uśmiechu.

– I co teraz? – spytała Taryn, trudno było dosłuchać się w jej głosie entuzjazmu.

Madok spojrzawsza gdzieś w dal, jakby rozważawsza i odrzucał rozmaite opcje.

– Teraz macie go obronić przed napaścią.

– Zaraz, jak to? – zdumiała się Jude. – Mamy bronić się przed tobą?

– To jest gra strategiczna czy ćwiczymy szermierkę? – spytała Taryn, marszcząc brwi.

Madok wsunawsza palec pod jej podbródek i uniósw go tak, że spoglądała wprost w jego złote kocie oczy.

– Czymże jest szermierka, jeśli nie grą strategiczną rozgrywaną w błyskawicznym

tempie? – odpowiedział poważnym tonem. – Naradz się z siostrą. Kiedy słońce dojdzie do tamtego drzewa, przybędę, aby odzyskać swoją własność. Powalcie mnie choćby raz, a zwyciężycie.

Powiedziawszy to, oddalił się i skrył w kępie drzew. Taryn siadła na trawie.

– Nie chcę tego robić – stwierdziła.

– To tylko gra – przypomniała jej nieco zdenerwowana Jude.

Taryn obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem – takim, jakim się zawsze obrzucały, kiedy któraś z nich usiłowała udawać, że wszystko jest w porządku i nic niezwykłego się nie dzieje.

– Dobra, a twoim zdaniem co powinniśmy zrobić?

Jude spojrzała w górę, na konary kolcodrzewu.

– Może jedna z nas będzie rzucać kamieniami, a druga skrzyżuje z nim ostrze?

– Niech ci będzie – zgodziła się Taryn i zaczęła zbierać kamienie w fałdy spódnicy. – A nie boisz się, że wpadnie w szal?

Jude potrząsnęła głową, choć dobrze rozumiała, co Taryn ma na myśli. Co będzie, jeżeli niechący je wtedy pozabija?

Jak to mówiła mama do taty, „nikt nie wybiera, gdzie umiera”. To było jedno z tych dziwnych powiedzonek dorosłych, które wydawały się jej wtedy bez sensu, takich jak na przykład „lepszy wróbel w garści niż dzięcioł na dachu” albo „kij ma dwa końce” czy już zupełnie niezrozumiałe „wolno kotu patrzeć na króla”. Teraz jednak, kiedy trzymała w dłoni ostrą broń i czekało ją starcie z dużo silniejszym przeciwnikiem, nagle zrozumiała pierwsze powiedzenie.

– Zajmij stanowisko – poleciła.

Taryn, nie zwlekając, wdrapała się na drzewo. Jude zerknęła na słońce. Zastanawiała się, jakiego podstępu może użyć Madok. Im później zaatakuje, tym będzie ciemniej, czyli gorzej dla Jude i Taryn, które nie widzą w ciemnościach.

Okazało się jednak, że nie uciekł się do żadnego podstępu. Nagle wypadł spośród drzew, biegł w kierunku siostr i wrzeszczał, jakby prowadził na bój całą hordę zbrojnych. Pod Jude nogi ugięły się z przerażenia.

To tylko gra – powtarzała gorączkowo w myślach. Jednak im bardziej Madok się zbliżał, tym mniej jej ciało skłonne było w to uwierzyć. Zwierzęca wola przetrwania ponaglała ją do panicznej ucieczki.

Wobec jego ogromu strategia dwóch drobnych istot była wprost śmieszna. Jude nagle ujrzała przed oczami ociekające krwią zwłoki matki, poczuła odór trzewi wypływających z jej brzucha. Wspomnienie walnęło ją jak obuchem. Teraz i ona umrze.

Uciekać! – nawoływał jej organizm. – W nogi!

Nie, matka próbowała ucieczki. Jude zapała się mocno stopami w ziemię.

Zmusiła się do przybrania pierwszej pozycji, chociaż kolana jej drżały. Madok dodatkowo

miał też przewagę impetu, mimo że biegł pod górę. Grad kamieni ciskanych przez Taryn nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia.

Jude nie próbowała nawet sparować pierwszego uderzenia, tylko zeskoczyła z linii natarcia. Schroniła się za drzewo, uniknęła też w ten sposób drugiego i trzeciego ciosu. Czwarty powalił ją na ziemię.

Zacisnęła powieki, czekając na uderzenie śmierci.

– Kiedy nikt nie patrzy, możecie sobie coś wziąć. Trudniej jednak jest taką zdobyczą zachować, nawet jeśli ma się przewagę – pouczył ją ze śmiechem Madok. Spojrzała i zobaczyła wyciągniętą dłoń. – Władzę znacznie łatwiej jest zdobyć, niż ją utrzymać.

Ogarnęło ją poczucie ulgi. A więc jednak to naprawdę tylko gra. Po prostu kolejna lekcja.

– To było niesprawiedliwe – poskarżyła się Taryn.

Jude milczała. W Krainie Elfów nie było czegoś takiego jak sprawiedliwość. Dawno już się tego nauczyła.

Madok pomógł Jude wstać, objął ją ciężkim ramieniem. Przygarnął też w uścisku jej siostrę. Pachniał dymem i zaschniętą krwią. Jude przytuliła się do niego. Jak dobrze znaleźć się w czyimś objęciu, choćby i w objęciu potwora.

ROZDIAŁ

1

Nowy król elfów rozpira się na tronie, na głowie ma niedbale przekrzywioną koronę, długi, jadowicie szkarłatny płaszcz opada mu z ramion, zamiatając podłogę. Z przekłutego ucha zwisa kolczyk, na palcach lśnią ciężkie pierścienie. Jednak jego największą ozdobą są miękkie, nadąsane usta.

Z ich powodu wygląda właśnie na takiego gnojka, jakim jest w rzeczywistości.

Stoję u jego boku, na zaszczytnym miejscu seneszala. Rzekomo jestem najbardziej zaufaną doradczynią króla Cardana, odgrywam więc tę rolę, aby nie wyszło na jaw, kim jestem naprawdę – szarą eminencją pociągającą za sznurki. Posiadam bowiem moc, by zmusić go do posłuszeństwa, gdyby tylko zapragnął mi się sprzeciwić.

Wypatruję w tłumie szpiega Dworu Cieni; wiem już, że moi podwładni przejęli wiadomość z Wieży Zapomnienia, gdzie uwięziony został brat Cardana, i to ja ją otrzymam, a nie królewski adresat.

To tylko jeden z wielu kłopotów.

Mija pięć miesięcy, odkąd przemocą osadziłam Cardana na tronie jako swoją królewską marionetkę; pięć miesięcy, odkąd zdradziłam swój ród, odkąd siostra zabrała mojego braciszka do krainy śmiertelników, z dala od korony, którą mógłby nałożyć. Pięć miesięcy, odkąd skrzyżowałam klingę z Madokiem. Pięć miesięcy, odkąd spałam dłużej niż kilka godzin z rzędu.

Mogłoby się wydawać, że postawiłam na swoim, i to nawet w iście elfowym stylu. Na tronie posadziłam kogoś, kto mną pogardza, a to dlatego, by uchronić Dęba przed niebezpieczeństwem. Udało mi się przechytryć Cardana i zaprzysiągł mi posłuszeństwo na rok i dzień. Pamiętam euforię, jaka mnie ogarnęła, gdy mój przewrotny plan się powiódł. Wtedy wydawało mi się, że to mnóstwo czasu, cała wieczność. Teraz jednak muszę znaleźć sposób, by na dłużej utrzymać nad nim władzę, a przy okazji chronić go przed samym sobą. Na tak długo, by Dąb nie utracił czegoś, co mnie nie było dane – a mianowicie dzieciństwa.

Teraz rok i dzień zdaje się krótką chwilą.

I choć to ja osadziłam Cardana na tronie, i choć stało się to za sprawą moich przebiegłych machinacji, i choć tylko dzięki mnie nie utracił dotąd korony wraz z głową, trudno mi powstrzymać niepokój, gdy widzę, jak wyśmienicie czuje się w tej roli.

Elfowych władców łączy z ziemią swoista więź. W jakiś mistyczny sposób, którego ja pojąć nie mogę, są krwią i bijącym sercem swojego królestwa. Cardan z pewnością tej więzi nie odczuwa, w każdym razie nie w pełni. Zapewne bierze się to stąd, że powziął solenne postanowienie, by pozostać próżniakiem, który nawet nie tyka prawdziwych kwestii związanych ze sprawowaniem władzy.

W zasadzie jego obowiązki ograniczają się do tego, by pozwalać całować się po upierścienionych dłoniach i przyjmować hołdy swojego ludku. Nie wątpię, że to akurat sprawia mu przyjemność – te wiernopoddańcze pocałunki, pokłony do samej ziemi. Niewątpliwie raduje go też możliwość nieograniczonego korzystania z zasobów królewskich piwnic. Wciąż i wciąż każe napełniać bladozielonym likworem swój wysadzany klejnotami kielich. Sam zapach trunku przyprawia mnie o zawrót głowy.

Gdy przez chwilę nikt mu nie nadskakuje, zerka w moją stronę.

– Dobrze się bawisz? – pyta, unosząc jedną czarną brew.

– Nie tak dobrze, jak Wasza Królewska Mość – odpowiadam.

Owszem, za szkolnych czasów szczerze mnie nienawidził, lecz był to ledwie nędzny ogarek wobec buzującego teraz nieustannie płomienia. Jego usta wykrzywają się w uśmiechu, w oczach lśni przewrotny błysk.

– Przyjrzyj się swoim poddanym. Jaka szkoda, że żaden z nich nie wie, kto jest ich prawdziwym władcą.

Czuję falę gorąca na twarzy. Jednym z nielicznych jego uzdolnień jest umiejętność takiego prawienia komplementów, że stają się one obelgą; potrafi w ten sposób dotknąć boleśniej, niż gdyby cisnął złe słowo w twarz.

Na tyłu dworskich balach skrzątnie się pilnowałam, by pozostać niezauważoną, a teraz widzą mnie wszyscy. I to w pełnym świetle świec, w jednym z trzech niemal identycznych czarnych kaftanów, które noszę co wieczór, z mieczem imieniem Brzask u boku. Wirują w swoich tańcach i grają swoje pieśni, piją swoje złote wino i układają swoje zagadki oraz zaklęcia, ale ja spoglądam na nich z wyżyn królewskiego podium. Są piękni, straszni i mogą sobie do woli pogardzać mną jako śmiertelniczką, lecz to ja zajmuję to miejsce, nie oni.

Zapewne nie różni się to tak bardzo od życia w ukryciu. Może to tylko swoista kryjówka, tylko że dla wszystkich jestem widoczna. Nie potrafiłabym jednak zaprzeczyć, że władza, którą posiadam, przyprawia mnie o bezustanny dreszczyk emocji; za każdym razem, gdy o tym pomyślę, czuję przypływ satysfakcji.

Wolałabym natomiast, żeby Cardan nie zdawał sobie z tego sprawy.

Wypatruję mojej siostry bliźniaczki, Taryn. W końcu ją dostrzegam: tańczy z Lokim, swoim narzeczonym. Lokim, który, jak kiedyś mi się wydawało, mógłby mnie pokochać. Lokim, którego, jak kiedyś mi się wydawało, mogłabym kochać. Teraz jednak brakuje mi wyłącznie Taryn. Czasem miałabym ochotę zeskoczyć z podium, podejść do niej i wytłumaczyć, dlaczego dokonałam takiego, a nie innego wyboru.

Jej ślub odbędzie się już za trzy tygodnie, a my wciąż nie odezwałyśmy się do siebie ani słowem.

Powtarzam sobie w kółko, że to ona powinna uczynić pierwszy krok. W końcu w historii z Lokim ohydnie wystawiła mnie do wiatru. Nadal mi głupio, kiedy na nich patrzę. Nie musi nawet przeproszać, ale niech przynajmniej nie udaje, że nie ma za co. Przystałabym i na taki układ. Nie zdobędę się jednak, żeby podejść do niej, żeby prosić, żeby błagać.

Śledzę ją wzrokiem, gdy tańczy.

Nie próbuję nawet odszukać wzrokiem Madoka. Utrata jego miłości to część ceny, jaką zapłaciłam za osiągnięcie tego stanowiska.

Niski elf o twarzy poranej głębokimi zmarszczkami klęka obok podium, co znaczy, że chce uzyskać posłuchanie. W mankietach jego fraka lśnią klejnoty, płaszcz spina brosza w kształcie ćmy, której skrzydełka same się poruszają. Mimo iż okazuje pokorę, w jego spojrzeniu widzę chciwość.

Obok niego stoją dwa długonogie, bladolice boginy górskie; ich włosy powiewają, chociaż nie ma wiatru.

Trzeźwy czy pijany, ale jako Najwyższy Król elfów Cardan musi wysłuchiwać swoich poddanych, którzy zgłaszają się doń, by zaradził ich kłopotom, choćby najbłahszym, lub pragną prosić go o jakąś łaskę. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ktoś mógłby chcieć oddać swój los w jego dłonie, ale Kraina Elfów to bardzo dziwna kraina.

Na szczęście ja tu jestem, gotowa, by jak przystało na seneszala, szepnąć do królewskiego ucha słówko rady czy przestrogi. Różnica polega na tym, że król musi być mi posłuszny. Może odpowiedzieć najstraszliwszą obelgą, ale będzie musiał to uczynić również szeptem.

Oczywiście pojawia się kwestia, czy zasługuję, by mieć aż taką władzę. Powtarzam sobie nieraz, że nie będę wredna tylko dla zabawy. To, co robię, powinno mieć jakiś sens, czemuś służyć.

– Oho – odzywa się Cardan. Nie wstając z tronu, pochyla się, przez co korona zsuwa mu się nieco bardziej na bok. – Zapewne sprawy nie byle jakiej wagi sprowadzają was przed oblicze Najwyższego Króla. – Upija potężny łyk wina i obdarza przybyłych łaskawym uśmiechem.

– Zapewne już o mnie słyszałeś, panie – powiada niski elf. – To ja sporządziłem koronę, którą masz na swojej głowie. Zwą mnie Grimsen Kowal i za sprawą króla Olszyn długo przebywałem na wygnaniu. Teraz jego kości zaznają już spoczynku, a w Fairfold nastał nowy władca, tak jak i tutaj rządy objął nowy Najwyższy Król.

– Severin – podpowiadam.

Kowal spogląda na mnie zaskoczony, że śmiałam się odezwać, potem jego wzrok znów wędruje w stronę Najwyższego Króla.

– Upraszam, byś pozwolił mi wrócić na Najwyższy Dwór.

Cardan mruga kilka razy, jakby próbując skupić wzrok na petencie.

– Ale dlaczego zostałeś wygnany? Czy może sam się skazałeś na wygnanie?

Cardan trochę opowiadał mi o Severinie, jednak o Grimsenie nie wspominał. Rzecz jasna słyszałam o Kowalu. To on sporządził Koronę Krwi dla królowej Mab i wplótł w nią potężne czary. Powiada się, że potrafi z metalu sporządzić wszystko, nawet żywe istoty – żelazne ptaki, które latają, srebrne węże – wijące się i jadowite. To on wykuł bliźniacze miecze, Sercożera i Sercokłęka, z których jeden nigdy nie chybia celu, drogi przeciąć może wszystko. Niestety, wykuł je dla króla Olszyn.

– Przysiągłem mu wierność jako sługa – wyjaśnia Grimsen. – Gdy udał się na wygnanie, musiałem za nim podążyć, a tym samym popadłem w niełaskę twojego ojca, panie. Dziś, gdy obaj już nie żyją, błagam o ten jeden fawor, bym mógł zdobyć sobie pozycję na twym dworze. Daruj mi, proszę, karę, a moja lojalność wobec ciebie tak wielką będzie, jak twoja mądrość.

Spoglądam uważniej na karłowatego elfa-kowala. To dość oczywista gra ze słowami. Jednak po co byłoby mu takie krętactwo? Jego prośba jest zrozumiała i zapewne szczerą, czego raczej nie można powiedzieć o jego pokorze, ale biorąc pod uwagę sławę, jaką się cieszy, trudno się dziwić.

– Niech się tak stanie – odpowiada Cardan, chyba zadowolony, że poproszono go o coś, co tak łatwo może dać. – Dni twojego wygnania są skończone. Złóż mi przysięgę wasalną, a z chęcią powitam cię na swoim dworze.

Grimsen składa głęboki ukłon, na jego twarzy odmalowuje się teatralne zakłopotanie.

– Szlachetny władco, żądasz doprawdy niewiele od swojego sługi i masz po temu wszelkie prawo, lecz ja, który wiele wycierpiałem z powodu składanych przysięg, wzdragam się przed wiążącymi słowami. Wyświadczyć mi, upraszam, jeszcze tę łaskę, bym mógł okazać swoją wierność za pomocą uczynków, nie zaś dlatego, iż zmuszą mnie do tego wyrzeczone zdania przysięgi.

Kładę dłoń na ramieniu Cardana, ale on uwalnia się od niej opryskliwym ruchem. Mogłabym coś powiedzieć, a wtedy musiałby – na mocy swojego zobowiązania – być mi posłuszny, przynajmniej by mi się nie sprzeciwiał, nie bardzo jednak mam pomysł, jakich argumentów użyć. Bądź co bądź taki Mistrz Kowalski na usługach Elfhame to nie byle co. Może nawet warto zrezygnować z wiernopoddańczej przysięgi.

A jednak w spojrzeniu Grimsena dostrzegam podejrzany błysk, zbytnią pewnością siebie. Podejrzewam podstęp.

Cardan odzywa się, nim udaje mi się dojść do jakiegokolwiek konkluzji.

– Niechże i tak będzie. Udzielę ci tej łaski. Na skraju pałacowych włości wznosi się stary budynek kuźni. Otrzymasz go na własność i tyle metalu, ile ci będzie trzeba. Już się nie mogę doczekać, by zobaczyć, co dla nas zrobisz.

Grimsen kłania się w pas.

– Łaskawość twoja, o panie, nie pójdzie w zapomnienie.

Znowu nie podobają mi się jego słowa, ale może przesadzam. Może po prostu ten snycerz nad snycerze jakoś mi nie przypadł do gustu. Nie mam zbyt wiele czasu na rozmyślania, bo oto pojawia się następna niezwykle postać, której należy wysłuchać.

To czarownica, stara i dysponująca taką mocą, że w powietrzu wokół niej niemal iskrzy od magii. Jej palce są długie i chude, włosy mają kolor dymu, a nos zakrzywiony jest jak sierp. Na jej szyi widnieje kamienna kolia, każdy kamień jest misternie rzeźbiony w zawijasy, które przyciągają wzrok, hipnotyzują. Gdy podchodzi, jej ciężka suknia rozchyła się u dołu i dostrzegam szponiastą stopę jak u drapieżnego ptaka.

– Królewiatko – powiada czarownica – Mateczka Szpik przynosi ci dary.

– Wymagam tylko wierności – odpowiada niedbale Cardan. – Niczego więcej. Przynajmniej na razie.

– Ależ tak, jakże inaczej. Przysięgałam Koronie – odpowiada i sięga do jednej z kieszeni. Wydobywa z niej materiał czarniejszy od nocnego nieba, tak czarny, że jakby spija światło lśniące w komnacie. Tkanina spływa po jej ramieniu. – Przybywam jednak z daleka, by ci ofiarować rzecz nietuzinkową.

Elfowie nie lubią zobowiązań i długów, dlatego wyświadczonej przysługi nie zbywają zwykłymi podziękowaniami. Poczęstuj takiego herbatnikiem, a on zapełni któryś z pokoi twojego domu ziarnem, byle przewyższyć twój poczęstunek, byle dług pozostawał po twojej stronie. Owszem, poddani nieustannie przynoszą Najwyższemu Królowi złoto, zobowiązują się do usług, składają u stóp tronu miecze noszące wyszukane imiona... Tylko żadna z tych rzeczy nie jest darem, nikt nie używa tego słowa. Te bogactwa to hołd, czyli coś całkiem innego.

Nie wiem, co ta jędza knuje.

Mruczy pod nosem jak stara kocica:

– Moja córka i ja utkałyśmy materiał z pajęczego jedwabiu i mrocznych snów. Strój z niego ochroni cię przed stalowym ostrzem, a miękki jest przy tym jak cień, gdy muska skórę.

Cardan marszczy czoło, ale nie może oderwać wzroku od zaiste przepięknego materiału.

– Przyznaję, że nie widziałem równie wspaniałej tkaniny.

– A więc przyjmujesz to, z czym przebywam? – pyta z błyskiem w oku wiedźma. – Jestem starsza niż twój ojciec i twoja matka. Starsza niż kamienie tego pałacu. Tak stara jak gnaty ziemi. Choć tyś jest Najwyższym Królem, Mateczka Szpik trzyma cię za słowo.

Cardan mruży oczy. Widzę, że jędza go drażni.

Tym razem wiem, w czym tkwi podstęp. Nim on się odezwie, zabieram głos:

– Powiedziałaś, że przynosisz dary, a widzę tu tylko tę precudną tkaninę. Bez wątplenia Korona z zachwytem ją przyjmie, o ile dana jest z serca.

Jej spojrzenie spoczywa na mnie, twarde i zimne jak czarna noc.

– A kimże ty jesteś, która przemawiasz za Najwyższego Króla?

– Jestem seneszalem Najwyższego Króla, Mateczko Szpik.

– I ty pozwolisz, żeby ta śmiertelna dziewczka za ciebie odpowiadała? – Jędza zwraca się do Cardana.

On zaś spogląda na mnie z taką wzgardą, że aż czuję, jak płoną mi policzki. Spogląda przez dłuższą chwilę. Wydyma usta, krzywi się.

– Niech jej tam będzie – odpowiada wreszcie. – To ją bawi, że może trzymać mnie z dala od kłopotów.

Zwraca swe łaskawe spojrzenie na Mateczkę Szpik.

– Sprytu jej nie brak – rzuca czarownica, jakby wypluwała słowa klątwy. – Doskonale, tkanina należy do ciebie, Najjaśniejszy Panie. Daję ją z serca, ją tylko i nic więcej.

Cardan pochyla się, jakby prowadzili sobie wesołą rozmowę.

– Och, powiedz wszystko. Lubię sztuczki i podstępny. Nawet te, których ofiarą omal nie padłem.

Mateczka Szpik przestępuje z jednej szponiastej nogi na drugą; dopiero teraz okazuje coś na kształt zdenerwowania. Nawet dla czarownicy o tak starych kościach, jak twierdzi, gniew Najwyższego Króla jest niebezpieczny.

– Niech będzie. Gdybyś przyjął to, z czym przychodzę, przyjąłbyś na siebie gęis, mógłbyś pojąć za żonę tylko tkaczkę tego materiału. Mnie albo moją córkę.

Zimny dreszcz przechodzi mi po plecach na myśl, co wtedy mogłoby się stać. Czy Najwyższy Król elfów może zostać zmuszony do takiego mariażu? Z pewnością dałoby się to jakoś obejść. Przypominam sobie, że poprzedni Najwyższy Król w ogóle nigdy nie zawarł formalnego związku małżeńskiego.

Władcy elfowych królestw zazwyczaj się nie żenią, gdyż piastują władzę aż do śmierci lub abdykacji. Za to pośród elfowego pospólstwa, a także wysokich rodów małżeństwa zdarzają się całkiem często, lecz wszystko ułożono tak, aby można się z nich było wykaraskać. W przeciwieństwie do obowiązującego pośród śmiertelników „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, przysięgają sobie wspólne życie „dopóki oboje nie postanowimy się rozstać” albo „dopóki jedno nie uderzy drugiego”, albo jeszcze sprytniej „na całe życie”, przy czym nie jest powiedziane, o czyje życie chodzi. Natomiast oficjalne związki małżeńskie królów są nierozzerwalne.

Gdyby Cardan się ożenił, musiałabym go zrzucić z tronu, aby posadzić na nim Dęba. Jego wybranki też musiałabym się pozbyć.

Cardan unosi brwi, ale na jego twarzy nadal maluje się wyraz błogiej bez troski.

– Zaszczycasz mnie, pani. Nie miałem pojęcia, że jesteś zainteresowana.

Jędza nawet nie mruga okiem, gdy przekazuje swój podarunek któremuś ze strażników przybocznych Cardana.

– Obyś dorósł do rozumu swoich doradców.

– Któż by sobie tego nie życzył – odparowuje Cardan. – A powiedz, czy twoja córka

towarzyszy ci w podróży?

– Tak, jest tutaj – odpowiada czarownica.

Z tłumu wyłania się dziewczyna i składa niski pokłon przed Cardanem. Jest młoda, na głowie burza potarganych włosów. Podobnie jak matka ma długie ręce i nogi, chude palce, ale o ile stara jędra jest rosochata i koścista, o tyle dziewczyna nie jest pozbawiona wdzięku. Na pewno prezentuje się lepiej dzięki temu, że ma stopy przypominające ludzkie.

Co prawda skierowane do tyłu.

– Kiepski byłby ze mnie mąż – powiada Cardan, przyglądając się dziewczynie, która jakby skurczyła się pod siłą jego spojrzenia – Zechciej jednak zatańczyć ze mną, a przekonasz się, że posiadam inne zalety.

Spoglądam na niego podejrzliwie.

– Chodźże – mówi Mateczka Szpik do dziewczyny, chwyta ją za ramię i ciągnie za sobą, wcale nie delikatnie. Odchodząc, rzuca spojrzenie na Cardana. – My troje jeszcze się spotkamy.

– Wszyscy chcą cię ożenić, pewnie zdajesz sobie z tego sprawę – mówi przeciągle Loki. Rozpoznaję ten głos, zanim jeszcze Loki zajmie miejsce dopiero co zwolnione przez Mateczkę Szpik.

Szczerzy się w uśmiechu do Cardana, wygląda na zachwyconego sobą i całym światem.

– Lepiej brać sobie nałożnice – mówi Loki. – Całe mnóstwo nałożnic.

– I kto to mówi? Czy aby nie ktoś, kto wkrótce założy sobie małżeńskie okowy? – pokpiwa z niego Cardan.

– Oj, odczep się. Podobnie jak Mateczka Szpik przynoszę ci dar. – Zbliża się o krok do podium. – Tyle że bez ukrytych haczyków.

Spogląda w moją stronę, ale tak, jakby mnie nie widział albo – w najlepszym razie – jakbym była jakimś zakurzonym meblem.

Nie powinnam się tym przejmować. Co mnie to obchodzi? Szkoda tylko, że pamiętam, jak staliśmy na samym szczycie najwyższej wieży w jego włościach i czułam na skórze żar jego ciała. I szkoda, że posłużył się mną, żeby poddać próbie miłość mojej siostry do niego. A najbardziej żałuję, że ona mu na to pozwoliła.

Cóż, jak powiadał mój śmiertelny ojciec: „żałować to dodawać nieszczęście do nieszczęścia”. Jeszcze jedno z tych zdań, które wydają się bez sensu, dopóki nie zrozumiesz, o co chodzi.

– Co takiego? – Cardan jest raczej zaskoczony niż zaciekawiony.

– Pragnę dać ci w prezencie mnie, w charakterze mistrza biesiadnego – oznajmia z dumą Loki. – Proszę, przyznaj mi to stanowisko, a zapewniam cię, że z rozkoszą pełnić będę swoje obowiązki i uczynię wszystko, by Najwyższy Król na Elfhame nigdy się nie nudził.

Na dworze jest tak wiele różnych stanowisk, tylu rozmaitej rangi służących i ministrów, ambasadorów i generałów, doradców i krawców, błaznów i lutników, koniuszych

i pajęczarzy, i jeszcze całe tuziny innych, że nie wiedziałam, że istnieje coś takiego jak mistrz biesiadny. Może zresztą dotąd go nie było.

– Zapewnię ci uciechy, jakich nawet sobie nie wyobrażasz. – Uśmiech Lokiego jest zaraźliwy. Zapewni mnóstwo kłopotów, co do tego nie mam wątpliwości. Kłopotów, które są mi zupełnie do niczego niepotrzebne.

– Zważaj na słowa – wtrącam, dopiero wtedy na mnie spogląda. – Chyba nie chcesz obrażać wyobraźni Najwyższego Króla.

– Zaiste, zapewne – odpowiada Cardan. Trochę trudno domyślić się, co chce przez to powiedzieć.

Na twarzy Lokiego wciąż gości nie zmałowany niczym uśmiech. Jakżeby inaczej – wskazuje na wyniesienie, rycerze stojący po obu stronach natychmiast chcą mu zagrozić drogę, ale Cardan powstrzymuje ich niedbałym ruchem ręki.

– Jeżeli mianujesz go mistrzem biesiadnym... – zaczynam, mówię pospiesznie, zdesperowana.

– Czy zamierzasz mi rozkazywać? – przerywa mi Cardan, unosząc brwi.

Wie, że nie mogę tego powiedzieć, Loki jest tak blisko, że mógłby usłyszeć.

– Skąd znowu – mówię przez zaciśnięte zęby.

– Świetnie – odpowiada Cardan i przestaje na mnie zwracać uwagę. – Mam taką fantazję, żeby spełnić twoje życzenie, Loki. Ostatnio rzeczywiście było strasznie nudno.

Widzę uśmieszek Lokiego i gryzę się w język, żeby nie wypowiedzieć rozkazu. Ależ to by była satysfakcja – zobaczyć jego minę, gdyby się przekonał, jaką mam władzę, także nad nim.

Satysfakcja ogromna, ale głupia.

– Za dawnych czasów w sercu dworu wirowały Kręgi Wilg, Skowronków i Sokołów – oznajmia Loki, nawiązując do skupionych wokół potomków dawnego króla frakcji oddających się zabawie, sztuce lub kunsztom wojennym. Frakcje te na przemian cieszyły się łaskami Eldreda lub je traciły. – Teraz jednak serce dworu jest twoje. Trzeba je złamać.

Cardan patrzy na Lokiego jakoś dziwnie, chyba dopiero teraz przychodzi mu do głowy, że sprawowanie rządów w charakterze Najwyższego Króla może być całkiem zabawne. Zwłaszcza gdyby udało mu się zerwać ze smyczy, na której go trzymam.

Wtedy po przeciwnej stronie podium widzę Bombę, wreszcie się pojawiła. To elfka, która należy do Dworu Cieni i jest szpiegiem. Brązową twarzyczkę otacza wianuszek białych włosów. Daje mi dyskretny znak.

Nie podobają mi się konszachty Cardana i Lokiego, zwłaszcza gdy pomyślę, jakie to uciechy Loki ma w zanadrzu. Jednak ta sprawa musi poczekać, zresztą i tak niewiele bym wskórała, skoro Lokiego właśnie ogarnął zapał, by spełnić swoją najnowszą zachciankę.

Odchodząc, by porozmawiać z Bombą, słyszę za sobą dźwięczny głos Lokiego przebijający się ponad panujący w komnacie gwar:

– Wkrótce w Mleczlesie będziemy świętować Łowiecką Pełnię Księżyca i Najwyższy Król gwarantuje taką rozpustę, że o tych biesiadach bardowie będą układać pieśni. Tyle wam mogę obiecać!

Ogarnia mnie lęk, czuję ucisk w żołądku.

Loki wybiera z tłumu kilka dziewczyn, wciąga je na podwyższenie; to pixie, ich opalizujące skrzydła połyskują w blasku świec. Jedna z nich śmieje się perliście, porywa kubek Cardana i dopija wino do dna. Oczekuję, że ją uderzy, upokorzy lub podrze skrzydła, ale nie – Cardan tylko się uśmiecha i każe sobie dolać wina.

Nie wiem jeszcze, co planuje Loki, ale najwyraźniej Cardan jest aż nadto gotów oddać się proponowanym przezeń zabawom. Zwyczaj jest taki, że po koronacji elfowego króla przez miesiąc trwają biesiady – obzarstwo, opilstwo, turnieje zagadek i pojedynki. Obowiązkiem wiernych wasali jest tańczyć od zmierzchu do świtu, aż zedrą podeszwy. Jednak odkąd Cardan został Najwyższym Królem, minęło już pięć miesięcy, w wielkiej komnacie tronowej wciąż zgiełk i gwar, wciąż pełno biesiadników, ucztom nie ma końca, w kielichach wciąż pieni się miód i goździkowe wino.

Już dawno w Elfhame nie było tak młodego króla, więc dworzan ogarnia nastrój dzikiej, nieokiełznanej zabawy. Pełnia już wkrótce, jeszcze przed ślubem Taryn. Skoro zamiarem Lokiego jest podsycić biesiadne płomienie, urządzać coraz huczniejsze zabawy, jak długo trzeba będzie czekać, by wynikły z tego kłopoty?

Zawsze mam opory przed odwróceniem się do Cardana plecami. Jednocześnie, gdy spotykają się nasze spojrzenia, w jego oczach widzę okiełznaną nienawiść. Choć słucha moich rozkazów, niemal na każdym kroku stawia opór, rzuca mi wyzwanie. Jest w tym znakomity.

Mogłabym niby stwierdzić, że przecież nienawidzi mnie od zawsze, ale przecież przez krótki i dziwny czas zawarliśmy ze sobą coś w rodzaju przymierza i tak jakby nawet się polubiliśmy. Jasne, dziwne to przymierze, które rozpoczyna się od ostrza sztyletu przyłożonego do szyi, jednak w końcu zaufał mi na tyle, by poddać się mojej władzy.

Ja zaś zdradziłam jego zaufanie.

Kiedyś pastwił się nade mną, bo był młody, okrutny i się nudził. Teraz będzie miał o wiele lepszy powód, by zadawać mi ból – kiedy tylko minie rok i dzień. Bardzo trudno mi będzie utrzymać swój wpływ na niego.

Bomba wsuwa mi w dłoń skrawek papieru.

– Kolejny liścik dla Cardana od Balekina – mówi. – Ten dotarł aż do pałacu, dopiero tu go przejęliśmy.

– Taki sam jak dwa poprzednie?

Kiwa głową.

– Bardzo podobny. Balekin próbuje schlebiać Najwyższemu Królowi i nakłania go do odwiedzin w więziennej celi. Chce zaproponować jakiś układ.

– Pewnie, że chce – odpowiadam. Znowu się cieszę, że ktoś kiedyś wprowadził mnie na Dwór Cieni, a przede wszystkim, że nadal mogę liczyć na towarzyszy szpiegowskiej doli.

– Co zrobisz? – pyta Bomba.

– Odwiedzę księcia Balekina. Jeśli chce złożyć Najwyższemu Królowi propozycję, najpierw będzie musiał przekonać jego seneszała.

Kącik jej ust unosi się.

– Pojadę z tobą.

Spoglądam znowu na Cardana, macham ręką.

– Nie. Zostań. Spróbuj dopilnować, żeby Cardan nie narobił sobie kłopotów.

– On sam jest największym kłopotem – stwierdza rzecz oczywistą, ale nie wygląda, jakby ją to jakoś bardzo martwiło.

Przemierzając pałacowe korytarze, dostrzegam w jednej z komnat Madoka; częściowo kryje się w cieniu, spogląda na mnie kocimi oczami. Nie jest na tyle blisko, żeby nawiązać rozmowę, gdyby nie to, zapewne usłyszałabym:

Władzę o wiele łatwiej zdobyć, niż ją utrzymać.

ROZDIAŁ

2

Balekin został uwięziony w Wieży Zapomnienia wznoszącej się na najdalej wysuniętej na północ części wyspy Insweal, Wyspie Trosk. Insweal jest jedną z trzech wysp podległych Elfhame, z Insmiru i Insmoru prowadzą na nią ziemne i kamienne nasypy. Rośnie tam tylko kilka jodeł, żyją srebrne jelenie i mieszka zapewne kilku driadów. Z Insmiru na Insweal można przejść pieszo, o ile ktoś nie ma nic przeciwko przeskakiwaniu z kamienia na kamień, samotnemu przemierzaniu Mleczlasu i najprawdopodobniej przemoczeniu butów.

Nie mam ochoty na żadną z tych wątpliwych przyjemności, toteż postanawiam pojechać konno.

Jako seneszał Najwyższego Króla mogę dowolnie wybierać spośród jego wierzchowców. Nigdy nie byłam szczególnie wytrawnym jeźdźcem, więc decyduję się na klacz o względnie łagodnym wyglądzie i miękkiej czarnej maści. Jej grzywa spleciona jest w skomplikowane, zapewne magiczne węzły.

Wyprowadzam ją, a goblin koniuszy wręcza mi uzdę i wodze.

Wskakuję na grzbiet i kieruję się ku Wieży Zapomnienia. W dole fale rozbijają się o skały. Rozbryzgi wody tworzą w powietrzu słoną mgiełkę. Insweal to ponure miejsce, wokół rozciąga się pustkowie, czasem tylko widać czarne skały, kałuże pozostałe po przyptywie i Wieżę oplecioną zimną stalą.

Przywiązuję klacz do metalowego pierścienia w kamiennej ścianie Wieży. Drży nerwowo, uderza ogonem o zad. Głaszczę klacz po nozdrzach w nadziei, że to ją uspokoi.

– Nie zabawię tam długo, obiecuję. Wyniesiemy się stąd, kiedy tylko się da – zapewniam klacz. Żałuję, że nie spytałam koniuszego o jej imię.

Kończąc do ciężkich drewnianych wrót, czuję się niewiele pewniej niż ona. Otwiera je wielki, włochaty stwór. Ma na sobie przepięknie kutą płytową zbroję, ze wszystkich jej szczelin sterczą jasne kłaki. Jest oczywiście żołnierzem, co znaczy, że z uwagi na Madoka mogłabym spodziewać się z jego strony szczególnych względów, tyle że akurat teraz już nie w najlepszym tego słowa znaczeniu.

– Jestem Jude Duarte, seneszał Najwyższego Króla – oznajmiam. – Przybywam tu w służbie Korony. Wpuść mnie.

Odsuwa się na bok, otwiera szeroko wrota. Wchodzę do mrocznej sieni Wieży

Zapomnienia. Moje śmiertelne oczy z trudem i powoli przywykają do mroku. Nie posiadam elfowej zdolności widzenia w niemal całkowitych ciemnościach. Jest tam co najmniej trzech strażników, ale dostrzegam ledwie ich sylwetki.

– Pewno chcesz się widzieć z księciem Balekinem – odzywa się głos gdzieś z głębi.

Dziwnie się czuję, rozmawiając z kimś, kogo nie widzę, robię jednak dobrą minę do złej gry, kiwam głową.

– Prowadźcie mnie do niego.

– Vulciberze, ty ją zaprowadź.

Wieża nazywa się Wieżą Zapomnienia, bo trafiają do niej elfowie, których monarcha pragnie usunąć z pamięci dworu. Zazwyczaj wszelkie zbrodnie i występki karane są przy użyciu chytrze wymyślonych klątw, niemożliwych do wypełnienia misji czy innych odpowiednio perfidnych sztuczek, na tym polega pokrętny wymiar sprawiedliwości Małego Ludku. Aby znaleźć się tutaj, trzeba bardzo zależeć za skórę komuś naprawdę wpływowemu.

Strażnicy to żołnierze, których temperamentowi to jałowe i samotne miejsce odpowiada, a czasem lądują tu, bo dowódcy chcą ich nauczyć pokory. Ponieważ ledwo widzę ich w półmroku, trudno się domyślić, do której kategorii ich zaliczyć.

Podchodzi do mnie Vulciber, to ten sam kudłacz, który otworzył mi wrota. W jego żyłach niewątpliwie płynie krew trolli, jest ciężkiej budowy, ma długie ramiona.

– Prowadź – mówię.

Odpowiada mi niechętnym spojrzeniem. Nie wiem, co mu się we mnie nie podoba – czy to, że jestem śmiertelniczką, czy fakt, że zajmuję takie stanowisko, czy że zawracam mu głowę. Nie pytam. Idę za nim w dół po kamiennych schodach przez mokrą ciemność pachnącą ziemią. Powietrze jest ciężkie, czuć w nim dziwny odór zgnilizny, który przypomina mi coś, ale nie wiem co.

Gdy robi się zbyt ciemno i widzę już tak źle, że zachodzi obawa potknięcia się na schodach, rzucam rozkaz:

– Zapal światło.

Vulciber odwraca się, czuję jego oddech na twarzy – pachnie mokrymi liśćmi.

– A co, jak nie zapalę?

Rękojeść wąskiego sztyletu już tkwi w mojej dłoni, ostrze sięga boku strażnika, tuż pod żebrami.

– To.

– Przecież ty nie widzisz – mówi z pretensją w głosie, jakbym go skrzywdziła i oszukała, bo się go nie przestraszyłam.

– Może po prostu wolę, jak jest trochę jaśniej – odpowiadam niedbałym tonem, chociaż serce mi wali jak szalone, a dłonie się pocą. Gdybyśmy mieli walczyć na tych schodach, muszę trafić szybko i pewnie, bo prawdopodobnie będę miała tylko jedną szansę.

Vulciber odsuwa się ode mnie i mojego noża. Słyszę jego ciężkie kroki na stopniach,

zaczynam liczyć – na wypadek gdybym musiała iść za nim po omacku. Jednak chwilę potem rozbłyska zielony płomień pochodni.

– No? – odzywa się. – Idziesz czy nie?

Schody prowadzą obok kolejnych krat, niektóre cele są puste, mieszkańcy niektórych siedzą na tyle głęboko, że płomień ich nie oświetla. Nie rozpoznaję żadnego z nich, poza ostatnim.

Czarne włosy księcia Balekina są spięte metalową tiarą, zapewne nawiązuje to do jego królewskiego rodowodu. Choć uwięziony, nie sprawia wrażenia pokonanego. Kamienną podłogę celi wyściełają kobierce. On sam siedzi w rzeźbionym fotelu i spogląda na mnie głęboko osadzonymi sowimi oczami. Na małym, eleganckim stoliku stoi złoty samowar. Balekin pociąga za rączkę, do filiżanki z kruchej porcelany spływa gorąca, wonna herbata. Jej woń przywodzi mi na myśl wodorosty, a cały ten wykwint nie zmienia faktu, że Balekin przebywa w Wieży Zapomnienia. Na ścianie za nim widzę puchate ćmy. Kiedy przelał krew swojego ojca, Najwyższego Króla, jej krople przemieniły się w ćmy, które przez kilka chwil trzepotały w powietrzu, zanim znikły. Myślałam, że wszystkie przepadły na dobre, ale jak widać, niektóre wciąż mu towarzyszą na pamiątkę zbrodni.

– Ach, łaskawa pani Jude z Dworu Cieni – mówi, jakby sądził, że oczaruje mnie swoim głosem. – Pozwól, że poczęstuję cię filiżanką herbaty.

W którejś celi słyszę poruszenie. Ciekawe, jak wyglądają tutejsze herbatki, kiedy nikt postronny tego nie widzi.

Niezbyt mnie cieszy, że Balekin wie o istnieniu Dworu Cieni, a zdecydowanie mniej, że wie o moich szpiegowskich powiązaniach, chociaż nie jest to dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Książę Dain, nasz chlebobdawca i twórca siatki, był bratem Balekina. Skoro Balekin wiedział o istnieniu Dworu Cieni, mógł rozpoznać któreś z nich, kiedy kradli Koronę Krwi i przekazali ją mojemu braciszкови, by włożył ją na głowę Cardana.

W każdym razie z pewnością Balekin ma wszelkie powody, by nie cieszyć się moim widokiem.

– Przykro mi, lecz nie skorzystam z poczęstunku – odpowiadam. – Jestem tu tylko na chwilę. Wysłałeś wiadomości do Najwyższego Króla. Chcesz mu ponoć coś zaproponować, jakiś układ? Jestem tu w jego imieniu, by wysłuchać, co masz mu do powiedzenia.

Jego uśmiech przeradza się w brzydki grymas.

– Ty myślisz, że zostałem poniżony – mówi. – Ale ja wciąż jestem księciem elfów, nawet tutaj. Vuliberze, bądź tak miły i wymierz policzek w tę śliczną buzię.

Uderzenie otwartą dłonią pada szybciej, niż mogłabym się spodziewać. Słysząc głośne klaśnięcie. Policzek mnie pali, jestem wściekła.

W mojej prawej ręce znów pojawia się sztylet, jego bliźniak w lewej.

Vuliber tylko na to czeka.

Mam straszną ochotę go załatwić, ale jest większy ode mnie i zna teren. W ciemnościach

szanse są nierówne. Nie zmienia to postaci rzeczy, ogarnia mnie przemożna chęć, by zetrzeć z tej mordy wyraz triumfu, by pokazać mu, kto jest lepszy.

Prawie przemożna, bo ją pokonuję. Duma jest dla rycerzy, nie dla szpiegów.

– Śliczną buzię... – powtarzam słowa Balekina, niespiesznie chowając oba sztylety. Dotykam palcami twarzy. Vuliber uderzył mnie tak mocno, że zęby skaleczyły wewnętrzną stronę policzka. Spluwam krwią na kamienną podłogę. – Wielce mi to pochlebia. Pozbawiłam cię korony, więc trudno się dziwić, że masz do mnie odrobinę żalu. Zwłaszcza jeśli jego wyrazom towarzyszy taki komplement. Proponuję jednak, żebyś mnie już więcej nie wystawiał na próbę.

Vuliber nagle traci pewność siebie i ma bardzo głupią minę.

Balekin upija łyk herbaty.

– Na wiele sobie pozwalasz, śmiertelniczko.

– A czemuż nie miałabym sobie pozwalać? Przemawiam wszak głosem Najwyższego Króla. Czy sądzisz, że raczy pofatygować się taki kawał drogi, porzucić pałac i jego rozkosze tylko po to, żeby układać się ze starszym bratem, z którego rąk tak wiele wycierpiał?

– Chciałbym wiedzieć, co masz na myśli.

Księżę Balekin pochyla się w fotelu.

– Chciałabym wiedzieć, jaką wiadomość mam przekazać Najwyższemu Królowi.

Balekin przygląda mi się. Z całą pewnością mój policzek płonie pięknym odcieniem czerwieni. Kolejny łyzeczek herbaty.

– Słyszałem, że gdy śmiertelnicy się zakochują, przypomina to odczuwanie strachu. Wasze serca biją szybciej. Zmysły są wyostrome. Doznajecie euforii, może nawet zawrotów głowy. – Spogląda na mnie. – Zgadza się? Jeśli można jedno z drugim pomylić, to by wiele wyjaśniało, jeśli chodzi o twój rodzaj.

– Nigdy nie byłam zakochana – odpowiadam. Nie zamierzam wdawać się w takie dysputy.

– No i oczywiście możesz kłamać – mówi dalej Balekin. – Rozumiem, dlaczego Cardan uważa tę cechę za przydatną. Swego czasu podobnie myślał Dain. Sprytne z jego strony, że wciągnął cię do tej swojej hałastry odmieńców. I sprytnie przewidział, że Madok wcześniej nie zwerbuje cię na swą służbę. Cokolwiek by mówić o moim bracie, był wprost cudownie pozbawiony jakichkolwiek sentymentów.

Ja w ogóle nie zwracałem na ciebie uwagi, może tylko raz, żeby dokuczyć Cardanowi, pokazując mu twoją przewagę. Tymczasem ty masz coś, czego Cardanowi zawsze brakowało: ambicję. Gdybym to w porę dostrzegł, miałbym teraz koronę. Ale myślę, że ty też mnie nie doceniłaś.

– Ach, tak? – Już wiem, że usłyszę coś, co mi się nie spodoba.

– Nie usłyszysz ode mnie, co mam Cardanowi do powiedzenia. Otrzyma moją wiadomość

w inny sposób i to wkrótce.

– W takim razie tracimy tylko czas – odpowiadam. Przebyłam długą drogę, dostałam w twarz, najadłam się strachu. Wszystko na próżno.

– Ach, właśnie, czas – powiada Balekin. – Dla ciebie to cenne dobro, ale nie dla mnie, śmiertelna istoto. – Kiwa ręką na Vulibera. – Możesz ją odprowadzić.

– Idziemy – mówi strażnik i obcesowo popycha mnie w stronę schodów.

Zerkam raz jeszcze przez ramię na twarz Balekina, który w zielonym świetle pochodni spogląda na mnie ponuro. Jest niepokojąco podobny do Cardana.

Pniemy się z powrotem; w połowie drogi zza jednej z krat wysuwa się długopalczasta dłoń i chwytą mnie za kostkę. Zaskoczona, tracę równowagę, upadam na kolana, opieram się dłońmi o stopnie. Dawna rana pośrodku lewej dłoni nagle przypomina o sobie gwałtownym pulsowaniem. Ledwie udaje mi się odzyskać równowagę, inaczej spadłabym na sam dół.

Widzę szczupłą twarz elfki. Oplotła ogonem pręt kraty. Z jej czoła wyrastają krótkie zakręcone różki.

– Znałam twoją Evę – mówi do mnie, a jej oczy świecą w mroku. – Znałam twoją matkę. Znałam tak wiele jej małych sekretów.

Zrywam się czym prędzej na nogi, wbiegam po schodach. Serce łomocze mi szybciej, niż kiedy sądziłam, że czeka mnie walka w ciemnościach z Vuliberem. Oddycham szybko, płytko, aż bolą mnie płuca.

Zatrzymuję się na ostatnich stopniach, ocieram piekące dłonie o kaftan, próbując odzyskać kontrolę nad sobą.

– Aha – mówię do Vulibera, kiedy udaje mi się odetchnąć nieco spokojniej. – Byłabym zapomniiała. Najwyższy Król przekazał mi zwój rozkazów. Chodzi o sposób, w jaki jest traktowany jego brat. Jest kilka drobnych zmian. Dokument mam w jukach przy siodle. Jeśli pójdziesz ze mną, to będziesz mógł je wziąć.

Vuliber rzuca pytające spojrzenie dowódcy, który posłał go do lochów razem ze mną.

– No, ruszaj – nakazuje zwalisty cień.

Tak więc Vuliber towarzyszy mi w drodze na zewnątrz, poza wielkie wrota Wieży Zapomnienia. W blasku księżycy czarne skały połyskują solą z zaschniętej morskiej piany, przypominającą lukier na kandyzowanych owocach. Staram się skupić na osobie strażnika, nie na tym, że przed chwilą ktoś wymówił imię mojej matki. Imię, którego nie słyszałam już od tak wielu lat, więc przez chwilę nie uświadamiałam sobie, jak jest dla mnie ważne.

Eva.

– Hejże, tu nie ma żadnego siodła ani juków – powiada Vuliber. Marszczy czoło, oglądając czarną klacz przywiązaną do muru. – Ten koń ma tylko uzdę i wodze. A przecież mówiłaś...

– Kłamałam.

Jednocześnie kłuję go w ramię igielką, którą zawsze noszę ukrytą w obszyciu kaftana.

Nie tak łatwo jest go dźwignąć i przerzucić przez grzbiet klaczy. Na szczęście jest przyuczona do typowych wojskowych komend, więc posłusznie przykłęka. Spieszę się, lada chwila któryś ze strażników może wyrzeć, chcąc sprawdzić, co się z nami dzieje – ale nie, szczęście mi sprzyja. Po chwili odjeżdżam, nie niepokojona przez nikogo.

A więc tym bardziej warto było wybrać się na Insweal konno – nigdy nie wiadomo, co człowiek przywiezie ze sobą z wyprawy.

ROZDIAŁ

3

Robisz z siebie królową szpiegów – powiada Karakan, spogląda to na mnie, to na mojego jeńca. – Skoro tak, powinnaś brać pod uwagę coś takiego jak rozsądek. Polegając tylko na sobie, jesteś na najlepszej drodze do tego, żeby ktoś cię dopadł. Następnym razem weź ze sobą kilku królewskich gwardzistów. Weź kogoś z nas. Weź chmurę świetlików albo pijanego spriggana, tylko weź kogoś ze sobą.

– Kto się o dupę trzęsie, ten po dupie dostanie – przypominam mu przasną wojskową mądrość.

– Jakbym słyszał Madoka – odpowiada Karakan, pociągając ze złością długim, zakrzywionym nosem.

Siedzimy przy drewnianym stole w Dworze Cieni, szpiegowskiej kryjówce znajdującej się głęboko pod pałacem Elfhame. Karakan opala w płomyku lampki oliwnej czubki bełtów do kuszy, potem wciera w nie lepką maź. – Jeżeli nam nie ufasz, to powiedz. Dogadaliśmy się raz, dogadamy się i drugi.

– Na pewno nie to mam na myśli – odpowiadam i opieram głowę o ramiona.

Ufam im. Gdyby nie to, nie zachowywałabym się tak swobodnie, a tymczasem daję upust złości.

Siedzę naprzeciwko Karakana, zajadam się serem, chlebem z masłem i jabłkami. To pierwszy mój posiłek tego dnia, więc żołądek wydaje dziwne odgłosy – jakby chciał przypomnieć, że moje ciało jest inne. Elfom nie burczy w żołądkach.

Może jestem zła dlatego, że jestem głodna. Policzek mnie piecze i chociaż usiłuję sobie wmówić, że świetnie się sprawiłam, muszę przyznać – mało brakowało. Poza tym nadal nie wiem, co Balekin chciał powiedzieć Cardanowi.

Jeśli będę sobie pozwalać na zmęczenie, tym bardziej prawdopodobne staje się popełnienie błędu. Nasze ludzkie ciała nas zdradzają. Są podatne na głód, choroby i wyczerpanie. Wiem o tym wszystkim doskonale, ale przecież ciągle jest coś, co trzeba załatwić.

Vuliber siedzi na krześle, związany, z przepaską na oczach.

– Chcesz sera? – pytam go.

Strażnik mruczy coś niezrozumiałego, ale widać, że się spina. Jest przytomny już od

jakiegoś czasu, nietrudno zgadnąć, że im dłużej nie zwracamy na niego uwagi, tym większy go ogarnia niepokój.

– Gdzie jestem? – krzyczy nagle i zaczyna się szarpać. Krzesło chwieje się. – Puszczajcie mnie!

Krzesło się przewraca, strażnik wali się na ziemię, leży na boku. Szarpie się dalej, z determinacją.

Karakan wzrusza ramionami, wstaje, zdejmuje przepaskę z oczu Vulibera.

– Witam – mówi.

Po przeciwnej stronie komnaty siedzi Bomba i czyści paznokcie czubkiem długiego, zakrzywionego noża. Duch siedzi w kącie, milczy, ktoś mógłby pomyśleć, że go tam wcale nie ma. Kilkoro nowych rekrutów przygląda się akcji z zainteresowaniem – chłopak z wróblimi skrzydełkami, trzy spriggany, młoda i ładna strzyga. Nie zdążyłam jeszcze przywyknąć do tak licznej widowni.

Vuliber gapi się na Karakana, na jego zieloną skórę goblina, oranżowe oczy, długi nos i pojedynczą kępę włosów na głowie. Rozgląda się po pomieszczeniu.

– Najwyższy Król na to nie pozwoli – oznajmia.

Uśmiecham się do niego z politowaniem.

– Najwyższy Król o tym nie wie, a ty mu nie powiesz, jeżeli ci utnę jęzor.

Patrząc, jak narasta w nim strach – to budzi we mnie niemal rozkosz. Niewiele miałam władzy w swoim życiu, więc muszę bardzo się strzec tego uczucia. Władza uderza mi do głowy bardziej niż elfowe wino.

– Niech no zgadnę – mówię. Odwracam się do niego, nie wstając z krzesła, spoglądam z wyrafinowanym chłodem. – Myślałeś, że możesz bezkarnie mnie uderzyć, tak?

Widać, jak się w sobie kuli, słysząc moje słowa.

– Czego chcesz?

– A czy ja mówiłam, że czegoś chcę? – odpowiadam. – Chociaż może chcę odplacić pięknym za nadobne...

Jakbyśmy to wcześniej przeciwicyli, Karakan dobywa ostrza o wyjątkowo paskudnym wyglądzie, zwraca jego sztych w stronę Vulibera. Szcherzy zęby w uśmiechu.

Bomba zerka znad paznokci, na jej usteczkach pojawia się błogi uśmiech.

– Oho, zaczyna się zabawa.

Vuliber szarpie się rozpaczliwie, obraca głowę na wszystkie strony. Słysząc, jak krzesło trzeszczy, ale jest mocne, a sznury jeszcze mocniejsze. Przez chwilę dyszy ciężko, po czym się poddaje.

– Błagam – szepcze.

Dotykam podbródka, tak jakby dopiero przyszło mi to do głowy.

– A zresztą. Może przy okazji na coś nam się przydasz. Balekin chciał zawrzeć z Cardanem jakiś układ. Mógłbyś mi o tym opowiedzieć.

– Ale ja nic nie wiem – zaklina się żalonym tonem.

– A, to masz pecha.

Wzruszam ramionami, sięgam po następny kawałek sera i wpycham go do ust.

Vuliber spogląda na Karakana i na jego brzydki, długi nóż.

– Ale znam sekret. To tajemnica, jest warta więcej niż moje życie, więcej niż to, czego Balekin chce od Cardana. Jeżeli powiem, to przysięgniecie, że wyjdę stąd cały i zdrowy?

Karakan patrzy na mnie, ja kiwam głową.

– Niech ci będzie – mówi Karakan. – Jeżeli nic więcej dla nas nie masz, to jeżeli przysięgniesz, że nikomu nie zdradzisz naszej rozmowy, puścimy cię wolno i idź sobie, dokąd chcesz.

– Królowa Toni – mówi pospiesznie Vuliber, teraz chce jak najszybciej wszystko wyjawić. – Nocami jej słudzy wdrapują się na skały i szepczą do Balekina. Wślizgują się do Wieży, chociaż nikt nie wie, jak to robią, zostawiają mu muszle i zęby rekina. Wiadomości wędrują w obie strony, ale my nie potrafimy ich przechwycić i przeczytać. Krążą słuchy, że Orlagh chce zerwać rozejm, a Balekin jej dopomaga, przekazuje wieści, by zgubić Cardana.

Wszystkiego bym się spodziewała, ale akurat nie zagrożenia ze strony Królestwa Toni. Królowa Orlagh ma córkę jedynaczkę – Nicassię, która przebywa na naszym dworze i zalicza się do koszmarnego grona najbliższych przyjaciół Cardana. Miałam z nią pewne przejścia, tak samo jak z Lokim. I tak samo nie były one przyjemne.

W moim dotychczasowym, i jak widać, błędnym mniemaniu, przyjaźń Cardana z Nicassią była gwarancją, że Orlagh jest zachwycona faktem objęcia tronu właśnie przez niego.

– Gdy następnym razem dojdzie do takiej wymiany – mówię – zgłoś się do mnie natychmiast. Jeżeli usłyszysz coś innego, co twoim zdaniem mogłoby mnie zainteresować, przybywaj bez zwłoki. Opowiadaj mi o wszystkim.

– Nie tak się umawialiśmy – protestuje Vuliber.

– To prawda – odpowiadam. – Opowiedziałeś nam swoją historyjkę i to jest dobra historyjka. Puścimy cię wolno. Ale to nie wszystko, bo ja mogę nagrodzić cię znacznie hojniej niż zwyrodniały książę, który ma ojcowską krew na rękach i nigdy nie będzie się cieszyć względami Najwyższego Króla. Istnieją lepsze zajęcia niż pilnowanie Wieży Zapomnienia, wystarczy po nie sięgnąć. Jest również coś takiego jak złoto. Są też inne korzyści, które Balekin może obiecywać, ale raczej nigdy nie zdoła tych obietnic spełnić.

Vuliber spogląda na mnie dziwnie, pewnie próbuje dokonać oceny, czy biorąc pod uwagę to, że mnie uderzył, a potem go otrujęm, nadal istnieje możliwość zawarcia przez nas układu.

– Ale ty możesz kłamać – odzywa się po chwili.

– Ale ja gwarantuję, że ona mówi prawdę – wtrąca Karakan. Wyciąga rękę, rozcina więzy Vulibera tym swoim strasznym nożem.

– Obiecaj mi posadę lepszą niż pilnowanie Wieży – mówi Vuliber, rozcierając nadgarstki

– a będę ci posłuszny jak samemu Najwyższemu Królowi.

Bomba śmieje się i puszcza do mnie oko. Oni wszyscy nie wiedzą dokładnie, na jakiej zasadzie mam władzę nad Cardanem, natomiast doskonale zdają sobie sprawę, że istnieje między nami układ, na mocy którego ja odwalam większość roboty, a Dwór Cieni pracuje bezpośrednio dla Korony i również bezpośrednio jest opłacany.

Kiedyś w mojej i ich obecności Cardan powiedział: „Odgrywam Najwyższego Króla w jej małym przedstawieniu”. Karakan i Bomba roześmiali się, Duch nawet się nie uśmiechnął.

Kiedy z Vuliberem zaprzysięgliśmy sobie wszystko co trzeba, a następnie Karakan wyprowadził go z naszego matecznika, założywszy mu uprzednio opaskę na oczy, Duch siada obok mnie.

– Chodź, powalczymy – mówi, zgarniając ćwiartkę jabłka z mojego talerza. – Musisz wyładować choć trochę tej wściekłości, która się w tobie gotuje.

Śmieję się.

– Bez żartów. Myślisz, że tak łatwo utrzymać stałą temperaturę – odpowiadam.

– I tak wysoką, co? – odparowuje. Przygląda mi się uważnie. Wiem, że w jego żyłach płynie także ludzka krew – to zresztą widać po kształcie jego uszu, wskazuje na to również piaskowy kolor włosów, rzadkość pośród elfów. Nie opowiedział mi jednak swojej historii, a tutaj, w tym miejscu pełnym sekretów, głupio mi go wypytywać.

Dwór Cieni właściwie mi nie podlega, tylko monarsze, ale w czwórkę złożyliśmy pewne ślubowanie. Obiecaliśmy chronić osobę i urząd Najwyższego Króla dla dobra, bezpieczeństwa i pomyślności Elysium oraz w nadziei na mniejszy rozlew krwi, a przy tym większe zyski w złocie. Taką właśnie złożyliśmy przysięgę. Taką przysięgę pozwolili mi złożyć, chociaż słowa mnie nie wiążą w taki sam sposób, oni bowiem podlegają prawom magii, a mnie zobowiązuje tylko honor oraz ich wiara, że coś takiego posiadam.

– Król w ciągu ostatnich dwóch tygodni dał posłuchanie Karakanowi aż trzy razy. Uczy się mianowicie kradzieży kieszonkowych. Jeśli nie będziesz się pilnować, stanie się lepszym skradaczem niż ty.

Duch został przydzielony do osobistej gwardii Najwyższego Króla, dzięki czemu może czuwać nad jego bezpieczeństwem, a przy okazji poznawać jego zwyczaje.

Wzdycham. Jest środek nocy, a przed świtem mam mnóstwo spraw do załatwienia. Jednak trudno mi odrzucić zaproszenie, które schlebia mojej próżności.

Zwłaszcza teraz, gdy słuchają nas nowi rekruci. Przyjęliśmy ich, bo po wymordowaniu królewskiej rodziny stracili zatrudnienie. Każde z książąt i księżniczek miało na swych usługach szpiegów, a teraz my przygarnęliśmy ich wszystkich. Spriggany są ostrożne jak koty, ale też równie wścibskie, więc bezbłędnie wyniuchują każdy skandal. Chłopiec ze skrzydełkami wróbla jest zielony, tak jak ja kiedyś. Chciałabym, by rozrastający się Dwór Cieni wiedział, że nie cofam się przed rzuconym mi wyzwaniem.

– Prawdziwy kłopot pojawi się, gdy ktoś zechce nauczyć naszego króla dobrodzieja, jak

posługiwać się mieczem – mówię, pamiętając daremne usiłowania Balekina w tym względzie i deklarację Cardana, że nie jest mordercą.

Nie mogłabym pochwalić się tym samym.

– Hę? – powiada Duch. – Może to ty powinnaś go nauczyć fechtunku.

– Chodź już – mówię i wstaję. – Zobaczymy, czy ciebie zdołam czegoś nauczyć.

Na coś takiego Duch po prostu śmieje się w głos. Madok uczył mnie władać mieczem, ale dopóki nie dołączyłam do Dworu Cieni, znałam tylko jeden styl. Duch uczył się o wiele dłużej i umie dużo więcej.

Idziemy razem do Mleczlasu, gdzie czarnocierne pszczoły pobrzękują w swoich barciach, wysoko na drzewach o białej korze. Drzewołaki śpią. Morskie fale chlupoczą o skalisty brzeg wyspy. Gdy stajemy naprzeciw siebie, świat jakby cichnie. Jestem wykończona, ale moje mięśnie pamiętają lepiej niż ja, co trzeba robić.

Dobytam Brzasku. Duch naciera szybko i mocno, mierzy sztychem wprost w moje serce. Zasłaniam się i teraz ja zadaję pchnięcie w jego bok.

– No, no. Nie straciłaś tak całkiem wprawy – chwali mnie, gdy wymieniamy ciosy, próbując się nawzajem wyczuć.

Nie mówiłam mu o tym, że w każdej wolnej chwili ćwiczę przed lustrem ani o innych staraniach, które podjęłam, by poprawić popełniane przez siebie błędy.

Jako seneszał Najwyższego Króla i właściwie władczyni tego kraju, muszę wiele się uczyć. Mam do czynienia ze sprawami wojskowymi, czytam listy od wasali oraz prośby nadchodzące ze wszystkich zakątków Elysium, a przecież wszystko to pisane jest w rozlicznych językach. Jeszcze kilka miesięcy temu uczęszczałam na lekcje i odrabiałam prace domowe. Myśl, że zdołam się w tym wszystkim połapać, wydaje się równie absurdalna, jak pomysł, by zmienić słomę w złoto. Ale każdej nocy ślęczę aż do chwili, gdy słońce znajduje się wysoko na niebie, i staram się dokonać właśnie tego.

Podstawowy problem marionetkowej władzy: samodzielnie nie może funkcjonować.

Istnieje też obawa, że euforia nie zastąpi doświadczenia.

Duch tymczasem zaprzestał rozpoznania i przechodzi do prawdziwej walki. Tańczy na trawie lekkimi stopami, prawie nie słychać, jak uderza nimi o ziemię. Atakuje bez wytchnienia, wciąż w ofensywie, w oszałamiającym tempie. Zasłaniam się desperacko, skupiam się wyłącznie na tym, na walce. Wszystkie troski znikają, uwaga się wyostrza. Nawet zmęczenie ulatnia się niczym puch z dmuchawca.

Jest cudownie.

Zadajemy ciosy i pchnięcia, cofamy się i robimy wypady, obejścia i wyprzedzenia, finty i zasłony.

– Tęsknisz za śmiertelnym światem? – pyta mnie Duch. Stwierdzam z pewną ulgą, że nie oddycha tak zupełnie swobodnie.

– Nie. Właściwie go nie pamiętam.

Znów naciera, jego miecz jest jak srebrna ryba w czarnym oceanie nocy.

Patrz na ostrze, nie na szermierza – Madok powtarzał mi to wiele razy. *Stal nigdy cię nie oszuka.*

Nasze ostrza ścierają się raz po raz, krążymy wokół siebie.

– Coś musisz pamiętać.

Przypomina mi się, jak zza krat Wieży usłyszałam wyszeptane imię mojej matki.

Duch wykonuje fintę w bok, orientuję się zbyt późno. Uderza płazem w moje ramię. Gdyby w ostatniej chwili nie odwrócił ostrza, rozciąłby mi skórę, a tak – będzie niezły siniak.

– Nic takiego – rzucam, starając się zignorować ból. Ja też potrafię zagadywać, żeby odwrócić uwagę. – Może ty masz lepszą pamięć. Co pamiętasz?

– No tak, też się tam urodziłem. – Zadaje pchnięcie, wykonuję prostą zasłonę. – Ale przypuszczam, że wiek temu tamten świat mógł wyglądać trochę inaczej.

Odskakuję do tyłu, unikając kolejnego pchnięcia.

– Miałeś szczęśliwe dzieciństwo?

– Jakżeby nie? Przecież byłem elfem.

– Elfem... – powtarzam i przekręcam ostrze, tak jak nauczył mnie tego Madok, wytrącając Duchowi broń z ręki.

Spogląda na mnie z niedowierzaniem. Orzechowe oczy. Usta otwarte ze zdziwienia. – Przecież...

– Przecież jednak się czegoś nauczyłam? To chciałeś powiedzieć? – podpowiadam. Jestem z siebie bardzo zadowolona i już nie przeszkadza mi ból w ramieniu. Prawie jakbym wygrała, chociaż gdybyśmy naprawdę walczyli, odniesiona poprzednio rana przypuszczalnie uniemożliwiłaby mi ten ostatni ruch. Mimo wszystko jego zdumienie przyprawia mnie o dreszcz radości prawie taki sam jak zwycięstwo. – Szczęście, że Dąb będzie miał inną młodość niż my – odzywam się po chwili. – Z dala od pałacowych intryg.

Kiedy ostatnio widziałam mojego braciszka, siedział przy stole w mieszkaniu Vivi i uczył się tabliczki mnożenia, jakby rozwiązywał łamigłówki. Zajadał się przy tym sznurkami serowymi i śmiał do rozpuku.

– *A kiedy wygnany król powróci na swój dwór* – mówi mi na to Duch, przywołując starą balladę – *pod stopy mu sypną płatki róż i właśnie ustaną już.* Tylko jak ten twój Dąb będzie rządził, jeżeli zapamięta z Elysium tak niewiele, jak my, ze śmiertelnego świata?

No tak. Już mnie tak nie cieszy wygrana. Duch na osłodę gorzkich słów uśmiecha się do mnie.

Idę do pobliskiego strumienia, zanurzam w nim ręce, rozkoszuję się zimną wodą. Nabieram jej w dłonie, piję łąpczywie. Woda smakuje igłami sosnowymi i szlamem.

Myślę o Dębie. Zupełnie normalny elfowy dzieciak, nieprzejawiający szczególnych skłonności do okrucieństwa ani też ich niepozbawiony. Przywykły do rozpieszczania, także

do tego, że Oriana zawsze chroni go przed okropnościami tego świata. Teraz jeszcze się przyzwyczai do słodzonych płatków śniadaniowych, filmów animowanych i życia bez zdrady. Rozmyślam nad moim chwilowym triumfem w starciu z Duchem; o euforii, którą daje mi poczucie, że jestem szarą eminencją królestwa i przygnębiającym w gruncie rzeczy uczuciu satysfakcji, które mi towarzyszyło, kiedy widziałam, że Vuliber się boi. Czy to lepiej, że Dąb wyrastać będzie bez tych bodźców, czy może istotnie nie będzie w stanie sprawować rządów, jeśli zostanie ich pozbawiony?

I czy teraz, skoro odkryłam w sobie rządę władzy, zdołam się jej wyrzec?

Przecieram mokrymi dłońmi twarz, odpycham na bok te myśli.

Jest tylko teraz. Tylko jutro, dziś wieczór i teraz oraz jeszcze wkrótce i nigdy.

Ruszamy w drogę powrotną, ramię w ramię, a tymczasem świt przyobleka niebo złotym blaskiem. W oddali słyszę beczenie jelenia i coś jakby odgłos bębnow.

Gdzieś w połowie drogi Duch skłania się lekko i mówi:

– Pokonałaś mnie dzisiaj. Nie pozwolę, by to się powtórzyło.

– Jak sobie życzysz – odpowiadam z uśmiechem.

Gdy dochodzimy do pałacu, słońce stoi już wysoko na niebie, a ja nie pragnę niczego oprócz snu. Jednak przed drzwiami moich apartamentów ktoś na mnie czeka.

Moja siostra bliźniaczka, Taryn.

– Masz coś na policzku – powiadamia mnie i to są pierwsze słowa, jakie od niej słyszę od pięciu miesięcy.

ROZDIAŁ

4

Taryn ma we włosach laurowy wieniec, a ubrana jest w suknię koloru brązowego, wyszywaną zielenią i złotem. Strój ten podkreśla krągłości jej bioder i biustu, rzadki widok w Krainie Elfów, których ciała są chude, jakby wymizerowane. Do twarzy jej w takim stroju, a poza tym coś się zmieniło w jej postawie – również na korzyść.

Jest zwierciadłem, w którym odbija się ktoś, kim mogłam się stać, ale kim nie jestem.

– Późno już – odzywam się, byle coś powiedzieć i otwieram drzwi do swoich pokojów. – Myślałam, że już wszyscy śpią.

Świt dawno minął. Wokół panują cisza i spokój, tak będzie przypuszczalnie aż do popołudnia, kiedy zaczną się uwijać służba, a kucharze rozpalą ogień na paleniskach. Dworzanie jednak wstaną znacznie później, dobrze po zmroku.

Strasznie za nią tęskniłam, ale teraz, kiedy stoi przede mną, denerwuję się. Z pewnością czegoś ode mnie chce, bo niby skąd nagle się tu wzięła?

– Byłam u ciebie już dwa razy – mówi, wchodząc za mną do środka. – Nie zastałam cię. Postanowiłam, że tym razem zaczekam, choćby nawet do wieczora.

Zapalam lampy; na zewnątrz jest dzień, ale znajdujemy się w samym sercu pałacu, nie ma tu więc okien.

– Ładnie wyglądasz.

Macha ręką na mój zdawkowy komplement.

– Czy wiesz, że będziemy się kłócić? Chcę, żebyś przywdziała na głowę kwietny wieniec i żebyś tańczyła na moim ślubie. Ze śmiertelnego świata przyjedzie Vivienne. Przywiezie ze sobą Dęba. Madok obiecuje, że nie będzie się z tobą spierał. Proszę, powiedz, że przyjdiesz.

A niech to. Jęczę w duchu na wieść, że Vivi przyjedzie z Dębem. Od razu też zastanawiam się, czy da się ją jeszcze jakoś od tego odwieść. Kłopot w tym, że jest moją starszą siostrą, i z trudem poważnie mnie traktuje.

Siadam ciężko na kanapie, Taryn obok mnie.

Rozważam kwestię jej zagadkowej wizyty. I zastanawiam się, czy powinnam się domagać przeprosin, czy pozwolić, żeby wszystko poszło w zapomnienie – tak jak ona najwyraźniej sobie tego życzy.

– No, dobra – mówię, co znaczy, że się poddam. Za bardzo mi jej brakowało, bym miała

ryzykować, że znowu ją utracę. Ze względu na to, że jesteśmy siostrami, postaram się zapomnieć, jak to było całować się z Lokim. Ze względu na siebie samą spróbuję nie pamiętać, że wiedziała, jak Loki ze mną igrał, chociaż jednocześnie zalecał się do niej.

Zatańczę na jej ślubie, chociaż boję się, że będzie to taniec jak na ostrzach noży.

Sięga do torby, którą postawiła u stóp. Wydobywa z niej mojego pluszowego kotka i węża.

– Masz – mówi. – Chyba zapomniałaś je ze sobą zabrać.

Relikty mojego zaprzesełnego śmiertelnego życia, talizmany. Biorę je i przyciskam do piersi, jakbym przytulała poduszkę. W tej chwili są przypomnieniem wszystkich moich słabości. Patrząc na nie, czuję się, jakbym była dzieckiem grającym w grę dla dorosłych.

Troszeczkę jej nienawidzę za to, że przyniosła te pluszaki.

Są pamiątką naszej wspólnej przeszłości – pamiątką rozmyślnie przywołaną przez Taryn. To sygnał, że nie powinnam zapomnieć, że mam pamiętać. Czuję się obnażona, i to akurat wtedy, kiedy tak bardzo staram się nie czuć niczego.

Ponieważ przez dłuższą chwilę milczę, moja siostra mówi dalej:

– Madok też za tobą tęskni. Zawsze byłaś jego ulubienicą.

– No co ty. Vivi jest jego spadkobierczynią. Jego pierworodną. To po nią przybył do śmiertelnego świata. I to ona jest jego ulubienicą. A na drugim miejscu ty, bo mieszkasz z nim i nie dopuściłaś się zdrady.

– Przecież nie twierdzą, że nadal jesteś jego ulubienicą – odpowiada Taryn ze śmiechem.

– Chociaż jest trochę dumny z tego, że go przechytryłaś i osadziłaś na tronie Cardana. Ale ja nie rozumiem, nie wiem po co. To jakaś głupota. Myślałam, że nie cierpisz Cardana. Że obie go nie cierpimy.

– No bo tak było – odpowiadam bez większego sensu. – Było i jest.

Taryn patrzy na mnie dziwnie.

– Myślałam, że raczej będziesz chciała ukarać Cardana za wszystko, co zrobił.

Pamiętam, jaką zgrozą przejmowało go własne pożądanie, kiedy mierząc ostrzem sztyletu w krtań, zbliżyłam usta do jego warg. Pamiętam wstydliwą, niszczącą rozkosz tamtego pocałunku. Wtedy czułam, że wymierzam mu karę – jemu i sobie zarazem.

Tak strasznie go nienawidziłam.

Taryn wyciąga ze mnie wszystkie uczucia, które chcę ignorować – udawać przed samą sobą, że ich nie ma.

– Zawarliśmy układ – objaśniam, w zasadzie zgodnie z prawdą. – Cardan pozwala mi pełnić funkcję doradczynie. Mam stanowisko i władzę, a Dębowi nic nie grozi.

Chciałabym jej powiedzieć prawdę, ale nigdy bym się na to nie odważyła. Mogłaby wygadać się przed Madokiem, a na pewno opowiedziałaby o tym Lokiemu. Nie mogę zdradzić jej swoich sekretów, nawet po to, żeby się przechwalać.

A muszę przyznać, że straszną miałabym na to ochotę.

– I w zamian za to dałaś mu koronę elfów...

Taryn przygląda mi się z niedowierzaniem. No pewnie, cóż za pycha! Kimże ja w końcu jestem, żeby decydować o tym, kto będzie zasiadał na tronie w Elfhame – zaledwie nędną śmiertelniczką!

Władzę zdobywamy w ten sposób, że ją sobie bierzemy.

Cóż ona może wiedzieć o mojej pysze? Mam jej znacznie więcej, niż Taryn może się wydawać. Chciałabym jej wyznać: to ja ukradłam koronę elfów. Nasz dawny wróg, Cardan, a teraz Najwyższy Król, musi słuchać moich rozkazów. Rzecz jasna tych słów nie wolno mi wypowiedzieć. Czasem zdaje mi się, że nawet myśleć tak jest niebezpiecznie. Odpowiadam więc:

– Coś w tym rodzaju.

– To musi być strasznie ciężka praca. – Taryn rozgląda się po pokoju, więc i ja muszę spojrzeć na swoją siedzibę jej oczami. W pałacu to co innego, trzeba dbać o pozory, ale tutaj nieczęsto wpuszczam służących. Filiżanki po herbacie zalegają półki, na podłodze leżą spodki i brudne talerze, skórki od owoców i okruchy chleba. Stroje leżą tam, gdzie je cisnęłam. Wszędzie pełno ksiąg i papierzysk. – Spalasz się jak lampka. A co będzie, gdy zabraknie oliwy?

– Doleję – odpowiadam.

– Pozwól, że ci pomogę – mówi rozpromieniona.

– Co, przyniesiesz mi oliwy?

Patrzy na mnie z wyrzutem i wzdycha ciężko.

– Przestań się wygłupiać. Mogę robić różne rzeczy, na które ty nie masz czasu. Przecież cię widuję w pałacu. Masz chyba ze dwa dobre kaftany i tyle. Mogłabym ci przynieść trochę twoich sukien i biżuterii, Madok nie zauważy, a nawet gdyby zauważył, to nie będzie miał nic przeciwko temu.

Tak tutaj wszystko się rozgrywa: obietnice i zobowiązania. Ja się tu wychowałam, więc doskonale rozumiem ofertę: zamiast przeprosin Taryn proponuje mi przysługę, podarunek.

– Mam trzy kaftany – wyjaśniam z godnością.

– Ach, w takim razie wszystko w porządku.

Nadal nie mogę przestać się zastanawiać, co naprawdę ją tutaj sprowadza. Akurat tuż po tym, jak Loki został mianowany mistrzem biesiadnym. Poza tym Taryn wciąż pozostaje pod opieką Madoka, więc siłą rzeczy pojawia się kwestia jej lojalności.

Wstydzę się tych myśli. To znaczy, nie chcę akurat o niej myśleć tak, jak muszę myśleć o wszystkich innych. Jest moją siostrą bliźniaczką, tęskniłam za nią, miałam nadzieję, że przyjdzie – no i przyszła.

– Może być – mówię. – Jak ci się chce, to fajnie, przynieś mi stare ciuchy. Świetny pomysł.

– Doskonale! – woła Taryn i wstaje. – A poza tym powinnaś docenić moje poświęcenie,

że cię wcale nie spytałam, gdzie się do tej pory włóczyłaś i co ci się stało w policzek.

Na to uśmiecham się już całkiem szczerze i spontanicznie. Taryn głaszczę palcem pluszowe futerko mojego węża.

– Wiesz, że cię kocham. I pan Syk tak samo. I żadne z nas nie chce, żebyś o nim zapomniała.

– Dobranoc – mówię. Całuję mnie w zraniony policzek, a ja ściskam ją krótko i mocno.

Kiedy znika, sadzam moje pluszaki obok siebie na dywanie. Kiedyś przypominały mi o czasach sprzed Krainy Elfów, gdy wszystko było zwyczajne. Kiedyś dodawały mi otuchy. Patrzę na nie jeszcze jeden ostatni raz, po czym wrzucam je do ognia.

Nie jestem już dzieckiem i nie trzeba mi pociechy.



Gdy już mam to z głowy, ustawiam przed sobą lśniące szklane fiołki.

To się nazywa mitrydatyzm i polega na zażywaniu małych dawek trucizny, aby uodpornić się na dozę śmiertelną. Zaczęłam rok temu. To kolejny sposób, by zrekompensować sobie własne słabości.

Nadal występują efekty uboczne. Niezdrowy błysk w oku. Półksiężyce na paznokciach są sine zamiast różowych, tak jakby mojej krwi brakowało tlenu. Mam dziwne, przerażająco realne sny.

Kropelka krwistego soku z grzyba rumianu wywołującego śmiertelny paraliż. Płatek z kwiatka śmierciosłodu, który może spowodować stuletni sen. Srebrzysty liść gniewgrona, od którego puls przyspiesza jak szalony i doprowadza do szaleństwa, potem zaś pęka serce. Do tego jeszcze nasionko prajabłka, elfowego owocu, od którego rozum mąci się w głowach śmiertelników.

Gdy w żyłach zaczyna krążyć trucizna, czuję mdłości i zawroty głowy, ale gdybym pominęła codzienną dawkę, byłoby jeszcze gorzej. Moje ciało przywykło i teraz pożąda tego, czego powinno się wystrzegać.

Nieźle porównanie, które dałoby się zastosować i w innych dziedzinach.

Wlokę się do kanapy, padam na nią. Pod czaszką huczy mi głos Balekina:

Słyszałem, że gdy śmiertelnicy się zakochują, przypomina to odczuwanie strachu. Wasze serca biją szybciej. Zmysły są wyostrzone. Doznajecie euforii, może nawet zawrotów głowy. Zgadza się? Jeśli można jedno z drugim pomylić, to by wiele wyjaśniało, jeśli chodzi o twój rodzaj.

Nie jestem pewna, czy śpię, ale na pewno śnię.

ROZDIAŁ

5

Gdy budzi mnie Duch, śpię słodko na dywanie przed kominkiem pośród zwiniętych koców, papierzyk i zwojów. Palce mam poplamione inkaustem i woskiem. Rozglądam się, nie pamiętam zupełnie, kiedy wstałam, co pisałam i do kogo.

Karakan stoi w otwartym włazie tajemnego przejścia wiodącego do moich komnat i przygląda mi się rozumnymi, nieludzkimi oczami.

Oblewa mnie zimny pot. Serce łomocze.

Na języku wciąż czuję smak trucizny, gorzki i obmierzły.

– On znowu zaczyna – mówi Duch.

Nie muszę pytać, kogo ma na myśli. Choć udało mi się podstępem włożyć Cardanowi koronę na głowę, to jeszcze nie znalazłam sposobu, by zmusić go do zachowania licującego z królewskim majestatem.

Kiedy ja zdobywałam informacje, on zabawiał się z Lokim. Wiedziałam, że będą z tego same kłopoty.

Przecieram twarz szorstkim wierzchem dłoni.

– Już wstaję – mówię.

We wczorajszym ubraniu idę do sypialni. Otrzepuję pył z kaftana, przyglądam włosy i związuję je rzemieniem, zakrywam głowę aksamitnym beretem.

Karakan krzywi się na mój widok.

– Masz na sobie wymięte ubranie. Jego Królewska Mość nie powinien pokazywać się w towarzystwie seneszała, który wygląda, jakby spał w tych ciuchach.

– Val Moren przez ostatnie dziesięć lat miał słomę we włosach – przypominam. Sięgam do szafki po liście mięty i żuję, by odświeżyć oddech. Seneszał poprzedniego Najwyższego Króla też był śmiertelnikiem, tak jak ja; głosił wątpliwe prorocтва i powszechnie uważano go za szaleńca. – Przypuszczalnie przez dziesięć lat tę samą słomę.

Karakan prychnął gniewnie:

– Val Moren to poeta. Poetów obowiązują inne zasady.

Nie zwracając uwagi na jego gderanie, idę za Duchem tajnym korytarzem, który prowadzi do samego serca pałacu. Po drodze upewniam się, że wszystkie moje noże ukryte są na swoim miejscu w fałdach stroju. Duch stąpa tak bezgłośnie, że gdy w korytarzu jest zbyt

ciemno dla ludzkich oczu, mogłabym ulec złudzeniu, iż jestem sama.

Karakan nie idzie z nami. Mruczy coś pod nosem i rusza w przeciwnym kierunku.

– Dokąd idziemy? – rzucam pytanie w mrok.

– Do jego apartamentów – odpowiada Duch. Wychodzimy na korytarz, z którego schody prowadzą do sypialni Cardana. – Coś tam się stało.

Trudno mi sobie wyobrazić, co może się przydarzyć Najwyższemu Królowi w jego własnych komnatach. Wkrótce jednak widzę to na własne oczy. Gdy wchodzimy, najpierw widzę Cardana leżącego pośród potrzaskanych mebli, potem zdarte z karniszy zasłony, połamane ramy i podziurawione płótna obrazów. W kącie tli się ogień, w komnacie cuchnie dymem i rozlanym winem.

Cardan nie jest sam. W pobliżu na sofie zalega Loki oraz dwoje przepięknych elfów. Chłopak ma baranie rogi, a dziewczyna długie uszy zakończone jak u sowy kępkami futra. Wszyscy roznegliżowani, w stanie głębokiego upojenia.

Służba ciśnie się w korytarzu: nie wiedzą, czy nie narażą się na gniew władcy, jeśli wtargną, by posprzątać. Nawet strażnicy są zdezorientowani. Stoją za drzwiami – jedno ich skrzydło ledwo wisi na zawiasie – gotowi chronić Najwyższego Króla przed wszystkim, co może mu zagrozić, jedynie oprócz niego samego.

– Card... – zaczynam, po czym się mityguję i składam dworski pokłon. – Wasza Infernalna Wysokość.

Odwraca się i przez chwilę spogląda bezmyślnie, jakbym była przezroczysta, jakby nie miał pojęcia, kim jestem. Wargi ma usmarowane złotem, źrenice rozszerzone. Potem jego usta wykrzywiają się w znajomym grymasie wzgardliwego uśmiechu.

– To ty.

– Tak – potwierdzam. – Ja.

Wyciąga bukłak z winem w moją stronę.

– No, napij się.

Jego koszula o długich rękawach jest rozchełstana, stopy bosc. Pewnie powinnam być zadowolona, że chociaż ma na sobie bieliznę.

– Trunek mi nie służy, Wasza Wysokość – odpowiadam jak najbardziej zgodnie z prawdą i mrużę ostrzegawczo powieki.

– Czyż nie jestem twym królem? – pyta. To jest wyzwanie, niechbym tylko ośmieliła się zaprzeczyć. Ponieważ wszyscy patrzą, biorę posłusznie bukłak i przykładam go do zaciśniętych ust, udając, że pociągam spory łyk. Cardan pewnie widzi, że oszukuję, ale więcej już nie nalega.

– Wszyscy inni mogą odejść. – Wskazuję palcem lokatorów sof, łącznie z Lokim. – No? Jazda, już.

Ci dwoje, których nie znam, spoglądają pytająco na Cardana, on jednak nie zwraca na nich uwagi, nie sprzeciwia się. Po dłuższej chwili dźwigają się więc niechętnie, następnie

znikają za wybitymi drzwiami.

Loki zwleka, marudzi jeszcze bardziej. Na pożegnanie obdarza mnie przymilnym uśmiechem. Nie wierzę, że kiedyś ten uśmiech wydawał mi się pełny uroku. Spogląda porozumiewawczo, jakbyśmy dzielili jakieś sekrety, chociaż nie mamy ze sobą nic wspólnego. Nic a nic.

Uświadamiam sobie, że gdy tu zabawa się rozpoczynała, Taryn czekała na mnie przy drzwiach moich komnat. Ciekawe, czy wiedziała, co się święci. I czy już się przyzwyczyła do takich zabaw z Lokim, i do patrzenia, jak pełzają płomienie.

Duch kręci głową, potrząsa włosami barwy piasku, jego oczy lśnią od rozbawienia. Ma na sobie pałacową liberię. Dla rycerzy pełniących straż w korytarzu i wszystkich innych gapiów jest po prostu jednym z osobistych gwardzistów Najwyższego Króla.

– Dopilnuję, żeby wszyscy znaleźli się tam, gdzie ich miejsce – oznajmia i wychodzi na korytarz, by wydać zbrojnym rozkazy.

– No i? – pytam, rozglądając się.

Cardan wzrusza ramionami, siada na dopiero co zwolnionej kanapie. Wyciąga sterczący przez przetarty materiał obicia długi koński włos. Porusza się ospale. Odnoszę wrażenie, że nie powinnam mu się zbyt długo przyglądać, bo ten stan chyba może być zaraźliwy.

– Byli jeszcze inni – mówi do mnie tonem wyjaśnienia, jakby z tego cokolwiek wynikało – ale sobie poszli.

– Ciekawe dlaczego – mówię tak oschle, jak tylko potrafię.

– Opowiedzieli mi bajkę – odpowiada Cardan. – Chcesz posłuchać? Była raz sobie dziewczynka z ludzkiego rodu, którą elfowie porwali do swojej krainy, a ona, by się zemścić, postanowiła ich zniszczyć.

– Niesamowite – mówię. – Czyli według nich jesteś tak dennym królem, że twoje rządy mogą doprowadzić do upadku tego królestwa.

Odgryzłam się, ale jego słowa działają mi na nerwy. Nie życzę sobie, żeby ktoś analizował powodujące mną motywy. Chodzi o to, żeby nikt nie myślał o mnie jako o osobie cieszącej się jakimikolwiek wpływami. Chodzi o to, żeby w ogóle nikt o mnie nie myślał.

Duch powraca, staje w drzwiach, starając się zasłonić postronnym obserwowanym widok wnętrza komnaty. Jego orzechowe oczy skryte są za zasłoną rzęs.

Odwracam się z powrotem do Cardana.

– Może to drobiazg, ale posłałeś po mnie. Co się stało?

– To – odpowiada. Chwiejnym krokiem idzie do komnaty, w której jest łożo. W kunsztownie rzeźbionym wezglowiu sterczą dwa czarne bełty z kuszy.

– Wściekasz się, bo ktoś strzelał do twojego łóżka? – pytam.

Śmieje się.

– To nie łóżko było celem – mówiąc to, rozchyła koszulę. Widzę teraz dziurę w tkaninie i czerwoną pręgę na jego boku.

Aż mnie zatkało.

– Kto to zrobił? – pyta Duch, a potem uważniej patrzy na Cardana. – I dlaczego strażnicy stali spokojnie, jakby nic się nie zdarzyło? Nie zachowali się tak jak powinni wobec próby królobójstwa.

Cardan wzrusza ramionami.

– Chyba myśleli, że to ja strzelam do swoich gości.

Podchodzę bliżej, żeby się przyjrzeć. Na rozrzuconych poduszkach dostrzegam kropelki krwi, widzę też kilka białych kwiatków, tak jakby wyrosły z tkaniny.

– Czy jeszcze ktoś oberwał?

Skinienie głową.

– Dostała w nogę i podniosła wrzask, zrobił się okropny harmider. To dlatego wszystkim mogło się wydawać, że to ja, bo nikogo innego nie było. A ten, kto rzeczywiście strzelił, schował się w ścianie. – Mruży powieki, spogląda na mnie i na Ducha, przechyla głowę. W jego głosie słychać pretensję. – Tam chyba jest jakieś tajne przejście.

Pałac Elfhame mieści się wewnątrz pagórka, a dawne apartamenty Najwyższego Króla Eldreda znajdują się w samym jego sercu, tam gdzie po ścianach wiją się korzenie i pnącza. Dworzanie spodziewali się, że Cardan je zajmie, tymczasem on wprowadził się jak najdalej od nich, do komnat na szczycie wzgórza, gdzie przez kryształowe tafle wpada światło jak przez okna wprawione w ziemię. Przed jego koronacją pokoje te zajmowali królewscy domownicy cieszący się najmniejszymi łaskami. Teraz mieszkańcy pałacu wyłażą ze skóry, by znaleźć się jak najbliżej nowego Najwyższego Króla. Komnaty Eldreda opustoszały, bo są zbyt przestronne, by mógł się o nie ubiegać ktokolwiek inny.

Do pokoju Cardana można dostać się tylko na dwa sposoby – przez pojedyncze okno zaklęte w ten sposób, że nigdy nie da się go wybić, oraz przez podwójne drzwi. Najwyraźniej jednak istnieje i trzeci sposób. Ukryte przejście...

– Nie ma go na naszych mapach sekretnych korytarzy – odpowiadam.

– Aha – mówi. Chyba mi nie wierzy.

– Widziałeś, kto do ciebie strzelał? I dlaczego nie powiedziałeś swoim gwardzistom, co się wydarzyło?

Patrzy na mnie jak na kompletnego debila.

– Mignęła mi jakaś czarna postać. A dlaczego nie zaalarmowałem straży? Żeby chronić ciebie i Dwór Cieni. Pomyślałem, że pewnie nie będziecie chcieli, żeby cała królewska gwardia wdarła się do waszych tajnych korytarzy!

Na to nie mam odpowiedzi. Kłopot z Cardanem polega na tym, że z niezwykłą biegłością potrafi zgrywać głupca i w ten sposób maskować wrodzony spryt.

Przy łóżku stoi wbudowana w ścianę ogromna szafa. Namalowano na niej tarczę zegara z konstelacjami zamiast godzin. Wskazówki wyznaczają konfigurację gwiazd prorokującą wielką miłość i jej spełnienie.

Wewnątrz najpierw widzę tylko stroje Cardana. Wyciągam je, rzucam na podłogę. Rośnie stos aksamitów, jedwabi i skór.

Ze swego łoża Cardan demonstracyjnie ciężko wzdycha, że niby robię taki rozgardiasz, co za niezdara ze mnie...

Przykładam ucho do pleców szafy, próbując usłyszeć, wyczuć przepływ powietrza. Po drugiej stronie Duch robi to samo. Jego palce odnajdują dźwignię, pchnięte sprężyną drzwiczki otwierają się na oścież.

Doskonale wiem, że wzgórze przecina mnóstwo ukrytych korytarzy, ale nigdy bym nie przypuszczała, że jeden z nich prowadzi aż do sypialni Cardana. Co prawda... powinnam była sprawdzić każdy cal wszystkich ścian, podłóg i sufitów. Nie zrobiłam tego, bo unikam przebywania z Cardanem sam na sam, ale przecież mogłam zlecić to komuś innemu.

– Ty zostań z królem – rzucam polecenie Duchowi, sama biorę świecę i pogrążam się w ciemnościach. Znów to samo: byle nie zostać z nim sam na sam.

W korytarzu jest ciemno, ale gdzieś złote dłonie kinkietów dzierżą pochodnie płonące bezdymnym zielonym płomieniem. Kamienna posadzka pokryta jest wydeptanym chodnikiem. Po co ktoś kiedyś zadbał, by udekorować tajne przejście?

Już po kilku krokach natrafiam na kuszę. Nie taką poręczną, przenośną maszynkę do zabijania, jakiej ja używam. To ciężki i toporny sprzęt sięgający mi powyżej pasa. Ktoś ją tu przywłókł po podłodze – widać fałdy na dywanie.

Tajemniczy strzelec strzelał chyba stąd, a czarny cień po prostu przywidział się Cardanowi.

Przeskakuję przez nią, idę dalej. Spodziewałabym się w takim korytarzu licznych rozwidleń, ale tutaj nie ma ani jednego. Prowadzi w dół, co jakiś czas opada o stopień. Skręca to w lewo, to w prawo, lecz wciąż prowadzi w tym samym kierunku. Przyspieszam kroku coraz bardziej, osłaniam dłońią płomień świecy, żeby nie zgasł.

Aż wreszcie natrafiam na ciężką drewnianą płytę ozdobioną królewskim herbem – takim samym, jaki Cardan ma na swoim sygnecie.

Pcham – przesuwa się, najwyraźniej jest na szynach. Po drugiej stronie jest regał z książkami.

Wiele razy słyszałam o wspaniałościach komnat Najwyższego Króla, apartamentów położonych w sercu rezydencji, przez których ściany przenikają potężne konary tronu, ale były to tylko legendy. I choć sama nigdy tu nie byłam, wnioskuję, że nie mogą to być żadne inne komnaty.

Idę więc przez te ogromne sale apartamentów Eldreda, ze świecą w jednej dłoni, nożem w drugiej.

Na łożu Najwyższego Króla siedzi Nicassia, łzy spływają po jej twarzy.

Córka Orlagh, księżniczka Toni, przyjęta na dwór Najwyższego Króla – było to jedno z ustaleń zawartego wiele lat temu traktatu pokojowego. Dawniej należała do czwórki

najbliższych i najwstrętniejszych przyjaciół Cardana. Kochał się w niej, dopóki nie zdradziła go dla Lokiego. Odkąd Cardan zasiadł na tronie, nie widywałam jej już tak często, ale muszę przyznać, że niezbyt za nią tęskniłam.

Czy o tym właśnie poszeptywał Balekin z Tonią? Czy w ten sposób chciał sprowadzić zgubę na Cardana?

– Ty?! – wrzeszczę. – Ty strzelałaś do Cardana?

– Nie mów mu! – Patrzy na mnie z wściekłością, ocierając oczy. – I schowaj ten nóż.

Nicassia ciasno owinęła się bogato wyszywaną w feniksy szatą przypominającą szlafrok. W każdym uchu ma po trzy kolczyki pnące się aż do spiczastego czubka. Odkąd ostatnio ją widziałam, włosy jej pociemniały. Zawsze miały jakąś morską barwę, ale teraz przybrały kolor sztormowego nieba – zielony odcień głębokiej czerni.

– Czyś ty oszalała? – wołam. – Próbowalaś uśmiercić Najwyższego Króla Elysium.

– Wcale nie – protestuje. – Przysięgam. Chciałam tylko zabić tę dziewczynę, z którą był.

Jej okrucieństwo i obojętność sprawiają, że na chwilę aż mnie zatyka.

Przyglądam się jej szlafrokowi, po czym już wiem, co się wydarzyło.

– Chciałaś mu zrobić niespodziankę, co?

– Tak.

– Ale okazało się, że nie jest sam... – podpowiadam w nadziei, że podejmie wątek.

– Kiedy zobaczyłam kuszę na ścianie, wydawało mi się, że łatwo będzie z niej wymierzyć – oznajmia, zapominając o tym, że nim oddała strzał, musiała ją przywlec korytarzem, co z pewnością było dla niej niemałym wysiłkiem, a potem jeszcze napiąć. Dopiero teraz do mnie dociera, jak zaślepiona była w swojej wściekłości. Zaślepiona i bezmyślna.

Chociaż, kto wie, może właśnie wszystko dokładnie przemyślała.

– To zbrodnia zdrady głównej, chyba wiesz? – mówię głośno. Zdaję sobie sprawę, że cała się trzęsę. To ustępuje napięcie, efekt szoku przeżytego po próbie zabójstwa Cardana i po tym, jak dotarło do mnie, że mógł zginąć. – Czeka cię egzekucja. Zatańczysz się na śmierć w żelaznych butach rozpalonych do czerwoności. Będiesz miała szczęście, jeżeli tylko wylądujesz w Wieży Zapomnienia.

– Jestem księżniczką morskiej Toni – oznajmia wyniośle, ale widać po jej twarzy, że moje słowa wywołały odpowiednie wrażenie. – Prawa lądu mnie nie dotyczą. A poza tym już ci mówiłam, że nie mierzyłam do niego.

Teraz rozumiem, dlaczego w szkole była taka wstrętna. Po prostu uważała, że nikt nie może jej ukarać.

– Strzelałaś już kiedyś z kuszy? Naraziłaś go na śmierć. Naprawdę mógł zginąć. Rozumiesz, idiotko?

– Już ci mówiłam... – zaczyna się powtarzać.

– Mówiłaś, mówiłaś. Pakt między ziemią i morzem – przerywam jej, wciąż mnie telepie z wściekłości. – Tylko tak się składa, że twoja matka zamierza właśnie ten traktat zerwać.

No wiesz, stwierdzi, że podpisany został przez królową Orlagh i Najwyższego Króla Eldreda, a nie przez królową Orlagh i Najwyższego Króla Cardana, więc już nie obowiązuje. Czyli ciebie też już nie chroni.

Nicassia gapi się na mnie i wreszcie zaczyna się bać.

– Skąd o tym wiesz?

Dotąd nie byłam pewna, ale teraz już jestem.

– Założmy, że wiem o wszystkim – odpowiadam. – Zawsze i o wszystkim. Mimo to gotowa jestem zawrzeć z tobą układ. Powiem Cardanowi i strażnikom, i całej reszcie, że zamachowiec uciekł, ale ty w zamian musisz coś dla mnie zrobić.

– Dobrze – odpowiada, nie czekając na to, czego żądam, co dowodzi, jak jest zdesperowana. Przez chwilę narasta we mnie żądza zemsty. Kiedyś śmiała się ze mnie i z moich upokorzeń. Teraz mogłabym się odegrać.

To jest właśnie upojne poczucie władzy. Czystej, niczym niepokromionej władzy. Cudowne uczucie.

– Powiedz mi, co planuje Orlagh – żądam, odpychając te myśli.

– Myślałam, że wszystko wiesz – odparowuje; przenosi ciężar ciała tak, by móc wstać z łóżka, wciąż jednak dłonią przytrzymuje poły szlafroka. Domyślam się, że pod nim ma bardzo mało, najprawdopodobniej nic.

Nagle chciałabym jej powiedzieć: trzeba było po prostu wejść. Mogłabyś poprosić, żeby odprawił tamtą dziewczynę. Pewnie by to zrobił.

– Chcesz, żebyśmy milczała, czy nie chcesz? – pytam, siadając na skraju łoża. – Mamy niewiele czasu, zaraz ktoś tu za mną przyjdzie. I jeżeli cię zobaczy, będzie za późno na wykręty.

Nicassia wzdycha ciężko.

– Moja matka mówi, że on jest królem młodym i słabym, że zanadto pozwala innym na siebie wpływać. – Spogląda przy tym na mnie surowo. – Ona spodziewa się, że Cardan ustąpi wobec jej żądań. Jeśli tak, nic się nie zmieni.

– A jeśli nie ustąpi...?

Nicassia unosi dumnie głowę.

– Wówczas nastąpi kres rozejmu między ziemią a morzem i to ziemia na tym ucierpi. Wyspy Elysium znikną pod falami.

– No i co wtedy? – pytam. – Myślisz, że Cardan będzie chciał się z tobą miziać, kiedy twoja mama zaleje mu królestwo?

– Nic nie rozumiesz. Ona chce, żebyśmy wzięli ślub. Żebym została królową.

Znowu mnie zaskoczyła. Przez chwilę gapię się na nią, powstrzymując atak histerycznego śmiechu.

W spojrzeniu, które mi rzuca, dostrzegam coś gorszego niż nienawiść.

– A co, przecież ty zamordowałaś Valeriana. Czyż nie? Widziałam go, zanim zniknął.

Mówił tylko o tobie i że ci się odplaci za to, że go dźgnęłaś. Mówią, że zginął podczas koronacji, ale bardzo w to wątpię.

Ścierwo Valeriana zagrzebałam za stajniami Madoka i gdyby ktoś je odkopał, coś bym o tym wiedziała. Czyli Nicassia blefuje.

A nawet gdyby mogła to udowodnić, co z tego? Jestem prawą ręką Najwyższego Króla elfów, który może mi wybaczyć każdą zbrodnię.

Powraca jednak wspomnienie chwili, w której musiałam walczyć o życie. I pojawia się świadomość, jak zachwyciłaby ją moja śmierć, bo rozkoszowała się wszystkim, co Valerian mi robił albo próbował robić. Tak samo jak zachwyciłaby się nienawiścią Cardana.

– Wiesz co? Jak przyłapiesz mnie kiedyś na zdradzie stanu, to wtedy będziesz mnie wypytywać o moje sekrety – mówię. – Teraz jednak wołałabym usłyszeć, jakie twoja matka ma plany wobec Balekina.

– Żadnych – odpowiada Nicassia.

– Zaraz, słyszałam, że elfowie nie mogą kłamać – dziwię się.

Nicassia wstaje, przechadza się tam i z powrotem. Na stopach ma pantofle o czubkach zakręconych jak młode pędy paproci.

– Wcale nie kłamię! Moja matka jest przekonana, że Cardan zgodzi się na jej warunki. Balekinowi tylko schlebia. Pozwala mu się łudzić, że coś znaczy, ale nie będzie się liczył. Nic z tego.

Próbuję zrozumieć, na czym więc polega intryga.

– Jasne, chce go mieć w zanadru, jeżeli Cardan nie będzie się chciał z tobą ożenić.

Przede wszystkim mam pewność, że w żadnym razie nie mogę pozwolić Cardanowi na małżeństwo z Nicassią. Gdyby pojął ją za żonę, nigdy bym nie zdołała uporać się z obojgiem i Dąb nigdy nie zasiadłby na tronie.

Przegrałabym wtedy na całej linii.

Spogląda na mnie spod przymrużonych powiek.

– Dość już ci powiedziałam.

– Tobie nadal się wydaje, że to wszystko jest tylko jakąś grą – mówię.

– Bo wszystko jest grą, Jude, i ty o tym wiesz. W dodatku teraz twój ruch. – Idzie w stronę wielkich drzwi, otwiera jedno ich skrzydło. – A teraz możesz im to wszystko wygadać. Ale o jednym powinnaś wiedzieć: ktoś, komu ufasz, już cię zdradził.

Słyszę jej oddalające się kroki, a potem łoskot drewnianych wrót.

W myślach mam straszny mętlik. Wracam tym samym korytarzem. Cardan czeka na mnie w głównej komnacie swojego apartamentu, rozparty na kanapie, z przebiegłym wyrazem twarzy. Koszulę ma wciąż rozchełstaną, ale ranę zakrywa świeży bandaż. Pomiędzy jego palcami obraca się moneta – rozpoznaję jeden z trików Karakana.

Ktoś, komu ufasz, już cię zdradził.

Duch stoi przy szczątkach rozbitych drzwi, spogląda do środka, obok niego kilku

osobistych gwardzistów Najwyższego Króla. Porozumiewamy się spojrzeniem.

– I cóż? – pyta Cardan. – Czy odkryłaś tożsamość mojego niedoszłego mordercy?

Potrząsam głową, nie jestem pewna, czy głos mi nie zadrży, jeśli skłamię. Rozglądam się po zdemolowanych wnętrzach. Nie ma sposobu, żeby je zabezpieczyć, poza tym cuchnie tu spalenizną.

– Chodź – mówię, ciągnąc Cardana za rękę. Staje cokolwiek chwiejnie. – Nie możesz tutaj spać.

– Co ci się stało w policzek? – pyta, z trudem próbując skupić mętny wzrok. Jest na tyle blisko, że dostrzegam jego długie rzęsy i złoty pierścień wokół źrenicy.

– Nic – odpowiadam.

Pozwala się wyprowadzić na korytarz. Na jego widok Duch i pozostali strażnicy natychmiast stają na baczność.

– Spocznij – nakazuje Cardan, machając ręką. – Mój seneszał dokądś mnie zabiera. Więc wyzbądźcie się lęku. Na pewno coś mądrego wymyśliła.

Strażnicy formują za nami szyk. Niektórzy marszczą nieznacznie brwi, gdy się orientują, że na poły go prowadzę, a na poły niosę do swoich komnat. Wcale mi to nie odpowiada, ale nie mogę mu zagwarantować bezpieczeństwa w żadnym innym miejscu.

Rozgląda się zdumiony na widok panującego u mnie bałaganu.

– Gdzie... Ty naprawdę tu śpisz? Może też powinnaś podpalić swoje komnaty.

– Może i tak – odpowiadam i podprowadzam go do swojego łóżka. Dziwnie się czuję, dotykając dłonią jego pleców. Przez cienki len koszuli czuję ciepło skóry i sprężystość mięśni.

Wydaje mi się to niestosowne, że go dotykam, jakby był zwykłą osobą, jakby nie był Najwyższym Królem i moim największym wrogiem.

Nie muszę go specjalnie zapraszać, żeby wyciągnął się na moim materacu, ułożył głowę na mojej poduszce. Jego czarne włosy rozsypują się na niej niczym krucze pióra.

Spogląda na mnie oczami barwy nocy, przepięknymi i przestraszonymi zarazem.

– Przez chwilę myślałem, że to ty do mnie strzelasz.

Krzywię się.

– A dlaczego uznałeś, że to jednak nie ja?

Uśmiecha się błogo.

– Bo ten ktoś chybił.

Mówiłam już, że Cardan posiada wyjątkową zdolność prawienia komplementów w taki sposób, że bolą. Potrafi jednak też powiedzieć coś na pozór obraźliwego, co naprawdę schlebia.

Nasze spojrzenia się spotykają, coś niebezpiecznie między nami iskrzy.

On cię nienawidzi – napominam samą siebie.

– Pocałuj mnie znów – mówi, pijany, beztroski. – Całuj, aż mnie od tego zemdli.

Czuję się, jakby mnie kopnął w brzuch. On, na widok wyrazu mojej twarzy, śmieje się, śmiechem wręcz ociekającym od drwiny. Już nie wiem, czy kpi ze mnie, czy z siebie samego.

On ciebie nienawidzi. Pożąda cię, ale też cię nienawidzi.

I przez to, że cię pożąda, tym bardziej cię nienawidzi.

Po chwili powieki mu opadają, a głos cichnie do szeptu, jakby mówił już tylko do siebie:

– Jeżeli tyś chorobą, pewnie i lekiem możesz być na nią.

Odpływa w sen, ale ja nie mogę zmrużyć oka.

ROZDIAŁ

6

Przez cały ranek siedzę na krześle pod ścianą w sypialni. Na kolanach trzymam miecz mojego ojca. Nie przestaję roztrząsać słów Nicassii.

Nie rozumiesz. Ona chce, żebyśmy się pobrali. Chce, żebym została królową. Czy jakoś tak.

Moje spojrzenie co chwilę wędruje w stronę łoża i śpiącego na nim chłopaka, od którego dzieli mnie zaledwie kawałek posadzki.

Oczy zamknięte, czarne włosy na poduszce. Początkowo wiercił się i kręcił, jednak z czasem oddech mu się wyrównał, przestał się poruszać. Jest tak niewiarygodnie piękny jak zawsze. Te miękkie usta o lekko rozchylonych wargach i długie rzęsy; kiedy ma opuszczone powieki, rzęsy spoczywają na jego policzkach.

Przywykłam do urody Cardana, lecz nie do jego bezbronności. Czuję się niezręcznie, widząc go bez wytwornego stroju, nie mierzona złośliwymi spojrzeniami, nie kāsana jadowitymi słowami.

Przez te z górą pięć miesięcy naszego układu starałam się zapobiec najgorszemu. Wydałam rozkazy, które mają mu uniemożliwić unikanie mnie, ignorowanie czy wygnanie. Wymyśliłam edykty, na mocy których nie można już wabić i mieć śmiertelników, by potem podstępem zmusić ich do niewolniczej pracy, czasem przez długie lata – i kazałam mu je ogłosić.

Wszystko jednak to za mało.

Pamiętam, jak o zmierzchu szłam z nim przez pałacowe ogrody. Cardan z rękami założonymi za plecami pochylił się, by powąchać wielką kulę różanego kwiatu, nim ten się otworzył. Uśmiechnął się do mnie, lecz ja zbyt byłam spięta, by ten uśmiech odwzajemnić.

Za nim, w dyskretnej odległości pełniło straż kilku rycerzy jego osobistej gwardii, do której został już wcielony Duch.

Choć powtarzałam sobie po wielokroć, co mam mu powiedzieć, wciąż czułam się jak głupiec, który sądzi, że uda mu się zmieścić tuzin życzeń w jednym, o ile tylko dobrze je sformułuje.

– Teraz wydam ci rozkazy.

– Och, doprawdy? – odpowiedział. Złota korona Elfhame na jego czole lśniła w świetle

zachodzącego słońca.

Zaczerpnęłam tchu.

– Nigdy nie odmówisz mi posłuchania i nie każesz mnie od siebie oddalić.

– A czemuż to miałbym wyrzec się twojego towarzystwa? – spytał oschle.

– Nigdy nie każesz mnie aresztować, uwięzić ani zabić – mówiłam dalej, nie zwracając uwagi na jego komentarze. – Ani zranić. Ani nawet zatrzymać.

– A czy wolno mi będzie poprosić służącą, żeby wsadziła ci kamyczek do buta? – spytał z nieznośnie poważnym wyrazem twarzy.

Spiorunowałam go wzrokiem, tak to przynajmniej miało wyglądać.

– Ani sam nie podniesiesz na mnie ręki.

Wykonał taki gest, jakbym klepała jakieś śmiesznie oczywiste banały, jakby wydawanie mu na głos tych wszystkich poleceń stanowiło przejaw złej wiary z mojej strony.

Nie zamierzałam jednak odpuścić.

– Co wieczór przed kolacją będziesz mi udzielał posłuchania w swoich komnatach, abyśmy mogli omówić sprawy bieżące związane ze sprawowaniem władzy. Jeśli dowiesz się, że ktoś chce podjąć działanie przeciwko mnie, musisz mnie ostrzec. Musisz robić wszystko, żeby nikt się nie dowiedział, że mam nad tobą władzę. I choćbyś nie wiem jak nie znosił tego, że jesteś Najwyższym Królem, musisz udawać, że jest wręcz przeciwnie.

– Niczego nie musisz udawać – oznajmił, patrząc w niebo.

Spojrzałam na niego zdumiona.

– Co masz na myśli?

– Nie mogę powiedzieć, żeby nie podobało mi się królowanie. Sądziłem, że będzie inaczej, ale nie jest. Zrozum to sobie, jak chcesz.

Jego słowa zaniepokoiły mnie, bo czułam się swobodniej, myśląc, że nie tylko się nie nadaje na króla, ale też nie chce nim być. A teraz, ilekroć widziałam Koronę Krwi na jego głowie, myślałam o tym, że nadejdzie dzień, w którym jakoś trzeba będzie go jej pozbawić.

Na dodatek bardzo prędko przekonał do siebie szlachetnie urodzonych. Reputacja okrutnika sprawiła, że nikt nie śmiał mu wchodzić w drogę, a skłonność do rozpusty wpoila przekonanie, że pod jego rządami zabawom nie będzie końca.

– Cha – powiedziałam. – A więc podoba ci się, że grasz rolę mojego pionka?

Uśmiechnął się leniwie, jakby nie gniewał się, że mu dokuczam.

– Na razie tak.

Zacisnęłam zęby.

– Na dużo dłużej niż na razie.

– Na rok i dzień, nie więcej – odpowiedział. – A przez rok i dzień zdarzyć się może niejedno. Wydawaj tyle rozkazów, ile sobie zamarysz, a i tak wszystkiego przewidzieć nie zdołasz.

Dawniej to ja wytrącałam go z równowagi i doprowadzałam do wściekłości, aż tracił

panowanie nad sobą, aż nagle jakimś zrzędzeniem losu role się odwróciły. Odtąd każdego dnia czułam, że sytuacja wymyka mi się spod kontroli.

A gdy teraz na niego patrzę, wyciągniętego na moim łóżku, czuję się jeszcze bardziej wytrącona z równowagi.



Późnym popołudniem pojawia się Karakan. Na jego ramieniu siedzi chochlik o sowej postaci, ongiś posłaniec Daina, dzisiaj na usługach Dworu Cieni. Na imię ma Smok, chociaż nie wiem, może to tylko kryptonim albo przezwisko.

– Wieczna Rada chce cię widzieć – oznajmia Karakan.

Smok mruga sennymi, czarnymi ślepiami.

Stękam głucho.

– Tak naprawdę – dodaje Karakan, wskazując łożę ruchem głowy – to jego by chcieli zobaczyć, ale tylko ciebie mogą wezwać.

Wstaję, przeciągam się. Zaciskam pas z mieczem i przechodzę do salonu, żeby nie obudzić Cardana.

– A jak tam Duch?

– Odpoczywa – brzmi odpowiedź Karakana. – Po zeszłej nocy pałac aż huczy od plotek, nawet strażnicy opowiadają niestworzone historie. Plecie się sieć pogłosek.

Wchodzę do pokoju łaźniebnego, żeby się odświeżyć. Przepłukuję gardło osoloną wodą, przecieram twarz i pachy szmatką zamoczoną w cytrynowo-werbenowym mydle, przyglądam włosy. Jestem tak wykończona, że na więcej mnie nie stać.

– Domyślam się, że już sprawdziłeś tamto przejście – wołam do czekającego na zewnątrz Karakana.

– Pewnie. Już wiem, dlaczego nie było go na żadnej mapie. To dlatego, że nie łączy się z innymi korytarzami, w żadnym miejscu. Wcale nie jestem pewien, czy powstało w tym samym czasie co tamte.

Przypomina mi się namalowany zegar z konstelacjami i gwiazdy zwiastujące szczęście w miłości oraz namiętnego kochanka.

– Kto tam sypiał przed Cardanem?

– Różni. – Karakan wzrusza ramionami. – Elfowie, ale nikt szczególny. Goście króla.

– Kochankowie – poprawiam go. Wreszcie wszystko rozumiem. – Kochanki i kochankowie Najwyższego Króla niemający oficjalnego statusu małżonk.

– Hm. – Karakan kieruje spiczastą brodę w stronę mojej sypialni, gdzie wciąż smacznie śpi Cardan. – I te właśnie komnaty wybrał dla siebie nasz Najwyższy Król? – Stwierdzeniu

temu towarzyszy znaczące spojrzenie, tak jakbym ja miała znać rozwiązanie tej zagadki. A przecież dotąd nawet nie wiedziałam, że w ogóle jest jakaś zagadka.

– Czy ja wiem? – odpowiadam.

Kręci głową.

– Idź już lepiej na to spotkanie Rady.

Przyznaję, że z ulgą wychodzę, bo kiedy Cardan się obudzi, mnie już nie będzie.

ROZDIAŁ

7

Wieczna Rada powstała za rządów Eldreda, by dopomagać Najwyższemu Królowi w podejmowaniu decyzji, wkrótce zaś stała się prawdziwą kulą u nogi, zyskując tak wielką władzę, że trudno jej było się sprzeciwić. Rzecz nie w tym, że poszczególni radcy mieli wielkie możliwości, choć niektórzy z nich budzili grozę i respekt, a w tym, że wszyscy razem stanowili ciało, z którym należało się liczyć. Dysponowali bowiem prerogatywami pozwalającymi im decydować w sprawach z pozoru drobnych, dotyczących sprawowania rządów na co dzień, lecz w sumie ograniczającymi nawet samego Najwyższego Króla.

Po masakrze podczas koronacji, po wymordowaniu królewskiej rodziny oraz wobec niesłychanego sposobu objęcia tronu przez Cardana, Rada odnosi się do niego z niechęcią, nader nieufnie spogląda też na mnie, nie rozumiejąc, co sprawiło, że zyskałam takie wpływy.

Na posiedzenie Rady prowadzi mnie Smok. Odbywa się ono pod kopułą ze splecionych wierzbowych gałęzi, przy stole ze skamieniałego drewna. Radcy spoglądają, jak idę ku nim po zielonej trawie, ja patrzę na nich. Radca z ramienia niecnych dworów to wielki troll o kudłatym łbie – we włosy ma wplecione kawałki metalu. Cne dwory reprezentuje zielona elfka o wyglądzie modliszki. W Radzie zasiadają też: głównodowodzący, czyli Madok; królewski astrolog – bardzo wysoki, ciemnoskóry elf o wypielęgnowanej brodzie, z astronomicznymi ozdobami w granatowych włosach; minister kluczy, pomarszczony stary goblin o baranich rogach i kozich oczach oraz wielki błazen, który na głowie nosi wieniec z bladolawendowych róż współgrających z jego pstrokatą szatą w odcieniach fioleto.

Stół zastawiony jest karafkami pełnymi wody i wina, paterami suszonych owoców.

Półgłosem proszę jednego ze służących o filiżankę najmocniejszej herbaty, jaką mają. Przyda mi się.

Randalin, minister kluczy, siedzi w fotelu Najwyższego Króla; na drewnianym oparciu przypominającego tron siedziska wypalono królewski herb. Odnotowuję ten fakt i wynikające z niego sugestie. Przez pięć miesięcy, odkąd Cardan objął urząd Najwyższego Króla, nie pojawił się na ani jednym posiedzeniu Rady. Tylko jedno miejsce jest wolne, między Madokiem a Falą, wielkim błaznem. Nie zamierzam go zajmować, stoję.

– Jude Duarte – odzywa się Randalin, wlepiając we mnie koźle oczy. – Gdzie jest Najwyższy Król?

Stoję przed nimi, jakbym była przesłuchiwana, do tego obecność Madoka nie ułatwia sprawy. Przez niego czuję się jak dzieciak, który wyłazi ze skóry, żeby popisać się czymś mądrym. I przez moment kusi mnie, by im udowodnić, że jestem czymś więcej, niż przypuszczają – nie tylko słabą, głupiutką pomocnicą słabego i nieudolnego króla.

Chciałabym im udowodnić, że oprócz zdolności do kłamstwa istnieją inne przyczyny, dla których Cardan wybrał sobie seneszala ze świata śmiertelników.

– Jestem tutaj w jego zastępstwie – odpowiadam. – Aby przemawiać w jego imieniu.

Randalin usiłuje przewiercić mnie wzrokiem na wylot.

– Krąży pogłoska, że zeszłej nocy postrzelił jedną ze swoich kochanek. Czy to prawda?

Sługa stawia na stole obok mnie filiżankę herbaty. Napar dobrze mi robi – nieco się pokrępię, a przy tym zyskuję odrobinę na czasie, mogę bezkarnie odwlec odpowiedź.

– Dziś dworacy mnie powiadomili, że na przeprosiny dziewczynie posłano bransoletę z rubinami i że miała ją dzisiaj na kostce nogi, lecz nie była w stanie samodzielnie stać – dodaje Nihuar, przedstawicielka cnych dworów. Mówiąc, sznuruje zielone usteczka. – Moim zdaniem – dodaje – wszystko to w bardzo złym guście.

Błazen Fala śmieje się, najwyraźniej jemu akurat taki wyczyn się podoba.

– Rubiny za przelanie jej rubinowej krwi.

To nie może być prawda. Cardan musiałby o to zadbać w tym krótkim czasie, który poświęciłam na przebycie dystansu dzielącego mnie od moich komnat do miejsca posiedzeń Rady. Nie znaczy to jednak, że nie zajął się tym w jego imieniu ktoś inny. Któż by nie pragnął przysłużyć się królowi?

– A byłoby lepiej, gdyby ją zabił na miejscu? – pytam. Moje zdolności dyplomatyczne nie dorównują mojej umiejętności drażnienia rozmówcy. A poza tym, cóż, jestem zmęczona.

– Nic by się nie stało – wtrąca przedstawiciel niecnych dworów, Mikkel. Chichocze. – Zdaje mi się, że nasz nowy Najwyższy Król jest do cna niecny. I sądzę, że będziemy się cieszyć jego względami. Możemy mu zapewnić rozpustne uciechy w lepszym gatunku niż ten jego mistrz biesiad, który tylko umie się przechwalać. Skoro już wiemy, co lubi...

– Słyszałem też inne opowieści – podejmuje Randalin. – Powiadają, że któryś ze strażników postrzelił Najwyższego Króla Cardana, by ocalić życie tej dwórki. I że nosi ona w swoim łonie królewskiego potomka. Zechciej przekazać Najwyższemu Królowi, że jego Rada uważa za niewskazane, by jego panowanie odbywało się pod znakiem takich pogłosek.

– Nie omieszkać – mówię.

Królewski astrolog, Bafen, przygląda mi się uważnie, jakby chciał się upewnić, że trafnie odczytał moje intencje – czyli że wcale nie zamierzam o tym wszystkim rozmawiać z Cardanem.

– Najwyższego Króla łączy więź z jego ziemią i poddanymi. Król jest żywym symbolem, bijącym sercem. Jest gwiazdą, na której zapisana jest przyszłość Elfhome i Elysium. – Astrolog mówi cicho, lecz jakimś sposobem jego słowa słychać bardzo wyraźnie. –

Z pewnością spostrzeżliście, że odkąd zaczęło się to panowanie, wyspy zmieniły swoje oblicze. Prędzej nadciągają burze. Kolory są żywsze, zapachy ostrzejsze. W lasach zaś pojawiły się stwory. Pradawne stwory, o których sądzono, że dawno już znikły, a oto przybywają, aby mu się dziwować.

Kiedy się upija, jego poddanym bez widocznej przyczyny też szumi w głowach. Gdy przelewa krew, wszystko rośnie. Nic dziwnego, wszak Najwyższa Królowa Mab przywołała Insmire, Insmoor i Insweal z morskiej toni. Wszystkie wyspy Elysium wyłoniły się w jedną godzinę.

Gdy słucham Bafena, serce bije mi szybciej. Płuca domagają się więcej powietrza. Przecież to wszystko nie może dotyczyć Cardana. Nie mógłby mieć tak głębokiej więzi z ziemią, nie może być do tego wszystkiego zdolny, a zarazem pozostawać pod moją władzą.

Przypomina mi się krew na jego pościeli i obok białe kwiaty.

Gdy przelewa krew, wszystko rośnie.

– Jak z tego jasno wynika – mówi Randalin, nieświadom, że nagle ogarnia mnie panika – każda decyzja Najwyższego Króla odmienia Elysium i bezpośrednio wywiera wpływ na jego mieszkańców. Za czasów króla Eldreda, gdy na świat przychodziły dzieci, rodzice mieli obowiązek przynieść je przed jego oblicze, aby zaprzysiąc ich wierność Koronie. Jednakże dzieci rodzące się w niektórych niższych dworach chowały się w świecie śmiertelnym, pozostając poza zasięgiem władzy Eldreda. Te dzieci, zwane podmieńcami, powracały potem do naszej krainy, by już w wieku dojrzałym samodzielnie dopełnić owego obowiązku, składając nakazane ślubowanie. Przynajmniej na jednym z dworów kobieta-podmieniec stała się królową. Kto wie, jak wielu dzikich elfów zdołało wyłgać się od wiernopoddańczej przysięgi. Wszystko wskazuje na to, że generał z zębatego dworu, Grima Mog, opuściła swoje stanowisko. Nikt nie wie, jakie są jej zamiary. Nie możemy sobie pozwolić na beztroskę ze strony Najwyższego Króla.

Słyszałam o tej Grimie Mog. Jest straszna, ale nie tak straszna jak Orlagh.

– Musimy też mieć wgląd na królową Toni – dopowiadam. – Planuje przedsięwzięcie kroków skierowanych przeciwko nam.

– Co to za historia? – odzywa się Madok, po raz pierwszy wyraźnie zainteresowany przebiegiem rozmowy.

– Wykluczone – zaprzecza Randalin. – Skąd niby miałabyś mieć taką wiadomość?

– Balekin odbywa spotkania z jej wysłańcami – odpowiadam.

Randalin parska wzgardliwie.

– Ach, tak? Zapewne zaczerpnęłaś tę wiedzę z ust samego księcia pana?

Jeżeli zacisnę zęby jeszcze mocniej, to je sobie połamię.

– Zaczerpnęłam ją z różnych źródeł. Rozejm został zawarty z Eldredem i w jej mniemaniu już nie obowiązuje.

– Mieszkańcy Toni mają zimne serca – stwierdza Mikkel, ale nie po to, żeby mi przyznać rację, tylko z wyraźnym uznaniem w głosie.

– No, dobrze, dobrze. Niechże Bafen zerknie w gwiazdy – mówi ugodowym tonem Randalin. – Jeśli znajdzie tam zapowiedź zagrożenia, wrócimy do tematu.

Jakbym waliła grochem o ścianę.

– Ależ mówię przecież... – Próbuję dalej ich przekonywać, lecz w tejże chwili Fala wskakuje na stół i zaczyna taniec, przedziwne wygibasy. Madok śmieje się pod nosem. Na ramieniu Nihuar ląduje ptak, zaczyna z nią rozmowę, słyszę ciche szepty i ćwierkanie.

Najwyraźniej żadne z nich nie chce mnie słuchać ani tym bardziej uwierzyć. No bo skądże znowu, jakże miałabym wiedzieć o czymś, o czym oni nie wiedzą? Jestem za młoda, za mało doświadczona, za bardzo śmiertelna.

– Nicassia... – zaczynam znowu.

Madok uśmiecha się.

– Twoja przyjaciółeczka ze szkoły.

Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego Madokowi, ale nadal zasiada w tej Radzie wyłącznie dzięki mnie. Choć własnoręcznie pozbawił życia księcia Daina, wciąż pozostaje głównodowodzącym naszej armii. Mogłabym udawać, że chcę w ten sposób zapewnić mu zajęcie, że jest bronią, którą lepiej mieć u swego boku niż przeciwko sobie, że łatwiej moim szpiegom jest go obserwować, kiedy wiadomo, gdzie się znajduje – ale w gruncie rzeczy zdaję sobie sprawę, że nie potrafiłabym go pozbawić tych godności, bo przecież to jakby mój ojciec.

– Jest jeszcze kwestia Grimsena. – Ponieważ przestałam się odzywać, Mikkel przechodzi do następnego tematu. – Najwyższy Król przyjął na swój dwór mistrza kowalskiego króla Olszyn, tego samego, który wykuł Koronę Krwi. Teraz przebywa wśród nas, ale jeszcze dla nas nie pracuje.

– Musimy sprawić, by poczuł się tu mile widziany – stwierdza Nihuar, zgadzając się, co zdarza się rzadko, z przedstawicielem niecných dworów. – Mistrz biesiad planuje obchody Łowieckiego Księżyca. Może mógłby przewidzieć jakieś rozrywki z myślą o Grimsenie.

– To zależy od upodobań Grimsena – mówię, byle coś powiedzieć. Już nie próbuję ich przekonać, że czeka nas rozgrywka z Orlagh.

– Zapewne lubi grzebać w ziemi – stwierdza Fala – Szukać trefli.

– Trufli – poprawia go machinalnie Randalin.

– O nie, fuj – protestuje Fala, marszczy nos. – Co to, to nie.

– Wezmę to na siebie i dowiem się, jakie są ulubione rozrywki mistrza – stwierdza Randalin i notuje coś na kartce. – Powiedziano mi też, że podczas uczty z okazji Łowieckiego Miesiąca obecny będzie przedstawiciel Dworu Termitów.

Staram się nie okazać zaskoczenia. Dwór Termitów, na czele którego stoi pan Roiben, dopomógł w osadzeniu Cardana na tronie. W zamian obiecałam, że jeśli ich władca czegoś

ode mnie zażąda, żądanie to spełnię. Nie mam jednak pojęcia, czego mógłbyście chcieć, a pora nie jest odpowiednia na dalsze komplikacje.

Randalin chrząka znacząco i równie znacząco na mnie spogląda.

– Przekaż Najwyższemu Królowi nasze ubolewanie, iż nie możemy osobiście mu doradzać i zechciej też go powiadomić, że w każdej chwili gotowi jesteśmy mu służyć. Jeśli nie dołożysz starań, by go o tym przekonać, znajdziemy inny sposób, żeby to osiągnąć.

Odpowiadam skinieniem głowy, ignorując oczywistą pogroźkę.

Gdy się oddalam, Madok idzie ze mną.

– Słyszałem, że rozmawiałaś ze swoją siostrą – mówi, a jego gęste brwi wyrażają troskę, przynajmniej udawaną.

Wzruszam ramionami; jeszcze nie zapomniałam, że dzisiaj nie odezwał się ani słowem, by mnie poprzeć.

Madok niecierpliwi się.

– Nie wmawiaj mi, że tak bardzo jesteś zajęta tym swoim królem dzieciuchem. Co prawda, nie jest mi trudno sobie wyobrazić, że nieco opieki jednak musi on wymagać.

Nie wiem, jak tego dokonał, ale za pomocą kilku słów przyprawił mi gębę kapryśnej córeczki, a siebie postawił w sytuacji cierpiącego, choć wyrozumiałego ojca.

Wzdycham, daję za wygraną.

– Tak, rozmawiałam z Taryn.

– Doskonale. Jesteś zbyt osamotniona.

– Nie udawaj, że się o mnie martwisz – mówię. – Daruj sobie. Obrazasz moją i swoją inteligencję.

– Nie wierzysz, że mogę się o ciebie troszczyć nawet po tym, jak mnie zdradziłaś? – Spogląda na mnie kocimi oczami. – Nadal jestem twoim ojcem.

– Jesteś mordercą mojego ojca – wypalam.

– Mogę być jednym i drugim – odpowiada, szczerząc w uśmiechu straszne zębiska.

Próbowałam go wyprowadzić z równowagi, a zdołałam wyprowadzić z równowagi tylko samą siebie. Choć minęły miesiące, wciąż świeże pozostają wspomnienia o tym, jak próbował się na mnie rzucić, gdy zdał sobie sprawę, że został przeze mnie otruty środkiem usypiającym. Nie miałam wątpliwości, że gdyby tylko był w stanie, przeciąłby mnie wtedy na pół.

– Właśnie dlatego nie powinniśmy udawać, że nie jesteś na mnie wściekły.

– Ależ jestem, córko moja, jestem wściekły, ale też jestem ciekaw. – Macha niedbale ręką w stronę pałacu Elfhame. – Naprawdę tego chciałaś? Jego chciałaś na króla?

Tak samo jak podczas rozmowy z Taryn muszę milczeć, nie mogę mu udzielić wyjaśnień, których się domaga.

A ponieważ się nie odzywam, Madok po swoim to sobie tłumaczy.

– Tak właśnie sądziłem. Nie doceniałem cię. Chciałaś zostać rycerzem, a ja ci na to nie

pozwoiliem. Zlekceważyłem twoje zdolności strategiczne, siłę i okrucieństwo. Popełniłem błąd, którego więcej nie powtórzę.

– Nie jestem pewna, czy to ma być wyraz uznania, czy groźba.

– Teraz Najwyższym Królem jest Cardan i dopóki nosi na swoich skroniach Koronę Krwi, wiąże mnie przysięga – mówi. – Ciebie jednak żadne słowa nie mogą powstrzymać. Jeżeli żałujesz swojego posunięcia, nie wzdragaj się przed następnym ruchem. A wiele jeszcze można wygrać.

– Ja już wygrałam – przypominam.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – odpowiada z uśmiechem.

Gdy się oddala, nie potrafię powstrzymać myśli, że może jednak było lepiej, kiedy mnie ignorował.

ROZDIAŁ

8

W dawnych komnatach Najwyższego Króla Eldreda spotykam Bombę. Postanowiłam dokładnie przetrząsnąć każdy cal komnat, nim Cardan się do nich przeprowadzi – bo zdecydowałam też, że musi się tutaj przenieść, chce czy nie, ponieważ to jest najbezpieczniejsze miejsce w całym pałacu.

Kiedy się pojawiam, Bomba zapala właśnie ostatnią z wielkich świec stojących na gzymsie kominka. Spływający przez lata воск stworzył przedziwną rzeźbę. Dziwnie się czuję w tym wnętrzu, kiedy już nie siedzi naprzeciwko mnie Nicassia, którą trzeba przycisnąć, ani nie ma żadnych innych czynników, które przeszkadzałyby mi się spokojnie rozejrzeć. Ściany połyskują płatkami miki, sufit pokrywają konary i winorośla. W przedpokoju połyskuje muszla gigantycznego ślimaka: lampa wielkości małego stolika.

Bomba rzuca mi uśmiezek na powitanie. Białe włosy zaplotła w warkocze związane lśniąco srebrnymi nićmi.

Ktoś, komu ufasz, już cię zdradził.

Próbuję wyrzucić z głowy słowa Nicassii. Mogła przecież mieć na myśli cokolwiek. Typowe elfowe gadanie, z wielkim namaszczeniem, ale tak ogólnikowe, że mogło znaczyć wszystko – to, że ktoś zastawia na mnie śmiertelną pułapkę, jak i odnosić się do jakichś zamierzonych wydarzeń z czasów, kiedy razem pobierałyśmy lekcje. Może przestrzegła mnie przed kimś zaufanym, kto przeciwko mnie knuje, a może czyniła aluzję do Taryn zadającej się z Lokim.

Nie mogę jednak przestać o tym myśleć.

– A więc zabójca przyszedł właśnie stąd? – upewnia się Bomba. – Duch mówił, że ruszyłaś za nim w pościg.

– Nie było zabójcy. Tylko niesnaski kochanków.

Bomba unosi brwi.

– Najwyższy Król jest bardzo niezręczny w swoich miłostkach.

– No tak – odpowiada Bomba. – To co, ty przeszukaj salon, a ja się zajmę sypialnią, dobrze?

– Jasne – zgadzam się i idę do drugiego pokoju.

Tajne przejście znajduje się obok kominka wyrzeźbionego na kształt wykrzywionej

paszczy goblina. Półka z książkami jest nadal przesunięta na bok, za nią widać spiralne schody. Zamykam wejście.

– Poważnie myślisz, że uda ci się namówić Cardana, żeby tutaj zamieszkał? – woła do mnie Bomba z sąsiedniej komnaty. – Swoją drogą szkoda, żeby takie wnętrza stały puste.

Przykucam, chcąc przejrzeć książki na dolnych półkach. Otwieram je, kartkuję, żeby sprawdzić, czy nic się w nich nie kryje.

Wypada kilka pożółkłych, rozsypujących się papierków, piórka i nóż do papieru z rzeźbionej kości. Wnętrze jednej z książek ktoś wydrążył, ale skrytka jest pusta. Inny tom całkowicie przeżarły insekty, wyrzucam go.

– Komnaty, które ostatnio zajmował Cardan, stanęły w ogniu – odpowiadam, wołając do Bomby. – Może uściśle: stanęły w ogniu, ponieważ to on je podpalił.

Bomba śmieje się.

– Musiałoby trochę potrwać, zanim by zdołał spalić te komnaty. Pewnie kilka dni.

Spoglądam na książki. Nie byłabym tego taka pewna, bo są suche, aż strach, żeby się nie zajęły od samego patrzenia. Wzdycham, odstawiam je z powrotem na półki. Przetrzepuję poduchy, zaglądam pod dywan. Jednak pod spodem znajduję tylko kurz.

Wyciągam wszystkie szuflady, kładę je na wielkim blacie biurka. Znajduję w nich metalowe stalówki, kamienie z rzeźbionymi twarzami, trzy sygnety, długi kiel jakiegoś stworzenia oraz trzy fiolki, w których płyn zasechł na czarny kamień.

W następnej szufladzie znajduję klejnoty. Naszyjnik z czarnego gagatu, bransoletę z zapięciem, ciężkie złote kolczyki.

W ostatniej ktoś zgromadził kryształy kwarcu wypolerowane w kule i stożki. Gdy zbliżam jedną ze sfer do światła, widzę, że coś się w niej porusza.

– Chodź na chwilę – wołam Bombę trochę piskliwym głosem. Zjawia się natychmiast, w rękach trzyma kaftan tak gęsto wysadzany drogimi kamieniami, że chyba nie dałoby się go włożyć.

– Co się stało?

– Widziałaś już kiedyś coś takiego? – Wręczam jej kryształową kulę.

Przygląda jej się z bliska.

– Zobacz, to Dain.

Teraz ja przyglądam się uważniej. Młody książę Dain dosiada wierzchowca, w jednej ręce ma łuk, w drugiej jabłko. Elowyn obok niego siedzi na kucu, u drugiego boku Rhyia. Książę ciska jabłko w powietrze, wszyscy troje dobywają strzały z kołczanów i strzelają.

– Myślisz, że to zdarzyło się naprawdę? – pytam.

– Pewnie tak – odpowiada Bomba. – Ktoś z czarował te orby dla Eldreda.

Przypominają mi się legendarne miecze wykute przez Grimsena, złoty żołędź, który przekazał mi ostatnie słowa Liriope, tkanina Mateczki Szpik, której nie mogą przebić nawet najostrzejsze klingi oraz cała ta obłądna magia, którą są obdarzeni najwyżsi królowie. Coś

takiego to dla nich zwykły gadżet, w sam raz, żeby wetknąć do dolnej szuflady biurka.

Oglądam je po kolei. Widzę Balekina jako noworodka, choć na jego czole już pojawiają się różki. Trzymany jest na rękach przez niańkę śmiertelniczkę o oczach zamglonych rzuconym czarem.

– Popatrz tylko na to – mówi Bomba. Ma dziwny wyraz twarzy.

Cardan jako bardzo małe dziecko. Ubrany w zbyt obszerną koszulę, która wisi na nim jak suknia. Jest bosy, stopy i strój ma poplamione błotem, ale w uszach dyndają kółka, jakby dostał kolczyki od kogoś dorosłego. Rogata elfka stoi w pobliżu; gdy maluch do niej biegnie, chwyta go za nadgarstki, żeby nie dotknął brudnymi łapkami jej sukni.

Mówi coś z surową miną, odpycha go. Chłopiec się przewraca, a ona tego nawet nie zauważa, zbyt pogrążona w konwersacji z innymi dwórkami. Myślałam, że Cardan się rozbeczy, ale nie. Zamiast tego zaczyna kopać drzewo, na które wspina się starszy chłopczyk. Tamten coś mówi, Cardan łapie go za kostkę. W chwilę później chłopiec leży na ziemi, a drobna, pulchna rączka Cardana zaciska się w drobną, pulchną piąstkę. Na odgłos bójki elfka odwraca się, śmieje, wyraźnie zachwycona wybrykami syna.

Kiedy Cardan spogląda w jej stronę, też się uśmiecha.

Chowam kryształ z powrotem do szuflady. Na co komu takie okropieństwa?

W każdym razie nie są niebezpieczne. Nie ma powodu, żeby z nimi cokolwiek robić, więc niech sobie zostaną. Bomba i ja dalej przeszukujemy komnatę. Gdy mamy już pewność, że jest bezpieczna, przez ozdobione cyzelowaną sową drzwi wracamy do królewskiej sypialni. Pośrodku stoi wielkie łóżko z baldachimem i zielonymi zasłonami, na których złotą nicią wyhaftowano herby rodu Kolcowojów. Prześcieradła z pajęczego jedwabiu równo ułożono na materacach pachnących tak, jakby wypchano je płatkami kwiatów.

– Hopsa! – woła Bomba, wskakuje na łóżko i turla się po nim. – Chodź, musimy sprawdzić, czy jest dość wygodne dla naszego nowego Najwyższego Króla.

Zaskoczona wstrzymuję oddech, ale idę za jej przykładem. Pod moim ciężarem materac się ugina, upojny zapach róż oszałamia moje zmysły.

Leżeć tak na pościeli króla Elfhame, wdychać aromat, który towarzyszył jego snom, to prawie jak jakaś hipnoza. Bomba zakłada ręce za głowę, jakby to nie było nic takiego, ale ja pamiętam dotyk dłoni Najwyższego Króla Eldreda na mojej głowie i ten leciutki prąd, który mnie wtedy przechodził, i dumę, że zwrócił na mnie uwagę. Wylegiwać się na jego łóżku to jakbym wycierała swoje brudne chłopskie bucioro o jego tron.

Ale z drugiej strony, czemu nie?

– Nasz król to szczęściarz – oznajmia Bomba. – Chciałabym mieć takie wyrko, w którym można przyjąć gościa albo i dwóch.

– Poważnie? – dopytuję, przekomarzając się z nią jak kiedyś z siostrami. – A konkretnie, kogo takiego?

Odwraca wzrok, zawstydzona, przez co oczywiście budzi moją czujność. Unoszę się na

łokciu.

– Zaraz, zaraz! Czy to ktoś, kogo znam?

Przez krótką chwilę nie odpowiada, a to mi wystarczy.

– Aha, więc tak! Duch?

– Nie. Jude, nie!

Marszczę czoło.

– A więc Karakan?

Bomba siada, długimi palcami mnie prześcieradło. Nie może kłamać, może tylko westchnąć.

– Nic nie rozumiesz.

Bomba jest śliczna, ma delikatną buzię i oliwkową skórę, burzę białych włosów, błyszczące oczy. W moim mniemaniu posiada wdzięk i urok, a do tego urodę, która sprawia, że mogłaby mieć każdego, kogo by tylko zechciała.

Czarny ozór Karakana, jego haczykowaty nos, tudzież kępka kłaków na czubku łysej głowy nadają mu niebezpieczny wygląd, ale jednak nawet wobec kanonów urody obowiązujących w Krainie Elfów, w tym miejscu, gdzie nadludzkie piękno ceni się niemal na równi z druzgocącą brzydotą... Nawet biorąc pod uwagę to wszystko, raczej nikt by się nie domyślił, że Bomba wzdycha właśnie do niego.

W każdym razie ja bym na to nie wpadła.

Nie wiem, co powiedzieć, żeby nie wyglądało na to, że go obrażam.

– Pewnie nie rozumiem – przyznaję.

Kładzie sobie poduszkę na kolanach.

– Moja rodzina zginęła w brutalnej, wyniszczającej wojnie wiek temu. Zostałam sama. Przeniosłam się do świata ludzi i zostałam drobną złodziejką. Nie szło mi szczególnie dobrze. Głównie posługiwałam się czarami, żeby zamaskować swoją niezdarność. Wtedy wypatrzył mnie Karakan. Zwrócił uwagę, że złodziejka ze mnie kiepska, ale mam niezłą rękę do różnych konkocji oraz bomb. Wędrowaliśmy razem przez dziesięciolecia. Był tak ujmujący, elegancki i miły, że robił wszystkich na szaro bez żadnej magii.

Wyobrażam go sobie, w kapeluszu i marynarce z kieszonką na zegarek z dewizką, rozbawionego światem i wszystkim, co ma on do zaoferowania. Uśmiecham się na tę myśl.

– Aż któregoś dnia wpadliśmy na pomysł, żeby okraść Zębaty Dwór na północy. Ten numer poszedł źle. Przyłapano nas, rzucili na nas klątwy i czary. Przemienili nas. Zmusili, żeby im służyć. – Bomba strzela palcami, wzbijając iskry. – Nieźle, co?

– Domyślam się, że raczej bardzo źle.

Kładzie się z powrotem, ciągnie dalej:

– Karakan, a właściwie Van, bo nie mogę mówić o nim Karakan, kiedy to opowiadam... Dzięki niemu zdołałam to przetrwać. Opowiadał mi historie, jak to królowa Mab uwięziła mroźnego giganta, jak podporządkowała sobie pradawne monstra, aż w końcu zdobyła tron

i Najwyższą Koronę. To były opowieści o tym, że można dokonać niemożliwego. Gdyby nie on, chyba nie przeżyłabym tej niewoli.

A potem znów schrzaniłiśmy robotę i wpadliśmy w ręce Daina. Wymyślił, jak to zrobić, żebyśmy zdradzili Zębaty Dwór i zaczęli mu służyć. Tak też się stało. Duch już wcześniej był na jego usługach. We trójkę stworzyliśmy świetny zespół. Ja z moimi bombami; Karakan, który potrafi ukraść cokolwiek i każdemu, do tego Duch, nieomylny strzelec o lekkich stopach. No i tak jakoś się stało, że jesteśmy w miarę bezpieczni na dworze Elfhame i pracujemy dla samego Najwyższego Króla. Popatrz, przecież właśnie wyleguję się na królewskim łożu. Teraz jednak Van już nie trzyma mnie za rękę i nie śpiewa, kiedy mi smutno. Teraz już w ogóle nie ma powodu, żeby zwracał na mnie uwagę.

Zapada milczenie. Obie gapimy się na sufit.

– Może powinnaś mu o tym powiedzieć – proponuję. To chyba nie jest taka zła rada. Sama bym się do niej nie zastosowała, ale to przecież jeszcze nie znaczy, że pomysł jest zły.

– Może. – Bomba wstaje. – Żadnych pułapek, żadnych ukrytych zagrożeń. Myślisz, że można tu bezpiecznie umieścić naszego króla?

Myślę sobie o tym małym chłopcu w kryształach, jego dumnym uśmiechu i zaciśniętej pięści. I o tej rogatej elfce, z pewnością jego matce, która go od siebie odepchnęła. Myślę o jego ojcu, Najwyższym Królu, który nawet nie kiwnął palcem, nawet się nie zainteresował, czy dzieciak ma się w co ubrać i czy ktoś otarł jego buzię. Myślę o tym, jak Cardan unikał tych komnat i wzdycham.

– Chciałabym wymyślić bezpieczniejsze miejsce.



O północy uczestniczę w bankiecie. Siedzę kilka foteli od tronu i skubię chrupiącego węgorka. Śpiewa trio pixie; śpiewają a capella, próbują sobie nawzajem zaimponować pomysłowością. Nad nami wiszą kandelabry, z których długimi smugami spływa воск.

Najwyższy Król Cardan uśmiecha się łaskawie do gości i ziewa jak kot. Ma potargane włosy, widać, że po wstaniu z mojego łóżka ledwo je przygładził dłonią. Nasze spojrzenia się spotykają. Odwracam wzrok i czerwienię się.

Całuj, aż mnie od tego zemdli.

Słudzy przynoszą wino w barwnych karafkach. Trunki lśnią akwamarynem i szafirem, cytrynem i rubinem, ametystem i topazem. Podają następne danie z ocukrzonymi fiołkami i zamrożoną rosą.

A potem wnoszą szklane półkule, pod którymi w błękitnobładym dymie zawieszono są małe srebrzyste rybki.

– Poczęstunek od Królowej Toni – oznajmia jedna z kucharek, wyraźnie wystrojona na tę okazję. Gnie się w ukłonie.

Spoglądam przez stół na Randalina, ministra kluczy, ten zaś raczy mnie ignorować.

Wokół mnie unoszą się szklane kopyły, pieprzny i ziołowy aromat dymu wypełnia komnatę.

Loki usadowił się obok Cardana; dziewczynę, której wyznaczono to miejsce, posadził sobie na kolanach. Elfka przebiera kopytkami i śmieje się na cały głos, odrzuciwszy w tył rogatą główkę.

– Oho – powiada Cardan, biorąc w palce złoty pierścień. – Widzę, że moja ryba miała coś w brzuchu.

– Moja także – mówi dwórka u jego drugiego boku i pokazuje wszystkim lśniąca perłę wielkości jego paznokcia. Jest zachwycona. – Ach, dar od morza.

W każdej ze srebrnych rybek jest skarb. Przywołani kucharze wszystkiego się wypierają, zarzekając się, że ryby są świeżo złowione i w kuchni nie dodano do nich nic oprócz ziół. Marszcząc brwi, spoglądam na swój talerz, na paciorki morskiego szkła, które znalazłam między skrzelami mojej ryby.

Gdy unoszę wzrok, Loki pokazuje złotą monetę, być może pochodzącą ze szkatuły znalezionej na jakimś zatopionym okręcie.

– Widzę, jak na niego patrzysz – mówi Nicassia, która siedzi obok mnie. Dziś ma na sobie suknię ze złotej koronki, a jej turmalinowe włosy upięte są za pomocą dwóch złotych grzebieni w kształcie szczęk rekina, ze złotymi zębami do kompletu.

– Skąd wiesz, że nie patrzę właśnie na błyskotki i złoto, którymi twoja matka chce zaskarbić sobie względy tego dworu – odpowiadam.

Sięga po jeden z fiołków leżących na moim talerzu, kładzie go sobie leciutko na języku.

– Ja postradałam miłość Cardana dla gładkich słówek i jeszcze łatwiejszych pocałunków Lokiego, lukrowanych jak te kwiatki – mówi. – Twoja siostra straciła twoją miłość, by zdobyć miłość Lokiego, czyż to nie prawda? Wszyscy zaś wiedzą, co ty straciłaś.

– Co, niby Lokiego? – Śmieję się. – Dajże spokój.

Jej brwi zbliżają się ku sobie.

– Bo przecież chyba nie patrzyłaś tak na samego Najwyższego Króla?

– Chyba nie – powtarzam za nią, ale unikam jej spojrzenia.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego nikomu nie zdradziłaś mojego sekretu? – pyta Nicassia. – Pewnie wmawiasz sobie, że dzięki temu masz nade mną jakąś przewagę. Prawda jest jednak taka, że nikt by ci nie uwierzył i dobrze o tym wiesz. Ja należę do tego świata, a ty nie. I o tym też wiesz.

– Księżniczko, ty nawet na suchym lądzie nie jesteś u siebie – przypominam jej. Z drugiej strony jednak trudno zapomnieć, jak zostałam zlekceważona przez Wieczną Radę. Muszę więc przyznać, że coś w tym jest.

Ktoś, komu ufasz, już cię zdradził.

– Ten świat nigdy nie będzie twój, śmiertelna istoto.

– Ten świat jest mój – odpowiadam. Ogarnia mnie gniew, więc już się nie hamuję. – To moja ziemia i mój król. I będę go bronić, tak jak będę bronić tej ziemi. A teraz, proszę bardzo, może zechcesz powiedzieć to samo?

– On nie może cię pokochać – mówi, a głos niespodziewanie jej drży.

Najwyraźniej nie może znieść myśli, że nazywam go swoim królem, najwidoczniej nadal się w nim durzy i – co widać jak na dłoni – nie wie, co z tym począć.

– Czego ty właściwie chcesz? – pytam. – Siedzę sobie spokojnie, nikomu nie wadzę, jem rybę. To ty mnie zaczepiłaś. Zaczepiłaś i wytaczasz oskarżenia o... Właściwie nawet nie wiem o co.

– Powiedz mi, jak go usidliłaś – mówi Nicassia. – Jak zdołałaś go nakłonić, by uczynił cię swoją prawą ręką. Ciebie, której nie cierpiał. Jak to się dzieje, że cię słucha?

– Powiem ci, jeżeli ty także mi coś powiesz.

Odwracam się do niej. Cały czas bowiem myślę o tajnym przejściu i o tej kobiecie w kryształach.

– Wyjawiłam ci już wszystko, co mogę... – zaczyna Nicassia.

– Nie o to mi chodzi. Matka Cardana – przerywam jej. – Kim była? Gdzie teraz jest?

Próbuje zamaskować zaskoczenie kpina.

– Skoro jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi, to może jego byś spytała?

– Nigdy nie mówiłam, że jesteście przyjaciółmi.

Sługa o zębatej paszczy i motylich skrzydełkach wnosi następne danie. To serce jelenia, półsurowe, nadziewane prażonymi laskowymi orzechami. Nicassia nakłada sobie mięso, jej palce ociekają krwią.

Przesuwa językiem po czerwonych zębach.

– Była nikiem, zwykłą dziewczyną z niższych dworów. Eldred nie uczynił jej swoją oficjalną nałożnicą nawet wtedy, kiedy dała mu syna.

Na pewno widać po mnie, jak jestem zaskoczona.

Budzi to niekłamany zachwyt Nicassii, tak jakby moja niewiedza stanowiła ostateczny dowód, jak niestosowną i nie na miejscu jestem postacią.

– Teraz twoja kolej.

– Chcesz wiedzieć, co zrobiłam, żeby mnie uczynił seneszalem? – Pochyliłam się w jej stronę na tyle blisko, żeby czuła ciepło mojego oddechu. – Pocałowałam go w usta i potem zagroziłam, że pocałuję znowu, jeśli nie spełni mojego życzenia.

– Kłamiesz – syczy.

– Skoro jesteście takimi dobrymi przyjaciółmi, to może jego byś spytała? – odpowiadam, ze złośliwą satysfakcją powtarzając jej własne słowa.

Spojrzenie Nicassii wędruje w stronę Cardana, który ma usta poplamione krwią, a na

skroniach koronę. Ci dwoje są istotami tego samego gatunku, pasują do siebie w potworny wręcz sposób. On w naszą stronę nie patrzy, bo przysłuchuje się uważnie błazeńskiej odzie, którą nadworny lutnista skomponował na poczekaniu, aby uczcić jego panowanie.

Tak, mój król – myślę sobie. Mój przez rok i dzień, a z tego pięć miesięcy minęło już bezpowrotnie.

ROZDIAŁ

9

Gdy wracam do swoich apartamentów, zastaję tam czekającą na mnie Strzępkę; dostrzegam dezaprobatę w jej owadzich oczach, kiedy zdejmuję z mojej kanapy pludry Najwyższego Króla.

– A więc tak tu sobie mieszkasz – gdera skrzatka. – Jak larwa w motylin kokonie.

To jej zrzęczenie jest dla mnie w jakiś miły sposób swojskie, nie znaczy to jednak, że jestem zadowolona. Odwracam się, żeby nie widziała mojego zawstydzenia z powodu tego strasznego nieładu. Nie dość, że zapuściłam wnętrze, to jeszcze trudno nie snuć domysłów na temat tego, co wyprawiałam tej nocy i z kim.

Strzępka złożyła kiedyś Madokowi wiernopoddańczą przysięgę z powodu jakiegoś starego długu, więc nie mogła przybyć tu bez jego wiedzy. Co z tego, że opiekowała się mną od dzieciństwa, że chesała mnie, cerowała szaty i nawlekała jarzębiny, by uchronić mnie przed czarami, skoro i tak winna jest lojalność Madokowi. Przypuszczam, że na swój sposób nawet mnie lubi, ale przecież nie można mylić tego z miłością.

Wzdycham. Gdyby zamkowa służba sprzątała moje pokoje, dałoby się w nich zaprowadzić ład, tylko że gdybym na to pozwoliła, dowiedzieliby się o mnie zbyt wiele – choćby tego, że pojawiaam się i znikam o nietypowych godzinach, a w dodatku zyskaliby dostęp do moich papierów, nie mówiąc już o moich truciznach. Nie, lepiej zamknąć drzwi na klucz i żyć w brudzie.

Z sypialni dobiega głos mojej siostry:

– Wcześniej dziś wróciłaś.

Zagląda do salonu, w ręce trzyma jakieś ciuchy.

Ktoś, komu ufasz, już cię zdradził.

– Jak się tu dostaliście?

Kiedy otwierałam drzwi, klucz napotkał opór. Wprowadzono mnie w arkana dyskretnej sztuki włamywactwa i choć nie jest to moja najmocniejsza strona, potrafię wyczuć, że ktoś majstrował przy zamku. A przecież niczego takiego nie zauważyłam.

– Ach – odpowiada Taryn ze śmiechem – podszyłam się pod ciebie, żeby uzyskać kopię twojego klucza.

Mam ochotę walić głową w ścianę. Przecież wszyscy chyba wiedzą, że mam siostrę

bliźniaczkę. Wszyscy chyba zdają sobie sprawę, że śmiertelnicy potrafią kłamać, i to całkiem niezłe. Czy komuś nie powinno przyjść do głowy, żeby chociaż zadać jej jakieś podchwytliwe pytanie dla sprawdzenia, czy właściwej osobie umożliwia się dostęp do pałacowych komnat? Co prawda ja sama kłamałam setki razy jak najęta i wciąż jakoś mi to uchodziło na sucho. Trudno więc winić Taryn, że robi to samo.

Już po prostu taki mój pech, że akurat wtedy, kiedy postanowiła do mnie wtargnąć, na dywanie leży rozrzucone ubranie Cardana, a na stoliku kłęb zakrwawionych bandaży.

– Nakłoniłam Madoka, żeby ci podarował resztę długu Strzępki – powiadamia mnie Taryn. – I przyniosłam ci wszystkie suknie, i szaty, i klejnoty.

Spoglądam w atramentowe oczy skrzatki.

– Chcesz powiedzieć, że będzie mnie szpiegować dla Madoka.

Usta Strzępki krzywią się i natychmiast sobie przypominam, jak mocno potrafi uszczypnąć.

– Ależ z ciebie nieufna, podejrzliwa dziewczucha. Jak możesz tak mówić? Powinnaś się wstydić.

– Jestem ci wdzięczna, bo czasami byłaś dla mnie dobra – odpowiadam. – Jeżeli rzeczywiście Madok podarował mi twój dług, to możesz uznać, że jest już spłacony.

Strzępka robi ponurą minę.

– Madok oszczędził życie mojemu kochanku, chociaż mógł zgodnie z prawem mu je odebrać. Wtedy zaprzysięgam mu sto lat służby i czas ten wkrótce dobiegnie końca. Nie możesz zbrukać mojego ślubowania tak sobie, od niechcienia. Nie ty.

Dotknęła mnie do żywego.

– Żałujesz, że cię do mnie przysłał?

– Jeszcze nie – odpowiada i wraca do pracy.

Idę do sypialni, zgarniam zakrwawione szmaty Cardana, zanim Strzępka zdąży to zrobić. Gdy przechodzę koło kominka, ciskam je w płomienie, które buchają ze wzmożoną mocą.

– No – pytam siostrę – to co mi przyniosłaś?

Pokazuje na łóżko, gdzie piętrzą się moje stare rzeczy, zakrywając skotłowaną pościel. Dziwnie jest patrzeć na ubrania, których od miesięcy na sobie nie miałam. Kupił je dla mnie Madok przy aprobacie Oriany. Tuniki, suknie, stroje ćwiczebne. Taryn przyniosła nawet zgrzebną suknię służącej, w którą się przebierałam na zwiadowcze wyprawy do Próżnego Dworu, i ciuchy, które wkładałam, kiedy urządziłyśmy sobie wycieczki do świata ludzi.

Kiedy tak patrzę na to wszystko, widzę osobę, która jest mną i jednocześnie już mną nie jest. Dziewczynę, która chodziła do szkoły i na myśl jej nie przyszło, że uczyła się tak ważnych rzeczy. Dziewczynę, która chciała po prostu zyskać aprobatę jedyne go ojca, jakiego miała, pragnęła zdobyć pozycję na dworze i która wciąż jeszcze wtedy wierzyła w honor.

Obawiam się, że ja już nie pasuję do tych ubrań.

Wrzucam je jednak do szafy – łądją obok czarnych kaftanów i zapasowej pary wysokich butów.

Otwieram szkatułkę z biżuterią. Kolczyki, które dostałam na urodziny, złota bransoleta. Trzy pierścionki – jeden z rubinem, dostałam go od Madoka podczas uczyty z okazji Krwawego Księżyca; drugi z jego herbem – nawet nie pamiętam, kiedy mi go dał, i ten trzeci, od Oriany, cały złoty. Naszyjniki z kamienia księżycowego, kawałki kwarcu i rzeźbionej kości.

– Przyniosłam też trochę rysunków – mówi Taryn i wyciąga blok papieru. Siada po turecku na łóżku. Żadna z nas nie jest wybitną artystką, ale kiedy Taryn rysuje stroje, łatwo zrozumieć, o co jej chodzi. – Chcę je zanieść do swojego krawca.

Narysowała mnie w rozmaitych czarnych kaftanach z wysokim kołnierzem, z rozciętymi spódnicami dla ułatwienia ruchów. Ramiona wyglądają na wzmocnione, pewnie pancerzem, tu i ówdzie pojawia się lśniący metal na przedramieniu.

– Miare mogą zdjąć ze mnie – proponuje Taryn. – Nawet nie będziesz musiała nigdzie chodzić i przymierzać.

Patrzę na nią uważnie. Taryn nie lubi konfliktów. Ona z otaczającą nas grozą i zamętem poradziła sobie w taki sposób, że wykształciła zdumiewającą zdolność dostosowania się, niczym te jaszczurki, które potrafią zmienić kolor, aby wtopić się w otoczenie. Wie, w co się ubrać i jak się zachować, bo uważnie obserwuje wszystkich dookoła i uczy się, by potem ich naśladować.

Posiada też szczególny dar dobierania ubioru, który przekazuje pewną informację – chociaż akurat te na jej rysunkach wyrażają głównie coś w rodzaju „trzymaj się z daleka, bo ci utnę łeb”. Jakoś dziwny wydaje mi się ten nagły przypływ siostrzanych uczuć. No i godny uwagi jest wysiłek, jaki włożyła w to wszystko, zwłaszcza że na pewno ma mnóstwo zajęć w związku z bliskim ślubem.

– Dobra – mówię. – Gadaj, czego chcesz.

– O czym ty mówisz? – pyta.

Niewiniątko.

– Chcesz, żebyśmy żyły w przyjaźni. Ciesz się mnie to. Życzysz sobie, żebym była na twoim ślubie. To doskonale, bo i ja chcę tam być. Ale... no, przesadziłaś.

– Dlaczego, potrafisz być miła – odpowiada, ale wyraźnie unika mojego spojrzenia.

Czekam. Milczymy przez długą chwilę. Wiem, że widziała ubranie Cardana walające się na podłodze. Już choćby fakt, że nie spytała o nie od razu, powinien być pierwszą wskazówką, że czegoś ode mnie chce.

– No, tak. – Wzdycha. – To nic takiego, ale chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

– No co ty? – mówię, ale nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Spogląda na mnie. Widać, że to coś nie daje jej spokoju.

– Nie chcę, żeby Loki był mistrzem biesiadnym.

– No to jesteście już dwie. Ja też nie chcę.

– Ale ty możesz coś z tym zrobić! – Taryn owija fałd sukni wokół dłoni. – Loki pożąda dramatycznych doświadczeń. Jako mistrz biesiadny będzie mógł tworzyć te swoje... Nawet nie wiem, jak je nazwać. Te swoje opowieści. Dla niego biesiada to nie jedzenie, picie i muzyka, ale rozwój wydarzeń, które mogą prowadzić do konfliktów.

– Aha... – Chyba coś o tym wiem. Zastanawiam się, jakie mogą być tego konsekwencje polityczne. Raczej nic dobrego.

– On jest ciekaw, jak reaguję na wszystko, co robi – dodaje Taryn.

Pewnie. Na przykład chciał wiedzieć, czy moja siostra kocha go na tyle, by pozwolić mu zalecać się do mnie, podczas gdy ona przyglądała się temu, cierpiąc w milczeniu. Chyba to samo ciekawiło go też u mnie, tyle że ja okazałam się dość nieuprzejma.

Taryn ciągnie dalej:

– Oraz jak zareaguje Cardan. I Kręgi dworu. Rozmawiał już ze Skowronkami i z Wilgami, wynajdując ich słabości. Już knuje, kogo z kim skłócić i jak.

– Loki mógłby się przydać Skowronkom – zauważam. – Dostarczałyby im tematów do ballad.

Co do Wilg, to nie wiem, czy zdoła im dorównać w rozpuście, ale pewnie będzie próbował – mam jednak dość rozumu, żeby nie mówić tego na głos.

– Opowiada o tym, jaka to byłaby wspaniała zabawa, a przecież to straszne – dodaje Taryn. – Jeżeli będzie piastował urząd mistrza biesiad, skończy się to katastrofą. Nie przeszkadza mi, że będzie sobie brał kochanki, ale nie cierpię, kiedy nie ma go przy mnie. Jude, błagam. Zrób coś. Wiem, zaraz od ciebie usłyszę „a nie mówiłam”, ale mało mnie to obchodzi.

Najchętniej powiedziałabym jej, że mam na głowie ważniejsze sprawy.

– Madok z pewnością by ci przypomniał, że nie musisz z nim brać ślubu. Vivi to samo. Zresztą założę się, że oboje już ci tak powiedzieli.

– Ale ty znasz mnie za dobrze, żeby tracić na to czas. – Kręci głową. – Kiedy jestem z nim, czuję się jak główna bohaterka opowieści. Mojej opowieści. Dopiero kiedy go nie ma, wszystko się wali.

Nie wiem, co jej na to odpowiedzieć. Mogłabym próbować jej wytłumaczyć, że to chyba ona tworzy jakąś historię i obsadza Lokiego w roli głównego bohatera, a siebie jako jego ukochaną, która znika, gdy nie pojawia się na stronach tej książki.

Pamiętam jednak, jakie to było uczucie; w jego towarzystwie czułam się wyjątkowa, wybrana, ładna. Teraz, kiedy o tym myślę, czuję się raczej jak idiotka.

Pewnie mogłabym rozkazać Cardanowi, by odebrał Lokiemu tę funkcję, ale Cardan z pewnością miałby mi za złe, że wykorzystuję swoją władzę nad nim do czegoś tak osobistego i małostkowego. To by wyglądało na słabość z mojej strony. Poza tym Loki domyśliłby się, że to moja sprawka, bo przecież nie kryję się ze swoją niechęcią wobec

niego. I zorientowałyby się, że mam nad Cardanem większą władzę, niż powinnam.

W dodatku to nic nie da, wszystko, czego obawia się i na co się skarży Taryn, tak czy inaczej się spełni. Loki nie potrzebuje stanowiska mistrza biesiadnego u boku Najwyższego Króla, aby narobić tego rodzaju kłopotów. Tytuł pozwoli mu tylko broić na większą skalę.

– Spróbuję o tym porozmawiać z Cardanem – kłamię.

Taryn spogląda tam, gdzie podłogę zalegały jego stroje, i uśmiecha się.

ROZDIAŁ

10

W miarę jak zbliża się Księżyc Łowcy, w pałacu narasta atmosfera sprzyjająca wszelakim uciechom. Zmienia się też charakter zabaw – stają się coraz dziksze, coraz bardziej nieokiełznane. Nie jest już konieczna obecność Cardana, ich uczestnicy i tak szaleją bez żadnego umiaru. Rozeszły się pogłoski, że Król gotów jest zranić dla zabawy kochankę, więc jego legenda wciąż się rozrasta.

Przywołuje się wspomnienia dawniejszych czasów – opowieści o tym, jak to konno wjeżdżał na lekcję, o bójkach i kłótniach, o jego okrucieństwach. Im straszniejsze historie, tym większy budzą entuzjazm. Owszem, elfowie niby nie mogą kłamać, ale jakoś tak się dzieje, że elfowe historie same się rozrastają, żywiąc się ambicją, pragnieniami i pożądaniem.

Po południu, idąc korytarzami, przestępuję nad uśpionymi ciałami. Nie wszyscy śpiący to dworzanie. Ten sam obłąkańczy szal udzielił się służącym i strażnikom, którzy porzucają swoje obowiązki na rzecz uciech. Po ogrodach Elfhame biegają nagie elfki, a w poidłach, z których ongiś pojono wodą konie, płynie teraz wino.

Spotykam się z Vuliberem, licząc na dalsze informacje dotyczące knowań Toni, ale mój informator o niczym nie wie. Choć zdaję sobie sprawę, że Nicassia najprawdopodobniej po prostu chciała mi jakoś dokuczyć, sporządzam listę osób, które mogłyby dopuścić się zdrady. Rozważam, kto to może być i po co miałby to zrobić; zastanawiam się, jakie znaczenie ma przyjazd ambasadora, pana Roibena. No i oczywiście zastanawiam się gorączkowo, jak mogłabym przedłużyć swoje wpływy wobec tronu. Żałuję, że kiedy miałam Cardana na celowniku kuszy, nie zapytałam go o jego prawdziwe imię. Zgłębiam cuchnące stęchlizną stare papierzyska, popijam swoje trucizny i snuję plany, jak zapobiec ciosom, które może nigdy nie padną.

Cardan przeniósł się do dawnych komnat Eldreda, a pokoje z wypaloną podłogą zostały zabarykadowane od wewnątrz. Jeżeli czuje się niekomfortowo, zasypiając tam, gdzie mieszkał jego ojciec, to nie okazuje tego. Kiedy przychodzę, siedzi wygodnie rozparty na kanapie, a służący zdejmują tapiserie i wynoszą meble, żeby zrobić miejsce na nowe łoże, sporządzone według jego instrukcji.

Nie jest sam. Towarzystwa dotrzymuje mu nieliczny krąg dworzan; kilkorga z nich nie

znam, pozostali to Loki, Nicassia i moja siostra, w tej chwili różowiutka od wina. Siedzą na dywanie przed kominkiem i świetnie się bawią.

– Idźcie – mówi do nich, widząc mnie w drzwiach.

– Ależ Wasza Wysokość – sprzeciwia się jakaś dziewczyna. Jest złota i kremowa, ma na sobie lekką błękitną sukienkę. Długie, blade czułki wyrastają tam, gdzie na skroniach kończą się jej brwi. – Zapewne takie nudne wieści, jakie może przynieść seneszał, wymagać będą antidotum, którym będzie nasza wesołość.

Dobrze przemyślałam rozkazy wydane Cardanowi. Gdyby ich było zbyt wiele, stanowiłyby ciężar nie do zniesienia; za mało – na pewno znalazłby jakiś sprytny sposób, żeby je obejść. Szczególnie zadowolona jestem z tego, że nie może odmówić mi posłuchania ani mnie odesłać.

– Na pewno wkrótce znowu was przywołam – zapewnia ich Cardan i wesoła czeredka opuszcza komnatę pośród śmiechów i żartów. Jeden z nich trzyma w ręce napełniony po brzegi winem kubek, niewątpliwie skradziony ze śmiertelnego świata, bo ozdobiony napisem JA TU RZĄDZĘ. Loki rzuca mi zaciekawione spojrzenie. Siostra chwyta mnie za rękę i porozumiewawczo ściska.

Podchodzę do fotela, siadam bez zaproszenia. Chcę przypomnieć Cardanowi, że tutaj rządzą ja.

– Jutro czekają nas uciechy Łowieckiego Księżyca... – zaczynam.

Siedzi na fotelu naprzeciwko mnie, patrzy czarnymi oczami, jakbym to ja powinna się strzec.

– Jeśli chcesz poznać szczegóły, trzeba było pytać Lokiego. Ja wiem niewiele. Znów mam się pokazać moim podwładnym i tyle. To ty snujesz intrygi, a ja sobie tylko baraszkuje.

– Orlagh, królowa Toni, śledzi twoje poczynania...

– Wszyscy je śledzą – odpowiada Cardan, bezustannie obracając na palcu sygnet.

– Chyba nie masz nic przeciwko temu – odpowiadam. – Sam powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko królowaniu. Że nawet ci się to podoba.

Spogląda na mnie podejrzliwie.

Staram się odpowiedzieć szczerym uśmiechem. Mam nadzieję, że zdołam być przekonująca. Muszę być przekonująca.

– Oboje możemy mieć to, czego chcemy. Możesz rządzić znacznie dłużej niż tylko przez rok. Wystarczy, że przedłużysz swoje ślubowanie. Pozwól mi sobą kierować przez dziesięć lat, a może przez dwie dekady, a wówczas razem...

– Raczej nie – przerywa mi. – Sama wiesz, czym grozi osadzenie Dęba na tronie. Będzie zaledwie o rok starszy. Nie jest jeszcze gotów. Tymczasem już za kilka miesięcy będziesz musiała mnie zmusić do abdykacji na jego korzyść albo zawrzeć ugodę, która będzie polegała na wzajemnym zaufaniu, a nie tak jak teraz, że ja ci ufam bez nadziei, że to odwzajemnisz.

Wściekam się na siebie. Jak mogłam choć przez chwilę sądzić, że zgodzi się na zachowanie obecnego stanu rzeczy.

Uśmiecha się do mnie najśłodszym ze swoich uśmiechów.

– Może wtedy zostałabyś moim seneszalem ze szczerego serca.

Zaciskam zęby. Za dawnych czasów tak wysokie stanowisko przekraczałoby moje najśmielsze marzenia. Teraz wydaje mi się upokorzeniem. Władza to nałóg. Żądy władzy nigdy się nie da zaspokoić.

– Lepiej uważaj – przestrzegam. – Jeśli zechcę, to te miesiące, które ci jeszcze pozostają, mogą ci się dłużyć doprawdy nieźnośnie.

Promienny uśmiech nie opuszcza jego oblicza.

– Jeszcze jakieś rozkazy? – pyta.

Powinnam mu więcej opowiedzieć o Orlagh, ale myśl, że będzie piał z zachwyty nad jej propozycją, jest ponad moje siły. Nie mogę dopuścić do tego małżeństwa i akurat w tej chwili nie mam ochoty, żeby się ze mną drażnił na ten temat.

– Nie zapij się jutro na śmierć – radzę. – I miej oko na moją siostrę.

– Taryn dzisiaj raczej dobrze się bawiła – zauważa. – Rumiane liczko i promienny uśmiech.

– I byłoby dobrze, żeby się to nie zmieniło – mówię.

Unosi brwi.

– Chciałabyś, żebym ją odbił Lokiemu? Zawsze mogę spróbować. Niczego nie obiecuję, jeśli chodzi o rezultat, ale mogłoby cię to zabawić.

– Nie, w żadnym razie nie rób tego – mówię, nie zwracając uwagi na przerażenie, które mnie ogarnia, gdy dociera do mnie sens jego słów. – Chciałabym tylko, żeby Loki choć trochę się pilnował, kiedy ona jest w pobliżu. Nic więcej.

Mruży powieki.

– A nie wolałabyś, by się działo wręcz przeciwnie?

Może byłoby lepiej, żeby Taryn przejrzała na oczy najszybciej, jak to tylko możliwe, jednak to moja siostra i nie chcę jej sprawić bólu. Kręcę głową.

Rozkłada ręce.

– Jak sobie życzysz. Twoja siostra zostanie otulona atłasem i parcianką, i na tyle chroniona przed sobą samą, na ile będę mógł na to wpłynąć.

Wstaje.

– Rada wyraża życzenie, by Loki pomyślał o rozrywkach dla Grimsena. Jeżeli mu się to spodoba, może sporządzi dla ciebie kielich, w którym nigdy nie zabraknie wina.

Nie wiem, jak mam rozumieć spojrzenie, które Cardan rzuca mi przez rzęsy. Nagle wstaje, bierze mnie za rękę.

– Nic wyborniejszego ponad to, czego brak – mówi, całując moją dłoń.

Czuję gorąco na skórze i rumieniec na twarzy.

Kiedy wychodzę, dostrzegam jego kompanów; czekają, by wrócić do komnaty króla. Moja siostra wygląda, jakby ją trochę mdliło, lecz na mój widok uśmiecha się, szeroko i fałszywie. Jeden z chłopców ułożył właśnie melodię do limeryku, gra go teraz w kółko, coraz prędzej. Ich śmiech przepełnia korytarz, a jego echo pobrzmiwa niczym krakanie wron.



Idąc korytarzem, mijam pomieszczenie, w którym zgromadziło się kilkoro dworzan. Jest wśród nich nadworny poeta dawnego Najwyższego Króla i zarazem jego seneszał, Val Moren. Siedzi na dywanie, piecze węgorza w płomieniach buzujących w czeluściach ogromnego kominka.

Wokół niego siedzą elfowie: artyści i muzycy. Kiedy wymordowana została większość królewskiej rodziny, Moren znalazł się w samym centrum jednej z dworskich frakcji, czyli w Kręgu Skowronków. We włosy wplótł gałązki jeżyny, nuci cichutko pod nosem. Jest śmiertelnikiem tak jak ja. I prawdopodobnie jest obłąkany.

– Chodź, napij się z nami – mówi jeden ze Skowronków.

Odmawiam.

– Prześliczna Jude, prześliczna. – Płomienie tańczą w oczach Vala Morena, kiedy na mnie patrzy. Obiera skórkę, zjada biały miękki miąższ węgorza. Mówi z pełnymi ustami: – Czemu jeszcze nie przyszedł do mnie po radę?

Mówią, że kiedyś był kochankiem Najwyższego Króla Eldreda. Przebywa na dworze od zamierzchłych czasów, pojawił się w tej krainie znacznie dawniej niż ja i moje siostry. Nigdy jednak nie dał mi do zrozumienia, że nasza śmiertelność jakoś nas łączy. Nigdy nie próbował żadnej z nas pomóc, nigdy nie wykonał przyjaznego gestu, byśmy poczuły się mniej osamotnione.

– A masz dla mnie jakąś radę?

Przygląda mi się uważnie, kładzie sobie na języku lśniące oko węgorza, przetyka.

– Kto wie? Lecz mało ona znaczy.

Mam już powyżej uszu tych wszystkich łamigłówek.

– Pozwól, że zgadnę. Czy dlatego mało znaczy, że gdy o nią poproszę, to mi jej odmówisz?

Śmieje się – suchy, pusty dźwięk. Zastanawiam się, ile może mieć lat. Z jeżynowym wieńcem wygląda prawie jak młodzieniec, ale śmiertelnicy nie starzeją się tutaj tak bardzo, przynajmniej dopóki nie opuszczą Elysium. A jednak, chociaż lat nie zdradzają zmarszczki na jego twarzy, dostrzegam je w jego oczach.

– Och, dostaniesz ode mnie najlepszą radę, jakiej ci kiedykolwiek udzielono, lecz z niej nie skorzystasz.

– Więc cóż mi po niej? I jaki z ciebie pożytek? – Już mam odejść, bo szkoda mi czasu, żeby głowić się nad niezrozumiałym bełkotem.

– Jestem wyśmienitym żonglerem – oznajmia, po czym ociera dłonie o spodnie, zostawiając na nich tłuste plamy. Sięga do kieszeni, wydobywa z nich kamień, trzy żołędzie, kryształ i jakąś kość. – Otóż musisz wiedzieć, że żonglerka sprowadza się do rzucania w powietrze jednocześnie dwóch rzeczy.

Zaczyna od żołędzia, potem dochodzi kość. Elfowie trącają się łokciami, szepczą między sobą w oczekiwaniu jakiejś nowej rozrywki.

– Niezależnie od tego, iloma przedmiotami żonglujesz, masz tylko dwie ręce, więc rzucać możesz tylko dwie rzeczy naraz. Po prostu musisz to robić coraz szybciej i szybciej, rzucać coraz wyżej.

W ruch idzie kamień i kryształ; przedmioty śmigają między jego dłońmi tak prędko, że prawie ich nie widać. Wstrzymuję oddech.

A potem wszystko spada z hukiem na kamienną podłogę. Kryształ się roztrzaskuje, jeden z żołędzi turla się w ogień.

– Moja rada jest taka – powiada Val Moren – żebyś nauczyła się żonglować lepiej ode mnie, seneszalu.

Przez dłuższą chwilę złość odejmuje mi mowę. W duchu aż się trzęsę z wściekłości, myśląc, że jest jedna, jedyna osoba, która powinna rozumieć, jak to jest – być w tym miejscu, będąc tym, kim jesteśmy – i że właśnie ta osoba kpi sobie ze mnie w żywe oczy.

Zanim jednak zrobię coś, czego potem będę żałować, odwracam się na pięcie i wychodzę.

– Mówiłem, że nie posłuchasz mojej rady – woła za mną nadworny szalenciec.

ROZDIAŁ

11

Wieczorem w dniu Łowieckiego Księżyca cały dwór przenosi się do Mleczlasu, gdzie drzewa są spowite pajęczynami i w moich śmiertelnych oczach wyglądają jak kokony moli, a może opakowane pajęczne kolacje.

Na polecenie Lokiego, metodą przypominającą budowanie przez wieśniaków muru rozdzielającego pastwiska, wzniesiono z płaskich kamieni coś na kształt tronu. Jeden potężny głaz służy za oparcie, drugi za siedzisko. Konstrukcja góruje nad polaną. Cardan zasiada na nim, korona łśni na jego skroniach. W ognisku płoną wonna szaławia i krwawnik. Przez chwilę mam wrażenie, że Cardan wyrósł, przeniósł się do mitycznej rzeczywistości jako prawdziwy Najwyższy Król elfów, a nie czyjaś marionetka.

Aż zwalniam kroku, nagle ogarnia mnie panika.

Król jest żywym symbolem, bijącym sercem. Jest gwiazdą, na której zapisana jest przyszłość Elfhame i Elysium. Z pewnością spostrzeżliście, że odkąd zaczęło się to panowanie, wyspy zmieniły swoje oblicze. Prędzej nadciągają burze. Kolory są żywsze, zapachy ostrzejsze... Kiedy się upija, jego poddanym bez widocznej przyczyny też szumi w głowach. Gdy przelewa krew, wszystko rośnie.

Mam nadzieję, że tego po mnie nie widać. Gdy przed nim stoję, skłaniam głowę i tym razem cieszę się, że nie muszę mu patrzeć w oczy.

– Mój królu – odzywam się.

Cardan wstaje, rozchyła się płaszcz sporządzony z łśniących czarnych piór. Nowy pierścień połyskuje na jego małym palcu, w czerwonym kamieniu odbijają się płomienie ogniska. Skąd znam ten pierścień? To mój pierścień.

Przypominam sobie, że poprzedniego dnia wziął mnie za rękę.

Zaciskam zęby, jednocześnie rzucam okiem na własną gołą dłoń. Ukradł mi go. Ukradł, a ja niczego nie spostrzegłam. Karakan go tego nauczył.

Ciekawe, czy Nicassia uznałaby to za zdradę. W każdym razie ja czuję się zdradzona.

– Przejdź się ze mną – powiada król, bierze mnie za rękę i prowadzi w tłum.

Gremliny i gobliny, skóry zielone i brązowe, puchate skrzydełka i stroje z rzeźbionej kory. Wszyscy elfowie z Elfhame wystroili się dziś odświętnie. Mijamy kogoś okrytego płaszczem z naszytymi złotymi liśćmi i kogoś, kto przywdział zieloną skórzaną kurtę oraz czapkę,

której czubek zwija się w spiralę jak młody pęd paproci. Na ziemi rozłożono płachty, a na nich piętrzą się winogrona wielkości pięści i czereśnie o rubinowym połysku.

– Dokąd idziemy? – pytam, widząc, że Cardan prowadzi mnie w kierunku skraju lasu.

– Nuży mnie, że każda moja rozmowa staje się przedmiotem cudzych dociekań i komentarzy. Chcę, żebyś wiedziała: twojej siostry dzisiaj tu nie ma. Zadbalem o to.

– Cóż więc Loki planuje na dzisiaj? – Nie zamierzam Cardanowi dziękować ani gratulować zręczności. – Bez wątpienia jego reputacja zależy od tego, jak przebiegnie ten wieczór.

– Nie zawracam sobie swojej ślicznej główki takimi drobiazgami. Waszym obowiązkiem jest wykonywanie ciężkiej pracy. Jak tej mrówki z bajki, która grzebie w kurzu i pyle, podczas gdy konik polny śpiewa i hasa przez całe lato.

– A potem w zimie nie ma co jeść.

– Gdzie mi myśleć o przyszłości – mówi i z udawanym ubolewaniem potrząsa głową. – Jestem wszak tylko słomianym królem, którego przeznaczeniem jest zostać złożonym w ofierze, aby wiosną miejsce moje mógł zająć malec Dąb.

Nad naszymi głowami rozpalają się świetliste kule. Roztaczając ciepłe, magiczne światło, płyną w powietrzu. Jego słowa sprawiają, że przechodzi mnie dreszcz lęku.

Patrzę mu w oczy. Jego dłoń dotyka mojego biodra, tak jakby chciał mnie do siebie przyciągnąć. Przez głupią chwilę zawrotu głowy mam wrażenie, że coś iskrzy w powietrzu między nami.

Całuj, aż mnie od tego zemdli.

Rzecz jasna, nie próbuje mnie pocałować. Nikt do niego nie strzelał, nie znajduje się w stanie delirycznego upojenia, nie przepętnia go wzdrga dla siebie samego.

– Nie powinno cię tu dzisiaj być, mróweczko – mówi, cofając dłoń. – Wracaj do pałacu.

I po prostu odchodzi. Idzie przez tłum, a dworzanie rozstępują się. Co śmielsi chwytają go za płaszcz, zaczepiają, próbują go wciągnąć do tańca.

A on, który kiedyś oderwał chłopcu skrzydełka tylko dlatego, że malec się nie uklonił, teraz ze śmiechem pozwala na te poufałości.

Co się z nim stało? Czy się odmienił, bo go do tego przymusiłam?

Czy może dlatego, że się wyzwolił spod wpływu Balekina? Czy też wcale się nie zmienił, a ja tylko widzę coś, co chciałabym zobaczyć?

Nadal czuję dotyk jego palców. Naprawdę coś ze mną nie tak. Jak można pragnąć czegoś, czego się nienawidzi; pożądać kogoś, kto mną gardzi, nawet jeśli on też mnie pożąda? Jedyna pociecha, że on nie wie, co ja czuję.

Niezależnie od tego, jakie uciechy Loki zaplanował na tę noc, muszę zostać, żeby spotkać się z przedstawicielem Dworu Termitów. Chcę jak najprędzej odwdziaczyć się Roibenowi za wyświadczoną mi przysługę, pozbyć się ciężącego długu. Trudno zresztą spodziewać się, żeby podczas uciech tej nocy ktoś zdołał dokuczyć mi bardziej, niż się to zdarzało do tej

pory.

Cardan znów zasiada na swoim tronie, a na horyzoncie pojawia się Nicassia w towarzystwie Grimsena okrytego płaszczem ze spinką w kształcie żywej ćmy.

Grimsen wygłasza jakąś przemowę, zapewne schlebiając władcy, po czym wyciąga coś z kieszeni. To kolczyk, pojedyncza kropelka, którą Cardan podnosi do światła i podziwia. A więc powstał pierwszy magiczny przedmiot stworzony przez Grimsena w służbie Elfhame.

Po lewej stronie od nich dostrzegam siedzącego na gałęzi drzewa chochlika o sowej twarzy imieniem Smok. Mruga ślepiami. Ducha i innych szpiegów nie widzę, ale wiem, że obserwują biesiadę z odpowiedniego dystansu, a gdyby ktoś spróbował przypuścić atak, natychmiast się pojawią.

Przypominający centaura muzyk o ciele jelenia wysunął się naprzód; dzierży lirę w kształcie pixie – skrzydełka tworzą górną część instrumentu, struny mają różne barwy. Muzyk zaczyna grać, rzeźba zaczyna śpiewać.

Nicassia niedbałym krokiem zmierza w stronę Grimsena. Jej fioletowa suknia przybiera opalizującą błękitną barwę, kiedy odbija się w niej światło. Włosy, zaplecione wokół czoła jak korona, przyozdobiła łańcuszkiem, z którego zwisają tuziny paciorków rzucających purpurowe, błękitne i bursztynowe iskry.

Kiedy Grimsen odwraca się w jej stronę, wyraźnie rozpogadza się, a ja marszczę brwi.

Pojawiają się zonglerzy, w powietrze wzlatają najrozmaitsze przedmioty – od żywych szczurów po lśniące miecze. Wśród gości krążą dzbany wina i tace z miodowymi ciasteczkami.

Spostrzegam wreszcie Dulcamarę z Dworu Termitów; jej czerwone jak płatki maków włosy splecione są w spirale, okrywa ją srebrna suknia, a na plecach dostrzegam dwuręczny miecz. Podchodzę, staram się nie okazywać, jak mnie onieśmiela.

– Witam – odzywam się. – Czemu zawdzięczamy zaszczyt, jakim jest ta wizyta? Czy twój król wpadł na pomysł, jak mogłabym się odwdziaczyć...?

Przerywa mi, spoglądając w stronę Cardana:

– Pan Roiben pragnie ci powiedzieć, że wieści docierają nawet na niższe dwory.

Dokonuję w myśli szybkiego przeglądu rozmaitych informacji, jakie mogły dotrzeć do Dulcamary, a potem przypominam sobie o pogłoskach, jakoby Cardan postrzelił dla zabawy jedną ze swoich kochanek. Dwór Termitów to jeden z tych, które zamieszkują zarówno cne, jak i niecne rody, nie jestem jednak pewna, jak się odniosą do tego, że zraniono dwórkę. Czy raczej chodzi o niezrównoważony charakter naszego króla?

– Kłamstwa pojawiają się nawet tam, gdzie nie ma kłamców – zaczynam ostrożnie. – Nie wiem, jakie do was dotarły pogłoski, ale mogę wyjaśnić, co naprawdę się zdarzyło.

– I sądzisz, że ci uwierzę? Nie żartuj. – Dulcamara uśmiecha się krzywo. – Śmiertelna istota, spłaty długu możemy się dopomnieć w dowolnej a dogodnej dla nas chwili. Skąd

wiesz, czy pan Roiben nie przysłał mnie na przykład po to, bym pełniła funkcję twojej osobistej strażniczki? – Krzywię się na to, bo w tym wypadku „strażniczka” niewątpliwie znaczy „szpieg”. – Albo może zechcemy pożyczyć od was tego kowalskiego mistrza Grimsena. Mógłby dla Roibena wykuć miecz zdolny rozciąć więzy ślubowania.

– Nie zapomniałam o przysiędze. Co więcej, liczyłam, że dasz mi szansę, bym dotrzymała słowa – mówię, prostując się godnie. – Jednak pan Roiben nie powinien zapominać, że...

Przerywa mi.

– Pilnuj się, żebyś to ty nie zapomniała – rzuca, po czym odwraca się i odchodzi, pozostawiając mnie rozmyślaniom, czy mogłam lepiej wyrazić, co miałam do powiedzenia. Dług wobec Dworu Termitów nadal mi ciąży i nadal nie mam sposobu, żeby przedłużyć swoją władzę nad Cardanem. Nie mam też pojęcia, kto mógł mnie zdradzić ani co zrobić z Nicassią.

Przynajmniej, pomimo przechwałek Lokiego, na razie ta biesiada nie przebiega gorzej niż wszystkie inne. Zaczynam rozważać, czy może dałoby się spełnić życzenie Taryn i pozbawić mistrza biesiadnego godności za to, że wyszedł na nudziarza.

Tymczasem Loki, jakby czytał w moich myślach, klaszcze w dłonie, by uciszyć tłum.

– Mam dla was kolejną zabawę – oznajmia. – Czas ukoronować dziś nową władczynię, naszą Królową Uciech!

Jeden z lutnistów odgrywa skoczną improwizację. Na widowni słychać pojedyncze śmiechy.

Czuję zimny dreszcz. Słyszałam o tej zabawie, chociaż nigdy nie byłam jej świadkiem. Jest prosta: wystarczy porwać śmiertelną dziewczynę, spoić ją elfowym winem, elfowymi umizgami i pocałunkami, a potem wmówić jej, że zostaje ukoronowana – jednocześnie przez cały czas lżąc ją i ośmieszając, z czego ona nie zdaje sobie sprawy. Jeżeli Loki ściągnął tutaj jakąś dziewczynę ze świata śmiertelników, żeby sobie poużywać jej kosztem, będzie miał ze mną do czynienia.

Jeszcze nie do końca zdążyłam to pomyśleć, kiedy Loki woła:

– Ale wiadoma to rzecz, że tylko król może ukoronować królową.

Cardan wstaje ze swojego kamiennego tronu, schodzi po stopniach i staje obok Lokiego. Długi, pierzasty płaszcz ciągnie się za nim.

– Gdzież więc ona jest? – pyta Najwyższy Król, unosząc brwi. Nie wygląda na rozbawionego, mam więc nadzieję, że ukróci te żarty, zanim się na dobre zaczną. Czemuż miałyby go bawić coś takiego?

– Jak to, jeszcze nie zgadliście? Przecież wśród nas jest tylko jedna śmiertelniczka – oznajmia Loki. – Wszak naszą Królową Uciech jest Jude Duarte!

Przez chwilę mam zupełną pustkę w głowie. Nie mogę myśleć. Potem dostrzegam szelmowski uśmiech Lokiego i roześmiane oblicza dworskich elfów. Drętwieję z przerażenia.

– Wznieśmy więc okrzyk na jej cześć – nakazuje Loki.

Wrzeszczą nieludzkimi głosami, a ja muszę w tym czasie stłumić paniczną bojaźń. Patrzę na Cardana i w jego oczach widzę niebezpieczny błysk. Rozumiem, że nie mam co się spodziewać życzliwości z jego strony.

Nicassia jest rozpromieniona, a towarzyszący jej mistrz kowalskiego rzemiosła też się dobrze bawi. Stojąca na skraju lasu Dulcamara przygląda mi się uważnie, czeka, co zrobię.

Wygląda na to, że Loki chociaż raz trafił w dziesiątkę. Obiecał Najwyższemu Królowi uciechy, no i nie mam wątpliwości, że takim pomysłem zachwycił Cardana.

Mogłabym mu rozkazać, żeby natychmiast zakończył tę farsę. On też o tym wie, z czego wniosek, że zakłada, iż choć będzie to dla mnie piekielnie nieprzyjemne, to przecież nie aż tak, żeby zdradziła wszystkim wszystko.

Rzecz jasna, najpierw trzeba będzie sporo znieść.

Pożalujesz tego.

Nie, nie wypowiadam tych słów, ale patrzę na Cardana i wypowiadam je w myśli z taką mocą, jakbym krzyczała.

Loki daje znak i natychmiast pojawia się grupa chochlików niosących wstrętny, poszarpany łachman oraz wieniec z gałęzi. Do żebraczej korony przymocowano cuchnące grzybki, te, z których unosi się śmierdzący zgnilizną pył.

Przeklinam pod nosem.

– Nowe szaty dla nowej władczyni – oznajmia Loki.

Znowu śmiechy, choć także okrzyki zaskoczenia. To jest okrutna zabawa. Dziewczyny, które się do niej bierze, pozostają pod mocą uroków, więc nie wiedzą, że są obiektem drwin. Na tym zresztą polega cały pomysł, że są śmieszne w swojej nieświadomości. Zachwycają się rzekomo przepysznyimi strojami, rozkoszują klejnotami w koronie, omdlewają, gdyż zdaje im się, że oto nadeszło spełnienie najskrytszych marzeń.

Dzięki géisowi księcia Daina czary się mnie nie imają, lecz nawet gdyby tak nie było, to przecież każdy dworak spodziewa się, że ktoś postawiony równie wysoko jak seneszał Najwyższego Króla będzie zaopatrzony w ochronne amulety – wianuszek z owoców jarzębiny, pęczek żołądź, garść popiołu, gałązkę cierniową. Są świadomi tego, że doskonale wiem, jakie to stroje Loki mi przeznaczył.

Dwór przygląda mi się niecierpliwie, z zapartym tchem. Z pewnością nigdy jeszcze nie widzieli Królowej Uciech, która by wiedziała, co się z nią dzieje. Jest to więc zupełnie nowy rodzaj zabawy.

– Powiedźże nam, jak ci się podoba nasza nowa władczyni – żąda Loki od Cardana z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Oblicze Najwyższego Króla kamienieje, lecz za chwilę wygładza się, kiedy obwieszcza dworzanom:

– Aż nazbyt często trapiły mnie sny o niej – oznajmia, a jego słowa niosą się donośnym

echem. – Jej twarz pojawia się w moich najczęstszych koszmarach, a ona sama odgrywa w nich znaczącą rolę.

Ryk śmiechu. Czuję żar na twarzy, bo wyjawia im tajemnicę i posługuje się nią, żeby ze mnie zadrwić.

Kiedy na tronie Najwyższego Króla zasiadał Eldred, uczyty miały charakter stateczny, uroczysty, lecz nastanie nowego Najwyższego Króla to nie tylko przemiana jego ziemi, tyczy się to także samego dworu. Widać, że zachwycają ich jego kaprysy i jego okrucieństwo. Byłam głupia, myśląc, że zmienił się choćby trochę.

– Niektórzy z nas nie znajdują urody w istotach śmiertelnych. Zapewne wielu z was mogłoby się zarzekać, iż Jude nie jest piękną.

Przez chwilę zastanawiam się, czy on nie chce przypadkiem wykorzystać tej sytuacji, żeby mnie rozwścieczyć, żebym kazała mu skończyć zabawę i w ten sposób wyjawiała dworzanom naturę naszego układu. Ale nie, tylko serce mi tak łomocze, że nie potrafię myśleć.

– Ja jednak uważam, że jej uroda jest... niezwykła. – Cardan urywa, by wybrzmiał śmiech tłumu. – Bolesna. Niepokojąca. Powalająca.

– A więc trzeba jej większego splendoru, by uwydatnić te niezwykłe zalety – woła Loki. – Najpiękniejszy klejnot wymaga równie wspaniałej oprawy.

Chochliki ruszają w moją stronę, chcą zarzucić łachman na mój strój, ku tym większej uciechy elfowego ludku.

Znowu śmiechy. Jest mi gorąco. Najchętniej uciekłabym, ale kusi mnie, żeby im pokazać. Niech wiedzą, że nie tak łatwo mnie onieśmielić.

– Stać! – rozkazuję podniesionym głosem.

Chochliki nieruchomieją. Wyraz twarzy Cardana jest nieprzenikniony.

Schylam się, chwytam za rąbek spódnicy i ściągam suknię przez głowę. To prosty strój, żadnego gorsetu, żadnych klamer, więc łatwo go zdjąć. Stoję pośród gawiedzi w samej bieliźnie. Niech teraz odważą się odezwać. Niech Cardan odważy się przemówić.

– Teraz mogę przywdziać swoją nową suknię – ogłaszam.

Rozlega się kilka okrzyków na moją cześć, tak jakby nie rozumieli, że ta gra polega na upokorzeniu.

Co dziwne, Lokiemu jakby w to graj.

Cardan podchodzi, pozerając mnie wzrokiem. Nie jestem pewna, czy zniosę, jeśli znów zechce mi docinać. Na szczęście chyba trochę go zatkało.

– Jak ja cię nienawidzę – szepczę, zanim zdąży się odezwać.

Zbliża swoją twarz do mojej.

– Powiedz to jeszcze raz – szepcze. Chochliki tymczasem rozczesują moje włosy i wkładają na głowę brzydką, śmierdzącą koronę. Cardan odezwał się przyciszonym głosem, te słowa przeznaczone są tylko dla mnie.

Wyrywam mu się, ale nie mogę nie widzieć wyrazu jego twarzy. Jest taki sam jak wtedy, kiedy zmusiłam go, by odpowiadał na moje pytania. Kiedy przyznał, że mnie pożąda. Sprawia wrażenie, jakby miał znowu to wyznać.

Czuję przechodzącą przez ciało falę gorąca, jestem jednocześnie wściekła i zawstydzona. Zmieszana odwracam głowę.

– Królowo Uciech, czas na twój pierwszy taniec! – wrzeszczy Loki i pcha mnie w stronę tłumu.

Szponiaste palce zaciskają się na moich ramionach. Nieludzki śmiech dźwięczy mi w uszach, gdy rozbrzmiewa muzyka, gdy ruszam w tan. Moje stopy ugniatają ziemię w rytm bijących bębnow, serce łomocze do wtóru fletniowych treli. Obracają mną, przekazują sobie z rąk do rąk. Ciągają i popychają, podszczypują; objam się o ich łokcie i ramiona.

Próbuję się wyzwolić z czaru muzyki, przerwać taniec, ale nie jestem w stanie. Słaniam się, a wtedy czyjeś ręce mnie podtrzymują, aż rytm porywa mnie na nowo. Świat staje się jednym wirem dźwięków i powiewających tkanin, oczu czarnych niby inkaust i nazbyt ostrych kłów.

Gubię się w tym, tracę panowanie nad rzeczywistością, tak jakbym znów stała się dzieckiem, jakbym nie zawarła układu z Dainem, nie zażywała trucizn, nie skradła tronu. To nie jest urok ani czary, po prostu nie mogę przestać tańczyć, nie mogę powstrzymać tego ruchu, chociaż ogarnia mnie paniczny strach. Nie zatrzymam się. Nie przestanę tańczyć, aż zedrę podeszwy i stopy do krwi, aż całkiem opadnę z sił.

– Cisza, muzykanci! – krzyczę najgłośniejszym jak potrafie, a śmiertelne przelęknienie dodaje mi sił. – Jestem waszą Królową Uciech i seneszalem Najwyższego Króla, więc chcę wybrać sobie tancerza!

Muzyka milknie. Tupot tańczących stóp cichnie. Może to tylko chwila wytchnienia, ale nie byłam pewna, czy choćby na to mogę liczyć. Trzęsę się ze złości, strachu i wyczerpania, bo musiałam walczyć z własnym ciałem.

Prostuję się majestatycznie, udając, że odziana jestem w wytworne suknie, a nie łachmany.

– Wszyscy stają w koło – rzucam komendę, starając się mówić takim tonem, jakim by przemówiła moja macocha, Oriana. Tym razem mój głos brzmi dokładnie tak, jak sobie tego życzę, dostojnie i rozkazująco. – Ja zaś zatańczę z moim królem, który raczył mnie tej nocy zasypać podarkami i komplementami.

Przyglądają mi się lśnącymi, wilgotnymi oczami. To słowa, jakich by oczekiwali od swojej Królowej Uciech; bez wątplenia niezliczone śmiertelniczki tak właśnie przemawiały – tyle że w innych okolicznościach.

Mam nadzieję, że to im nie daje spokoju: przecież kłamię.

Bądź co bądź, skoro najczęściej ciskaną przez nich we mnie obelgą jest moja śmiertelność, oto moja riposta. Ja także jestem stąd i znam zasady gry. Może nawet znam je

lepiej, gdyż wy macie je we krwi, a ja musiałam się ich nauczyć. Być może znam je lepiej, bo wam trudniej je złamać.

– Czy Wasza Królewska Mość ze mną zatańczy? – pytam Cardana, dygając unizienie. Mówię lodowatym głosem: – Albowiem tyleż piękna znajduję w twoim majestacie, co ty we mnie, o mój królu.

Pomruk przebiega przez tłum. Utałałam nosa Cardanowi i dworzanie nie są pewni, czy im się to podoba. Owszem, lubią to, co niezwykle, lubią niespodzianki, chyba jednak jeszcze nie wiedzą, czy ta przypadnie im do gustu.

Niewątpliwie jednak są zaciekawieni moim małym przedstawieniem.

– Z rozkoszą – odpowiada, a muzykanci znów zaczynają grać. Cardan obejmuje mnie ramionami.

Tańczyliśmy przedtem tylko raz, na niedoszej koronacji Księcia Daina – nim rozpoczęła się rzeź. Potem zaś wzięłam Cardana do niewoli, przykładając mu do krtani ostrze sztyletu. Ciekawe, czy o tym myśli, gdy wiruje ze mną w tańcu pośród drzew Mleczlasu.

Może i kiepski z niego szermierz, ale tak jak zapewniał córkę czarownicy, jest świetnym tancerzem. Prowadzi mnie bezbłędnie przez kroki, które sama z pewnością bym pomyliła. Moje serce bije mocno, skóra spływa potem.

Pergaminowe ćmy trzepocą nad naszymi głowami, krążą, jakby wabił je blask gwiazd.

– Cokolwiek złego mi zrobisz – mówię, zbyt rozżłoszczona, żeby siedzieć cicho – ja potrafię ci odpłacić w dwójnasób.

– Och – odpowiada i zaciska palce na mojej dłoni. – Niech ci się nie zdaje, że choćby przez chwilę o tym zapomnę.

– A więc po co to wszystko?

– Sądzisz, że zaplanowałam twe upokorzenie? Ja? To by już zatraćło o pracę.

– Mało mnie obchodzi, co zaplanowałeś – odpowiadam, gniew mąci mój umysł i uczucia.

– Mam ci za złe, że tak dobrze się bawiłeś.

– A czemuż nie miałbym znajdować uciechy w twoim ponizeniu? Oszukałaś mnie. Zrobiłaś ze mnie błazna, błazeńskiego króla.

– Błazeńskiego Najwyższego Króla – dodaję głosem kipiącym od kpiny. Nasze spojrzenia się spotykają i nagle oboje zdajemy sobie sprawę, że nasze ciała zbyt do siebie przywarły. Mam świadomość swojej skóry, kropelek potu na wargach, ud ocierających się o siebie. Czuję ciepło jego karku pod moimi palcami, bliskość gęstwiny jego włosów. Pragnęłabym wsunąć w nie palce. Wdycham jego zapach – aromat dębowego drewna i skóry. Patrzę na jego zdradzieckie usta i wyobrażam je sobie na moich ustach.

Wszystko jest nie tak. Wokół nas zabawa znów rozkręca się na dobre, choć niektórzy dworzanie spoglądają ku nam; cóż, na dworze niektórzy zawsze spoglądają na Najwyższego Króla. Ważne, że pomysły Lokiego najwyraźniej się już wyczerpały.

Zresztą Cardan przecież mówił, że bym wracała do pałacu, tylko że ja zignorowałam to

ostrzeżenie.

Przypominam sobie wyraz twarzy Lokiego, kiedy przemówił Cardan, wyraz radosnego oczekiwania. Nie na mnie przecież patrzył. Dopiero teraz przychodzi mi do głowy, że moje upokorzenie było tylko narzędziem, przynętą, prowokacją.

Powiedźże nam, jak ci się podoba nasza nowa władczyni.

Ku mej niewypowiedzianej uldze, gdy tańczący zataczają pełny krąg, muzyka znowu milknie. Muzykanci spoglądają na Najwyższego Króla, czekając poleceń. Odsuwam się.

– Wasza Wysokość, jestem już zmęczona. Proszę o zgodę, bym mogła udać się na spoczynek.

Przez chwilę nie jestem pewna, co zrobię, jeżeli Cardan tej zgody odmówi. Wydałam mu wiele rozkazów, ale żaden z nich nie dotyczył oszczędzania moich uczuć.

– Wolno ci odejść lub pozostać, wedle upodobania – odpowiada wspaniałomyślnie Cardan. – Królowa Uciech mile jest widziana wszędzie, dokądkolwiek się uda.

Odwracam się, oddalam od rozbawionego tłumu.

Gdy już jestem sama, opieram się plecami od drzewo, łapczywie wdycham chłodne morskie powietrze. Moje policzki są gorące, twarz płonie.

Znajduję się na skraju Mleczlasu, przyglądam się falom tłukącym o czarne skaliste wybrzeże. Po chwili dostrzegam sylwetki na piasku, jakby cienie poruszające się o własnych siłach. Mrużę oczy. To nie cienie. To selkie, które wychodzą z morza. Jest ich co najmniej dwudziestka. Zrzucają gładkie focze skóry, błyskają srebrne miecze.

Podmorskie stwory przybyły na ucztę z okazji Łowieckiego Księżyca.

ROZDIAŁ

12

Pędzę z powrotem, rozdzierając łańchman o kolce krzewów. Kieruję się prosto do najbliższego stojącego strażnika. Patrzy na mnie ze zdziwieniem, kiedy wypadam z ciemności, zdyszana, wciąż jeszcze mając na sobie obmierzły strój Królowej Uciech.

– Toń. – Tyle jestem w stanie wysapać. – Selkie. Nadchodzą. Chrońcie króla.

Nie waha się ani przez moment, nie traci czasu na wątpliwości. Przywołuje rycerzy, którzy błyskawicznie otaczają tron. Cardan przygląda się temu manewrowi, najpierw zdezorientowany, a potem nagle, na krótką chwilę ogarnia go przerażenie. Z pewnością przypomniał sobie, jak Madok otoczył strażą podium, na którym odbywała się ceremonia koronacyjna księcia Daina, a chwilę potem Balekin rozpoczął jatkę.

Nim udaje mi się do niego dotrzeć i wyjaśnić, selkie wyłaniają się już z lasu. Ich smukłe ciała są nagie, jeśli nie liczyć sznurów wodorostów i pereł zawieszonych na szyjach. Instrumenty milkną, cichnie śmiech.

Sięgam do boku, dobywam długiego noża.

– Co to ma znaczyć? – Cardan wstaje i domaga się odpowiedzi.

Selkie kłaniają się i odsuwają na bok. Za tą przednią strażą podążają szlachetnie urodzeni wasale królowej mórz. Idą na nogach, których z pewnością jeszcze godzinę temu nie mieli; zmierzają w stronę tronu w mokrych szatach, kaftanach i pludrach, lecz najwyraźniej wcale im to nie przeszkadza. Wyglądają strasznie nawet w tych dworskich strojach.

Rozglądam się za Nicassią, nigdzie jednak nie widzę ani jej, ani kowala. Loki siedzi sobie na jednym z podłokietników kamiennego tronu, a minę ma taką, jakby chciał dać do zrozumienia, że dopóki to Cardan jest Najwyższym Królem, godność królewska niewiele znaczy.

– Wasza Wysokość – przemawia mężczyzna o szarej cerze ubrany w płaszcz zrobiony chyba ze skóry rekina. Jego głos brzmi dziwnie, tak jakby dawno go nie używał. – Orlagh, królowa Toni, przysłała nas z wiadomością dla Najwyższego Króla. Zechciej udzielić nam głosu, panie.

Krąg rycerzy wokół Cardana zacieśnia się.

Cardan nie od razu odpowiada. Najpierw zasiada na tronie.

– Przedstawiciele Toni mile są widziani na naszych obchodach Łowieckiego Księżyca.

Tańczcie więc i pijcie. Nikt nie może powiedzieć, że odmawiamy gościny, nawet jeśli ktoś przybywa bez zaproszenia.

Posłaniec klęka, ale w jego słowach nie ma nic z pokory.

– Dzięki ci, królu, za twoją wspaniałomyślność. Jednak nie wolno nam oddać się uciechom, zanim nie przekazemy posłania od naszej władczyni. Musisz nas wysłuchać

– Ach, skoro muszę. Doskonale – odzywa się Najwyższy Król po chwili. Macha niedbale ręką. – Cóż więc wasza władczyni ma mi do powiedzenia?

Szaroskóry kiwa ręką na dziewczynę w przemoczonej błękitnej sukni, o włosach zaplecionych w warkocze. Kiedy otwiera usta, widać że ma cienkie zęby, ostre jak szpilki, a przy tym dziwnie przezroczyste. Posłanka intonuje:

*Morzu trzeba oblubieńca
Ziemi żony dla młodzieńca.
Złącz ze sobą ziemię, morze
bo inaczej ziemi gorze.
Raz morzu rzeknij „nie”,
a płakać będziesz swej krwi.
Sprzeciw się po raz wtóry,
a z wodą spłyną góry.
Postaw się po raz trzeci,
to korona z głowy zleci.*

Elfowie z ziemskich krain, dworzanie i petenci, służący i szlachetnie urodzeni słuchają tych słów z niedowierzaniem.

– Czy to mają być oświadczenia? – odzywa się Loki. Chciał chyba to powiedzieć cicho, tak żeby słyszał go tylko Cardan, lecz w całkowitej ciszy, jaka nagle zapadła, jego słowa niosą się daleko.

– Obawiam się, że raczej pogrożka – odpowiada mu Cardan. Patrzy surowo na dziewczynę, na szaroskórego, na pozostałych przybyłych. – Przekazaliście posłanie. Nie mam pod ręką żadnych rymowanek, żeby nimi odpowiedzieć. Moja to wina, bo dobrałem sobie senesza, który w przeciwieństwie do poprzedniego nie pełni zarazem obowiązków dworskiego poety. Jednak z pewnością ktoś coś kiedyś naskrobie, a potem przy okazji wrzuci się papier do wody.

Jeszcze przez chwilę wszyscy pozostają na miejscu, w całkowitym bezruchu.

Cardan klaszcze w dłonie, co powoduje nerwowe drgnienie u przybyszy z głębin.

– No? – krzyczy. – Tańczyc! Weselić się! Po to tu wszak przybyliście, czyż nie?

Jego głos nie dopuszcza sprzeciwu. Już nie tylko wygląda jak Najwyższy Król elfów, zaczął też przemawiać jak przystało na Najwyższego Króla.

Mam złe przeczucia.

Dworzanie z morskich głębin, odziani w mokre szaty połyskujące od pereł, spoglądają nań bladymi, zimnymi oczami. Ich twarze do tego stopnia pozbawione są wyrazu, że nie wiem, czy uznali tę odpowiedź za obelgę. Kiedy jednak rozlega się muzyka, chwytają się za błoniaste dłonie i przyłączają do zabawy, płasząc w podskokach, tak jakby pod powierzchnią wód nieustannie oddawali się takim uciechom.

Podczas tej wymiany zdań moi szpiedzy pozostali w ukryciu. Loki oddała się od tronu; już po chwili wiruje w tańcu z dwiema niemal nagimi selkie. Nicassia znikła bez śladu; rozglądam się za Dulcamarą, ale jej także nigdzie nie widzę. Mając na sobie te szmaty, nie bardzo mogę występować w oficjalnym charakterze, więc przynajmniej zdzieram z głowy śmierdzącą koronę i rzucam ją w krzaki.

Mam zamiar pozbyć się też łachmanów, nim jednak udaje mi się to zrobić, Cardan przyzywa mnie do siebie.

Nie kłaniam się. Bądź co bądź dzisiejszej nocy jestem udzielną władczynią. Królową Uciech, która wcale się nie cieszy.

– Podobno zamierzałaś się oddalić – rzuca Cardan.

– Podobno jako Królowa Uciech jestem mile widziana, gdziekolwiek się znajdę – odpowiadam półgłosem.

– Zgromadź Wieczną Radę w moich komnatach. – Wydaje mi rozkaz głosem zimnym, nieobecny i królewskim. – Dołączę, gdy tylko zdołam się wyrwać.

Odpowiadam skinieniem głowy i dopiero po chwili, kiedy już przedzieram się przez tłum, uświadamiam sobie dwie rzeczy: po pierwsze, wydał mi rozkaz, i po drugie, ja go posłuchałam.



Kiedy już jestem w pałacu, posyłam paziów, by sprowadzili do królewskiego apartamentu członków Rady. Smoka posyłam z wiadomością dla moich szpiegów: mają dowiedzieć się, gdzie zawieruszyła się Nicassia. Spodziewałabym się raczej, że będzie chciała usłyszeć odpowiedź Cardana, choć z drugiej strony, skoro była do tego stopnia niepewna jego uczuć, że próbowała zamordować rywalkę, można zrozumieć jej obawy. Nawet jeśli jest przekonana, że Cardan wybierze ją zamiast wojny, z pewnością nie bardzo to schlebia jej próżności.

Docieram do swoich komnat, zrzucam łachmany i myję się pospiesznie. Chcę się pozbyć odoru grzybów, smrodu ognia i hańby. Teraz możliwość przebrania się w stare ciuchy odbieram niczym prawdziwe błogosławieństwo. Wkładam skromną brązową suknię, nawet

zbyt prostą jak na moją obecną pozycję, ale jednocześnie czuję się w niej swobodnie. Surowo obchodzę się z włosami, mocno spinając je z tyłu.

Strzępka już sobie poszła, wszędzie jednak widać nieomyślne oznaki jej obecności. Moje komnaty są wysprzątane, rzeczy wyprasowane i rozwieszane.

Dopiero teraz dostrzegam leżącą na biurku adresowaną do mnie kopertę: od Generała Głównodowodzącego Armii Najwyższego Króla do Seneszała Jego Wysokości.

List jest krótszy niż adres na kopercie.

Natychmiast przyjdź do Sali Wojennej. Nie czekaj na posiedzenie Rady.

To brzmi poważnie. Mogłabym udać, że nie dostałam tej wiadomości i po prostu nie iść, ale to byłoby tchórzostwo.

Jeśli Madok nadal liczy na to, że uda mu się posadzić Dęba na tronie, nie może dopuścić do mariażu z podmorskim dworem. Nie może jednak wiedzieć, że akurat pod tym względem jestem całkowicie po jego stronie. Nadarza się wyśmienita okazja, żeby skłonić go do pokazania kart.

Tak więc, choć niechętnie, kieruję swe kroki do jego Sali Wojennej. Znam ją doskonale, bawiłam się w niej jako dziecko, najczęściej pod wielkim stołem z mapą Elysium, na której znajdowały się małe rzeźbione figurki przedstawiające dwory i armie. Vivi nazywała je „laleczkami”.

Wchodzę, wewnątrz panuje półmrok. Pali się zaledwie kilka świec na stole, wokół którego rozstawiono twarde fotele.

Pamiętam, jak zwinięta w kłębek na jednym z nich czytałam książkę, a tymczasem obok mnie knuto krwawe spiski.

Właśnie na tym fotelu siedzi teraz Madok. Na mój widok wstaje. Daje znak, żebym usiadła obok niego, jak komuś równemu sobie. Ciekawe, że okazuje mi takie względy.

Na strategicznej planszy jest teraz tylko kilka figurek. Orlagh, Cardan, Madok i postać, której nie rozpoznaję, nim się jej nie przyjrzałam uważniej. To ja. Patrzą na własną podobiznę wyrzeźbioną w drewnie. Seneszał. Królowa szpiegów. Ta, która królów osadza na tronie.

Przez chwilę zastanawiam się, co takiego zbroiłam, że wylądowałam na jego planszy.

– Dostałam od ciebie zawiadomienie.

– Pomyślałem, że po tym, co zdarzyło się tej nocy, zechcesz ponownie rozważyć niektóre z dokonanych przez siebie wyborów.

Chcę odpowiedzieć, lecz on unosi szponiastą dłoń, dając znak, żebym mu nie przerywała.

– Na twoim miejscu – mówi dalej – powodowany dumą, zapewne udawałbym, że jest inaczej. Jak wiesz, my nie możemy kłamać, przynajmniej nie za pomocą języka. Potrafimy jednak oszukiwać i mamić. Potrafimy zwodzić samych siebie nie gorzej niż każdy

śmiertelnik.

Zdumiewa mnie, że już wie o mojej przygodzie w charakterze Królowej Uciech i pośmiewiska dworu.

– Myślisz, że nie wiem, co robię?

– Hm – odpowiada ostrożnie – nie jestem co do tego przekonany. Wiem tyle, że ośmieszylaś się dla najmłodszego i najgłupszego z książąt. Czyżby coś ci obiecał?

Przygryzam wewnątrz policzka, żeby nie rzucić czegoś zbyt pochopnie. Rzeczywiście czuję się dość parszywie, ale jeśli sądzi, że celowo dałam zrobić z siebie głupca, należy go za wszelką cenę w tym przekonaniu utwierdzić.

– Przecież jestem seneszalem Najwyższego Króla, prawda?

Trudno robić dobrą minę do złej gry, gdy wciąż w uszach pobrzmiwa mi śmiech dworzan. I kiedy moje włosy wciąż jeszcze śmierdzą grzybami, a w pamięci świeżo wyryły się kąśliwe słowa Cardana.

Bolesna. Niepokojąca. Powalająca.

Madok wzdycha, rozkłada ręce.

– Czy wiesz, dlaczego Eldred zupełnie się nie interesował najmłodszym synem? Otóż Bafen wyczytał dlań w gwiazdach zły los od samych narodzin. Dopóki jednak Koronę Krwi nosi Cardan, jestem jego wasalem, tak samo jak byłem wasalem jego ojca, i tak samo byłbym winny wierność czy to Dainowi, czy też Balekinowi. Okazja, która pojawiła się podczas koronacji, a więc szansa, żeby zmienić bieg przeznaczenia, dla mnie już przepadła.

Milknie. Niezależnie od słów, którymi się posłużył, sens pozostaje jednoznaczny. Okazja przepadła, ponieważ ja skradłam koronę. To przeze mnie Dąb nie jest Najwyższym Królem, a Madok nie wykorzystuje swojego wpływu, by przekształcić Elysium na swój obraz i podobieństwo.

– Natomiast ty... – podejmuje Madok – ty nie musisz postępować zgodnie z danym słowem. Możesz podjąć działania wbrew złożonym obietnicom.

Dobrze pamiętam, co powiedział po mojej wizycie na posiedzeniu Wiecznej Rady: *Ciebie jednak żadne słowa nie mogą powstrzymać. Jeżeli załujesz swojego posunięcia, nie wzdragaj się przed następnym ruchem. A wiele jeszcze można wygrać.* Jak widać, uznał moment za odpowiedni, żeby rozwinąć ten pomysł.

– Chcesz, żebym zdradziła Cardana – mówię, żeby wszystko było jasne.

Madok wstaje, kiwa na mnie, żebym podeszła do stołu.

– Nie wiem, czego zdołałaś się dowiedzieć o królowej mórz od jej córki, ale kiedyś Toń była miejscem podobnym do Ziemi. Istniało tam wiele księstw lennych i wielu wasali rządziło wśród selkie i syren. Kiedy jednak do władzy doszła Orlagh, skończyło się panowanie pomniejszych władców. Zostali wymordowani i teraz całe podmorskie królestwo podlega tylko jej. Co prawda pozostało jeszcze kilkoro udzielnych morskich władców, których nie zdołała wziąć pod but; niektórzy są zbyt potężni, niektórzy zaś mają swe

posiadłości zbyt daleko. Jednego jednak możesz być pewna, jeśli zdoła wydać córkę za Cardana, to dopilnuje, by to samo stało się na lądzie.

– To znaczy, by wymordowano głowy pomniejszych dworów?

Uśmiecha się.

– Wszystkich dworów. Zapewne początkowo wyglądać to będzie jak nieszczęśliwe wypadki lub wynik nieprzemyślanych rozkazów. A może od razu nastąpi wielka jatka.

Spoglądam na niego uważnie. Akurat ostatnia rzeź odbyła się przy jego wydatnym udziale.

– A ty, czy nie zgadzasz się z podejściem Orlagh? Nie postąpiłbyś tak samo, gdybyś miał wpływ na postępowanie władcy?

– Nie uczyniłbym tego w imieniu morza – odpowiada. – Ona chce podporządkować sobie Ziemię jako kraj wasalny. – Wyciąga rękę, bierze ze stołu figurkę przedstawiającą królową mórz. – Nie spocznie, dopóki nie zdobędzie władzy absolutnej.

Patrzę na stół i planszę.

– Chciałaś wyrzucić na mnie wrażenie – mówi dalej Madok. – Doszłaś do słusznego wniosku, że nie docenię twojego prawdziwego potencjału, dopóki mnie nie pokonasz. Otóż zapewniam, że zrobiłaś na mnie wrażenie, Jude. Jednak dla nas obojga lepiej będzie, gdy przestaniemy się zwalczać, a skupimy się na tym, co naprawdę się liczy: na władzy.

Jakże znaczące słowa. Pochlebne, ale zawierające w sobie groźbę. Słucham, a on mówi dalej:

– Stań znów u mego boku. Zrób to, zanim na poważnie wystąpię przeciwko tobie.

– Co przez to rozumiesz? W jaki sposób miałabym cię wesprzeć?

Patrzy na mnie, bacznie się przygląda, jakby chciał ocenić, co może powiedzieć na głos.

– Mam pewien plan. Gdy przyjdzie czas, mogłabyś mi pomóc wprowadzić go w życie.

– Plan, którego nie współtworzyłam i którego mi nie zdradzisz? – podpowiadam. – Nie bierzesz pod uwagę, że bardziej mnie interesuje władza, którą już posiadam?

Uśmiecha się, ukazując zębiska.

– To chyba znaczyłoby, że nie dość dobrze znam moją córkę. Ta Jude, którą znałem, wyrwałaby żywcem serce tego chłopaka za to, co jej zrobił dziś w nocy.

Gdy tak ciska mi w twarz wydarzenia Łowieckiej Nocy, odparowuję z miejsca:

– Kiedy byłam dzieckiem, nie przeszkadzało ci, że w Krainie Elfów spotykały mnie niezliczone upokorzenia. Pozwalałeś elfom ranić mnie, wyśmiewać i okaleczać. – Pokazuję mu dłoń, w której brakuje czubka palca odgryzionego przez jednego z gwardzistów Madoka. Pośrodku widoczna jest druga blizna, tam, gdzie na rozkaz Daina musiałam sama wbić sztylet. – Rzucano na mnie czary i zabierano na ucztę, byłam samotna i zalewałam się łzami. Jeśli o mnie chodzi, to różnica między dzisiejszą nocą a wszystkimi innymi polega na tym, że wówczas bez skargi znosiłam upokorzenia, aby nie zachwiać twojej pozycji na dworze. To, co zdarzyło się dzisiaj, ma za cel umocnić moją.

Madok spogląda na mnie szeroko rozwartymi ślepiami.

– Nie wiedziałem.

– Nie chciałeś wiedzieć.

Spogląda na stół, na figurki, a zwłaszcza na tę z nich, która ma przedstawiać mnie.

– Twoje słowa to celny cios, prosto w wątrobę, chociaż nie wiem, czy dobra riposta.

Chłopak nie jest tego wart.

Mówiłby dalej, ale w tej chwili otwierają się drzwi i Randalin wtyka do środka głowę.

Wygląda na to, że ceremonialne szaty przywdział w wielkim pośpiechu.

– O, jesteście oboje. Dobrze się składa. Posiedzenie zaraz się zacznie, pospieszcie się.

Wstaję, by pójść za nim, ale Madok chwyta mnie za ramię i mówi półgłosem:

– Próbowałaś powiedzieć, na co się zanosi. Ty jedna wiedziałaś. Teraz proszę cię tylko o jedno. Wykorzystaj swoje wpływy seneszala, aby zapobiec jakiegokolwiek sojuszowi z Tonią.

– O, tak – odpowiadam, mając w pamięci Nicassię, Dęba i wszystkie moje plany. – To mogę ci zagwarantować.

ROZDIAŁ

13

Wieczna Rada gromadzi się tym razem w przepastnych komnatach Najwyższego Króla, przy stole inkrustowanym herbowymi motywami rodu Kolcowojów: kwiaty i ciernie, splatające się korzenie.

Zasiadają przy nim Nihuar, Randalin, Bafen i Mikkel; Fala stoi pośrodku sali i śpiewa:

*Biegną, biegną rybki, biegną co sił w nogach,
Ożenić się z rybą, jeszcze nie żałoba.
Rzuć ją na patelnię, lecz wpierw wyjmij ości,
bo w gardle ci staną filety z jejmości.*

Cardan teatralnym ruchem pada na kanapę, lekceważąc sobie stół.

– Przecież to śmieszne. Gdzie jest Nicassia?

– Musimy porozmawiać o tej propozycji – stwierdza Randalin.

– Propozycji? – parska Madok, siadając w fotelu. – Wobec sposobu, w jaki ją przedstawiono, trudno mi sobie wyobrazić, jak mógłby pojąć tę dziewczynę za żonę. Natychmiast wyglądałoby, że ląd przeraził się pogrózek morza i tchórzliwie ustąpił wobec jego żądań.

– Może rzeczywiście było to sformułowane nieco obcesowo – zauważa Nihuar.

– Musimy być gotowi – mówi Madok. – Jeśli chce wojny, będzie ją miała. Prędszej cała sól z morskiej wody wyparuje, nim pozwolę, żeby Elysium ugięło kark przed panoszącą się Orlagh.

No tak, wojna. Właśnie tego się obawiałam. Tego, że Madok wciągnie nas w wojnę, a tymczasem ta groźba pojawia się bez jego udziału.

– Cóż – odpowiada Cardan, mrużąc powieki, jakby zamierzał tu i teraz uciąć sobie drzemkę. – W takim razie ja nie mam nic do roboty.

Madok krzywi się. Randalin też jest zbity z tropu. Od dawna domagał się udziału Cardana w posiedzeniach Wiecznej Rady, tymczasem teraz nie bardzo wie, jak sobie poradzić z jego obecnością.

– Mógłbyś, panie, wziąć Nicassię za nałożnicę zamiast za żonę – proponuje – następnie zaś spłodzić z nią potomka, który rządziłby ziemią i morzem.

– Aha, czyli mam nie brać ślubu na rozkaz Orlagh, tylko być dla niej rozplodowcem? – pyta Cardan.

– Chcę usłyszeć, co o tym myśli Jude – odzywa się ku mojemu ogromnemu zdumieniu Madok.

Pozostali radcy odwracają się w moją stronę. Przecież dotąd traktowali mnie jak jakiś łącznik między nimi a Najwyższym Królem. Teraz, skoro monarcha pojawił się we własnej osobie, ich zdaniem mam do powiedzenia nie więcej niż drewniana figurka stojąca na strategicznym stole.

– A to czemu? – dziwi się Randalin.

– Choćby dlatego, że poprzednio jej nie wysłuchaliśmy. Przecież uprzedzała, że Toń planuje działania zaczepne wobec wysp. Gdybyśmy wtedy jej wysłuchali, teraz być może mielibyśmy już gotową strategię.

Randalin krzywi się, ale nic już nie mówi.

– Rzeczywiście, to prawda – przyznaje Nihuar, jakby próbowała znaleźć przyczynę tego niepokojącego przejawu mojej kompetencji.

– Może więc teraz powie nam coś więcej – podsuwa Madok.

Mikkel unosi brwi.

– A jest coś więcej? – pyta Bafen.

– Jude – ponagla mnie Madok.

Ważę każde słowo.

– Jak próbowałam powiedzieć, Orlagh nawiązała kontakt z Balekinem. Nie wiem, jakie informacje jej przekazał, natomiast wszystko wskazuje na to, że mieszkańcy morza posyłają mu podarki i wiadomości.

Cardan jest zaskoczony i wyraźnie niezadowolony. Nagle dociera do mnie, że nic mu o tym nie powiedziałam, choć próbowałam przekazać te informacje Radzie.

– O Nicassii też wiedziałaś? – pyta.

– No... poniekąd... – zawieszam głos.

– Najwyraźniej lubi mieć swoje małe sekrety przed Radą – powiada Bafen, rzucając mi nieprzychylne spojrzenie.

Tak jakby to była moja wina, że nie chcieli mnie słuchać.

Randalin też patrzy na mnie spode łba.

– Nie wspomniałaś, skąd o tym wszystkim wiesz.

– Jeżeli to ma być pytanie, skąd czerpię informacje, to ja równie dobrze mogłabym zapytać, skąd brało się przekonanie Wiecznej Rady o braku zagrożenia ze strony Orlagh. Jakoś poprzednio moje wiadomości nie wzbudziły waszego zainteresowania.

– Księżę ziemi, księżę wód; księżę więzień, istny cud – podśpiewuje Fala.

– Balekin to żaden strateg – stwierdza Madok, w zasadzie bezpośrednio w ten sposób przyznając, że to on stał za zamordowaniem Eldreda. – Jest jednak ambitny i dumny.

– *Raz morzu rzeknij „nie”, a płakać będziesz swej krwi* – wtrąca Cardan. – Rozumiem, że to chodzi o Dęba.

Madok i ja wymieniamy spojrzenia. Jedyne, co do czego na pewno się zgadzamy, to fakt, że chcemy zapewnić dzieciakowi bezpieczeństwo. Dobrze się składa, że przebywa daleko stąd, pośród ludzi, chroniony przez szpiegów i przez rycerzy. Jeśli jednak Cardan trafnie odczytał znaczenie tej strofki, należy wnioskować, że potrzebna będzie jeszcze lepsza ochrona.

– Jeśli Orlagh powzięła plan, by wykraść Dęba, to zapewne obiecała tron Balekinowi – mówi Mikkel. – Zawsze to bezpieczniej, jeśli jest tylko dwóch potomków krwi, jeden może wówczas ukoronować drugiego. Trzech to już za dużo, trzech to wręcz niebezpieczne.

Co mniej lub bardziej oznacza, że należy ukatrupić Balekina, nim ten spróbuje zabić Cardana.

Ja też nie mam nic przeciwko temu, żeby położyć kres żywotowi Balekina, natomiast Cardan dotąd uparcie się temu sprzeciwiał. Pamiętam, co kiedyś usłyszałam z jego ust: *Może nic nie jestem wart, lecz nie jestem mordercą.*

– Wezmę pod uwagę wasze rady, drodzy doradcy – odzywa się Cardan. – A teraz chciałbym porozmawiać z Nicassią.

– Ale jeszcze nie podjęliśmy decyzji... – zaczyna Randalin i milknie pod miazdzącym spojrzeniem Cardana.

– Jude, przyprowadź ją tutaj – rozkazuje mi Najwyższy Król na Elfhame. Znow mi rozkazuje.

Zaciskam zęby, wstaję, idę do drzwi. Tam czeka na mnie Duch.

– Gdzie Nicassia? – pytam.

Okazuje się, że umieszczono ją w moich komnatach, a towarzyszy jej Karakan. Rozsiadła się na mojej kanapie, a gołębioszarą suknię udrapowała, jakby pozowała do obrazu.

Wygląda na to, że przed przybyciem delegacji Toni pobiegła, żeby się przebrać.

– Proszę, kogo tu mamy – mówi, widząc mnie.

– Najwyższy Król chce cię widzieć.

– Gdybyż to była prawda – stwierdza, uśmiecha się dziwnie i wstaje.

Wędrujemy korytarzem, a rycerze śledzą ją wzrokiem. Wygląda majestatycznie i żałośnie zarazem. Kiedy jednak otwierają się wrota do apartamentów Cardana, wchodzi z wysoko podniesionym czołem.

W czasie mojej nieobecności służba przyniosła herbatę. Czajnik pełen gorącego naparu stoi na środku niskiego stolika. Cardan trzyma parujący kubek w klatce szczupłych palców.

– Nicassio – odzywa się niespiesznie – twoja matka przysłała wiadomość przeznaczoną dla nas obojga.

Nicassia marszczy czoło. Nagle dociera do niej obecność członków Rady i to, że nie poproszono jej, by usiadła, ani nawet nie poczęstowano herbatą.

– To jest jej plan, nie mój.

Cardan pochyła się, już nie jest znudzony czy zaspany; teraz w każdym calu jest emanującym mocą nieprzewidywalnym elfowym władcą o pustym wzroku.

– Być może, musiałaś jednak dobrze wiedzieć, że to robi. Nie igraj ze mną. Zbyt dobrze się znamy, bym dał się złapać na takie sztuczki.

Nicassia spuszcza wzrok, długie rzęsy muskają jej policzki.

– Ona pragnie zawrzeć nowy sojusz.

Może w oczach członków Rady sprawia wrażenie potulnej i pokornej, ale ja nie daję się na to nabrać.

Cardan wstaje i ciska filiżanką o ścianę, roztrzaskując ją w drobny mak.

– Powiedz więc królowej Toni, że jeśli jeszcze raz spróbuje mi grozić, jej córka stanie się nie oblubienicą, a więźniem.

W Nicassię jakby piorun strzelił.

Randalin wreszcie odzyskuje głos.

– To niestosowne, by rzucać naczyniem w przytomności córki królowej mórz.

– *Rybko, rybeńko* – odzywa się Fala – *zabieraj nogi za pas, pomóż sobie ręką.*

Mikkel wybucha śmiechem.

– Nie wolno nam działać pochopnie – oponuje Randalin. – Księżniczko, daj Najwyższemu Królowi więcej czasu do namysłu.

Obawiałam się, że Cardan okaże rozbawienie albo że mu to będzie schlebiać, albo zechce podjąć grę. Tymczasem nic z tego, jest po prostu wściekły.

– Nie, pozwól mi raczej porozmawiać z matką. – Nicassia rozgląda się po komnacie, patrzy na radców, na mnie. Pewnie zastanawia się, czy Cardan jej usłucha, jeśli zażąda, żeby nas odesłał. Nie chce ryzykować, więc po prostu zachowuje się tak, jakby nas tu nie było. – Morze jest surowe i takie też są metody królowej Orlagh. Żąda, gdy powinna prosić, lecz to nie znaczy, by nie było mądrości w tym, czego się domaga.

– Ach, więc pojełabyś mnie za męża? Powięzłałybyś ziemię z morzem i nas oboje, byśmy żyli długo i nieszczęśliwie?

Cardan spogląda na nią z pogardą, tak jak kiedyś patrzył na mnie. Tak jakby świat stanął na głowie.

Nicassia jednak nie zamierza dać za wygraną. Przeciwnie, podchodzi bliżej.

– Przeszlibyśmy do legend – odpowiada. – Czymże dla postaci z legend jest taki drobiazg jak szczęście?

A potem, nie czekając, aż zostanie odprawiona, odwraca się i wychodzi. Strażnicy, choć nie pada żaden rozkaz, rozstępują się, schodząc jej z drogi.

– Cha! – odzywa się Madok. – Ona zachowuje się, jakby już była królową.

– Wyjść – mówi Cardan, a kiedy nikt nie reaguje, gwałtownie macha ręką. – Precz! Precz, wszyscy. Na pewno macie jeszcze wiele do powiedzenia, chcecie się naradzać, jakby mnie

tu nie było, więc idźcie sobie tam, gdzie mnie nie ma. Wynoście się i nie zwracajcie mi więcej głowy.

– Wybacz, panie – mówi Randalin. – Chcieliśmy tylko...

– Precz! – krzyczy król, a wtedy nawet Fala już się nie waha. Wszyscy idziemy do drzwi.

– Oprócz Jude – woła Cardan. – Ty zostań jeszcze chwilę.

Ty? Odwracam się, idę ku niemu, czuję jeszcze na powierzchni skóry upokorzenie minionej nocy. Myślę o wszystkich swych sekretach i planach, i o tym, co może się stać, gdy wdamy się w wojnę z Królestwem Toni, jak wiele ryzykuję i co straciłam już na zawsze.

Czekam, aż pozostali wyjdą, aż w komnacie nie będzie już nikogo z Wiecznej Rady.

– Wydadaj mi jeszcze jeden rozkaz – mówię – a ja ci pokażę, co to jest prawdziwy wstyd. Nocne igraszki Lokiego będą niczym wobec tego, do czego ja cię zmuszę.

Po czym wychodzę za pozostałymi z komnaty.



W bezpiecznym schronieniu Dworu Cieni rozważam możliwe posunięcia.

Zamordować Balekina.

Mikkel całkiem słusznie stwierdził, że wtedy władczyni mórz będzie o wiele trudniej pozbawić Cardana korony.

Ożenić Cardana z kimś innym.

Myślę o Mateczce Szpik i prawie żałuję, że się wtrąciłam. Gdyby Cardan wziął za żonę córkę czarownicy, Orlagh może nie wdałaby się w takie wojenne swatanie swojej córki.

Rzecz jasna, wtedy miałabym inne kłopoty.

Czuję narastający ból głowy za oczami. Pocieram palcami nasadę nosa.

Ślub Taryn już wkrótce, a więc za kilka dni w Elysium pojawi się też Dąb. Nie podoba mi się ten zbieg okoliczności. Jest zbyt cenną figurą na strategicznej szachownicy, Balekin nazbyt go potrzebuje, a to wszystko stanowi zbyt wielkie zagrożenie dla Cardana.

Pamiętam doskonale, że kiedy ostatnio widziałam Balekina, zachowywał się jak król na wygnaniu, a strażników traktował jak swoich poddanych. Z tego, co donosi Vuliber, wynika, że nic się pod tym względem nie zmieniło: domaga się luksusów, przyjmuje odwiedziny gości z morskich głębin, którzy zostawiają po sobie kałuże wody i sznury pereł. Nie wiem, co mu obiecują. Chociaż Nicassia zapewnia, że nie będzie na nic potrzebny, on z pewnością liczy na coś wręcz przeciwnego.

Potem nagle przypomina mi się coś jeszcze – ta elfka, która chciała mi opowiedzieć o mojej matce. Była tam przez cały czas. Jeśli będzie skłonna w zamian za wolność sprzedać informacje jednego rodzaju, to innych też może zechce udzielić.

Gdy się zastanawiam, co właściwie chciałabym wiedzieć, nagle przychodzi mi do głowy, że więcej da się zyskać, wysyłając wiadomość do Balekina, niż usiłując wyciągnąć informacje od niego.

Jeśli zdołam wpoić tej więźniarce przekonanie, że uwalniamy ją tymczasowo, by opowiedziała mi o matce, może uda mi się, niby niechcący, coś przemycić. Coś o Dębie, o tym, gdzie jest, jak się można do niego dostać – tak żeby wyglądało to na przydatne informacje. Nie będzie kłamać, przekazując je dalej, bo będzie przekonana, że mówi prawdę.

Rozmyślam dalej i uświadamiam sobie, że nie, że na to jest za wcześnie. Na razie muszę jej podrzucić prostsza informację, którą będzie mogła przekazać dalej i co ja z kolei będę mogła kontrolować. Sprawdzić ją, by mieć pewność, że jest ona właściwym pośrednikiem.

Balekin chce przekazać Cardanowi wiadomość. Trzeba mu to w odpowiedni sposób umożliwić.

Dwór Cieni podjął trud gromadzenia dokumentacji dotyczącej mieszkańców Elfhame, ale nie licząc teczki Balekina, w żadnym ze zwojów nie ma informacji o więźniach Wieży Zapomnienia. Wychodzę na korytarz, zaglądam do świeżo wydrążonego gabinetu Bomby.

Jest u siebie. Rzuca nożami w malowidło przedstawiające zachód słońca.

– Nie podobał ci się obraz? – pytam.

– Podobał, ale teraz podoba mi się jeszcze bardziej.

– Słuchaj, potrzebna mi jest więźniarka z Wieży Zapomnienia. Czy mamy dość uniformów, żeby przebrać kilku nowych rekrutów? Mnie tamtejsi strażnicy widzieli, Vuliber pomógłby nam, ale nie chcę go zdekonspirować. Lepiej będzie, jeżeli sfalszujemy potrzebne dokumenty i sprowadzimy ją tutaj na przesłuchanie.

Bomba marszczy czoło w zamyśleniu.

– A kogo potrzebujesz?

– Jest tam taka jedna. – Biorę kartkę i szkicuję, jak potrafię, dolną kondygnację. – W podziemiu, przy schodach. Tutaj. W pojedynczej celi.

Marszczy czoło jeszcze bardziej.

– Możesz ją opisać?

Wzruszam ramionami.

– Pociągła twarz, rogi. Chyba dość urodziwa. Wy wszyscy jesteście urodziwi.

– Ale jakie rogi? – dopytuje Bomba, przechyla głowę, jakby się nad czymś zastanawiała. – Proste? Kręte?

Pokazuje czubek swojej głowy.

– Takie małe różki, jakby kozie. Nie znam się na tym. I miała ogon.

– W Wieży nie ma wielu więźniów – odpowiada Bomba. – Ta, którą mi opisałaś...

– Znasz ją?

– Nie zamieniłam z nią nigdy ani słowa – odpowiada Bomba – ale wiem, kim ona jest, a raczej kim była: jedną z kochanek Eldreda. Urodziła mu syna. To matka Cardana.

ROZDIAŁ

14

Stukam palcami w blat biurka, gdy Karakan wprowadza więźniarkę.

– Na imię ma Asha – przedstawia ją. – Pani Asha.

Asha jest szczupła i ma cerę tak bladą, że prawie szarą. Mało przypomina roześmianą kobietę, którą oglądałam w kryształowej kuli.

Rozgląda się po gabinecie, zmieszana i zdezorientowana, ale wyraźnie się cieszy, że opuściła swój loch w Wieży. Jej oczy są wygłodniałe, pochłania każdy detal tego pustego i banalnego pomieszczenia.

– Jakiej zbrodni się dopuściła? – pytam, udając, że o niczym nie wiem. Liczę, że da się wciągnąć w grę i w ten sposób zdołam z niej więcej wyciągnąć.

Karakan odpowiada obojętnym tonem, jak przystało na rutynowe przesłuchanie:

– Była kochanką Eldreda, a kiedy się nią znudził, kazał ją wtrącić do Wieży.

Z pewnością było coś więcej, ale zdołałam dowiedzieć się tylko tyle, że miało to coś wspólnego ze śmiercią innej królewskiej kochanki i że Cardan jakoś był w to zamieszany.

– Niewielka to wina – stwierdzam, wskazując jej krzesło przed moim biurkiem. To samo zresztą, do którego pięć długich miesięcy temu przywiązany był Cardan. – Proszę usiąść.

W jej rysach widzę jego twarz. Te same kości policzkowe i usta.

Siada, patrzy na mnie koso.

– Dolega mi pragnienie.

– Doprawdy? – dziwi się Karakan i oblizuje kącik ust czarnym językiem. – Może kubek wina dodałby ci sił.

– I ziąb mnie przejmuje – powiada pani Asha. – Zmarzłam do kości. Jestem lodowata jak morze.

Karakan spogląda na mnie.

– Zostań tu na chwilę z naszą ulubioną królową cieni, a ja zajmę się resztą.

Nie wiem, czym sobie zasłużyłam na tak frymuśny tytuł i obawiam się, że mi go przyznano na tej samej zasadzie, na jakiej wielkiemu trollowi nadaje się przydomek „Maleństwo”. Na niej jednak chyba to robi wrażenie.

Karakan wychodzi, zostawiając nas same. Przez moment spoglądam w ślad za nim i myślę o skrywanej przez Bombę tajemnicy. Następnie zwracam się do pani Ashy:

– Podobno znałaś moją matkę.

Mam nadzieję, że dzięki takiemu zagajeniu stanie się bardziej rozmowna, a ja zdołam się zorientować, jak przejść do tego, czego w rzeczywistości muszę się dowiedzieć.

Przybiera wyraz lekkiego zaskoczenia; jakby nagła zmiana otoczenia sprawiła, że zapomniała, skąd ją znam.

– Och, tak. Jesteś do niej bardzo podobna.

– A co z jej sekretami? – pytam. – Mówiłaś, że znasz wszystkie jej sekrety.

Wreszcie się uśmiecha.

– Eva nie umiała się wyrzec niczego ze swojego dawnego życia. I och, tak, z początku nie mogła się nacieszyć Elysium, bo to zawsze na początku tak jest, ale wkrótce dopadła ją tęsknota. Robiliśmy wspólne wypadki na drugą stronę, żeby pokręcić się wśród śmiertelników i przywieźć stamtąd różne drobiazgi, których jej brakowało. Tabliczki czekolady. Perfumy. Rajstopy. Oczywiście, to wszystko było przed Justinem.

Justin i Eva. Eva i Justin. Moja matka i mój ojciec. Serce mi się kraje na myśl, że Asha znała tych dwoje lepiej, niż ja zdołałam ich poznać.

– Oczywiście – powtarzam.

Pochyliła się w moją stronę.

– Wyglądasz jak ona. Wyglądasz jak oni oboje.

A ty wyglądasz jak on – myślę.

– Rozumiem, że znasz tę historię – mówi Asha. – O tym, jak któreś z nich zabiło kobietę, a może zrobili to razem, a potem ją spalili, żeby Madok myślał, że to szczątki Evy. Mogłabym ci o tym opowiedzieć, jak to się wydarzyło.

– Właśnie po to cię tutaj sprowadziłam – mówię. – Żebyś mi powiedziała wszystko, co wiesz.

– I żeby potem wrzucić mnie z powrotem do Wieży? O nie. To, co mam do powiedzenia, ma swoją cenę.

Przerywa nam pojawienie się Karakana, który przynosi tacę z pokrojonym serem i brązowym chlebem oraz dymiący kubek grzanego korzennego wina. Ma na ramionach płaszcz i gdy posiłek jest już na stole, narzuca go na Ashę jak koc.

– Jakież inne żądania? – pyta.

– Właśnie miałyśmy o tym mówić – wyjaśniam.

– Wolność – odpowiada Asha. – Chcę na zawsze opuścić Wieżę Zapomnienia i móc swobodnie wydostać się z Insmoor, Insweal i Insmire. Ponadto żądam obietnicy, że Najwyższy Król nigdy nie dowie się o moim uwolnieniu.

– Eldred nie żyje – mówię. – Nie masz czego się obawiać.

– Wiem, kto jest teraz Najwyższym Królem – przerywa mi ostrym tonem. – Nie chcę, by odkrył, że jestem wolna.

Karakan unosi brwi.

Asha w milczeniu wypija potężny łyk wina, potem obficie raczy się serem.

Dopiero teraz dociera do mnie, że Cardan najprawdopodobniej wie, dokąd zesłano jego matkę. Skoro dotąd nie kiwnął nawet palcem, żeby ją stamtąd wydostać, skoro przez bite pięć miesięcy, odkąd został Najwyższym Królem, nawet raz jej nie odwiedził, to nie może być przypadek. Przypomina mi się ten chłopczyk z kryształowej kuli. Z jakim zachwytem na nią patrzył. Co się mogło stać? Ja swojej matki prawie nie pamiętam, zrobiłabym jednak wiele, żeby znów ją ujrzeć, choćby przez chwilę.

– Powiedz mi coś, co mi się przyda – mówię – a wówczas się zastanowię.

– A więc dziś odejdę z niczym?

– Czy cię nie nakarmiliśmy i nie przyodzialiśmy własną szatą? I co więcej, zanim wrócisz do Wieży, wolno ci będzie przejść się po ogrodach. Nasyć się zapachem kwiatów, pocuj trawę pod stopami. Chcę, żeby to było jasne – mówię dalej – nie proszę cię o wspomnienia na pociechę czy ckliwe miłosne historie. Jeżeli masz dla mnie coś lepszego, to może i ja coś dla ciebie znajdę. Chociaż wygląda na to, że nie jesteś mi potrzebna.

Robi nadąsaną minę.

– Niech będzie. Kiedy twoja matka była w ciąży z Vivienne, na ziemiach Madoka pojawiła się pewna czarownica. Umiała wróżyć, przepowiadać przyszłość ze skorupki jaj. Wiesz, co powiedziała czarownica? Że przeznaczeniem dziecka Evy jest stać się groźniejszą bronią od jakiegokolwiek oręża, jakie Justin zdołałby wykuć.

– Vivi? – pytam.

– Jej dziecko – powtarza Asha. – Eva pewnie sądziła, że mowa jest o tym dziecku, które wówczas nosiła pod sercem. Może dlatego uciekła, chciała je chronić przed przeznaczeniem. Nikt jednak nie zdoła uniknąć swojego losu.

Nie odzywam się, mam ponury wyraz twarzy. Matka Cardana upija kolejny łyk.

Nie zamierzam jednak pozwolić, by na mojej twarzy odmalowały się jakiekolwiek uczucia.

– To mało – mówię i dodaję, starając się tak sformułować zdanie, żeby Balekin odpowiednio zrozumiał moje słowa; jeśli wiadomość do niego dotrze, być może uda mi się go przechytryć: – Jeżeli przyjdzie ci na myśl coś lepszego, możesz wysłać mi wiadomość. Nasi szpiedzy mają na oku Wieżę Zapomnienia, pilnują wiadomości, które z niej wychodzą. Najczęściej dostają je w swoje ręce wtedy, gdy przychodzą do pałacu. Cokolwiek wyślesz, wszystko jedno, do kogo zaadresujesz list, jeśli tylko przejdzie z ręki strażnika do innych rąk, my się o tym dowiemy. Dzięki temu będę wiedzieć, kiedy przypomnisz sobie o czymś mającym większą wartość.

Wstaję i wychodzę z gabinetu. Karakan idzie za mną na korytarz, kładzie mi rękę na ramieniu.

Przez chwilę stoję bez słowa, próbując pozbierać myśli.

Karakan kręci głową.

– Po drodze trochę ją wypytałem. Chyba strasznie jej się podobało pałacowe życie, względy okazywane przez Najwyższego Króla zawróciły jej w głowie. Uwielbiała tańczyć, śpiewać i pić wino. Cardana wykarmiła mała czarna kotka, której kocięta przyszły na świat martwe.

– Przecież to niemożliwe! Żywił się kocim mlekiem?

Karakan spogląda na mnie tak, jakbym w ogóle nie zrozumiała sensu tego, co mi opowiedział.

– A kiedy wtrącono ją do Wieży, Cardana powierzono Balekinowi – dodaje.

Myślę raz jeszcze o kuli znalezionej w gabinecie Eldreda. Mały Cardan łaknący uznania tej kobiety siedzącej teraz w moim gabinecie, która jednak zwraca na niego uwagę tylko wtedy, kiedy jest nieznośny. Samotny książę wykarmiony mlekiem kotki i okrucieństwem, pozostawiony własnemu losowi, snujący się po pałacu niczym mały duch. W Próżnym Dworze widziałam z ukrycia, jak na polecenie Balekina omamiony czarami śmiertelnik wychłostał Cardana za to, że źle fechtował.

– Zabierz ją z powrotem do Wieży – rozkazuję Karakanowi.

Znów unosi brwi.

– Nie chcesz się dowiedzieć więcej o rodzicach?

– Ona za bardzo chce to opowiedzieć. Dowiem się od niej wszystkiego i tak, tylko bez tak wielu warunków.

Nie mówiąc o tym, że właśnie zasiałam ziarno i że teraz tylko muszę czekać, żeby coś z niego wyrosło.

Karakan uśmiecha się lekko.

– To ci się podoba, prawda? Lubisz nami manipulować, pociągać za sznurki i patrzeć, jak tańczymy.

– „Nami”? Masz na myśli elfowy ludek?

– Przypuszczam, że tak samo bawiłoby cię igranie ze śmiertelnikami, ale to też kwestia wprawy, nas znasz lepiej. – Nie słyszę dezaprobaty w jego głosie, a mimo to czuję się tak, jakby mnie przypiekał na ruszcie. – Co prawda, niektórymi z nas sterujesz chyba ze szczególną przyjemnością.

Spogląda na mnie czujnie, dopóki nie odpowiem.

– To ma być wyraz uznania?

Na to uśmiecha się od ucha do ucha.

– Nie jest to z pewnością obelga.

ROZDIAŁ

15

Stroje przybywają następnego dnia, nie w jednej, a w kilku skrzyniach; są tam suknie, płaszcze, zgrabne kaftany, welwetowe pludry i wysokie buty. Wszystko to wygląda jak garderoba jakiejś groźnej postaci, zarówno lepszej ode mnie, jak i gorszej.

Gdy przymierzam nowe stroje, zjawia się Strzępka. Upiera się, żeby rozczesać mi włosy nowym grzebieniem wyrzeźbionym na kształt ropuchy, której naprawiono pojedyncze oko z cymofanu.

Patrzę na swoje odbicie, mam na sobie czarny aksamitny płaszcz haftowany srebrem, i muszę przyznać, że Taryn bardzo się postarała. Chcę teraz myśleć tylko o tym, o niczym innym.

Dawno temu nie mogła mi wybaczyć, że byłam świadkiem jej upokorzenia wobec szlachetnie urodzonych elfów. Może dlatego tak mi trudno zapomnieć, co przydarzyło się z Lokim, bo ona o tym wiedziała. Teraz, ilekroć ją widzę, muszę sobie przypominać, jakie to uczucie, gdy się wyjdzie na głupca.

Jednak teraz, gdy patrzę na nowe stroje, myślę o wszystkich dobrych rzeczach, które wynikają z faktu, że ktoś zna mnie na tyle, żeby rozumieć moje nadzieje i obawy. Nie opowiadałam przecież Taryn o całym mnóstwie okropieństw, które popełniłam, i o strasznych umiejętnościach, jakich nabyłam, a tymczasem wystroiła mnie tak, jakby o wszystkim wiedziała.

W nowej szacie udaję się na pospiesznie zwołane posiedzenie Rady. Przysłuchuję się obradom, podczas których dostojni radcy roztrząsają takie kwestie: czy Nicassia przekazała Orlagh obraźliwą odpowiedź Cardana oraz czy ryby umieją latać (ten temat poruszył Fala).

– Przekazała czy nie, to bez znaczenia – odzywała się Madok. – Najwyższy Król jasno określił swoje stanowisko. Skoro się z nią nie ożeni, musimy przyjąć, że Orlagh zechce spełnić swoje groźby. Mówiąc inaczej, zechce przelać jego krew.

– Jesteś nazbyt prędki – oponuje Randalin. – Czy nie powinniśmy wpierw się zastanowić, jak utrzymać rozejm?

– A po cóż sobie tym zaprzętać głowę? – pyta Mikkel, zerkając z ukosa na Nihuar. – My w niecnym dworach za nic sobie mamy chciejstwo.

Przedstawicielka cnych dworów sznuruje owadzie usteczka.

– Gwiazdy powiadają, że nadchodzi czas wielkich zmian – zapowiada Bafen. – Widzę nadejście nowego monarchy, lecz czy to ma znaczyć detronizację Cardana, czy upadek Orlagh, czy może Nicassia zostanie królową... Tego rzec nie potrafię.

– Mam pewien plan – odzywa się Madok. – W najbliższym czasie Dąb odwiedzi Elysium. Gdy Orlagh pośle po niego swoich siepaczy, postaram się ją przyłapać.

– Nie! – wołam i wszyscy patrzą w moją stronę. – Nie wolno ci użyć Dęba jako przynęty. Niezrażony moim wybuchem Madok odpowiada:

– Wiem, tak to może wyglądać...

– Tak to wygląda, bo tak jest.

Rzucam mu gniewne spojrzenie. Właśnie dlatego nie chciałam, żeby Dąb objął tron jako dziecko, bo wówczas Madok byłby jego regentem.

– Jeśli Orlagh zamierza wykonać jakiś ruch związany z Dębem, lepiej, byśmy wiedzieli, kiedy uderzy, niżbyśmy pozwolili, aby to ona przejęła inicjatywę. Najlepszym zaś na to sposobem jest stworzyć jej okazję.

– Nie lepiej po prostu do takiej okazji nie dopuścić?

Madok potrząsa głową.

– To tylko takie właśnie chciejstwo, o jakim mówił Mikkel. Napisałem już do Vivienne. Przybędą w ciągu tygodnia.

– Nie może tu przyjechać – upieram się. – Już przedtem to było niebezpieczne, a teraz...

– A sądzisz, że w śmiertelnym świecie jest bezpieczny? – prychna Madok. – Wydaje ci się, że macki królowej Toni tam go nie osiągną? Dąb jest moim synem, ja jestem głównodowodzącym wojsk Elysium i znam się na swojej robocie. Zrób wszystko, co zechcesz i co w twojej mocy, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo, ale resztę zostaw mnie. To nie czas na nerwy.

Zaciskam zęby.

– Nerwy?

Spogląda na mnie surowo.

– Łatwo jest narażać własne życie, czyż nie? Łatwo oswoić się z niebezpieczeństwem, które zagraża nam samym. Jednak strateg musi czasem narażać też innych, nawet tych, których kocha. – Rzuca mi znaczące spojrzenie, być może chodzi mu o to, że kiedyś ja sama podałam mu truciznę. – Dla dobra naszego kraju.

Milknę. Do niczego nie dojdziemy, prowadząc rozmowę w obecności całej Rady. Zwłaszcza że wcale nie jestem pewna, czy mam rację.

Muszę lepiej poznać zamiary królowej Toni i to jak najprędzej. Jeśli istnieje inna możliwość, jeżeli można nie narażać Dęba, zamierzam taką opcję wykorzystać.

Randalin ma więcej pytań dotyczących osobistej straży Najwyższego Króla. Madok domaga się, żeby niższe dwory przysłały więcej zbrojnych niż zwykle. Temu z kolei sprzeciwiają się zarówno Nihuar jak i Mikkel. Pozwalam słowom obijać się o uszy, próbuję

się od nich odgrodzić, aby swobodniej myśleć.

Przy wyjściu czeka na mnie paź z dwiema wiadomościami. Jedna jest od Vivi, adresowana do mnie do pałacu; prosi, żebym przyjechała, aby zabrać ją, Dęba i Heather do Elysium na ślub Taryn, i to już następnego dnia, czyli nawet prędzej, niż mówił o tym Madok. Druga wiadomość jest od Cardana – wzywa mnie do sali tronowej.

Przeklinam pod nosem. Mam już iść, kiedy zatrzymuje mnie Randalin, chwytając za rękaw.

– Jude – mówi – pozwól, że udzielę ci pewnej rady.

Spodziewam się jakichś wzgardliwych połajanek, ale nie.

– Seneszal jest nie tylko głosem króla – słyszę. – Jesteś też jego prawą ręką. Jeśli nie podoba ci się współpraca z generałem Madokiem, znajdź nowego głównodowodzącego. Takiego, który nie splamił się zdradą.

Wiedziałam, że Randalin często spierał się z Madokiem podczas posiedzeń Rady, ale nie miałam pojęcia, że chce go z niej wygryźć. Tylko że Randalinowi wcale nie ufam bardziej niż Madokowi.



Cardan siedzi na tronie z nogą przewieszoną przez boczne oparcie.

Pozostali biesiadnicy jeszcze dogorywają w wielkiej Sali, przysypiając przy stołach zastawionych przysmakami. W powietrzu unosi się zapach ziemi świeżo przeoranej ich stopami i świeżo rozlanego wina. Zmierzając w stronę tronowego podium, dostrzegam Taryn śpiącą na dywanie. Obok niej leży jakiś chłopak z gatunku pixie, którego nie znam. Jego skrzydełka, takie jak u ważki, drgają od czasu do czasu, pewnie śni mu się, że fruwa.

Loki nie śpi, siedzi na brzegu podwyższenia i użera się z muzykantami.

Wyraźnie znudzony Cardan zeskakuje z tronu.

– O co właściwie chodzi?

Chłopak o jelenich nogach, którego zauważyłam już wcześniej, bo grał podczas nocy Łowieckiego Księżyca, podchodzi do niego i mówi drżącym głosem:

– Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość. Stało się tylko to, że skradziono mi lirę.

– Na cóż więc debatować? – pyta Cardan. – Skoro nie masz liry, to na niej nie zagrasz. Niech więc grają skrzyпки.

– Ale to on ją ukradł. – Chłopak wskazuje innego muzykanta, z włosami zielonymi niczym trawa.

Cardan spogląda na złodzieja, a na jego twarzy maluje się zniecierpliwienie.

– Bo moja lira miała struny z włosów pięknych śmiertelnych istot, które tragicznie zmarły

za młodu – tłumaczy się trawiastowłosa. – Przez dziesiątki lat je zbierałem i niełatwo było ją utrzymać w dobrym stanie. Śmiertelne głosy śpiewały żałobnym tonem, gdy na niej grałem. Nawet wasza wysokość mogłaby się rozplakać, z przeproszeniem Waszej Wysokości.

Cardan niecierpliwie macha ręką.

– Dosyć tych przechwałek. Pytałem cię o jego lirę, nie twoją.

Trawiasty jakby się zaczerwienił, bo jego skóra przybrała ciemniejszy odcień zieleni.

– On ją ode mnie pożyczył i nie oddał – mówi, pokazując palcem jelenionogiego. – Pożyczył na jeden wieczór, lecz potem nie potrafił się z nią rozstać, stała się jego obsesją i nie spoczął, dopóki jej nie zniszczył. Ja tylko w zamian zabrałem jego lirę, bo choć jest pośledniejsza, na czymś przecież muszę grać.

– Powinieneś ich obu ukarać – wtrąca się Loki. – Choćby za to, że taką błahą sprawą zaprzatają umysł Najwyższego Króla.

– Cóż więc? – Cardan na powrót zwraca się do chłopca, który jako pierwszy skarżył się, że jego instrument został skradziony. – Czy mam was rozsądzić?

– Jeszcze chwilę, upraszam łaski Waszej Wysokości – odzywa się jeleniowaty, strzygąc uszami ze zdenerwowania. – Gdy grałem na jego lirze, głosy zmarłych do mnie przemawiały. To do nich naprawdę należał ten instrument. Zniszczyłem go, aby ich ocalić. Byli w nim uwięzieni, jakby schwytni w pułapkę.

Cardan siada na tronie, kręci głową z niedowierzaniem, aż korona zsuwa mu się na bok.

– Dość tych bredni – mówi. – Obaj jesteście złodziejami i to nie nazbyt zręcznymi.

– Ale nie rozumiesz, ten ból, ten krzyk rozpacz... – Jelenionogi zasłania usta dłonią, uświadamiając sobie, że przemawia w obliczu Najwyższego Króla.

– Czyś nigdy nie słyszał, że dobry uczynek jest nagrodą sam w sobie? – pyta niefrasobliwym tonem Cardan. – Mówi się tak, bo żadnej innej nagrody za niego nie ma.

Chłopak postukuje kopytami o klepisko.

– Ukradłeś lirę, a za to twoja lira też została skradziona – cicho tłumaczy mu Cardan. – Jest w tym pewna sprawiedliwość. – Następnie zwraca się do trawiastego: – Ty zaś wzięłeś sprawy w swoje ręce, przyjąć tedy należy, że zebrałeś owoce swego postępuku. Obaj zaś działacie mi na nerwy. Dawać tu ten instrument.

Obaj mają nadąsane miny, ale trawiasty podchodzi i wręcza lirę strażnikowi.

– Każdemu z was będzie dana szansa, by pokazał, co potrafi. Ten z was, który zagra piękniej, lirę dostanie, albowiem sztuka jest czymś więcej niż dobro lub zło.

Wspinam się ostrożnie po stopniach, tymczasem jeleniowaty zaczyna grać. Nie spodziewałam się, że Cardan zechce poświęcić sprawie tyle uwagi i wysłuchać muzykantów. Nie jestem w stanie ocenić, czy rozsądzi ich sprawiedliwie, czy to tylko kolejna igraszka.

A muzyka jest hipnotyzująca, czuję dreszcze na skórze, przenika aż do szpiku kości.

– Wasza Wysokość – odzywam się. – Przybywam na wezwanie.

– Ach, tak. – Włosy jak krucze skrzydło opadają na jego oko. – A więc wojna?

Przez chwilę zdaje mi się, że mówi o nas dwojgu.

– Nie – odpowiadam. – Przynajmniej do następnej pełni.

– Nie da się walczyć z morzem – oznajmia Loki tonem mędrca.

Cardan śmieje się krótko.

– Ze wszystkim da się walczyć. Co innego wygrać, to już nie takie proste. Prawda, Jude?

– Jude zawsze wygrywa – oznajmia Loki z uśmiechem. Potem spogląda w stronę muzyków i klaszcze w dłonie. – Wystarczy. Teraz ten drugi.

Skoro Cardan nie sprzeciwia się decyzji swojego mistrza biesiadnego, jeleniowaty niechętnie, ale przekazuje instrument trawiastemu. Pod wzgórzem rozlega się świeży powiew muzyki, dzika melodia, od której przyspiesza bicie mojego serca.

– Przecież miałeś już iść – zwracam się do Lokiego.

Szczerzy zęby.

– Nie, bardzo mi tutaj dobrze – odpowiada. – Przecież nie masz królowi do powiedzenia nic tak tajnego lub osobistego, żebym nie mógł tego usłyszeć.

– Szkoda, że nigdy się tego nie dowiesz. Zjeżdżaj. Już.

Dopiero co Randalin napominał mnie, że przecież mam władzę. Niby mam, ale i tak nie mogę pozbyć się na pół godziny mistrza biesiadnego, nie mówiąc już o głównodowodzącym, który zresztą jest przy okazji mniej lub więcej moim tatą.

– Odejdź – mówi Cardan do Lokiego. – Nie wezwałem jej tutaj dla twojej przyjemności.

– Cóż za samolubstwo z twojej strony. Gdybyś mnie naprawdę lubił, tak byś właśnie zrobił – rzuca Loki i zeskakuje z podium.

– Zabierz Taryn do domu – wołam za nim. Gdyby nie ona, kopnęłabym go w ten lisi pysk.

– Chyba mu się podobasz, kiedy się złościysz – zauważa Cardan. – Masz zaczerwienione policzki i oczy ci błyszczą.

– Mało mnie obchodzi, co mu się podoba – odpowiadam warknięciem.

– Dużo rzeczy mało cię obchodzi – odpowiada sucho Cardan.

Kiedy na niego spoglądam, widzę nieprzeniknioną twarz.

– Czemu tu jestem? – pytam.

Zdejmuje nogi z oparcia, wstaje.

– Ty. – Pokazuje palcem chłopca na jelenich nogach. – Dzisiaj tobie fortuna sprzyja. Weź lirę. I pilnujcie się dobrze, żeby żaden z was już nigdy więcej nie zwrócił na siebie mojej uwagi.

Jeleniowaty elf gnie się w pas, trawiasty robi naburmuszoną minę, a Cardan rzuca mi polecenie:

– Chodź.

Z pewnym trudem przychodzi mi znów zignorować jego wielkopańskie maniery, ale idę za nim. W kamiennej ścianie za tronem i podwyższeniem dostrzegam małe drzwiczki, na pół zasłonięte bluszczem. Nigdy przedtem ich nie zauważyłam.

Cardan odgarnia na bok bluszcz, wchodzimy do środka.

Znajdujemy się w małym w gabinecie, najwyraźniej przeznaczonym na kameralne spotkania. Ściany pokrywa mech, fosforyzujące grzyby rzucają na nas bladą poświatę. Jest tam niska kanapa, na której można sięść lub się położyć, zależnie od potrzeby.

Jesteśmy sam na sam i Cardan ani nie śpi, ani nie jest do nieprzytomności pijany. Takie sam na sam dawno nam się nie zdarzyło, dlatego gdy do mnie podchodzi, przez krótką chwilę serce bije mi odrobinę mocniej.

– Mój brat przysłał mi wiadomość.

Pokazuje mi kartkę, którą wyciągnął z kieszeni.

Jeśli chcesz ocalić kark, odwiedź mnie.

Swojego seneszala trzymaj na smyczy.

– No? – pyta, podając mi kartkę. – O co w tym wszystkim chodzi?

Oddycham z ulgą. Pani Ashy niewiele czasu zajęło, by przekazać Balekinowi podsuniętą przeze mnie informację, a i Balekin się nie ociągał. Punkt dla mnie.

– Przejęłam kilka wiadomości przeznaczonych dla ciebie – przyznaję.

– I uznałaś, że nie warto mnie o nich powiadomić. – Cardan spogląda na mnie bez szczególnej urazy, ale zachwycony nie jest. – Tak samo jak nie raczyłaś mnie poinformować o spotkaniach Balekina z wysłannikami Orlagh czy planach Nicassii wobec mnie.

– Przecież to oczywiste, że Balekin chce się z tobą zobaczyć – mówię, próbując przekierować rozmowę tak, by nie skupiać się na i tak mocno niekompletnej liście przemilczanych przeze mnie rzeczy. – Jesteś jego bratem i jedyną osobą mogącą go uwolnić. Pomyślałam sobie, że jeśli przyjdzie ci do głowy, by mu wybaczyć, zawsze możesz podjąć z nim rokowania. Nie potrzebujesz namów z jego strony.

– Co się zmieniło? – pyta, machając kartką. Teraz słyszę gniew w jego głosie. – Dlaczego tym razem wolno mi było to dostać?

– Dostarczyłam mu źródło informacji – wyjaśniam. – Takie, które mogą poświęcić.

– I jak niby mam odpowiedzieć na ten liścik?

– Każ go przyprowadzić w kajdanach przed swoje oblicze. – Odbieram mu papier i wsadzam do kieszeni. – Chciałabym wiedzieć, co w swoim mniemaniu może uzyskać podczas takiej rozmowy. Szczególnie że nie wie, że ty wiesz o jego kontaktach z królową Toni.

Cardan mruży powieki. Najgorzej, że znowu go oszukuję, chodź tylko przez przemilczenie. Ukrywam bowiem przed nim źródło informacji, to, które mogą poświęcić. Nie mówię mu, że to jego rodzona matka.

Miałabym ochotę powiedzieć: zaraz, przecież sam chciałeś, żebym to wszystko wzięła na siebie, ty miałeś bawić się i zabawiać poddanych, nic więcej.

– Pewnie spróbuje wymóc na mnie krzykiem to, czego chce – stwierdza Cardan. – Być może uda się go podstępem nakłonić, żeby z czymś się wygadał. Może, ale to wątpliwe.

Kiwam głową, bo knująca część mojego umysłu, ta, która od dziecka kształciła się na grach strategicznych, już podsuwa mi następny ruch.

– Nicassia wie więcej, niż chce powiedzieć. Spraw, żeby ona się wygadała, następnie wykorzystamy to przeciwko Balekinowi.

– Nie wiem, może coś wie, ale obawiam się, że z dyplomatycznego punktu widzenia zastosowanie tortur wobec księżniczki byłoby pewnym nietaktem.

Patrzę na niego, na jego miękkie usta i wydatne kości policzkowe, na okrutne piękno jego twarzy.

– Jakie tam tortury. Ty wystarczysz. Wystarczy, że pójdziesz do Nicassii i ją oczarujesz.

Spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Oj, nie udawaj – mówię. Plan układa się w miarę moich słów. Bardzo mi się nie podoba, ale zarazem mam pewność, że zadziała. – Przecież za każdym razem, gdy cię widzę, wprost oblegają cię tłumy wielbicielek.

– Jestem królem.

– Oblegały cię też wcześniej. – Nie do wiary, że muszę mu to tłumaczyć. Przecież chyba zdaje sobie sprawę z tego, jak przyciąga do siebie elfki. Elfów zresztą zapewne też.

Rozkłada ręce.

– To znaczy, kiedy byłem zaledwie zwykłym księciem...?

– Posłuż się urokiem osobistym – mówię, chociaż czuję się okropnie głupio. – Masz chyba jakieś swoje sposoby. Ona za tobą szaleje, to powinno być łatwe.

O ile to możliwe, jego brwi wznoszą się jeszcze wyżej.

– Ty chyba naprawdę chciałabyś, żebym to zrobił.

Biorę głęboki wdech. Zdaję sobie sprawę, że trzeba czegoś więcej, by go przekonać, oraz że mam w zanadrzu pewien argument.

– To Nicassia przysłała wtedy tajnym korytarzem i postrzeliła dziewczynę, z którą się całowałeś.

– A więc to ona próbowała mnie zabić? Powiedz mi szczerze, Jude, ile masz jeszcze sekretów w zanadrzu?

Zbyt wiele.

– Strzelała do dziewczyny, nie do ciebie. Zastała cię w łóżku z inną, w przypływie zazdrości strzeliła dwa razy. Pechowo dla ciebie, ale szczęśliwie dla wszystkich innych, strzelać to ona nie umie. Teraz wierzysz, że świata poza tobą nie widzi?

– Już nie wiem, w co mam wierzyć – odparowuje, bardzo rozgniewany. Nie wiem, czy na nią, czy na mnie. Pewnie jedno i drugie.

– Zamierzała zrobić ci niespodziankę, złożyć wizytę w łóżku. Daj jej to, czego chciała, i wyciągnij od niej informacje, których nam trzeba, żeby uniknąć wojny.

Podchodzi bliżej, na tyle blisko, że czuję jego oddech.

– Czy mi rozkazujesz?

– Nie – odpowiadam, zaskoczona. Unikam jego wzroku. – Oczywiście, że nie.

Czuję jego palce pod brodą. Unosi moją głowę tak, żebym spojrzała w jego czarne oczy; płonie w nich ogień zimny, lecz palący jak rozżarzone węgle.

– Uważasz, że powinienem to zrobić. I że potrafię. Że mógłbym sobie poradzić. Dobrze, Jude. Musisz mi tylko powiedzieć, jak mam się do tego zabrać. Myślisz, że jej się spodoba, gdy tak do niej podejść i popatrzeć głęboko w oczy?

Spinam się, muszę być czujna, bo ogarnia mnie chore, gwałtowne pożądanie. On o tym wie. Wiem, że wie.

– Pewnie tak – odpowiadam lekko drżącym głosem. – Zresztą nie wiem, postępuj tak jak zwykle.

– Dajże spokój – mówi, a jego głos wibruje pomrukiem powstrzymanej furii. – Skoro chcesz, żebym odegrał komedię, przynajmniej pozwól, bym skorzystał z dobrodziejstw twoich rad.

Upierścienione palce muskają mój policzek, przesuwają się wzdłuż warg, potem po szyi. Kręci mi się w głowie, nogi się pode mną uginają.

– Czy tak powinienem jej dotykać? – pyta, mrużąc powieki. Cień wyznacza zarys jego twarzy, uwydatnia kości policzkowe.

– Skąd mam wiedzieć? – mówię, ale głos mnie zdradza. Brzmi zupełnie nieodpowiednio, jest wysoki i zadyszany.

Dotyka ustami mojego ucha, całuje. Przesuwa dłonią po ramieniu, przyprawia mnie o dreszcz.

– Może potem tak? Czy tak powinienem ją uwieść? – Czuję jego usta wypisujące gorącym oddechem te słowa na mojej skórze. – Sądzisz, że w ten sposób uzyskam pożądane rezultaty?

Wbijam paznokcie we wnętrze dłoni, byle tylko nie przywrzeć do niego. Moje ciało drży w napięciu.

– Tak.

Wtedy nagle jego wargi przywierają do moich ust, moje zaś się rozchylają. Zamykam oczy wbrew temu, co zaraz uczynię. Sięgam do jego czarnych loków. Nie całuje mnie gniewnie, jego pocałunek jest miękki, spragniony.

Świat wokół zwalnia, staje się płynny i gorący. Tracę zdolność myślenia.

Pragnęłam i obawiałam się tego, a teraz to właśnie się dzieje. Nie wiem, jak będę zdolna kiedykolwiek pragnąć czegoś innego.

Padamy na kanapę. On troskliwie podkłada poduszkę pod moją głowę, a ja przyciągam go ku sobie. Gdy widzę jego twarz, dostrzegam w niej odbicie swojej własnej – widzę wyraz zaskoczenia i nieco zgrozy.

– Powiedz mi jeszcze raz to, co powiedziałaś podczas obchodów Łowieckiego Księżyca – mówi, przygniatając mnie swoim ciałem.

– Ale co?

– Że mnie nienawidzisz – odpowiada ochrypłym głosem. – No, powiedz, że mnie nienawidzisz.

– Nienawidzę cię. – Te słowa są teraz pieszczotą. Powtarzam je raz po raz. Jak zakłęcie przeciw temu, co naprawdę czuję. – Nienawidzę. Nienawidzę. Nienawidzę...

Całuje mocniej.

– Nienawidzę – dyszę wprost w jego usta. – Tak strasznie nienawidzę, że czasem trudno mi myśleć o czymkolwiek.

Odpowiada niskim, ochrypłym, nieartykułowanym odgłosem.

Przesuwa dłonią po moim brzuchu, rysując jego kształt. Znów całuje. Jakbym spadała w przepaść. Jakbym zsuwała się z lawiną po zboczu góry, z każdym dotknięciem nabierając impetu, a koniec tego pędu może być tylko jeden, miażdżący i ostateczny.

Czegoś takiego nie czułam jeszcze nigdy.

Rozpina mój kaftan, muszę uważać, żeby nie zeszywnieć, nie zdradzić swojego braku doświadczenia. Nie chcę, żeby przestał.

To działa jak rzucony urok. Jest w tym cała złowroga rozkosz potajemnego wykradania się z domu, mdlący zawrót głowy towarzyszący zuchwałej kradzieży.

Trochę tak, jak czułam się na krótką chwilę przed tym, nim wbiłam sobie sztylet w dłoń, zdumiona własną zdolnością, by zrobić coś absolutnie wbrew sobie.

Unosi się lekko, by ściągnąć kurtkę, ja próbuję wyswobodzić się z kaftana. Patrzy na mnie i mruga, jakby spoglądał przez mgłę.

– To bardzo zły pomysł – mówi niemal ze zdumieniem w głosie.

– Tak – odpowiadam, jednocześnie zrzucam buty.

Mam na sobie pludry i chyba nie ma eleganckiego sposobu, żeby się ich pozbyć. W każdym razie ja go nie znam. Zaplątana w fałdach materiału, czuję się głupio, ale jednocześnie zdaję sobie sprawę, że mogę to wszystko przerwać i skończyć. Zabrać swoje rzeczy i wyjść. Mogę, tylko że tego nie robię.

Cardan ściąga przez głowę białą koszulę, nie rozpinając jej, a robi to jednym eleganckim gestem. Dostrzegam nagą skórę i blizny. Moje dłonie drżą. Chwyta je i obsypuje pocałunkami, odnosi się do nich niemal z uwielbieniem.

– Mów mi, mów mi tak wiele kłamstw – słyszę jego głos.

Drzę i serce mi wali, kiedy jego dłoń gładzi moją skórę, wsuwa się między moje uda. Rozpinam guziki jego bryczesów. Pomaga mi, zsuwa je; jego ogon owija się najpierw wokół jego nogi, potem ociera o moją, lecz robi to z niewysłowioną delikatnością, muska mnie jak szept. Wsuwam dłoń pod jego płaski brzuch. Nie pozwalam sobie nawet na moment zawahania, chociaż czuję skrępowanie wynikające z braku doświadczenia. Czuję ciepło jego

skóry. Jego palce nieomylnie błędzą po mojej.

Czuję się tak, jakbym tonęła w tym odczuciu.

Oczy ma otwarte, patrzy prosto w moją spłonioną twarz, wsłuchuje się w mój urywany oddech. Próbuję powstrzymać się od wydawania tych jakże wstydliwych odgłosów. Jego spojrzenie jest bardziej intymne od dotyku. Nienawidzę tego, że on wie, co robi, a ja nie. Nagle stałam się bezbronna i tego najbardziej nienawidzę. Wbrew samej sobie odchyłam głowę do tyłu, odsłaniam krtań. Nienawidzę tego, jak go oplatom ramionami i nogami, jak wbijam paznokcie w jego plecy, jak moje myśli się rozpadają, a pozostaje tylko jedna w mojej głowie: ta, że nigdy nikogo bardziej niż jego nie polubiłam. I że ze wszystkiego, co mi kiedykolwiek zrobił, to, że go tak bardzo polubiłam, jest najgorsze.

ROZDIAŁ

16

Kiedy jest się szpiegiem, strategiem czy w ogóle kimkolwiek, jedną z najtrudniejszych rzeczy jest czekanie. Dobrze pamiętam lekcje Ducha, gdy godzinami musiałam siedzieć z kuszą w dłoniach i panować nad umysłem, by nie odpłynąć myślami nie wiadomo dokąd, bo należało zachować czujność, czekając na jedyną i niepowtarzalną okazję do celnego strzału.

Na zwycięstwo w wielkim stopniu składa się właśnie oczekiwanie.

Bo z drugiej strony, jest to oczekiwanie na magiczny moment, kiedy wszystko wyjaśnia się w jednej chwili. Wystarczy strzelić i trafić, wyzwolić uśpiony impet.

Gdy powracam do swoich komnat, właśnie to sobie przypominam. Nie wolno mi sobie pozwolić na roztargnienie. Jutro muszę przywieźć Vivi i Dęba. Poza tym, czy może przede wszystkim, muszę opracować plan lepszy od tego, który wymyślił Madok, lub w najgorszym razie znaleźć sposób, żeby plan Madoka stał się bezpieczniejszy dla Dęba.

Zamiast ciągle myśleć o Cardanie, muszę się zastanowić, co powiem Vivi. Nie mam ochoty roztrząsać tego, co między nami zaszło. Nie chcę myśleć o tym, jak odczuwałam dotyk jego skóry, czy o cichych odgłosach, które wydawał, kiedy dotykał wargami moich ust.

I zdecydowanie nie chcę rozmyślać o tym, jak trudno mi było powstrzymać mój własny głos, a także o tym, że musiało być dla niego oczywiste, że nigdy jeszcze nie robiłam rzeczy, które robiliśmy, nie mówiąc już o tym, do czego nie doszło.

Nie chcę, dlatego gdy tylko zaczynam o tym rozmyślać, odpędzam od siebie wspomnienia tak stanowczo, jak tylko mogę. Spycham je w tył głowy razem z potwornym poczuciem bezbronności, jakbym była odarta ze wszystkiego, aż do nagich nerwów. Nie wiem, jak będę mogła znowu stanąć przed Cardanem i nie zachować się jak głupiec.

Skoro nie mogę nic zrobić w sprawie zagrożenia ze strony Toni i nic nie mogę zrobić w sprawie Cardana, może powinnam zająć się czymś innym.

Z poczuciem ulgi wkładam czarny strój i wysokie skórzane buty, zgrywam ostrza na łydkach i u nadgarstków. Ulgę przynosi fizyczna aktywność, gdy przemierzam las, a potem zakradam się do kiepsko strzeżonego domostwa. Kiedy pojawia się jeden z mieszkańców, klinga dotyka jego krtani prędzej, niż zdołałby choćby pisnąć.

– Loki – mówię słodkim głosem. – Niespodzianka.

Patrzy na mnie i olśniewający uśmiech znika z jego twarzy.

– Kwiatuszku, co ty wyprawiasz?

Teraz to ja jestem zaskoczona, ale tylko przez ułamek chwili, bo uświadamiam sobie, że bierze mnie za Taryn. Czyżby naprawdę nie potrafił nas odróżnić?

Studnia goryczy znajdująca się tam, gdzie normalne istoty mają serce, powinna przyjąć to spostrzeżenie z zadowoleniem.

– Jeśli sądzisz, że moja siostra przyłożyłaby ci nóż do gardła, to może powinieneś jeszcze poczekać z ożenkiem. – Cofam się, wskazuję sztychem głowni krzesło. – No, siadaj.

Siada, a ja w tej samej chwili wykopuję krzesło spod niego, Loki pada na podłogę.

– To nie po rycersku – mówi, ale na jego twarzy widzę coś, czego tam nigdy przedtem nie było.

Strach.

Przez pięć długich miesięcy starałam się wykorzystywać wyuczone na przestrzeni lat, które minęły od mojego przybycia do tej krainy, techniki kładzenia uszu po sobie, nierzucania się w oczy. Próbowałam się zachowywać tak, jakbym tylko otarła się o władzę, jakbym posiadała jej tyle co służąca, mając jednocześnie na względzie, że odpowiadam dosłownie za wszystko. Kwestia utrzymania chwiejnej równowagi czy może raczej karkołomnej zonglerki, o której mówił Val Moren.

Dopuściłam do tego, że Loki się rozbisurmanił. Niedopatrznie.

Stawiam stopę na jego piersi, lekko przyciskam, aby zrozumiał, że jeśli tylko zechcę, mogę strzaskać mu kości.

– Byłam milutka, ale to się już skończyło. To nie jest gra w zagadki oraz słodkie słówka. Pomysł, żeby upokorzyć Najwyższego Króla, to był bardzo zły pomysł. Pomysł, żeby mnie upokorzyć, fatalny. Zwodzenie mojej siostry to z twojej strony po prostu głupota. Zaraz, a może myślałeś, że jestem zbyt zajęta, żeby ci poświęcić chwilkę? Ależ Loki, ja dla ciebie zawsze znajdę czas.

Błednie. Doskonale widać, że nie ma pojęcia, czego może się po mnie w tej chwili spodziewać. Wie tyle, że kiedyś dziabnęłam nożem Valeriana, ale przecież nie wie, że potem go zabiłam. I nie tylko Valeriana. Skąd może wiedzieć, że stałam się szpiegiem. Nawet o moim pojedynku z Taryn tylko słyszał.

– Ta heca z Królową Uciech to był tylko żart – skomle, patrząc na mnie z podłogi lisimi ślepiami, w których połyskuje coś na kształt przyjaznej ugodowości, tak jakby chciał mnie półuśmieszkiem przekonać, żebym ja też się uśmiechnęła, a potem wszystkie nieporozumienia między nami pójdą w niepamięć. – No już, Jude. Pozwól mi wstać. Naprawdę mogłabyś mnie skrzywdzić?

Odpowiadam kpiąco słodkim głosem:

– Kiedyś sam powiedziałaś, że gram w wielką grę, coś tam z królami, królowymi

i koronami, pamiętasz? Zrozum, że aby dobrze w to grać, trzeba być bezlitosnym.

Próbuje wstać, ale przyciskam go stopą do podłogi, poprawiam nóż w dłoni. Loki nieruchomieje.

– Zawsze lubiłeś historyjki, sam mi o tym mówiłeś – przypominam. – I chciałbyś tworzyć iskierki, z których powstaną nowe opowieści. Mam dla ciebie niezrównany pomysł. Co powiesz na opowiadanie o dziewczynie ze śmiertelnego rodu, która zamordowała narzeczonego swojej siostry bliźniaczki?

Zamyka oczy, rozkłada ręce, pokazując wnętrza otwartych dłoni.

– Dajże spokój, Jude. Może przesadziłem, ale przecież mnie za to nie zamordujesz. Twoja siostra byłaby zrozpaczona.

– Lepiej przed ślubem, niż żeby miała zostać wdową – mówię, ale zdejmuję stopę z jego klatki piersiowej.

Loki wstaje niepewnie, otrzepuje ubranie. Potem rozgląda się, jakby nie rozpoznawał wnętrza własnego dworu, odkąd je zobaczył z poziomu posadzki.

– Masz rację – mówię. – Nie chcę ci zrobić nic złego. Przecież wkrótce staniemy się rodziną. Ty będziesz moim bratem, a ja twoją siostrą. Żyjmy więc w przyjaźni. Ale jednak, by mogło się tak stać, musisz dla mnie zrobić to i owo. Pierwsza rzecz: przestań próbować mnie stawiać w niezręcznej sytuacji. Opuść sobie tworzenie historyjek z moim udziałem. Znajdź sobie kogoś innego do tej roli. Po drugie zaś, nic mnie nie obchodzi, co masz do Cardana. Nie wiem, co cię skłoniło, żeby tak sobie z nim pogrywać, żeby odbierać mu kochankę, a potem ją rzucić dla śmiertelniczki, ale wygląda to tak, jakbyś koniecznie chciał mu dać do zrozumienia, że coś, co dla niego jest najcenniejsze, ty wyrzucasz jak zwykły śmieć... No więc to też sobie odpuść. I cokolwiek cię skłoniło, żeby zrobić ze mnie Królową Uciech, aby igrać z jakimiś uczuciami Cardana, które sobie wyobrażasz, nie próbuj tego więcej. On jest Najwyższym Królem, więc to dla ciebie zbyt niebezpieczne.

– Niebezpieczne – przyznaje. – Ale jakie zabawne.

Nadal nie odpowiadam uśmiechem na jego uśmiech.

– Kiedy upokarzasz króla wobec jego dworu, zaczyna się gadanie, a w rezultacie poddani zapominają, że powinni się bać. Wkrótce pomniejszych dwory uznają, że można mu się przeciwstawić.

Loki próbuje postawić przewrócone krzesło, a kiedy widzi, że zostało zniszczone moim kopniakiem i nie będzie stać, opiera je o stół.

– Oj tam, daj spokój. Możesz się na mnie gniewać, proszę bardzo, Ale pomyśl tylko: jesteś seneszalem Cardana, a on bez wątplenia nie może oderwać oczu od twoich bioder, ust i ludzkiej skóry. A przecież doskonale zdaję sobie sprawę, że w głębi serca, choćby nie wiem co ci obiecał, ty go nienawidzisz. Pragnęłabyś jego ponizenia wobec całego dworu. Coś mi mówi, że gdyby nie te łachmany i fakt, że sama stałaś się przedmiotem drwin, właśnie za to wybaczyłabyś mi wszystkie moje nieczne postęпки.

- Mylisz się.
- Kłamiesz – odpowiada z uśmiechem.
- Nawet jeżeli tak sądzisz, przestań.

Próbuję ocenić, na ile poważnie to mówię i jak daleko mogę się posunąć. Widzi we mnie dziewczynę, którą kiedyś przyprowadził do swojego domu, całował się z nią, a potem wystawił do wiatru. Pewnie nie po raz pierwszy się zastanawia, jaki to szczęśliwy traf wyniósł mnie na stanowisko seneszala, jakim cudem zdołałam dostać w swoje ręce Koronę Krwi, a następnie tak wszystko urządzić, żeby mój mały braciszek włożył ją na głowę Cardana.

– Jeszcze jedno – dodaję. – Dochowaj Taryn wierności. Jeśli po ślubie zapragniesz mieć inne kochanki, zabawiaj się do woli, ale zawsze razem z nią. Niech i ona się bawi. Bo jeśli nie wszyscy się bawią, to żadna zabawa. Pamiętaj o tym.

Patrzy na mnie i już się nie uśmiecha.

- Chcesz mi zarzucić, że nie kocham twojej siostry?
- Gdybym tak uważała, nie byłoby tej rozmowy.

Wzdycha ciężko.

– Bo co, bobyś mnie zamordowała?

– Jeśli skrzywdzisz Taryn, zgładzi cię Madok, ja nawet nie zdążę kiwnąć palcem w bucie. Chowam nóż, idę do drzwi.

– Ty i ten twój Madok zdziwilibyście się, gdyby ktoś wam wytłumaczył, że mnóstwo rzeczy można załatwić bez zabijania – woła za mną Loki.

– O tak, rzeczywiście to by nas oboje bardzo zdziwiło – rzucam przez ramię.

ROZDIAŁ

17

Przez te pięć miesięcy nieobecności Vivi i Dęba odwiedziłam świat śmiertelny tylko dwukrotnie. Raz, żeby pomóc im się urządzić w mieszkaniu, a potem jeszcze wpadłam na imprezę, którą Heather urządziła z okazji urodzin Vivi. Siedziałyśmy wtedy z Taryn na skraju kanapy, jadłyśmy ser z oliwkami w oliwie i pozwolono nam wypić tylko po łyżku shirazu, ponieważ „nie osiągnęłyśmy jeszcze pełnoletności”, jak stwierdziły dziewczyny z college’u. Przez cały czas siedziałam jak na szpilkach, zachodząc w głowę, jakie nieszczęścia mogą się wydarzyć pod moją nieobecność.

Madok posłał Vivi prezent, a Taryn przewiozła grzecznie podarunek ponad morzem – solniczkę, która jest zawsze pełna. Wystarczy ją tylko przewrócić do góry nogami, a potem postawić z powrotem, i znowu można solić. Trochę się obawiałam, co z tego prezentu wyniknie, ale Heather się roześmiała, jakby to był jakiś trik z podwójnym dnem.

Heather nie wierzy w magię.

Jak Heather zniesie to, co zobaczy na ślubie Taryn? Tego nikt nie zdoła przewidzieć. Mogę tylko mieć nadzieję, że Vivienne choć odrobinę ją przygotowuje. W przeciwnym razie nieszczęsna Heather tego samego dnia dowie się, że syreny naprawdę istnieją oraz że grozi nam z ich strony śmiertelne niebezpieczeństwo. Wyznaję zasadę, że „wszystko naraz” to zła zasada. Przynajmniej jeśli chodzi o przekazywanie wiadomości.

Po północy Karakan i ja wyruszamy przez morze łodzią sporządzoną z rzecznej trzciny i oddechu. Wieziemy śmiertelników, którzy drążyli nowe pomieszczenia i korytarze Dworu Cieni. Zabrano ich z łóżek po zmierzchu, wrócą do nich przed świtem. Gdy się obudzą, znajdą w pościeli i kieszeniach złote monety. Nie elfowe złoto, które zmienia się w suche liście i kamienie, tylko prawdziwe. Za jedną zarwaną noc dostaną tyle, ile zarabiają przez miesiąc.

Powiecie, że jestem bez serca, bo nie tylko na to pozwalam, ale wręcz nakazuję. Może to prawda. Jednak zawarli ugodę, chociaż może nie wiedzieli, z kim się umawiają. Mogę też zapewnić, że rano będą tylko zmęczeni. Żadnych wspomnień, nie będą pamiętali pobytu w Elfhame i nigdy więcej tam nie powrócą.

W drodze powrotnej siedzą spokojnie, pogrążeni w marzeniach, podczas gdy fale i wiatr niosą nas ku przeciwnemu brzegowi. Nad nami szybuje Smok, wypatrując

niebezpieczeństwa. Patrę na fale i myślę o Nicassii. Wyobrażam sobie pletwiaste dłonie na burcie, mieszkańców głębin wdzierających się na pokład łodzi.

Nie można walczyć z morzem, tak stwierdził Loki. Mam nadzieję, że się myli.

Dobijamy do brzegu. Wyskakuję, czuję lodowatą wodę na łydkach i czarne skały pod stopami. Chwilę potem łódź się rozpada, przestaje ją bowiem spajać czar rzucony przez Karakana. Smok leci na północ, żeby się rozejrzeć za następnymi robotnikami.

Ja i Karakan kładziemy każdego ze śmiertelnych do łóżka, czasem obok śpiącej kobiety; wówczas pilnujemy się, żeby jej nie obudzić brzękiem rozsypanego złota. Czuję się jak czarodziejka z bajki, gdy tak się zakradam do czyjegoś domu; mogłabym spać z mleka śmietankę lub zaplątać dziecku kołtun we włosach.

– Najczęściej jest się przy tym skazanym na samotność – mówi Karakan, kiedy mamy tę robotę za sobą. – Miło było to załatwić w twoim towarzystwie. Do świtu mamy jeszcze długie godziny, zjedz więc ze mną wiesz. –

To prawda, jest jeszcze o wiele za wcześnie, żeby zjawić się po Vivi, Heather i Dęba. Prawdą jest też, że jestem głodna. Ostatnimi czasy odkładałam jedzenie tak długo, aż nie mogę już wytrzymać. Mniej więcej jak wąż, który albo głoduje, albo pożera za jednym zamachem całą mysz.

– Świetnie.

Karakan proponuje, żebyśmy poszli do całodobowej jadłodajni. Nie przyznaję się, że jeszcze nigdy w takim miejscu nie byłam, tylko idę za nim przez las. Wychodzimy w pobliżu autostrady. Po drugiej stronie widzę jasno oświetlony budynek, lśniący od chromu. Szydł głosi, że lokal otwarty jest przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obok rozciąga się ogromny parking, na którym stoi teraz tylko kilka ciężarówek. O tej porze prawie nie ma ruchu, więc bez trudu przedostajemy się przez jezdnię.

Idę potulnie za Karakanem, siadam przy stoliku. On strzela palcami, a wówczas skrzyneczka obok ożywia się, rozbrzmiewa dziwną muzyką. Wzdrygam się zaskoczona, Karakan się ze mnie śmieje. Pojawia się kelnerka z długopisem za uchem, skuwka długopisu jest pogryziona, zupełnie jak na filmach.

– Coś do picia na początek? – mówi prędko, nie rozdzielając słów, dopiero po chwili rozumiem pytanie.

– Poproszę kawę – mówi Karakan. – Czarną jak oczy króla na Elfhame.

Kelnerka patrzy na niego obojętnym wzrokiem, zapisuje coś na bloczku, po czym pytająco spogląda na mnie.

– Dla mnie to samo – mówię, bo nie wiem, co innego mogłabym zamówić.

Gdy kelnerka odchodzi, otwieram menu i patrę na zdjęcia. Okazuje się, że mają tu po prostu wszystko. Stosy jedzenia. Kurze skrzydełka, jasne i lśniące od glazury, obok nich miseczki białego sosu. Kopa siekanych kartofli pieczonych w oleju, na tym smażone kiełbaski oraz jajko sadzone. Mączne ciastka większe od mojej rozłożonej dłoni,

posmarowane masłem i lśniące od syropu.

– Wiesz? – mówi Karakan. – Twoi pobratymcy wierzyli, że nasz ludek przychodzi i sprawia, że ich jedzenie przestaje zaspokajać głód.

– A czy rzeczywiście tak było? – pytam z uśmiechem.

Wzrusza ramionami.

– Któż to może wiedzieć, to dawne czasy. W każdym razie zapewniam, że pokarm śmiertelników jest bardzo sycący.

Kelnerka przynosi kawę, rozgrzewam dłonie na kubku, a Karakan zamawia smażone pikle i pikantne skrzydełka, hamburgera i szejka. Ja proszę o omlet z grzybami, tudzież ser z papryczką, która nazywa się jalapeño.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu. Karakan rozrywa saszetki i wsypuje cukier do swojego kubka. Ja nie, bo choć kiedyś przywykłam do lepkich od słodkości napojów z kremem, które sporządzała dla mnie Vivi, tak naprawdę wolę kawę bez niczego, gorącą i gorzką.

Czarną jak oczy króla na Elfhame.

– A kiedy powiesz królowi o jego matce? – pyta Karakan.

– Ona nie życzy sobie, żebym mu powiedziała.

Karakan marszczy brwi.

– Wprowadziłaś wiele ulepszeń na Dworze Cieni. Jesteś młoda, ale tak ambitna, jak bywają zapewne tylko młodzi. Oceniam cię według trzech i tylko trzech kryteriów: na ile jesteś z nami szczerą, do czego jesteś zdolna i czego chcesz od świata.

– A co ma z tym wspólnego pani Asha? – pytam. Tymczasem kelnerka przynosi nam jedzenie. – Jestem pewna, że coś ma. Inaczej nie poruszyłbyś tej kwestii.

Mój omlet jest ogromny, wszystkie kury z całego kurnika oddały chyba na niego swoje jaja. Wszystkie grzyby mają taki sam kształt, tak jakby ktoś zmielił prawdziwe, a potem tę masę włożył do foremek. Tak też zresztą smakują. Karakan także dostaje, co zamówił, więc nasz stół zastawiony jest po brzegi.

Obgryza kawałek skrzydełka i ze smakiem oblizuje wargi czarnym językiem.

– Cardan należy do Dworu Cieni. Oszukujemy cały świat, ale nie siebie nawzajem. Co innego zataić przed nim wiadomości od Balekina, ale matka... Czy król w ogóle wie, że ona żyje?

– Nie dramatyzuj – odpowiadam. – Nie mamy powodu, by sądzić, że nie wie. Nie jest jednym z nas. Nie jest szpiegiem.

Karakan pochłania ostatnią chrząstkę z kości kurczaka, miażdży ją w zębach. Zjadł już wszystkie skrzydełka, odstawia na bok pusty talerz i bierze się do pikli.

– Sama zawarłaś z nim układ, w którym on życzył sobie, żebym go uczył, toteż wziąłem go pod swoje skrzydła. Trening zręczności, kieszonkowe kradzieże, odrobina magii. Jest w tym dobry.

Przypomina mi się moneta, którą tak zręcznie obracał w palcach, przyglądając się, jak płonie jego komnata.

– Nie patrz tak na mnie – śmieje się Karakan. – To ty zawarłaś ten układ, nie ja.

Prawie o tym nie pamiętałam. Tak bardzo mi zależało, żeby Cardan zgodził się na rok i dzień posłuszeństwa. Gdy mi to ślubował, mogłam go posadzić na tronie. Aby móc to osiągnąć, obiecałabym mu znacznie więcej niż tylko lekcje szpiegowskiego kunsztu.

Przypominam sobie jednak tę noc, kiedy postrzeliła go Nicassia, kiedy bawił się tą monetą i nie mogę nie pamiętać, jak na mnie spoglądał, leżąc w moim łóżu, upojony i niepokojąco upajający.

Całuj, aż mnie od tego zemdli.

– A teraz gra swoją rolę, nieprawdaz? – peroruje dalej Karakan. – Bo przecież, jeśli jest prawdziwym Najwyższym Królem elfów, któremu winniśmy wierność i posłuszeństwo aż po kres naszych dni, to rządząc za niego, traktujemy go jakby ciut bez należytego szacunku. Jeśli jednak tylko odgrywa rolę, to raczej jest agentem i szpiegiem, przy tym znacznie lepszym niż większość z nas. A tym samym zaś jak najbardziej przynależy do Dworu Cieni.

Dopijam kawę jednym łykiem, choć pali mnie w gardło.

– Nie wolno nam tak mówić.

– Istotnie, tam nam tego nie wolno – przyznaje Karakan i puszcza do mnie oko. – Dlatego rozmawiamy tutaj.

Zażądałam od niego, żeby uwiódł Nicassię i zdobył dla mnie informacje. Chyba więc zachowałam się „ciut bez należytego szacunku”. Poza tym Karakan ma rację, Cardan nie odniósł się do mojej prośby, jakby to było coś poniżej jego królewskiej godności.

– Dobrze – poddaję się. – Pomyślę, jak mu o tym powiedzieć.

Karakan szczerzy zębiska.

– Dobrze tu karmią, no nie? Czasem tęsknię za śmiertelnym światem, ale na dobre czy na złe, moja praca w Elfhame jeszcze nie jest skończona.

– Miejmy nadzieję, że jednak na dobre – mówię, po czym zabieram się do ziemniaczanego placka podanego jako dodatek do omletu.

Karakan siorbie swojego szejka, wszystkie inne talerze są już puste, piętrzą się obok niego. Unosi papierowy kubek jak do toastu.

– A więc niech dobro zwycięży, ze szczególnym uwzględnieniem naszego dobra.

Stukamy się kubkami.

– Chcę cię o coś spytać. Chodzi o Bombę.

– Jej do tego nie mieszaj – odpowiada natychmiast, patrząc na mnie uważnie. – W miarę możliwości trzymaj ją też z daleka od twoich knowań przeciwko królowej Toni. Zdaję sobie sprawę, że uwielbiasz nadstawiać karku, całkiem jakbyś się nie mogła doczekać, kiedy spadnie topór, ale jeśli czyjaś głowa ma spaść razem z twoją, doberz sobie mniej urodziwą.

– Czy dotyczy to także twojej głowy?

– To znacznie lepszy pomysł.

– Dlatego, że ją kochasz?

Karakan marszczy brwi.

– A gdyby tak było? Okłamałabyś mnie, gdybym cię zapytał, jakie mam szanse?

– Nie... – zaczynam, ale Karakan przerywa mi:

– Lubię dobre kłamstwo. – Wstaje, kładzie na stoliku srebrne monety. – Dobre kłamstwo nie jest złe. Lubię też tych, którzy potrafią dobrze kłamać, co jest z korzyścią dla ciebie. Jednak niektóre kłamstwa należy sobie darować.

Przygryzam wargi. Nie mogę mu powiedzieć nic więcej, bo zdradziłabym sekret Bomby.

Po posiłku rozdzielamy się, każde z nas ma łydgi krwawnika w kieszeni. Patrzę, jak się oddala. Rozważam jego słowa na temat Cardana. Tak usilnie starałam się nie myśleć o nim jako o prawowitym Najwyższym Królu na Elfhame, że nawet przez chwilę się nie zastanowiłam, co on myśli na ten temat. No i gdyby się za takowego nie uważał, to czy w swoim mniemaniu jest jednym z moich szpiegów?



Kieruję kroki do mieszkania siostry. Poprzednio na odwiedziny w centrach handlowych przebierałam się zawsze w stroje śmiertelników i starałam się tak zachowywać, żeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Teraz, choć mam na sobie kaftan i buty z cholewami, kiedy idę ulicami pewnego miasta w stanie Maine, prawie nikt na mnie nie zwraca uwagi, czasem ktoś się obejrzy, ale nie budzę powszechnego przerażenia jako przybysz z innego świata.

Co prawda, zaczepia mnie jakaś dziewczyna, przekonana, że biorę udział w jakiejś historycznej rekonstrukcji. Chwali się, że parę lat temu była na średniowiecznym festiwalu i bardzo jej się podobał turniej rycerski. Zjadła tam wtedy potężny kawał indyka i pierwszy raz posmakowała pitnego miodu.

– Uderza do głowy – mówię.

Dziewczyna zgadza się ze mną.

Potem jakiś starszy pan z gazetą rzuca uwagę, że pewnie będę grać w szekspirowskim przedstawieniu, które ma się odbyć w parku, a kilku łobuziaków siedzących na schodach woła za mną, że Halloween jest w październiku.

Bez wątpienia elfowie odrobili tę lekcję już dawno temu. Nie muszą mamić ludzi, bo ludzie sami się mamią.

Ta myśl towarzyszy mi, gdy przemierzam trawnik upstrzony kwiatami mniszka. Wchodzę po schodkach i stukam do drzwi mieszkania mojej siostry.

Otwiera mi Heather. Z okazji ślubu świeżo ufarbowała różowe włosy. Przez chwilę na jej

twarży maluje się wyraz zaskoczenia – pewnie chodzi o mój strój – po czym szeroko otwiera drzwi.

– Cześć! Fajnie, że zgodziłaś się nas podwieźć. W zasadzie już jesteśmy spakowane. Duży masz wóz?

– No... wystarczająco – kłamię.

Rozglądam się desperacko po kuchni, szukam Vivi. Jak ta moja dorosła siostra wyobraża sobie to wszystko, skoro wciąż jeszcze nie powiedziała Heather o niczym? Przecież tej dziewczynie nadal się wydaje, że pojedzie samochodem, a nie na grzbiecie kuca wyczarowanego z krwawnika.

– Jude! – woła Dąb. Zeskakuje z krzeselka, podbiega, obejmuje mnie rączkami. – Jedziemy? Możemy już jechać? Dałem prezenty wszystkim w szkole.

– Zobaczmy, co Vivi powie – odpowiadam. Kiedy go ściskam, orientuję się, że nabrał ciała. Nawet różki są jakby dłuższe, ale przecież to chyba niemożliwe, żeby urosły przez te kilka miesięcy?

Heather włącza ekspres do kawy. Dąb wspina się na swoje krzeselko, wsypuje do miseczki wściekle kolorowe płatki, zajada je na sucho.

Idę do pokoju obok. Widzę biurko Heather, na nim szkice, flamastry, farby. Wydruki jej prac wiszą na ścianie.

Heather nie tylko rysuje komiksy, pracuje też na pół etatu w punkcie ksero. Sądzi, że Vivi też ma jakąś pracę, co może być prawdą lub mistyfikacją. W śmiertelnym świecie jest praca i dla elfów, tylko nie taka, o której się mówi swojej dziewczynie z ludzkiego rodu.

Zwłaszcza jeżeli dotąd się jej nie przyznało, że wcale nie jest się człowiekiem.

Meble w tym domu to zbieranina taniochy rodem z garażowych wyprzedazy, ze sklepów z tandetą i śmietnikowych wystawek. Na ścianach wiszą stare talerze ze śmiesznymi zwierzakami o wielkich ślepiach, haftowane makatki z przysłowiami, okazy z epoki disco należące do zbiorów Heather oraz kredkowe rysunki Dęba.

Na jednym z nich widzę Vivi i Heather, a obok stoi Dąb – ukazani są tak, jak on ich widzi, a więc różowe włosy i śniada skóra Heather, biała cera i kocie oczy Vivi oraz on z rogami. Z pewnością Heather była zachwycona, że chłopczyk na tym rysunku zrobił z siebie i Vivi potwory. Na pewno uważa to za przejaw kreatywności.

Będzie słabo. Zniosę, jeśli Heather nawrzeszczy na moją siostrę, bo jak najbardziej Vivi się to należy, nie chciałabym jednak, żeby zraniła uczucia Dęba.

Vivi jest w swojej sypialni, jeszcze się pakuje. Pokoik jest mały w porównaniu z komnatami, w których dorastałyśmy i panuje w nim znacznie większy nieporządek niż gdzie indziej w tym mieszkaniu. Ubrania rozrzucone są wszędzie, chusty i korale wiszą na wezłowi, gmatwanina butów gnieździ się pod łóżkiem.

Siadam na materacu.

– Co Heather wie na temat naszej dzisiejszej wyprawy?

Vivi wita mnie promiennym uśmiechem.

– O, dostałaś moją wiadomość. Czyli jednak da się zmusić ptaki, żeby zrobiły coś pożytecznego.

– Nie jestem ci do niczego potrzebna – zauważam. – Przecież sama potrafisz wyczarować tyle krwawnikowych wierzchowców, ile zechcesz, a ja akurat tego nie potrafię.

– Heather wie, że udajemy się na ślub mojej siostry Taryn, co jest zgodne z prawdą, na wyspę położoną w pobliżu Maine, co też się zgadza. Widzisz? Ani jednego kłamstwa w tym nie ma.

Zaczynam rozumieć, dlaczego zostałam w to wszystko wciągnięta.

– Aha, wtedy ona powiedziała, że pojedziecie jej samochodem, a na to ty, że ja po was wpadnę.

– No, powiedziała jeszcze, że pewnie popłyniemy promem, a zdanie przypuszczające nie jest ani prawdą, ani fałszem, więc co jej na to miałam powiedzieć? – dodaje moja starsza siostrzyczka z tą niefrasobliwą szczerością, która zawsze mnie zachwycała, chociaż zarazem doprowadzała do rozpaczu.

– A teraz będziesz musiała powiedzieć jej prawdziwszą prawdę – stwierdzam. – No, chyba, że nie? Mam propozycję: graj na zwłokę. Odpuść sobie ten ślub.

– Madok powiedział, że tego będziesz chciała – stwierdza Vivi.

– Bo to zbyt niebezpieczne i to z wielu powodów, ale nie chcę cię zanudzać szczegółami. W skrócie sytuacja sprowadza się do tego, że królowa Toni chce wydać swoją córkę za Cardana i w tym celu współdziała z Balekinem, który przy okazji knuje na własny rachunek. Ona jest lepsza w byciu gorszą od niego, więc pewnie Balekina czeka gorzkie rozczarowanie.

– Miałaś rację – mówi Vivi. – To nudne. Polityka zawsze jest nudna.

– Dębowi zagraża niebezpieczeństwo – wyjaśniam. – Madok chce go użyć jako przynęty.

– Zawsze grozi jakieś niebezpieczeństwo – mówi Vivi i rzuca wysokie buty na stos pogniecionych sukienek. – Elysium to jedna wielka pułapka. Gdybym jednak pozwoliła, żeby to nas powstrzymało, jak mogłabym spojrzeć w oczy mojemu dzielnemu ojcu? Nie mówiąc już o mojej dzielnej siostrze, bo przecież podczas gdy on będzie knuł swoje knowania, ona zapewni nam bezpieczeństwo. Przynajmniej ojciec tak mi powiedział.

Chce mi się wyć. Cały on. Wrobił mnie w to wszystko tak przebiegle, że nie mogę się wycofać, a jednocześnie posłuży to doskonale jego celom. A przede wszystkim cała Vivi. Jak zwykle ma gdzieś to, co usiłuję jej wytłumaczyć, bo jak zwykle wie lepiej.

Ktoś, komu ufasz, już cię zdradził.

Vivi zaufałam bardziej niż komukolwiek innemu. Powierzyłam jej Dęba, wyjawiałam całą prawdę o moich planach. Zaufałam jej, bo jest moją starszą siostrą, bo nie obchodzą jej sprawy elfów. Jeśli ona mnie zdradziła, to koniec.

W dodatku ciągle przypomina mi o swoich rozmowach z Madokiem.

– A ty wierzysz ojcu? To coś nowego.

– Ma wiele wad, właściwie same wady, ale w knuciu jest dobry – stwierdza Vivi, co nie brzmi pocieszająco. – Daj spokój, lepiej mi opowiedz o Taryn. Czy jest szczęśliwa?

I co ja mam na to odpowiedzieć?

– Loki wyjednał sobie u Cardana tytuł mistrza biesiadnego. Taryn nie jest zachwycona jego nowym stanowiskiem ani jego zachowaniem. Dlatego odnoszę wrażenie, że on do pewnego stopnia łajdaczy się specjalnie, właśnie po to, żeby zaleźć jej za skórę.

– To już nie jest nudne – mówi Vivi. – Opowiadaj dalej.

Do pokoju wchodzi Heather z dwoma kubkami kawy. Przerywamy rozmowę; jeden kubek jest dla mnie, drugi dla Vivi.

– Nie wiedziałam, jaką lubisz – mówi Heather – więc zrobiłam taką samą jak dla Vi.

Zanurzam usta w napoju. Jest bardzo słodki. Tego ranka wypiałam już mnóstwo kawy, ale to nic nie szkodzi.

Czarna jak oczy Króla na Elfhame.

Heather opiera się o framugę drzwi.

– Spakowałaś się?

– Prawie. – Vivi rzuca okiem na walizkę i dokłada jeszcze parę kaloszy. Rozgląda się potem po pokoju, jakby się zastanawiała, co jeszcze zdoła upchać.

Heather się dziwi.

– Tyle gratów na jeden tydzień?

– Ciuchy są tylko na wierzchu – wyjaśnia Vivi. – Pod spodem są rzeczy dla Taryn, różne takie, których nie można dostać... no, na wyspie.

– A jak sądzisz, czy moja sukienka będzie odpowiednia?

Nie dziwi mnie, że Heather chce wypaść jak najlepiej, w końcu słyszała, że nasz ojciec to bardzo surowy konserwatysta. Nic, nic nie wie.

– Jasne – odpowiada Vivi i spogląda na mnie. – Lśniaca, srebrna.

– Możesz ubrać się, jak chcesz, to bez znaczenia. Poważnie – zapewniam Heather, która potem wychodzi i po chwili słyszę ją z drugiego pokoju, rozmawiającą z Dębem. Pyta go, czy chce mleka.

– No? – ponagla mnie Vivi. – Zaczęłaś opowiadać...

Wzdycham ciężko, pokazuję kubkiem drzwi i wytrzeszczam oczy.

Vivi potrząsa głową.

– Daj spokój. Jak już znajdziemy się na miejscu, nie będzie okazji, żebyś mi o wszystkim opowiedziała.

– Wiesz już wszystko – mówię. – Taryn będzie z Lokim nieszczęśliwa, ale teraz nie chce o tym słyszeć, a już zwłaszcza ode mnie.

– Kiedyś potłukłyście się o niego na miecze – przypomina sobie Vivi.

– Otóż to – potwierdzam. – Nie jestem bezstronna. Przynajmniej ona tak myśli.

– Ale wiesz, co mnie zastanawia? – Vivi siada na walizce, aby ją domknąć. Spogląda na mnie kocimi oczami, oczami Madoka. – Udało ci się nakłonić króla elfów, żeby był ci posłuszny, a nie potrafisz zmanipulować jednego dupka, żeby uszczęśliwił twoją rodzoną siostrę?

To nie fair. Przecież niemal bezpośrednio przed opuszczeniem Elysium ucięłam sobie pogawędkę z Lokim i zapowiedziałam mu, żeby nie śmiał unieszczęśliwić Taryn po ślubie, bo inaczej pożałuje. Nie zmienia to faktu, że jej słowa dotyczą bolesnego punktu.

– Żeby to było takie proste.

Vivi wzdycha.

– Chyba nigdy nic nie jest proste.

ROZDIAŁ

18

Dąb trzyma mnie za rękę, w drugiej niosę jego walizeczkę. Idziemy po schodach i przez trawnik w stronę pustego parkingu.

Oglądam się na Heather. Ciągnie torbę na kółkach, wzięła też elastyczne liny z hakami, bo uważa, że mogą się przydać, jeżeli część rzeczy nie zmieści się do bagażnika i trzeba je będzie przytroczyć na dachu. Nadal nie wie, że żadnego dachu ani bagażnika nie będzie, bo nie ma żadnego samochodu.

– No? – odzywam się do Vivi.

Vivi uśmiecha się, wyciąga do mnie rękę. Wyjmuję łydki krwawnika z kieszeni, wręczam jej.

Nie potrafię spojrzeć Heather w oczy, patrzę więc na Dęba. Zbiera na trawniku czterolistne koniczynki, znajduje jedną po drugiej, już ma mały bukietek.

– Co wy robicie? – pyta trochę zdziwiona Heather.

– Nie jedziemy samochodem. Polecimy – odpowiada Vivi.

– Co, jedziemy na lotnisko?

Vivi śmieje się.

– Zobaczysz, to ci się spodoba. *Wierzchowce, powstańcie, nieście nas, dokąd ja rozkażę.*

Za mną ktoś zachłystuje się powietrzem, a potem krzyczy. Heather. Odwracam się mimo woli.

Przed apartamentowcem stoją już krwawnikowe podjezdki, chuderlawe żółte kuce o koronkowych grzywach i szmaragdowych oczach, jakby konie morskie, lecz na ziemi, zielsko obudzone do parskającego, stukającego kopytami życia. I Heather, która zasłania usta dłońmi.

– Niespodzianka! – woła Vivi i dalej się zachowuje, jakby w ogóle nic niezwykłego się nie wydarzyło. Dąb najwyraźniej tylko na to czekał, pozbywa się czaru i pokazuje rogi.

– Patrz, Heather – woła. – Jesteśmy elfami. Ale się zdziwiłaś, co?

Dziewczyna patrzy na Dęba, na te upiorne kucyki, a potem siada na swojej walizce.

– Dobra – mówi. – To jakieś wygłupy czy coś? Niech któreś z was mi to wszystko wytłumaczy, bo jak nie, to wracam do domu, a wy się wynoście.

Dąb ma markotną minę; na pewno myślał, że Heather ogromnie się ucieszy. Obejmuje

go ramieniem.

– Chodź, cukiereczku – mówię. – Załadujemy graty, a one przyjdą później. Mama i tata nie mogą się ciebie doczekać.

– Tęsknię za nimi – odpowiada. – I za tobą też.

Całuję go w gładziutki policzek i sadzam na grzbiecie wierzchowca. Patrzy przez moje ramię na Heather.

Słyszę, jak Vivi tłumaczy:

– Elfy naprawdę istnieją. Magia także. Rozumiesz? Nie jestem ludzką istotą, mój braciszek też nie. Spędzisz z nami cały tydzień na zaczarowanej wyspie. Nie bój się. Nie jesteśmy jakimiś strasznymi potworami.

Wyjmuję niepotrzebne gumowe liny z bezwładnych rąk Heather, a Vivi pokazuje jej spiczaste uszy oraz kocie oczy i usiłuje wytłumaczyć, dlaczego dotąd niczego jej nie wytłumaczyła.

Zdecydowanie jesteśmy jednak strasznymi potworami.



Kilka godzin później znajdujemy się już w salonie Oriany. Heather nadal jest oszołomiona i zagniewana; przechadza się tam i z powrotem, ogląda dziwne obrazy wiszące na ścianach, przypatruje się obmierzłym wzorom z żuków i cierni na draperiach.

Dąb siedzi na kolanach Oriany, która kołysze go w ramionach, tak jak wtedy, kiedy był jeszcze malutki. Jej blade palce igrają z jego włosami, które jej zdaniem są za krótkie, a malec snuje bezwładną opowieść o szkole i o tym, że w śmiertelnym świecie gwiazdy wyglądają inaczej, oraz jak smakuje masło orzechowe.

Trochę mi przykro na to patrzeć, bo Oriana wcale nie wydała go na świat; mnie ani Taryn też nie, natomiast bez wątpienia jest jego matką, a naszą absolutnie nie.

Vivi wyciąga z walizki prezenty – torebki kawy, szklane kolczyki w kształcie listków, puszki dulce de leche.

Heather podchodzi do mnie.

– To wszystko jest naprawdę.

– Jak najbardziej naprawdę – potwierdzam.

– I to prawda, że ci ludzie są elfami, że Vi też jest takim elfem, jak z bajki?

Heather znów się rozgląda, ostrożnie, jakby spodziewała się, że lada chwila przez gips i listwy przebije się łeb tęczowego jednorożca.

– Zgadza się – przytakuję.

Jest mocno wytrącona z równowagi, ale chyba nie wścieka się na Vivi zbyt mocno, a to

już coś. Może jednak na razie jest po prostu zbyt otumaniona, żeby się złościć? Na razie.

A może naprawdę jej się tutaj podoba? Może Vivi miała rację i właśnie tak jej trzeba było o wszystkim powiedzieć, zniecka, i zachwyty już za chwilę dojdzie do głosu? Cóż ja w końcu wiem o miłości?

– A to miejsce... – urywa. – Dąb jest jakimś księciem czy coś? On ma rogi. A Vivi ma takie oczy...

– Kocie oczy to po ojcu. Wiem, że dla ciebie to za dużo naraz.

– No właśnie, ten wasz ojciec... To znaczy ojciec Vi, bo nie twój, ona mi mówiła, że nie jest naprawdę twoim ojcem.

Krzywię się w duchu, chociaż na pewno Vivi nie to miała na myśli, może nawet nie w ten sposób o tym opowiadała.

– No, bo ty jesteś człowiekiem? – Heather chce się upewnić. – Jesteś, prawda?

Przytakuję skinieniem głowy i dostrzegam ulgę na jej twarzy. Nawet się uśmiecha, chociaż blado.

– Nie jest łatwo być człowiekiem w Krainie Elfów – powiadamiam ją. – Chodź, przejdziemy się kawałek. Wyjaśnię ci parę spraw.

Heather spogląda w stronę Vivi, ale Vivi siedzi na dywanie i wciąż wydobywa rzeczy z walizki. Pojawiają się kolejne świecidełka, torebki lukrecji, wstążki do włosów i duża paczka zawinięta w biały papier ze złotą kokardą oraz wstęgą z napisem „Gratulacje” na całej długości.

Heather nie wie, co ma ze sobą zrobić, więc daje się wyprowadzić do ogrodu. Vivi chyba w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

Dziwne uczucie nagle znaleźć się w domu, w którym przez tyle lat dorastałam. Kusi mnie, żeby wbiec po schodach i zajrzeć do mojej dawnej komnaty, sprawdzić, czy pozostał tam po mnie jeszcze choćby ślad. Jeszcze bardziej kusi, żeby zakraść się do gabinetu Madoka i jak przystało na szpiega, pomyszkować w jego papierach.

Tymczasem jednak prowadzę ją na dziedziniec i dalej, w stronę stajni. Heather bierze głęboki wdech. Patrzy w stronę wieżyc wznoszących się ponad czubkami drzew.

– Czy Vi opowiadała ci o zasadach?

Heather kręci głową, jest zupełnie zdezorientowana.

– Jakich zasadach?

Vivi okazała mi po wielokroć mnóstwo troski i to w czasach, kiedy nikogo innego nie obchodził mój los, więc wiem, że nie jest pusta i bezduszna. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że z rozmyślną niefrasobliwością przeszła do porządku nad tym, jak ciężko nam było, mnie i Taryn, być śmiertelniczkami w świecie elfów, jak strasznie przez cały czas musiałyśmy uważać i jak tym bardziej ostrożna musi być Heather.

– Powiedziała tylko, że mam cały czas się jej trzymać – mówi Heather. Chyba dostrzegła wyraz mojej twarzy i uważa, że powinna bronić Vivi. – I że mam nigdzie nie chodzić sama,

bez kogoś z jej rodziny.

Kręcę głową.

– To za mało. Musisz wiedzieć, że każdy elf może rzucić czar, tak że coś wygląda inaczej niż w rzeczywistości. Mogą wpływać na twój umysł, na przykład rzucając urok, i skłonić cię, żebyś robiła coś, czego normalnie byś nie zrobiła. No i jest prajabłko, czyli owoc elfów. Wystarczy jeden kęs, a nie będziesz w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, żeby dostać jeszcze więcej, i więcej.

Jakbym słuchała Oriany.

Heather patrzy na mnie ze zgrozą i chyba niedowierzaniem. Zastanawiam się, czy nie przesadziłam i próbuję przybrać łagodniejszy, mniej mentorski ton.

– Tutaj znajdujemy się w niekorzystnej sytuacji. Elfowie nie starzeją się, są nieśmiertelni oraz magiczni. W dodatku wcale nie przepadają za ludźmi. W związku z tym zachowaj nieustanną czujność, nigdy się na nic nie zgadzaj. Ponadto zawsze musisz mieć przy sobie owoce jarzębiny i sól.

– Okej... – mówi Heather.

W oddali widzę dwie monstrualne wierzchowe ropuchy Madoka, oporzędzane właśnie przez stajennych.

– Całkiem dobrze to przyjmujesz – mówię.

– Mam dwa pytania. – W jej głosie słyszę coś, co każe mi podejrzewać, że przyjmuje to jednak znacznie gorzej, niż mi się wydawało. – Po pierwsze, co to są owoce jarzębiny? I po drugie, skoro kraina elfów jest taka, jak mówisz, to dlaczego tutaj mieszkasz?

Otwieram usta, potem je zamykam.

– Bo to jest mój kraj – mówię po chwili.

– Ale nie musi być. Jeżeli Vi mogła go opuścić, to ty też możesz. Przecież sama mówiłaś, że nie jesteś jedną z nich.

– Chodź do kuchni – mówię i ciągnę ją za rękę w kierunku zamku.

Heather nie może oderwać oczu od gigantycznego kotła, w którym bez trudu zmieściłybyśmy się obie. Gapi się na oskubane przepiórki ułożone na wielkim stole i masę przygotowaną do sporządzenia pasztetu.

Zaglądam do szklanych słoików z przyprawami, znajduję jarzębinę. Biorę mocną nić używaną do sznurowania faszzerowanych kur, zawiązuję nią garść jagód w szmatce.

– Wsadź to sobie do kieszeni albo do stanika – mówię. – Zawsze musisz je mieć przy sobie, przez cały czas, kiedy jesteś tutaj.

– I dzięki nim będę bezpieczna?

– Bezpieczniejsza – precyzuję.

Teraz kolej na woreczek z solą.

– Posypuj nią wszystko, co będziesz jadła. Nie zapomnij.

– Dziękuję. – Bierze mnie za rękę, krótko ściska moją dłoń. – Bo wiesz, to jest takie

nierzeczywiste. Wiem, że dla ciebie to brzmi śmiesznie, ale stoję przed tobą, czuję zapach ziół i krwi tych dziwnych ptaszków... i gdybyś mnie ukłuła igłą, na pewno by mnie zabolęło, a jednak wszystko wydaje mi się nieprawdziwe. Niby to wyjaśnia różne rzeczy, teraz na przykład rozumiem, dlaczego Vi tak się głupio wykręcała, kiedy ją wypytywałam, do jakiej szkoły chodziła. Ale to wszystko znaczy, że świat stoi na głowie.

Kiedy tam bywałam, a więc w galerii handlowej czy w mieszkaniu Heather, różnica między nimi a nami wydawała mi się tak ogromna, że teraz nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak Heather sobie z tym wszystkim poradzi.

– Nic z tego, o czym mówisz, ani trochę mnie nie dziwi i nie śmieszy.

Jej spojrzenie, gdy podziwia zamek, gdy głęboko oddycha popołudniowym powietrzem, pełne jest nadziei i zainteresowania. Wciąż nazbyt dobrze pamiętam pewną dziewczynę, która miała kieszenie pełne kamieni, więc z niemalą ulgą stwierdzam, iż Heather gotowa jest się pogodzić ze światem postawionym na głowie.

Wracamy do salonu, Vivi wita nas z radosnym uśmiechem.

– Jude oprowadziła cię po włościach?

– Sporządziłam dla niej amulety – odpowiadam, usiłując tonem głosu dać jej do zrozumienia, że to nie ja powinnam się tym zajmować.

– Świetnie – odpowiada wesoło Vivi; widać trzeba znacznie więcej niż znaczący ton głosu, żeby czymś się przejęła, kiedy jest w dobrym humorze. – Oriana powiedziała, że ostatnio rzadko tu zaglądasz. Z tego wniosek, że twoje drobne nieporozumienia z kochanym tatusiem jeszcze nie poszły w niepamięć.

– Sama wiesz, ile go to kosztowało – odpowiadam.

– Zostań, proszę, na wieczery. – Oriana wstaje, patrzy na mnie rubinowymi oczami. – Madok się ucieszy. Ja także.

– Nie mogę – odmawiam i szczerze tego żałuję. – Spędziłam tu już i tak więcej czasu, niż powinnam. Obowiązki mnie wzywają, ale zobaczymy się na ślubie.

– Tu zawsze wszystko jest dramatyczne – mówi Vivi do Heather. – Epickie. Wszyscy się zachowują, jakby ich żywcem wyjęto ze średniowiecznej ballady.

Heather spogląda na Vivi właśnie tak, jakby Vivi też przybyła prosto ze średniowiecznej ballady.

– Aha – przypomina sobie Vivi, sięga do walizki, z której wydobywa kolejną wygniecioną paczuszkę ozdobioną czarną kokardą. – Możesz ją przekazać Cardanowi? To prezent ode mnie, z tej okazji, że został królem.

– Vivienne, on został ukoronowany Najwyższym Królem na Elfhame – poprawia ją Oriana. – Wiem, że kiedyś bawiliście się razem, lecz teraz nie możesz się do niego zwracać tak jak w dzieciństwie.

Przez chwilę stoję z głupią miną, nie wyciągam ręki po paczuszkę. Wiem, oczywiście, że Vivi i Cardan kiedyś się przyjaźnili. W końcu to ona opowiedziała Taryn o jego ogonie,

który widziała, kiedy kąpali się razem z jego siostrą.

To znaczy wiedziałam, tylko zapomniałam.

– Jude? – odzywa się Vivi.

– Wiesz co, lepiej sama mu to daj – mówię, po czym biorę nogi za pas; uciekam z mojego dawnego domu, by zdążyć, zanim wróci Madok i zanim ogarnie mnie nostalgia.



Mijam salę tronową. Cardan siedzi przy jednym ze stołów obok Nicassii, z głową pochyloną w jej stronę. Siedzi tyłem do mnie, natomiast jej twarz jest widoczna. Nicassia śmieje się radośnie, odchyła głowę, ukazując długą szyję. Wprost promienieje radością, jego względy są światłem, w którym jej niebywała uroda w pełni rozkwita.

Uświadamiam sobie, że ona go po prostu kocha. Kocha, ale zdradziła go z Lokim i lęka się, że on już nigdy jej kochać nie będzie.

On zaś przesuwa palcami wzdłuż jej nagiego ramienia aż po nadgarstek, co przypomina mi dotyk na mojej skórze. Wspomnienie przywołuje żar, czerwienię się i to powoduje, że się cofam.

Całuj, aż mnie od tego zemdli – tak kiedyś powiedział, a teraz już z pewnością nasycił się i przesycił moimi pocałunkami. Teraz pewnie go mdli na ich wspomnienie.

Nie mogę patrzeć na nich razem. Wściekam się, bo on dotyka jej skóry. Wściekam się, bo on przecież realizuje mój plan, więc wściekać się mogę tylko na samą siebie.

Jestem kretynką.

Madok powiedział kiedyś, że ból dodaje sił. Musiałam wciąż i wciąż podnosić miecz, chociaż brakowało mi już sił, a ból mięśni był nieznośny. *Przywykniesz do tego brzemienia* – powiadał.

Zmuszam się, żeby odejść i już im się nie przeglądać. Muszę zresztą spotkać się z Vuliberem, trzeba uzgodnić szczegóły dotyczące sprowadzenia Balekina do pałacu na posłuchanie u Cardana.

Następnie udaję się do Dworu Cieni, gdzie wysłuchuję doniesień o dworskim życiu oraz informacji o tym, że Madok przegrupowuje swoje wojska, najwyraźniej przygotowując się do wojny, której ja wciąż mam nadzieję uniknąć. Posyłam szpiegów do dwóch niższych dworów, na których przebywa najwięcej niezaprzyjęzonych podmienców, niech wywęszą, co się da. Rozmawiam z Bombą o Grimsenie, który sporządził dla Nicassii wysadzaną klejnotami broszę, dzięki której księżniczce na życzenie wyrastają przejrzyste skrzydełka i może latać.

– Jak myślisz, czego on może chcieć? – pytam.

– Pochlebstw, uznania – odpowiada Bomba. – Może rozgląda się za nowym, potężnym mecenasem. Prawdopodobnie nie wzgardzi pocałunkiem.

– Twoim zdaniem interesuje się Nicassią ze względu na Orlagh, czy dla niej samej? Bomba macha ręką.

– Wabi go uroda Nicassii i potęga Orlagh. Grimsen towarzyszył na wygnaniu pierwszemu królowi Olszyn. Sądzę, że mając znowu złożyć wiernopoddańczą przysięgę, zechce się wcześniej upewnić co do władcy.

– Ponoć już nikomu nie chce składać przysięgi – mówię, postanawiając jednocześnie, że złożę mu wizytę.



Otrzymały od Cardana budynki dawnej kuźni Grimsen obrał sobie za dom, choć jest on zarośnięty różnymi krzewami i w nienajlepszym stanie. Gdy się zbliżam, widzę smugę dymu wznoszącego się z komina. Stukam po trzykroć w drzwi i czekam.

Po kilku chwilach drzwi otwierają się, a z wnętrza bucha taki żar, że aż się cofam.

– Ja cię znam – oznajmia Grimsen.

– Królowa Uciech – podpowiadam, żeby już mieć to z głowy.

Śmieje się, kręci głową.

– Nie. Znałem twojego śmiertelnego ojca. Zrobił kiedyś dla mnie nóż i przebył daleką drogę do Fairfold, żeby dowiedzieć się, co o nim sądzą.

– I jaki był werdykt?

Ciekawe, czy to się zdarzyło, zanim Justin przybył do Elfhame i zanim poznał moją matkę.

– Miał prawdziwy talent. Rzekłem mu, że jeśli ćwiczyć będzie przez pięćdziesiąt lat, będzie w stanie stworzyć najlepszą głownię wykutą kiedykolwiek przez śmiertelnika. Jeśli ćwiczyć będzie przez sto lat, będzie mógł wykuć jedną z najlepszych głowni, jakie kiedykolwiek wyszły spod czyichkolwiek rąk. Ani jedno, ani drugie go nie zadowoliło. Wówczas zdradziłem mu jeden ze swoich sekretów: że może w jeden dzień zdobyć stuletnią praktykę, lecz musi zawrzeć ze mną układ. Musi się rozstać z czymś, czego nie chce utracić.

– I zawarł z tobą układ?

Grimsen nadyma się, wielce z siebie kontent.

– Chciałabyś wiedzieć, co? Wejdźże do środka.

Wzdycham, ale wchodzę. Gorąco jest niemal nie do zniesienia, a metaliczny zaduch zatyka nozdrza. Mrok i ogień. Dotykam dłonią noża w rękawie.

Na szczęście przez samą kuźnię tylko przechodzimy, zmierzamy do części mieszkalnej.

Panuje w niej nieład, wszystkie możliwe powierzchnie zalegają przepiękne przedmioty: kosztowności, ostrza, ozdoby. Grimsen przysuwa mi drewniane krzeselko, sam zasiada na niskiej ławie. Jego twarz jest zniszczona, sterana, a srebrzyste włosy stoją dęba, tak jakby ciągnął za nie podczas pracy. Nie ma dziś na sobie stroju wysadzanego drogimi kamieniami, tylko narzucony na szarą koszulę skórzany fartuch ze śladami popiołu. Po siedem złotych kółek zwisa z jego wielkich, spiczastych uszu.

– Co cię sprowadza do mej kuźni?

– Liczyłam, że może znajdę u ciebie podarunek dla mojej siostry. Wkrótce wychodzi za mąż.

– A więc ma to być coś niezwykłego.

– Wiem, że jesteś legendarnym mistrzem, więc obawiałam się, że już nie sprzedajesz swoich dzieł.

– Pomimo mojej sławy, nadal nimi kupczę... – odpowiada, kładąc dłoń na sercu. Wygląda na zadowolonego z pochlebstwa. – Jednak prawdą jest, że już ich nie sprzedaję za złoto, tylko wymieniam na inne dobra.

Należało się spodziewać, że będzie w tym jakaś sztuczka. Odgrywam niewiniątko, trzepoczę rzęsami.

– Cóż mogę ci dać, czego byś już nie miał?

– Zastanówmy się – mówi. – Powiedz mi coś o swojej siostrze. Czy to małżeństwo z miłości?

– Musi tak być – odpowiadam po chwili namysłu. – Tak, skoro nie ma żadnej innej korzyści.

Grimsen unosi brwi.

– Pojmuję. A czy siostra jest do ciebie podobna?

– Jesteśmy bliźniaczkami.

– W takim razie mamy jasność co do koloru. Błękitne kamienie – stwierdza. – Może więc naszyjnik z przelanych łez, by ona już płakać nie musiała? Brosza z zęba, by kąsać nużącego małżonka? Nie. – Przechadza się i rozgląda po ciasnym pomieszczeniu. Bierze do ręki pierścien. – Aby przyszło na świat dziecko? – Potem, widząc moją minę, ujmuje w dłoń parę kolczyków; jeden ma kształt półksiężyca, drugi gwiazdy. – Aha, już mam. Właśnie tego ci trzeba.

– Jaką mają moc?

Śmieje się

– Są piękne, czy to nie dość?

Spoglądam na niego z powątpiewaniem.

– Byłoby dość, gdyż zaiste są precudne, lecz gotowa jestem się założyć, że to nie wszystko.

Moje słowa wyraźnie mu się spodobały.

– Zmysłna z ciebie dziewczyna. Tak, są nie tylko piękne, lecz także przydają urody. W nich każdy staje się piękniejszy, piękny do bólu. Twoja siostrzyczka na długi czas utrzyma męża przy sobie.

Spogląda na mnie. Jego spojrzenie zdradza, że te klejnociki mają być dla mnie wyzwaniem. Jest przekonany, że jestem zbyt próżna, żeby się z nimi rozstać, oddać je siostrze.

Jak dobrze zna samolubne ludzkie serca. Taryn będzie piękną oblubienicą. Czy mam pozwolić, by zepchnęła mnie, swoją siostrę bliźniaczkę, jeszcze bardziej w cień? Czy zniosę, by tym mocniej mnie przyćmiła urodą?

Jednak czy może być lepszy podarunek dla dziewczyny z ludzkiego rodu, która wydaje się za piękno elfów?

– Co byś za nie chciał?

– Och, mógłbym od ciebie wziąć najrozmaitsze drobiazgi. Rok twojego życia. Połysk twoich włosów. Brzmienie twojego śmiechu.

– Mój śmiech nie brzmi nazbyt słodko.

– Może nie słodko, ale zapewne rzadko.

Zachodzę w głowę, skąd może o tym wiedzieć.

– Co powiesz na moje łzy? – pytam. – Mógłbyś z nich zrobić następny naszyjnik.

Spogląda na mnie, jakby starał się ocenić, czy często je wylewam.

– Wezmę jedną jedyną łzę – oznajmia po chwili. – Ty zaś przekazesz Najwyższemu Królowi moją ofertę.

– Jakiego rodzaju?

– Wiem, że królowa Toni grozi ziemskiej krainie. Powiedz swojemu władcy, że jeśli wypowie wojnę, sporządzę dlań lodową zbroję, o którą kruszą się wszystkie ostrza, a uczyni ona jego serce zimnym i niedostępnym dla litości. Powiedz, że wykuję dlań trzy miecze, które razem użyte w starciu z wrogiem będą miały bitewną moc trzydziestu żołnierzy.

Jestem pod wrażeniem.

– Z pewnością mu powiem. Skąd jednak taka szczodra oferta?

Krzywi się, przeciera kolczyki szmatką.

– Młoda damo, muszę odbudować swoją reputację, a nie dokonam tego, sporządzając błyskotki. Ongiś królowie i królowe przybywali do mnie jak po prośbie. Sporządzałem korony i ostrza, które przemieniały świat. W mocy Najwyższego Króla jest odnowić moją renomę, a w mojej przydać mu mocy.

– A jeżeli podoba mu się świat taki, jaki jest? Jeśli Najwyższy Król nie zechce go zmieniać?

Grimsen śmieje się cicho.

– W takim razie sporządzę dla ciebie szkiełko, w którym można zatrzymać czas.

Łzę z kącika mojego oka pobiera za pomocą długiej pipety. Potem odchodzę, zabierając

ze sobą kolczyki dla Taryn oraz mnóstwo pytań, których nie zadałam.

Gdy jestem u siebie, przykładam kolczyki do uszu. W lustrze widzę, że moje oczy stają się rozmarzone i lśniące. Usta wydają się czerwieńsze, a skóra lśni, jakbym dopiero wyszła z kąpieli.

Pakuję je czym prędzej, zanim zmienię zdanie.

ROZDIAŁ

19

Resztę nocy spędzam w Dworze Cieni, obmyślając środki zapewniające Dębowi bezpieczeństwo; skrzydlaci strażnicy, by go unieść w powietrze, jeśli da się zwabić falom, z którymi tak chętnie igrał w dzieciństwie; szpieg przebrany za piastunkę, by podążał za nim krok w krok i miał na niego baczenie oraz próbował wszystkiego, zanim chłopiec to weźmie do ust; łucznicy na drzewach mierzący do każdego, kto zanadto zbliży się do mojego braciszka.

Próbuję przewidzieć, co Orlagh może uczynić, i zastanawiam się, co zrobić, żeby od razu wiedzieć, jaki ruch wykona. Nagle ktoś stuka do moich drzwi.

– Tak? – wołam.

Do gabinetu wchodzi Cardan.

Zrywam się, zaskoczona. Nie spodziewałam się, że tu przyjdzie, a jednak przyszedł, w stroju wytwornym choć niedbałym. Wargi ma nieco nabrzmiałe, włosy zmierzwione. Sprawia wrażenie, jakby dopiero wstał z łóżka i to nie swojego.

Rzuca zwinięty papier na moje biurko.

– I co? – pytam. Głos mój brzmi jeszcze zimniej, niżbym sobie tego życzyła.

– Miałaś rację – oznajmia, a brzmi to jak zarzut.

– To znaczy?

Opiera się o drzwi.

– Nicassia zdradziła swoje sekrety. Wystarczyło nieco czułości i kilka pocałunków.

Nasze spojrzenia się spotykają. Jeżeli odwrócę wzrok, będzie wiedział, jak bardzo jestem zmieszana, ale obawiam się, że i tak to wie. Czerwienię się. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek zdołam na niego spojrzeć i nie pamiętać, jak to było, kiedy go dotykałam.

– Orlagh uderzy podczas ślubu Lokiego i twojej siostry.

Siadam, przeglądam notatki, które mi przyniósł.

– Jesteś pewien?

Kiwa głową.

– Nicassia powiedziała, że moc śmiertelników wzrasta, a więc ziemia i morze winny się zjednoczyć. I musi się tak stać, albo zgodnie z jej nadziejami, albo na sposób, którego powinienem się obawiać.

– To brzmi niepokojąco.

– Nie wiem, co mnie tak ciągnie do kobiet, które mi grożą.

A ja nie wiem, co mam na to odpowiedzieć, więc zmieniam temat. Opowiadam mu o ofercie Grimsena, o obietnicy kowalskiego mistrza, że sporządzi dla niego zbroję i miecze mogące zapewnić zwycięstwo.

– Rzecz jasna, jeśli wypowiedz wojnę królestwu Toni.

– Chce, bym wdał się w wojnę, aby on mógł odzyskać dawną chwałę? – zdumiewa się Cardan.

– Na to wychodzi – przyznaję.

– To dopiero ambicja – stwierdza Cardan. – Niechby zostały tylko zalane wodą równiny i spalone kikuty drzew, ale kilkoro pozostałych przy życiu elfów, kulących się z zimna w wilgotnej jaskini znać będzie imię Grimsena. Należy podziwiać tak wielkie skupienie na własnej osobie. Pewnie mu nie zdradziłaś, że wypowiedzenie wojny zależy od twojej decyzji, nie mojej?

Jeśli jest prawdziwym Najwyższym Królem elfów, któremu winniśmy wierność i posłuszeństwo aż po kres naszych dni, to rządząc za niego, traktujemy go jakby ciut bez należytego szacunku. Jeśli jednak tylko odgrywa rolę, to raczej jest agentem i szpiegiem, przy tym znacznie lepszym niż większość z nas.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam.

Przez chwilę oboje milczymy.

Zbliża się o krok.

– Tamtej nocy...

Przerywam mu:

– Tak, zrobiłam to z tego samego powodu co ty. Żeby rozładować napięcie.

– I co? Rozładowałaś?

Patrzę mu prosto w oczy i kłamię:

– Tak.

Jeżeli mnie dotknie, jeśli podejdzie choć krok bliżej, zdemaskuje mnie. Nie potrafię dłużej ukrywać tęsknoty za nim. Na szczęście zaciska usta, kiwa zdawkowo głową i wychodzi.

Słyszę, jak woła go z sąsiedniego pokoju Karakan, który chce go nauczyć sztuczki z lewitującą kartą. Słyszę śmiech Cardana.

Przychodzi mi na myśl, że zaspokojenie pożądania nie jest żadnym lekiem. Obawiam się, że istnieje pewna analogia z mitrydatyzmem. Niewykluczone bowiem, że zażyłam dawkę śmiertelną, miast zatruwać się powoli, po jednym pocałunku.



Nie dziwi mnie, że zastaję Madoka w jego pałacowej sali strategii, natomiast on jest zaskoczony moim zjawieniem się, bo nie przywykł, że tak cicho stąпам.

– Ojczy – odzywam się.

– Kiedyś mi się zdawało, że chciałbym być tak przez ciebie nazywany – odpowiada. – Wychodzi jednak na to, że gdy to czynisz, konsekwencje rzadko są dla mnie pomyślne.

– Nic podobnego – protestuję. – Przychodzę, by powiedzieć ci, że miałeś słuszność. Bardzo mi się nie podoba, że Dąb zostanie narażony na niebezpieczeństwo, ale jeśli możemy w ten sposób sprowokować uderzenie królestwa Toni, to dla niego bezpieczniejsze.

– Jak się domyślam, postarasz się zapewnić mu bezpieczeństwo podczas pobytu na wyspie. – Madok uśmiecha się, ukazując ostre zęby. – Trudno jednak uwzględnić wszystkie możliwości.

– Trudno? Nie sposób – odpowiadam. – Dlatego tu jestem. Pomóż mi wprowadzić Orlagh w błąd. Możemy połączyć nasze siły.

Jest głównodowodzącym od niepamiętnych czasów. To on zaplanował zamordowanie Daina i uszło mu to na sucho. Jest w tym lepszy niż ja.

– A może chcesz mnie wystrychnąć na dudka? – pyta. – Nie możesz oczekiwać, bym przyjął na wiarę, że twoje intencje wobec mnie są szczere.

Co prawda Madok ma wszelkie powody, by mi nie ufać, ale i tak jego słowa dotyczą mnie do żywego. Zastanawiam się, jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby przed krwawą łaźnią podczas koronacji zwierzył mi się ze swoich planów osadzenia Dęba na tronie. Czy gdybym została wtajemniczona, wyzwałabym się wątpliwości? Mam nadzieję, że nie, lecz niestety, nie potrafię tego wykluczyć.

– Nie narażałabym życia mojego brata – mówię, częściowo w odpowiedzi na jego słowa, częściowo zaś odpowiadając na własne obawy.

– Czyżby? Nawet żeby go wyrwać z moich szponów?

Pewnie mi się należało, niech mu będzie.

– Chciałeś, żebyśmy działali ramię w ramię. Właśnie pojawia się po temu okazja, możemy się przekonać, czy taka współpraca jest możliwa. A więc przekonaj mnie.

Dopóki sprawuję kontrolę nad tronem, nie możemy tak naprawdę stanąć po tej samej stronie, ale moglibyśmy chyba podjąć współpracę. Gdyby mi się udało skierować jego ambicje w kierunku pokonania Toni, gdyby przynajmniej do czasu osiągnięcia przez Dęba pełnoletności przestał myśleć o tronie. Wtedy bowiem sprawy będą się już miały inaczej.

Pokazuje mi stół z mapą i wyrzeźbionymi figurkami.

– Orlagh ma tydzień, by uderzyć, chyba że pod nieobecność Dęba zastawia teraz pułapkę w świecie śmiertelnym. Ustanowiłaś straż wokół siedziby Vivienne, dobrałaś strażników spoza żołnierzy i zadbałaś, by nie rzucali się w oczy. Dobre posunięcie. Nikt jednak nie jest nieomylny i każdy środek może zawieść. Moim zdaniem, najlepsze miejsce, żeby sprowokować ich do uderzenia, to...

– Toń wykona ruch podczas ślubu Taryn.

– Co? – Patrzy na mnie zmrużonymi ślepiami. – Skąd wiesz?

– Nicassia – wyjaśniam. – Pewnie da się uściślić szczegóły, jeśli będziemy działać prędko. Mam też sposób, żeby przekazać Balekinowi wiadomość tak, by uwierzył w jej prawdziwość.

Madok unosi brwi.

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Przez osobę, która jest tam uwięziona. Sprawdzone kanał, posłałam już tą drogą informacje.

Madok odwraca się, nalewa sobie kilka kropel jakiegoś czarnego likworu, zasiada na obitym skórą fotelu.

– To są twoje atuty?

– Jak widzisz, nie przychodzę z pustymi rękami. Czy nie cieszysz się choćby odrobinę, że zdecydowałeś się mi zaufać?

– Z mojego punktu widzenia to raczej ty postanowiłaś okazać mi zaufanie. Jest jeszcze tyle innych wyzwań, które moglibyśmy podjąć razem.

Jasne. Na przykład przejęcie tronu.

– Wszystko we właściwym czasie.

– Czy on wie? – pyta Madok, szczerząc się w trochę przerażającym, lecz ojcowskim uśmiechu. – Czy nasz Najwyższy Król choćby się domyśla, że to ty za niego zawiadujesz tym królestwem?

– Miejmy nadzieję, że nie wie – odpowiadam, przybierając pozę beztroskiej pewności siebie, której szczególnie mi brakuje, kiedy pojawiają się kwestie związane z Cardanem czy też naszym układem.

Madok śmieje się.

– Będę ją miał. Ale też nie przestaję liczyć na to, że zrozumiesz, o ile lepiej się stanie, kiedy będziesz nim zawiadywać w interesie swojego rodu.



Następnego dnia Balekin zostaje przywieziony przed oblicze Cardana. Szpiedzy donieśli mi, że tę noc Cardan spędził samotnie, a więc żadnych szalonych uciech, pijaństwa, muzykantów czy współzawodnictwa o lirę. Nie wiem, co o tym sądzić.

Balekin zostaje doprowadzony przed tron w łańcuchach, wkracza jednak z wysoko podniesionym czołem, ubrany w strój zdecydowanie zbyt wykwintny jak na gnijącego w lochu więźnia. Daje w ten sposób z całą swoją arogancją do zrozumienia, że i tam potrafi

zapewnić sobie luksusy, jakby chciał za wszelką cenę wyrzucić wrażenie, że raczej gozdzien jest podziwu niż wzgardy.

Także i Cardan wygląda dziś szczególnie godnie. Ma na sobie płaszcz z mszystego aksamitu haftowany złotem, w uchu kolczyk od Grimsena połyskujący w świetle, gdy monarcha porusza głową. W sali nie ma biesiadników, za to na podwyższeniu oprócz trzech strażników królowi towarzyszą z jednej strony Randalin i Nihuar, po drugiej stronie tronu stoję ja. W pobliżu czuwa służba gotowa na każde skinienie Najwyższego Króla.

W chwili gdy straż prowadziła Balekina po schodach do wyjścia z wieży, za pośrednictwem Vulibera przekazałam pani Ashy wiadomość:

Pamiętam o twoich warunkach, a oto nadarza się sposobność. Będziesz mogła dyskretnie opuścić wyspę tuż po ślubie mojej siostry. Ze względów bezpieczeństwa mój braciszek odpłynie łodzią, doznaje bowiem mdłości, gdy się unosi w powietrzu. Mogłabyś odpłynąć razem z nim, wtedy odbyłoby się to bez wiedzy Najwyższego Króla, jako że ze zrozumiałych względów cała wyprawa utrzymana jest w najściślejszej tajemnicy. Jeśli to ci odpowiada, prześlij zwrotną wiadomość, byśmy mogły pomówić o mojej przeszłości i twojej przyszłości.
– J.

Istnieje oczywiście możliwość, że kiedy Balekin wróci do swojej celi, ona mu o niczym nie powie, ale skoro już raz wiadomość mu przekazała, a on niewątpliwie widział, że dostała dziś list, na pewno nie spocznie, nim się nie dowie, co w nim było. Tym bardziej że jako elfka, nie mogąc wprost kłamać, będzie musiała uciekać się do wykrętów.

– Braciszku – odzywa się Balekin, nie czekając na pozwolenie. Kajdany na rękach nosi jak bransolety, jakby mu przydawały godności, a nie hańbiły jako więźnia.

– Żądałeś posłuchania przed obliczem korony – przemawia Cardan.

– Nie, braciszku, to z tobą chciałem porozmawiać, nie ze złotym nakryciem głowy.

Balekin zachowuje się tak lekceważąco, że już nie wiem, po co się dopominał o to spotkanie.

Przypomina mi się jednak Madok, przy którym nadal czuję się jak małe dziecko. I wraca myśl, że trudno zmienić swoje podejście do osoby, którą zna się od dawna, choćby zmieniła się zupełnie jej rola i pozycja. A więc mniej tu chodzi o chwilę obecną, a więcej o szmat minionego czasu, wątek i osnowę dawnych uraz czy ongiś zawieranych sojuszy.

– Czego chcesz? – pyta Cardan. Przemawia spokojnie, ale w jego głosie tym razem nie słyhać tej znudzonej pewności siebie co zwykle.

– Czego może chcieć więzień? – odpowiada Balekin. – Wypuść mnie z Wieży. Jeśli chcesz utrzymać władzę, potrzebujesz mojej pomocy.

– Jeśli tylko po to chciałeś się ze mną zobaczyć, to twoje wysiłki były próżne. Nie, nie wypuszczę cię z Wieży. Nie, nie jesteś mi potrzebny. – Cardan mówi to z całym przekonaniem.

Balekin uśmiecha się wyrozumiale.

– Uwięziłeś mnie ze strachu przede mną. Ty przecież nienawidziłeś Eldreda bardziej niż ja. Pogardzałeś Dainem. Jak możesz mnie winić za śmierć tych, po których odejściu nie odczuwasz żalu?

Cardan spogląda na Balekina z niedowierzaniem, potem unosi się z tronu, zaciskając pięści. Ma wyraz twarzy kogoś, kto zapomniał, gdzie się znajduje.

– A co z Elowyn? Co z Caelią i z Rhyią? Nawet gdyby mi szło tylko o własne uczucia, ich śmierć już by wystarczyła, żebym pragnął cię ukarać. Były naszymi siostrami i każda z nich lepiej by sprawowała rządy w tej krainie niż ty czy ja.

Myślałam, że po tych słowach Balekin się wycofa, ale nic podobnego. Przeciwnie, na jego ustach wykwita uśmiezek.

– Czy któraś z nich kiedykolwiek wstawiła się za tobą? Dlaczego żadna nie zaofiarowała ci gościny? Niewiele o ciebie dbały, gdyby było inaczej, próbowałyby się sprzeciwić woli ojca, same okazałyby ci nieco więcej życzliwości i może zechciałyby pozyskać dla ciebie jego względy.

Przez moment mam wrażenie, że Cardan go uderzy. Sięgam do rękojeści miecza. Jeśli tak, stanę między nimi i stoczę walkę z Balekinem. Zrobię to z rozkoszą.

Jednak Cardan opada z powrotem na tron. Z jego oblicza znika wściekłość i mówi tak, jakby w ogóle nie dotarły do niego ostatnie słowa Balekina:

– ...Nie ze strachu przed tobą ani dla zemsty cię uwięziłem. Wymierzanie kary wcale mnie nie bawi. Przebywałeś w Wieży, bo tak jest sprawiedliwie.

– Nie poradzisz sobie sam – mówi Balekin, rozglądając się po sali. – Nigdy nie skalasteś się pracą, nie schlebiałeś dyplomatom, nie zdarzyło ci się przedłożyć obowiązków nad przyjemność. Zostaw mi niewdzięczne zadania, zamiast powierzać je śmiertelnej dziewczynie, wobec której czujesz się zobowiązany, bo ona cię zawiedzie.

Spojrzenia Nihuar i Randalina oraz strażników szybko kierują się w moją stronę, lecz Cardan patrzy na brata. Po krótkiej chwili odzywa się:

– Chciałbyś być moim regentem, choć jestem pełnoletni? Stajesz przede mną nie po to, by prosić, tylko żeby przywołać mnie do nogi jak psa.

Wreszcie Balekin spuszcza z tonu.

– Czasem bywałem wobec ciebie surowy, ale to dla twojego dobra, chciałem, byś zmienił się na lepsze. Sądzisz, że beczynność i gnuśność to cechy odpowiednie dla władcy? Beze mnie byłbyś niczym. Beze mnie będziesz niczym.

Balekin nie może kłamać, a więc musi naprawdę wierzyć w to, co mówi. Nie do wiary.

Balekin podchodzi do tronu, strażnicy zagradzają mu drogę. Widzę, że to Balekin pragnąłby z całej duszy wymierzyć Cardanowi karę.

– Bawisz się w królowanie, nic więcej – syczy. – Może ty nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale wszyscy inni doskonale to wiedzą. Wyśmienicie, odeślij mnie więc do więzienia, odrzuć

moją pomoc i zaprzepaść królestwo.

– Jeśli tak się stanie – odpowiada Cardan – to bez twojego udziału. – Kiwa na Vulcibera. – Posłuchanie skończone.

Vulciber i strażnicy podchodzą do Balekina, aby odeskortować go z powrotem do Wieży Zapomnienia. Widzę, że księżę patrzy na mnie. W jego oczach dostrzegam nienawiść tak głęboką, że jeśli nie będziemy ostrożni, utonie w niej Elfhame i cała Kraina Elfów.



Dwie noce przed ślubem mojej siostry stoję przed wielkim lustrem w moim salonie i z wolna dobywam Brzasku. Ćwiczę wpieryw pozycje szermiercze; te, których nauczyłam się od Madoka, oraz te, które poznałam na Dworze Cieni.

Potem unoszę klingę, prezentuję broń, pozdrawiam swoją przeciwniczkę w lustrze.

Do przodu i w tył, śmiertelny taniec. Walczę z nią, zadaję ciosy i wykonuję zasłony, ona kontratakuję; robię uniki, finty. Widzę krople potu na jej czole. Nieustępliwie napieram, aż jej koszula przesiąka potem, aż się słania ze zmęczenia.

Ale to wciąż nie dość.

Nigdy jej nie pokonam.

ROZDIAŁ

20

Pułapka na Orlagh zastawiona. Spędzam cały dzień z Madokiem, dopracowując szczegóły. Określiłiśmy czas i miejsca, trzy momenty, w których najprawdopodobniej Toń może uderzyć.

Celem może być sama łódź, na której, rzecz jasna, umieścimy wabika. To będzie mały goblin udający Dęba, owinięty opończą, a sama łódź zostanie zaczarowana w taki sposób, by mogła się unieść w powietrze.

Przedtem zaaranżowana zostanie podczas uroczystości sytuacja, kiedy Dąb, niby przypadkiem, uda się samotnie do labiryntu. Część zieleni zostanie zastąpiona drzewołakami, niewidocznymi, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila.

Jeszcze zaś wcześniej, moment przybycia do włości Lokiego, kiedy (rzekomy) Dąb wysiądzie z powozu i wyjdzie na otwartą przestrzeń widoczną od strony oceanu. Ja pozostanę w powozie razem z prawdziwym Dębem, czekając, aż – na co liczymy – Toń uderzy. Powóz wtedy się wycofa, a my uciekniemy przez jego okno. Wzdłuż całego wybrzeża czuwać będą bożęta i świetliki, gotowe w każdej chwili zasygnalizować pojawienie się agresorów, czekać też będzie sieć, w którą zostaną schwytani.

Trzy szanse, by przyłapać wysłanników Toni na próbie skrzywdzenia Dęba. Trzy szanse, by sprawić, żeby tego gorzko pożałowali.

Nie zaniedbujemy też bynajmniej ochrony Cardana. Jego osobista gwardia zostanie postawiona w stan najwyższej gotowości. Każdemu jego poruszeniu towarzyszyć będzie specjalny oddział łuczników oraz oczywiście nasi szpiedzy.

Taryn spędzi noc przed ślubem w towarzystwie sióstr, pakuję więc do plecaka suknię, w którą się przebiorę, i kolczyki dla niej, plecak przytraczam do siodła tego samego konia, na którego grzbiecie udałam się ostatnio na Insweal. Na wierzchu jednego z juków mocuję też mój miecz Brzask. Ruszam w stronę włości Madoka.

Noc jest piękna. W gałęziach szumi wiatr, który niesie aromat sosnowych igieł i prajabłek. W oddali słyszę tętent kopyt. Lisy nawołują się swoim dziwnym szczekaniem. Potem jeszcze odległy zaśpiew fletni i zawodzenie syren na dalekich skałach.

A zaraz potem odgłos kopyt już wcale nie jest daleki. Przez las pędzą jeźdźcy. Jest ich siedmiu, a dosiadają wychudzonych dzikich koni o perłowych ślepiach. Są zamaskowani, ich

zbroje pokryte białą farbą. Słyszę ich śmiech, kiedy się rozpraszają, aby zająć mnie z różnych stron. Jeszcze przez chwilę zdaje mi się, że to jakaś pomyłka.

Jeden z nich dobywa toporka, który błyska w nikłym blasku pierwszej kwadry księżyca. Przechodzi mnie dreszcz. To nie żadne nieporozumienie, oni zjawili się, aby mnie zabić.

Mam niewielkie doświadczenie w walce konno, przygotowywałam się raczej do rycerskiej służby u dworu Elfhame, by bronić osoby i honoru przedstawicieli królewskiego rodu, nie żeby wzorem Madoka staczać bitwy.

Są już blisko. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, kto mógł wiedzieć, gdzie będę sama. Z pewnością Madok. Może to jego sposób, by mi odpłacić za zdradę. Zaufanie i współpraca były prostym podstępem. Tak, przecież wiedział, że wybiorę się do jego zamku, a całe popołudnie spędziliśmy na planowaniu takich właśnie zasadzek.

A jeszcze potem z żalem przypominam sobie przestrożę Karakana:

Następnym razem weź ze sobą kilku królewskich gwardzistów. Weź kogoś z nas, chmurę świetlików albo pijanego spriggana, tylko weź kogoś ze sobą.

Niestety, również tym razem nikogo ze sobą nie wzięłam. Jestem sama.

Spinam piętami moją klacz. Jeżeli zdołam wydostać się z lasu i zbliżyć do zamku, będę już bezpieczna. Tam są strażnicy i nieważne, czy tych jeźdźców nasłał Madok, czy nie, nigdy by nie dopuścił, żeby na jego włościach został zamordowany gość, nie mówiąc już o jego podopiecznej.

Byłoby to niezgodne ze świętym prawem gościnności.

Tylko trzeba tam dotrzeć.

Słyszę za sobą łomot końskich kopyt. Oglądam się, wiatr wpycha mi włosy do ust. Jadą w pewnej odległości od siebie, chcą mnie wyprzedzić i odciąć od włości Madoka, by potem zagnać ku wybrzeżu, a tam nie ma gdzie się schować.

Są coraz bliżej i bliżej. Słyszę ich nawoływania, chociaż słowa porywa wiatr. Moja klacz jest szybka, lecz ich konie płyną przez noc jak górski strumień. Gdy znów spoglądam za siebie, widzę, że jeden z nich trzyma łuk i zakłada na niego strzałę o czarnym pierzysku.

Kieruję wierzchowca w bok, lecz tam widzę kolejnego jeźdźcę, który pędzi, by zagrozić mi drogę ucieczki.

Okrywają ich zbroje, dobyli oręża. Ja mam tylko kilka noży, Brzask u siodła i małą kuszę schowaną w jukach. Przemierzałam ten las setki razy w dzieciństwie, nigdy przez myśl mi nie przeszło, że mogę tutaj stoczyć ostatnią walkę.

Strzała ze świstem przecina powietrze obok mnie, kolejny jeździec zbliża się, widzę nagie ostrze.

Nie zdołam im umknąć.

Staję w strzemionach, choć nie mam pewności, czy ta sztuczka się uda. Chwytam w biegu za grubą konar. Jeden z białookich koni obnaża zęby i wbija je w bok mojej klaczy. Biedne zwierzę rży i rozpaczliwie wierzga. Zdaje mi się, że widzę bursztynowe oczy jeźdźcy, który

długim mieczem przecina powietrze.

Podciągam się na gałąź. Przez chwilę chwytam oddech, podczas gdy jeźdźcy przejeżdżają pode mną. Ściągają wodze, zawracają. Jeden popija z manierki, na ustach zostaje mu złota plama.

– Kotek wskoczył na drzewo – krzyczy inny. – Złaż no do lisów!

Rozprostowuję nogi, biegnę po gałęzi, tak jak nauczył mnie Duch. Jeźdźcy gromadzą się w dole, tworzą krąg. Coś błyska w powietrzu, to ciśnięty we mnie toporek. Uchylam się, szczęśliwie udaje mi się zachować równowagę; żeleźce wgryza się w pień drzewa.

– Pudło! – wołam, starając się, żeby mój głos brzmiał triumfalnie, a nie jak skowyt przerażonej, zaszczutej zwierzyny. Muszę uciec przed nimi, wspiąć się wyżej. Tylko co dalej? Nie pokonam siedmiu napastników. W dodatku miecz pozostał w dole, u siodła. Mam tylko noże.

– Na dół, ludzka istoto – woła jeden z nich; ma srebrne oczy.

– Słyszeliśmy, że umiesz kąsać, więc pokaż, co potrafisz – odzywa się głęboki, melodyjny głos, być może kobiecy. – Nie spraw nam zawodu.

Trzeci z nich nakłada następną czarną strzałę na cięciwę łuku.

– Kotek? To macie pazurki! – wołam, ciskam dwoma nożami o liściastych główkach; zataczają lśniące łuki w powietrzu.

Jeden chybia, drugi odbija się od pancerza, ale zyskuję na czasie. Chwytam za drzewce toporka, który tak uprzejmie mi podarowali, wrywam go, po czym natychmiast się poruszam. Przeskakuję z gałęzi na gałąź, strzały śmigają, a ja dziękuję Duchowi za wszystko, czego mnie nauczył.

Potem jednak strzała wbija mi się w udo.

Nie jestem w stanie zdusić krzyku. Ruszam znowu, próbuję oprzytomnieć po wstrząsie, którego doznałam, ale teraz już przemieszczam się ślamazarnie jak w zwolnionym tempie. Następna strzała tylko przypadkiem mija mnie, zamiast trafić w samo serce.

Oni widzą znacznie lepiej, widzą w ciemnościach tak jak ja w dzień.

Mają przewagę pod każdym względem. Dopóki jestem w górze pośród liści i konarów, stanowią nieco trudniejszy cel, akurat doskonałe wyzwanie dla zamiłowanego strzelca. Im dłużej to będzie trwało, tym więcej stracę krwi, tym bardziej osłabi mnie ból, tym dobitniej da o sobie znać zmęczenie, tym wolniejsze staną się moje ruchy. Jeżeli nie przejmę inicjatywy, już po mnie.

Muszę wyrównać stawkę. W tym celu trzeba zrobić coś, czego się nie spodziewają. Skoro nie widzę, muszę zaufać innemu zmysłom.

Biorę głęboki wdech, ignoruję ból w nodze i wciąż sterczącą z niej strzałę: z wyciem biegnę po gałęzi, po czym daję susa w dół.

Jeźdźcy próbują odwrócić konie, by się ode mnie oddalić.

Żeleźce topora trafia w sam środek klatki piersiowej. Blacha zbroi wbija się głęboko

w ciało. Można by to uznać za sukces, gdyby nie fakt, że w następnej chwili tracę równowagę, a upadając, wypuszczam z dłoni broń. Walę twardo o ziemię, aż zapiera mi dech w piersi. Natychmiast przetaczam się na bok, by uniknąć kopyt. W głowie mi dzwoni; gdy wstaję, noga płonie od bólu niczym żywym ogniem. Strzaskałam promień strzały, lecz za to jej grot wbił się jeszcze głębiej.

Jeździec zwisa bezwładnie w siodle, z jego ust tryska czerwień.

Drugi podjeżdża z boku, trzeci prosto na mnie. Dobywam noża, łucznik próbuje sięgnąć po miecz.

Sześć do jednego to znacznie korzystniejsza relacja, zwłaszcza że czterej z nich trzymają się w pewnej odległości, jakby dopiero teraz zrozumieli, że im również może przydarzyć się coś złego.

– Jak tam, podoba się zabawa z kotkiem?

Srebrnooki naciera, rzucam w niego nożem. Znów niecelnie, ale nóż wbija się głęboko w koński bok. Wierzchowiec wspina się na zadnie nogi; jeździec próbuje nad nim zapanować. W tym momencie drugi na mnie naciera, ale ja już znowu mam topór w dłoni.

Upiorny koń widmo wpatruje się we mnie białymi ślepiami bez źrenic. Wygląda na głodnego.

Przygotowuję się na zderzenie, lecz boję się, że nie zdołam powstrzymać impetu. W mgnieniu oka zmieniam więc taktykę.

Kiedy koń i jeździec są tuż-tuż, wbrew instynktowi rzucam się na ziemię, choć całe moje jestestwo nawołuje, żeby uciekać przed bestią. Kiedy znajduję się pod nim, tnę toporkiem z całej siły; krew zalewa mi twarz.

Siłą rozpędu koń biegnie jeszcze kilka kroków, potem pada z przeraźliwym, rozdzierającym kwikiem, przygniatając swym ciężarem nogę jeźdźca.

Wstaję, ocieram twarz, akurat w porę, żeby obejrzeć przygotowującego się do natarcia rycerza o srebrnych oczach. Szczęrze się do niego, unoszę zakrwawiony topór.

Bursztynooki podjeżdża do powalonego towarzysza, przywołuje pozostałych. Na ten odgłos srebrny zawraca konia, dołącza do kompanów. Ten przywalony końskim trupem bezskutecznie usiłuje się spod niego wydostać, pomagają mu dwaj inni, jeden z nich sadza go za sobą na siodle. Potem wszyscy odjeżdżają w noc, już bez śmiechu, w milczeniu.

Czekam, przecież lada chwila mogą pojawić się znowu, z mroku może też wyłonić się coś jeszcze gorszego. Jednak nie słychać już nic oprócz mojego urywanego oddechu i łoskotu krwi w uszach.

Roztrzęsiona, co krok sycząc z bólu, wędruję przez las, aż dostrzegam mojego konia leżącego w trawie; wierzchowiec zabitego jeźdźca łapczywie pożera jego ciało. Biorę zamach toporem, bestia umyka. To jednak nie wskrzesi mojej biednej klaczy.

Moja torba także przepadła. Pewnie zgubiłam ją podczas ucieczki, straciłam więc też strój na zmianę i kuszę. Przepadły i noże, którymi rzucałam, nocą przecież nie odnajdę ich wśród

zarośli. Na szczęście pozostał mi Brzask przytroczony do siodła. Sztywniejącymi palcami rozwiążuję rzemienie.

Posługuję się nim jak laską, dzięki czemu udaje mi się w końcu dowlec do zamku Madoka i zmyć krew przy studni.

Gdy wchodzę, zastaję Oriane siedzącą w okiennej wnęcie i wyszywającą coś na tamborku. Spogląda na mnie różowymi oczami, nie zadaje sobie trudu, by się uśmiechnąć, jak może uczyniłaby to ludzka istota, choćby po to, żebym poczuła się raźniej.

– Taryn jest na górze z Vivi i jej kochanką, Dąb śpi, a Madok snuje plany. – Dopiero teraz zwraca uwagę na mój wygląd. – Czy wpadłeś do wody?

Przytakuję.

– Tak, aż mi głupio.

Oriana nie odpowiada, pochyla się nad robótką. Idę w stronę schodów. Mam już postawić stopę na pierwszym stopniu, kiedy słyszę za sobą jej głos.

– Czy to by było takie straszne, gdyby Dąb tutaj ze mną został? – pyta i po chwili dodaje niemal szeptem: – Nie chcę utracić jego miłości.

Przykro mi, bo muszę jej powiedzieć to, co czym i tak dobrze wie.

– Tutaj dworacy bezustannie by mu sączyli truciznę do uszu, podszeptując, jakim to byłby królem, gdyby tylko usunął ze swojej drogi Cardana, a wówczas ci wierni Cardanowi zechcieliby usunąć Dęba. To jednak najmniejsze z niebezpieczeństw. Jest jeszcze Balekin i dopóki on żyje, dla Dęba najbezpieczniejszą kryjówką jest bezmiar świata śmiertelników. Nie zapominaj też o Orlagh.

Oriana kiwa głową, w jej spojrzeniu jest pustka. Odwraca się do okna.

Może potrzeba jej kozła ofiarnego, kogoś, komu będzie mogła mieć za złe, że zostali rozdzieleni. Szczęśliwie się składa, że i tak mnie nigdy zbytnio nie lubiła.

Pamiętam jednak, jak boli tęsknota za miejscem, w którym się wyrastało, za najbliższymi.

– Nigdy nie utracisz jego miłości – mówię tak samo cicho jak ona. Wiem, że mnie słyszy, ale się nie odwraca.

Idę więc na górę, krzywiąc się z bólu przy każdym kroku. Jestem na podeście, kiedy Madok wychodzi ze swojego gabinetu, spogląda w górę, patrzy na mnie. Węszy. Czyżby wyczuwał zapach krwi wciąż ściekającej po mojej nodze, zapach ziemi, potu i zimnej wody?

Straszne.

Zamykam się w swoim dawnym pokoju. Sięgam pod wezgłowie; czeka tam na mnie jeszcze jeden z moich noży. Tkwi w pochwie, lekko zakurzony. Chowam go z powrotem, ale dzięki niemu czuję się odrobinę bezpieczniej.

Zaciskając zęby z bólu, kuśtykam do pokoju łazienkowego. Siadam na krawędzi wanny. Rozcinam nogawkę, żeby przyjrzeć się tkwiącym w nodze resztkom strzały. Złamana brzechwa wykonana jest z wierzbowego drewna matowionego popiołem. O ile dobrze widzę, haczykowany grot zrobiono z jeleniego rogu.

Zaczynają mi się trząść ręce, uświadamiam sobie, jak szybko bije serce. Kręci mi się w głowie.

Rana od strzały jest niebezpieczna, bo za każdym ruchem się pogłębia. Nie może też zacząć się goić, dopóki w środku tkwi ostrze rozcinające tkanki, a im dłużej tam tkwi, tym trudniej je potem wydobyć.

Oddycham głęboko, wsuwam palec aż po grot; tylko lekko dociskam, ale aż się zachłystuję z bólu. Robi mi się słabo, przynajmniej jednak wiem, że strzała nie utkwiała w kości.

Biorę się w garść i sięgam po nóż, poszerzam ranę o cal. Potwornie boli, z trudem chwytam powietrze, wpycham do środka dwa palce i wyciągam grot. Rana strasznie krwawi. Przyciskam dłoń, próbując powstrzymać krwotok.

Przez chwilę kręci mi się w głowie, jestem za słaba, żeby się chociaż ruszyć.

– Jude?

To Vivi wtyka głowę przez otwarte drzwi. Patrzy na mnie, potem na wannę. Otwiera szerzej kocie oczy.

Kręcę głową.

– Nie mów nikomu.

– Ty krwawisz.

– Przynieś mi... – Zaczynam i urywam, dociera do mnie, że ranę trzeba zaszyć, wcześniej nie przyszło mi to na myśl. Nie wiem, czy nie jest ze mną gorzej, niż mi się dotąd wydawało. Wstrząs czasami pojawia się z opóźnieniem. – Potrzebna mi igła i nić, ale nie taka cienka, do haftowania. I czysta szmatka, żeby przez nią uciskać ranę.

Vivi widzi nóż w mojej dłoni i świeżą krew.

– Sama to sobie zrobiłaś?

Złość sprawia, że przez chwilę zawrót głowy mija.

– Jasne, sama postrzeliłam się z łuku.

– Dobrze, dobrze. Już.

Podaje mi koszulę leżącą na łóżku i wybiega z pokoju. Przyciskam kłęb materiału do rany w nadziei, że spowolni to upływ krwi.

Vivi wraca z igłą i białą nicią. Długo ta nić biała nie będzie.

Próbuję się skoncentrować.

– Wolisz szyć czy trzymać?

– Trzymać – odpowiada, ale patrzy na mnie, jakby miała nadzieję na trzecie wyjście. – Może lepiej zawołam Taryn?

– W noc przed ślubem? Nie ma mowy. – Usiłuję nawlec nić, ale ręce mi się trzęsą, udaje mi się dopiero za którymś razem. – Dobra. Teraz przyciśnij oba boki rany do siebie.

Vivi klęka i z dziwnym grymasem na twarzy zaciska ranę. Oddycham ciężko, staram się nie zemdleć. Powtarzam sobie, że to jeszcze tylko kilka minut. Jeszcze kilka minut i będę

mogła odpocząć. Jeszcze kilka minut i będzie po wszystkim.

Szyję. Boli. Boli. Boli. Boli. Kończę wreszcie, zmywam krew z nogi, odrywam najczystsza część koszuli, potrzebny mi jest przecież bandaż.

– Możesz wstać?

Kręcę głową.

– Na razie nie. Może za chwilę.

– Ale może... Nie wiem, może zawołać Madoka – pyta Vivi.

– Nikomu nic nie mów – sapię. Chwytam się krawędzi wanny, przekładam nogi na drugą stronę, tłumiąc jęk.

Vivi odkręca kran, rozlega się plusk wody. Spłukuję krew.

– Jesteś przemoczona – stwierdza.

– Podaj mi jakąś sukienkę – mówię. – Im bardziej będzie workowata, tym lepiej.

Nadludzkim wysiłkiem woli udaje mi się dokuśtykać do krzesła. Ściągam kaftan i koszulę. Siedzę naga do pasa, nic więcej zrobić nie mogę, bo wściekłabym się z bólu.

Vivi podaje mi sukienkę, tak starą, że Taryn mi jej nie przywiozła. Pomaga mi przełożyć ją przez głowę, wkłada moje ramiona w rękawy, jakbym była dzieckiem. Ostrożnie, delikatnie zdejmuję mi buty i resztki spodni.

– Może teraz się połóż – proponuje. – Odpocznij choć trochę. Heather i ja zajmiemy się Taryn.

– Nie, nic mi nie będzie – odpowiadam.

– Chcę tylko powiedzieć, że nic nie musisz robić. – Vivi chyba pomалу zaczyna rozumieć, dlaczego odwoziliśmy ją od przyjazdu do Elysium. – Kto ci to zrobił?

– Siedmiu jeźdźców, może rycerzy. Nie wiem, kto ich mógł nasłać.

Vivi wzdycha ciężko.

– Jude, wróć ze mną do świata ludzi. Nie musisz się narażać na coś takiego. To nie jest normalne.

Wstaję. Wolę już rozchodzić ranną nogę, niż dalej tego słuchać.

– Co by się stało, gdybym do ciebie nie zajrzała? – pyta.

Skoro już wstałam, muszę iść przed siebie, bo inaczej padnę. Kieruję się więc do drzwi.

– Nie wiadomo – odpowiadam. – Wiem natomiast jedno. Niebezpieczeństwo grozi mi także w śmiertelnym świecie. Dopóki jednak jestem tutaj, mogę mieć pewność, że tam straż dba o twoje i Dęba bezpieczeństwo. Słuchaj, rozumiem, że według ciebie to, co robię, jest głupie, ale nie wmawiaj mi, że to bezcelowe.

– Nie, nie to chciałam powiedzieć – odpowiada, a ja już jestem na korytarzu i otwieram szeroko drzwi do pokoju Taryn. Moja siostra i Heather śmieją się z czegoś, ale na mój widok przestają.

– Jude? – odzywa się niepewnie Taryn.

– Spadłam z konia – wyjaśniam, a Vivi nie zaprzecza. – O czym rozmawiałyście?

Taryn jest zdenerwowana, w tę i z powrotem chodzi po komnacie; to chce dotknąć zwiewnej sukni, którą ma jutro włożyć, to sprawdza kwietny diadem spleciony z powojów wyrosłych w ogrodach goblinów, świeżych tak, jakby dopiero co je zerwano.

Uświadamiam sobie, że kolczyki, które dla niej kupiłam, przepadły razem z całą torbą. Pewnie będą leżeć przez całą wieczność gdzieś w krzakach pod suchymi liśćmi.

Służący przynoszą wino i ciastka. Zlizuję słodki lukier, pozwalam, by rozmowa toczyła się obok mnie, czasem coś wtrącam dla zachowania pozorów. Ból w nodze przeszkadza, ale jeszcze bardziej przeszkadza mi wspomnienie jeźdźców, ich śmiechu i tego, jak okrążyli drzewo, na które uciekłam. Wspomnienie tego, jak byłam ranna, przerażona i samotna.



Dzień ślubu Taryn. Budzę się w łóżku mojego dzieciństwa. Wrażenie jest takie, jakbym wydostała się z głębokiego snu i przez chwilę nie tyle nie wiem, gdzie się znajduję, co nie mogę sobie przypomnieć, kim jestem. Przez kilka krótkich chwil znów stałam się grzeczną córeczką Madoka, która marzy o pasowaniu na rycerza, by zyskać sobie w ten sposób pozycję na dworze. Potem zaś wraca minione pół roku, wraz z tak dobrze mi znanym smakiem trucizny w ustach.

Oraz pieczeniem pospiesznie założonych szwów.

Dźwigam się na łokciu, odsłaniam nogę, żeby obejrzeć ranę. Wygląda paskudnie. Jest opuchnięta, szwy też wyglądają kiepsko. Poza tym noga mi zeszywniała.

Gnarbon, monstrualny służący o długich uszach i ogonie, wchodzi do pokoju, jednocześnie pukając. Niesie tacę ze śniadaniem. Szybkim ruchem zarzucam na siebie koce.

Gnarbon bez słowa stawia tacę na łóżku, potem idzie do sali łaźiebnej. Słyszę szum wody, dochodzi mnie aromat kruszonych ziół. Siedzę sztywno i czekam, aż sługa wyjdzie.

W zasadzie mogłabym mu powiedzieć, że jestem ranna. Gdybym poprosiła Gnarbona o sprowadzenie do mnie wojskowego medyka, z pewnością by to zrobił. Rzecz jasna, o wszystkim dowiedzieliby się Oriana i Madok, ale przynajmniej ktoś zaszyłby dobrze ranę i nie groziłoby mi zakażenie.

Nawet jeśli to Madok nasłał na mnie jeźdźców i tak mogłabym liczyć na opiekę. Święte prawo gościnności i tak dalej. Traktowałyby to jednak jak ustępstwo z mojej strony, ściślej mówiąc, w ten sposób przyznałabym, że potrzebuję jego pomocy, że odniósł zwycięstwo. I że na dobre wróciłam do domu pod jego skrzydła.

Zresztą teraz, w świetle poranka, jestem niemal całkowicie pewna, że choć zasadzka była jak najbardziej w stylu Madoka, nie on jednak ją zlecił. Zabójcy na jego żołdzie nie

trzymaliby się w tyle, nie wycofaliby się, dopóki mieli liczebną przewagę.

Po wyjściu Gnarbona piję kawę, a następnie wlokę się do kąpieli.

Woda jest mleczna i wonna, dopiero kiedy zanurzam głowę pod jej powierzchnię, mogę przyznać wobec samej siebie, że cudem wymknęłam się śmierci, że byłam przerażona i bardzo chciałabym móc komuś z tego wszystkiego się zwierzyć. Dopiero pod wodą mogę sobie pozwolić na to, żeby się rozbeczeć. Wstrzymuję oddech tak długo, aż całkiem mi go brakuje.

Po kąpieli owijam się starym szlafrokiem i wracam do łóżka. Rozważam, czy warto posłać służącego do pałacu po suknię, czy może wystarczy pożyczyć coś od Taryn. Wtedy jednak do mojej komnaty wchodzi Oriana ze srebrzystą tkaniną na rękach.

– Wiem od służby, że przybyłaś bez bagażu – oznajmia. – Jak się domyślam, nie przyszło ci do głowy, że na ślub siostry powinnaś mieć nowy strój. A nawet jeśli nie nowy, to przynajmniej suknię.

– Zawsze na przyjęciu ktoś jest nagi – zauważam. – Sama wiesz. Odkąd przebywam na dworze, nie widziałam jeszcze ani jednej biesiady, podczas której wszyscy byliby ubrani.

– Aha, skoro taki jest twój plan – odpowiada i odwraca się na pięcie. – W takim razie wystarczy ci ładna kolia.

– Zaczekaj! To prawda, nie mam co na siebie włożyć i potrzebuję sukni. Nie odchodź.

Gdy Oriana się odwraca, widzę na jej ustach coś na kształt uśmiechu.

– Jakie to do ciebie niepodobne, żeby powiedzieć coś zupełnie szczerze i żeby to nie było obraźliwe ani opryskliwe.

Trudno mi sobie wyobrazić, jak wygląda jej życie jako posłusznej i wiernej żony Madoka, która zarazem przyłożyła rękę do udaremnienia wszystkich jego planów. Oriana jest o wiele bardziej złożoną postacią, niż mogłam kiedykolwiek podejrzewać.

A poza tym przyniosła mi suknię.

Byłam pewna, że to zwykła grzeczność z jej strony, dopóki nie rozłożyła tego cuda na łożu.

– Jedna z moich – wyjaśnia moja macocha. – Wydaje mi się, że będzie na ciebie dobra.

Suknia jest srebrna, przypomina nieskończenie drobno wykutą kolczą zbroję. Jest przepiękna, z rozciętymi, poszerzonymi rękawami oraz wyjątkowo długim, głębokim dekoltem, który bez wątpienia zupełnie inaczej wygląda na Orianie, a całkiem odmiennie będzie się prezentować na mnie.

– Czy nie jest trochę za śmiała na ślub?

Tej sukni nie da się nosić ze stanikiem.

Oriana zerka na mnie dziwnym, niemal owadzym spojrzeniem.

– Chyba powinnam przymierzyć – mówię.

No tak, dopiero co żartowałam, że wystąpię nago.

Cóż, jesteśmy w Krainie Elfów, wiem, nawet na myśl jej nie przychodzi, żeby wyjść.

Stoję tyłem do niej i mam nadzieję, że to wystarczy, by odwrócić jej uwagę od mojej nogi. Wkładam suknię przez głowę, pozwalam jej spłynąć na biodra. Lśni wspaniale, ale tak jak się spodziewałam, bardzo też odsłania moje piersi.

Oriana z satysfakcją kiwa głową.

– Przyślę kogoś, kto zajmie się twoimi włosami.

Niedługo potem zjawia się wiotka pixie, która układa mi warkocze w baranie rogi, owija ich koniuszki srebrną wstążką. Potem maluje mi powieki i usta, też na srebrno.

Gdy jestem już wystrojona, schodzę na dół, gdzie w salonie Oriany zebrała się cała rodzina, tak jakby minionych pięciu miesięcy wcale nie było.

Oriana ma na sobie jasnofioletową suknię zwieńczoną kołnierzem ze świeżych płatków sięgającym aż do jej upudrowanej twarzy. Vivi i Heather ubrane są w stroje śmiertelniczek; Vivi w leciutką sukienkę z nadrukowanym wzorkiem w oczy, Heather w krótką różową sukienkę z naszywanymi srebrnymi blaszkami, a jej włosy spięte są połyskującymi różowym brokatem klipsami. Madok jest cały na ciemnośliwkowo, Dąb również.

– Patrz – odzywa się Heather. – Obie jesteśmy na srebrno.

Taryn jeszcze nie zeszła. Siedzimy sobie w salonie, popijamy herbatę i zajadamy się plackami z mąki kukurydzianej.

– Myślicie, że ona nie wycofa się w ostatniej chwili? – pyta Vivi.

Heather rzuca jej karcące spojrzenie, klepie w nogę.

Madok wzdycha.

– Powiadają, że więcej się uczymy na błędach niż wtedy, gdy odnosimy sukcesy – mówi, spoglądając znacząco w moją stronę.

W końcu pojawia się Taryn. Wykapano ją w liliowej rosie, ma na sobie suknię z nieskończone cieniowych warstw materiału nałożonych jedna na drugą, a pomiędzy nimi umieszczono kwiaty i zioła, co tworzy wrażenie cudownej, płynącej po ziemi postaci, a jednocześnie żywego bukietu.

Jej włosy splecione są w koronę przyozdobioną zielonymi powojami. Wygląda przepięknie i do bólu po ludzku. W tej jasnej tkaninie przypomina raczej ofiarę, nie oblubienicę. Uśmiecha się do nas wszystkich, onieśmielona i uszczęśliwiona.

Wstajemy i mówimy jej, jak wspaniale wygląda. Madok całuje jej dłonie, spogląda na nią jak każdy dumny ojciec. Nieważne, że jego zdaniem córeczka popełnia fatalny błąd.

Wsiadamy do powozu, a towarzyszy nam ten mały goblin, który będzie zastępował Dęba. Wewnątrz zamieniają się kurtkami, po czym z zatroskanym wyrazem twarzy karzeł siada skromnie w kącie. Jedziemy w stronę dworu Lokiego. Taryn chwyta mnie za rękę.

– Po ślubie będzie inaczej.

– Pod pewnymi względami na pewno – odpowiadam ostrożnie, bo nie bardzo wiem, o czym Taryn mówi.

– Ojciec obiecał, że będzie trzymał go na wodzy – dodaje szeptem Taryn.

Pamiętam, jak należała, żebym doprowadziła w jakiś sposób do pozbawienia Lokiego funkcji mistrza biesiad. Poskramianie wyskoków Lokiego może przysporzyć Madokowi sporo zajęcia, akurat nie mam nic przeciwko temu.

– Cieszysz się ze względu na mnie? – pyta Taryn. – Szczerze?

Taryn przez długi czas była najbliższą mi istotą na całym świecie. Przez znaczną część naszego życia tylko ona znała moje uczucia, moje cierpienia wielkie i małe. Byłoby głupotą pozwolić, aby cokolwiek stało między nami.

– Szczerze pragnę, żebyś ty się cieszyła, żebyś była szczęśliwa – odpowiadam. – Dzisiaj i zawsze.

Odpowiada nerwowym uśmiechem, zaciskając palce na mojej dłoni.

Wciąż jeszcze trzymamy się za ręce, kiedy za oknem powozu pojawia się liściasty labirynt. Widzę trzy smukłe pixie w przejrzystych gieźleczkach, które nad nim fruwały i chichoczą wesoło, a pod nimi już roi się tłum elfowych gości. Mistrz biesiadny Loki z pewnością urządził przyjęcie weselne godne swojego tytułu.

ROZDIAŁ

21

Na szczęście nie ma chętnych do skorzystania z pierwszej pułapki. Z powozu powoli wysiada moja rodzina, a ja i Dąb chowamy się w powozie. Początkowo, kiedy kucamy pośród wyłożonych poduszkami ław, bardzo podoba mu się nowa zabawa, ale już wkrótce jego buzia niepokojąco zaczyna wykrzywiać się w podkówkę.

Biorę go za rączkę.

– Gotowy, żeby myknąć przez okno?

Rozpromienia się na nowo.

– Z powozu?

– Tak.

Jeszcze chwilę czekam, aż zajedziemy na miejsce. Słyszę stukanie. Wyglądam od strony domostwa i widzę Bombę, która puszcza do mnie oko; zaraz potem biorę Dęba na ręce i podaję go jej przez okno, kopytkami do przodu.

Potem sama gramolę się z trudem, bo przeszkadza mi suknia składająca się głównie z dekoltu i sztywne noga, która wciąż bardzo mnie boli. W efekcie zwalam się na kamienny dziedziniec.

– Coś się dzieje? – pytam.

Bomba potrząsa głową, wyciąga rękę i pomaga mi wstać.

– Od początku wydawało mi się to mało prawdopodobne. Obstawiałabym raczej labirynt.

Dąb znowu markotnieje.

– Nie musisz tego robić – mówię, chociaż nie mam pojęcia, co będzie, jeżeli mały odmówi, jeżeli powie, że w to się nie bawimy.

– Nic mi nie jest – odpowiada Dąb, nie patrząc mi w oczy. – Gdzie mama?

– Zaraz ją znajdziemy, kwiatuszku – mówi Bomba, obejmując go ramieniem. Przy drzwiach zatrzymuje się, spogląda na mnie i wydobywa coś z kieszeni. – Chyba się skaleczyłaś. Tak się składa, że potrafisz robić nie tylko materiały wybuchowe.

Coś mi rzuca; łapię przedmiot, nie wiedząc, co to takiego. To słoiczek z maścią. Chcę podziękować, ale Bomba już zniknęła.

Otwieram pojemniczek, wdycham zapach ziół. Gdy tylko smaruję maścią ranę, ból się zmniejsza, ustaje też paskudne pieczenie, niewątpliwy objaw wdającego się zakażenia. Noga

dalej jest obolała, ale różnica jest ogromna.

– Mój seneszalu – słyszę głos Cardana i maść o mało nie wypada mi z rąk. Opuszczam suknię, odwracam się. – Czy jesteś gotowa, by przyjąć Lokiego do swojej rodziny?

Ostatnio, gdy razem gościliśmy w tym domu i w ogrodowym labiryncie, jego usta znaczyły złote ślady nevermore. Patrzył, jak całuję się z Lokim w taki sposób, że potrafiłam to wytłumaczyć tylko nienawiścią.

Teraz zresztą mierzy mnie wzrokiem, w którym dostrzegam coś podobnego, a tymczasem ja wprost marzę, by paść w jego ramiona, utopić wszystkie zmartwienia w jego objęciach. Chciałabym, żeby akurat teraz powiedział coś zupełnie dla siebie nietypowego. Na przykład, że wszystko będzie dobrze.

– Ładna suknia – mówi zamiast tego.

Zapewne cały dwór jest przekonany, że bez pamięci kocham się w królu. Przecież pozwoliłam zrobić z siebie Królową Uciech i po takim pohańbieniu nadal mu służę jako seneszal. Wszystkim się zdaje, że jestem mu całkowicie podporządkowana; z pewnością tak też uważa Madok. Nawet po takim upokorzeniu pełnę do niego z podkulonym ogonem.

Tylko czy przypadkiem rzeczywiście nie kocham się w nim bez pamięci?

W miłości Cardan ma większą wprawę niż ja. Może to wykorzystać przeciwko mnie, tak jak wykorzystał to przeciwko Nicassii. Kto wie, może to właśnie jego sposób, żeby odzyskać panowanie nad sytuacją.

Coś mi podpowiada, że powinnam go zabić – to samo coś, które doszło do głosu tamtej nocy, gdy go wzięłam do niewoli. Zabić go, zanim mnie zmusi, bym go pokochała.

– Nie powinieneś być sam – mówię, bo jeśli podwodne królestwo ma uderzyć, nie powinniśmy stanowić łatwego celu. – Nie tej nocy.

Cardan uśmiecha się.

– Nie miałem takiego zamiaru.

Daje mi w ten sposób do zrozumienia, że w istocie najczęściej nie spędza nocy samotnie, co drażni mnie, choć nie powinno.

– Świetnie – odpowiadam, przełykając tę pigułkę, mimo że jest gorzka. – Jeśli jednak zamierzasz wziąć kogoś do łóżka, to najlepiej strażnika. A jeszcze lepiej kilku.

– Istna orgia. – Pomysł wyraźnie przypadł mu do gustu.

Wciąż pamiętam, jak poważnie na mnie spoglądał, kiedy oboje byliśmy nadzy, nim jeszcze włożył koszulę i zapiął spinki mankietów. *Już dawno temu powinniśmy byli zawrzeć rozejm* – powiedział wtedy, niecierpliwie odgarniając do tyłu czarne jak tusz włosy. *Dawno, znacznie wcześniej.*

Żadne z nas jednak żadnego rozejmu nie zawarło – ani wtedy, ani potem. Spytał mnie, głaszcząc po nodze: *Jude, czy ty się mnie boisz?*

Odpycham wspomnienia.

– Rozkazuję ci: pod żadnym pozorem nie wolno ci dopuścić do tego, żebyś został sam,

począwszy od dzisiejszego zachodu słońca aż po jutrzejszy poranek.

Cofa się jak oparzony. Nie spodziewał się, że nadal będę wydawać rozkazy takim tonem, tak jakbym mu nie ufała.

Najwyższy Król na Elfhame kłoni lekko głowę.

– Twoje życzenie... Nie, skreślamy to. Twój rozkaz jest dla mnie rozkazem – odpowiada.

Jestem tchórzem, nie mam odwagi spojrzeć za nim, kiedy wychodzi. Może to ten ból w nodze, może to dlatego, że martwię się o mojego braciszka, ale coś we mnie chciałoby go przywołać i przeprosić. Wreszcie, gdy mam już pewność, że odszedł, mogę udać się na przyjęcie. Kilka kroków i jestem w korytarzu.

Madok opiera się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi. Kręci głową na mój widok.

– Nie pojmowałem nic a nic. Dopiero teraz rozumiem.

Zatrzymuję się.

– Co takiego?

– Szedłem po Dęba, kiedy usłyszałem, że rozmawiasz z Najwyższym Królem. Wybacz, ale was podsłuchałem.

Próbuję myśleć, ale uniemożliwia mi to dudnienie w uszach.

– To nie tak, jak ci się wydaje...

– Gdyby tak nie było, nie wiedziałabyś, co mi się wydaje – odparowuje Madok. – Wybornie, córeczko. Już mnie nie dziwi, że nie zdołałem cię skusić niczym, co miałem do zaproponowania. Zapewniałem, że odtąd będę potrafił cię docenić, a jednak nie doceniłem. Nie doceniłem zarówno twojej ambicji, jak i arogancji.

– Nie – mówię. – Nie rozumiesz...

– Och, chyba całkiem dobrze rozumiem – przerywa mi, nie czekając, aż mu wyjaśnię, że Dąb nie jest jeszcze gotów, żeby objąć tron; że pragnęłabym za wszelką cenę uniknąć rozlewu krwi oraz że nawet nie wiem, czy zdołam utrzymać swoją władzę, kiedy już minie rok i dzień. Jest na to zbyt rozgniewany. – Sądzę, że wręcz przeciwnie, właśnie teraz wreszcie wszystko zrozumiałem. Orlagh i podmorskie królestwo pokonamy wspólnie. Kiedy jednak to zagrożenie odejdzie w niepamięć, czeka nas pojedynek. Rozegramy partię szachów, w której cię pokonam. A dołożę wszelkich starań, aby dokonać tego z równą stanowczością, jak uczyniłbym to wobec każdego przeciwnika, który okazał się mnie godny.

Nim przychodzi mi do głowy jakakolwiek odpowiedź, chwytą mnie za ramię i prowadzi do ogrodu.

– Chodźmy – mówi. – Mamy swoje role do odegrania.

Potem mnie zostawia. Mrużąc oczy w promieniach późnopopołudniowego słońca, podchodzi do grupki rycerzy stojących opodal ozdobnej sadzawki. Na pożegnanie – skinienie głową, tak jak pozdrawia się przeciwnika w szrankach, zanim skrzyżuje się z nim ostrze.

Przechodzi mnie zimny dreszcz. Już gdy doszło między nami do starcia w Próżnym

Dworze, kiedy podałam mu wino ze środkiem usypiającym, wiedziałam, że zrobiłam sobie z niego wroga. Teraz jednak jest znacznie gorzej. Zrozumiał, że stanęłam między nim a koroną i że teraz to już nie ma znaczenia, czy mnie kocha, czy nienawidzi. Zrobi wszystko, żeby odebrać mi władzę.

Nie mam na razie nic do roboty, idę więc do labiryntu, w którego sercu już na dobre rozpoczęły się uroczystości.

Po trzech zakrętach orientuję się, że odgłosy biesiady jakby się oddaliły; stały się słumione, a perlisty śmiech dobiega ze wszystkich stron. Żywopłoty są na tyle wysokie, że wkrótce tracę orientację, a

po siedmiu zakrętach naprawdę się gubię. Cofam się więc, ale odkrywam, że tymczasem układ ścieżek się zmienił, teraz przedstawia się zupełnie inaczej.

Oczywiście. To nie może być taki sobie zwykły labirynt. Skądże znowu, on ma wobec mnie swoje własne plany.

Pamiętam, że pośród roślinności ukrywają się drzewołacy, których zadaniem jest czuwać nad bezpieczeństwem Dęba. Nie wiem, czy to oni postanowili się ze mną zabawić, ale przynajmniej mam pewność, że jeśli się odezwę, ktoś może mnie usłyszeć.

– Wytnę sobie przez was drogę – powiadamiam liściaste ściany. – Nie utrudniajcie mi życia.

Za sobą słyszę szelest gałęzi. Gdy się odwracam, widzę nową ścieżkę.

– Mam nadzieję, że ta droga prowadzi na przyjęcie – mruczę pod nosem. Dobrze, jeśli nie wiedzie ku zapomnianym przez wszystkich kazamatom przeznaczonym dla tych, którzy ośmielili się zadrzeć z labiryntem.

Jeszcze jeden zakręt i wychodzę na polankę, na której kwitną białe kwiatki, a pośrodku stoi miniaturowa kamienna wieża. Z jej wnętrza dobiega dziwny odgłos, trochę jak pomruk, a trochę jak płacz.

Dobrym Brzasku. W tej krainie rzadko słyhać łkania, natomiast zawodzące istoty najczęściej są bardzo groźne – na przykład banshee.

– Kto tu jest? – pytam. – Wyjdź, bo inaczej ja wejść.

Ku swojemu zdumieniu widzę Heather. Jej uszy się wydłużyły i porosły sierścią jak u kota. Nos też zmienił kształt, a nad brwiami i z policzków wyrastają długie wibrysy.

Nie jest dobrze. Widzę, że nie są ułudą, a to znaczy, że ktoś rzucił prawdziwy czar, w dodatku to dopiero początek. Dosłownie na moich oczach ramiona Heather porastają tworzącym szylkretowy wzór futerkiem.

– Co... Co się stało?

Otwiera usta, ale zamiast słów słyszę tylko żałosne miauknięcie.

Śmieję się mimo woli. Nie żeby było w tym cokolwiek śmiesznego, po prostu jestem zaskoczona. Natychmiast dopadają mnie wyrzuty sumienia, zwłaszcza że Heather gniewnie syczy.

Przykucam, krzywię się przy tym, bo szwy wpijają się w krawędzie rany.

– Spokojnie. Przepraszam, to z zaskoczenia. Właśnie dlatego ostrzegałam, żebyś zawsze miała przy sobie amulet. Tak, wiem. Nikt nie lubi, kiedy mu powtarzają: „A nie mówiłam?”. Ale nie przejmuj się. Gnojek, który to zrobił, zaraz tego gorzko pożałuje. Chodź, idziemy.

Idzie za mną, drżąc na całym ciele. Kiedy próbuję ją objąć ramieniem, odskakuje i znów syczy. Dobrze i to, że trzyma się pionu oraz na tyle jeszcze czuje się człowiekiem, że nie ucieka gdzieś do lasu.

Wędrujemy pośród żywopłotów, tym razem labirynt nie próbuje nam dokuczać. Jeszcze trzy zakręty i znajdujemy się w tłumie gości. Słychać kojący plusk fontanny, gwar konwersacji.

Rozglądam się za kimś, kogo bym знаła.

Taryn i Lokiego nie widzę. Pewnie skryli się w altanie, by złożyć sobie prywatne przysięgi; w ten sposób odbywa się prawdziwy i tajemny elfowy ślub, bez świadków i gapiów. W krainie bez kłamstw nie trzeba publicznie składać obietnic, by były wiążące.

Vivi biegnie do nas, chwyta Heather za ręce. Palce dziewczyny są podkurczone jak kocie łapki.

– Co się stało? – pyta Oriana.

– To Heather? – dopytuje zaciekawiony Dąb. Ona spogląda na niego oczami przypominającymi oczy mojej siostry. Czyżby na tym miał polegać żarcik? Kotek dla kociej dziewczyny?

– Zrób coś – żąda Vivi od Oriany.

– Niezbyt się wyznaję na zaklęciach – odpowiada moja macocha. – Odwracanie czarów nigdy nie było moją specjalnością.

– Kto to zrobił? Ten, kto rzucił urok, może go odczynić.

Słyszę w swoim głosie groźny pomruk, jakby echo pogroźek Madoka.

Vivi patrzy na mnie dziwnie.

– Jude. – Oriana chce mnie przed czymś przestrzec, ale Heather już mi go pokazuje.

Trójce faunów przygrywających na fletach przysłuchuje się chłopiec o kocich uszach. Ruszam w jego stronę. Moja dłoń machinalnie sięga po miecz; cała frustracja biorąca się stąd, że nad tak wieloma rzeczami nie mogę zapanować, skupia się teraz na winowajcy.

Drugą ręką wytrącam kielich zielonego wina z jego dłoni. Płyn rozlewa się, a potem wsiąka w ziemię pod naszymi stopami.

– Co jest? – warczy koci elf.

– Rzuciłeś zaklęcie na tamtą dziewczynę – odpowiadam. – Cofnij je. Natychmiast.

– Ona podziwiała moje uszy – odpowiada chłopak. – Ja tylko dałem jej to, czego chciała. Wyświadczyłem jej przysługę.

– Powiem to samo, kiedy wypruję z ciebie flaki i zrobię z nich serpentyny – informuję go.

– *Dostał tylko to, czego chciał. Przecież gdyby nie chciał zostać wypatroszony, spełniłby*

uprzejmie moją grzeczną prośbę.

Rzuca mi wściekłe spojrzenie, tupie i wymawia kilka słów. Czar ustępuje. Heather znowu płacze, bo na nowo staje się człowiekiem. Spazmy wstrząsają jej ciałem.

– Ja chcę do domu – odzywa się w końcu drżącym, płaczliwym głosem. – Chcę do domu, natychmiast. Nigdy tu nie wrócę.

Vivi powinna była ją ostrzec. I dopilnować, żeby cały czas miała przy sobie amulet, a najlepiej dwa. Nie powinna dopuścić, by Heather włóczyła się sama.

Obawiam się też, że do pewnego stopnia to i moja wina. Taryn i ja nie opowiadałyśmy Vivi najgorszych rzeczy, które jako ludzkim istotom przydarzyły nam się w tej krainie. Myślała więc, że skoro jej siostrzyczki jakoś przeżyły, to Heather też sobie poradzi. Kłopot w tym, że nie za bardzo sobie radziłyśmy.

– Wszystko będzie dobrze – przemawia Vivi, masując kojącymi ruchami plecy Heather. – Już jest dobrze. Takie tam dziwactwa. Potem będziesz się z tego śmiała.

– Ona nie będzie się z tego śmiała – wtrącam, a Vivi rzuca mi gniewne spojrzenie.

Heather nadal szlocha. W końcu Vivi ujmuje palcem jej podbródek, unosi twarz, tak by spojrzeć jej w oczy.

– Nic ci nie jest – powtarza. Teraz w jej głosie słyszę urok. Magia sprawia, że ciało Heather rozluźnia się, wiotczeje. – Nie pamiętasz, co się zdarzyło przez ostatnie pół godziny. Świetnie się bawiłaś na weselu, tylko potem się potknęłaś. Popłakałaś się, bo uderzyłaś się w kolano. Głupia sprawa, nie?

Heather rozgląda się, zawstydzona, i ociera oczy.

– Trochę mi głupio, fakt – mówi, śmiejąc się. – To chyba z zaskoczenia.

– Vivi – syczę na siostrę.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – odpowiada szeptem. – Ale to tylko ten jeden raz. I zanim zapytasz, to ci powiem, że nigdy przedtem tego nie robiłam. Ona nie musi tego pamiętać.

– Oczywiście, że powinna to zapamiętać – sprzeciwiam się. – W przeciwnym razie niczego się nie nauczy.

Jestem tak wściekła, że aż mnie zatyka. Vivi musi to wreszcie zrozumieć. Musi do niej dotrzeć, że nawet najgorsze wspomnienia są lepsze od pozbawionych jakiegokolwiek sensu dziwnych luk w pamięci czy uczuciach.

Zanim jednak udaje mi się znaleźć właściwe słowa, obok mnie pojawia się Duch, a tuż za nim Vulciber. Obaj są w mundurach.

– Chodź z nami – odzywa się Duch, wyjątkowo jak na niego bezceremonialnie.

– Co się stało? – pytam ostrym tonem. Wciąż jeszcze myślę o Vivi i Heather.

Duch jest jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj.

– Królowa Toni wykonała swój ruch.

Rozglądam się za Dębem. Jest tam, gdzie widziałam go kilka chwil wcześniej, i towarzyszy mu Oriana; oboje przyglądają się Heather. Między jego brwiami pojawia się

maleńka zmarszczka, ale wydaje się, że nic mu nie grozi – oprócz złego przykładu ze strony starszej siostry.

Cardan stoi na przeciwległym krańcu łąki, niedaleko niego widzę też Taryn i Lokiego, którzy właśnie pokazali się zebrany, złożąwszy sobie ślubowania. Taryn jest troszkę zawstydzona, ma zaróżowione policzki. Tłoczy się wokół niej Mały Ludek, aby ją wycalować: gobliny i skrzaty, damy dworu i czarownice. Niebo w górze jest bezchmurne, powiew wiatru pachnie słodyczą i kwiatami.

– Chodzi o Wieżę Zapomnienia. Vulciber twierdzi, że powinnaś to zobaczyć – wyjaśnia Bomba. Nawet nie zauważyłam, kiedy się pojawiła. Jest ubrana na czarno, włosy ma spięte w schludny koczek. – Jude?

Odwracam się, by poświęcić należyłą uwagę swoim szpiegom.

– Nie rozumiem.

– Musisz sama to zobaczyć – odpowiada Vulciber. – Jesteś gotowa?

– Jeszcze chwilę.

Przed odejściem powinnam złożyć Taryn życzenia. Ucałować ją w policzki i powiedzieć coś miłego, żeby wiedziała, że tu byłam, nawet jeśli zaraz muszę odejść. Kiedy jednak na nią patrzę, próbując ocenić, jak prędko zdałam się do niej przedostać, dostrzegam jej kolczyki.

W uszach ma półksiężyc i gwiazdkę. Te same, które wytargowałam od Grimsena i które, jak mi się zdawało, zgubiłam w lesie. Kiedy jechaliśmy powozem, jeszcze ich nie miała, a to znaczy, że je dostała od...

Loki stoi obok niej z lisim uśmiechem na twarzy. Kiedy zaczyna iść, leciutko kuleje.

Przez chwilę tylko patrzę, bo nie mieści mi się w głowie to, co widzę. Loki. Ci jeźdźcy to byli przyjaciele Lokiego. W przeddzień ślubu urządzili sobie coś w rodzaju wieczoru kawalerskiego. Pewnie chciał się na mnie odegrać za pogrożki. A może stwierdził, że przecież i tak na pewno nie dotrzyma słowa, więc lepiej usunąć mnie z drogi, zanim go dopadnę.

Spoglądam na nich oboje raz jeszcze i zdaję sobie sprawę, że w tej chwili nic nie mogę zrobić.

– Przekaż wiadomość głównodowodzącemu – zwracam się do Bomby. – I dopilnuj...

– Będę miała oko na twojego braciszka – zapewnia Bomba. – I na Najwyższego Króla też.

Odwracam się plecami do ślubnych obchodów, idę razem z Vulciberem i Duchem. W pobliżu czekają żółte wierzchowce o długich grzywach, osiodłane już i okulbaczone. Wskakujemy na nie, by ruszyć w stronę samotnej wieży.



Z zewnątrz nic nie wskazuje, żeby stało się coś złego, jedynie fale sięgają wyżej niż poprzednio. Woda zalewa kamienie dziedzińca.

Wewnątrz jednak dostrzegam zwłoki rycerzy. Nieruchome, blade ciała. Ci, którzy leżą na plecach, mają usta pełne wody, jakby ich wargi były brzegami pucharów. Inni leżą na boku lub na brzuchu. Oczy wszystkich zostały wyłupione, a w puste oczodoły wsadzono perły.

Utopieni na stałym lądzie.

Biegnę na dół, przerażona losem matki Cardana. Ale nie, ona żyje, mruga w ciemnościach na mój widok. Przez chwilę stoję, oddycham z ulgą, dotykając dłonią piersi.

Potem dobywam Brzasku, rozcinam skobel między kratą a ścianą. Sypią się skry i drzwi są już otwarte. Asha spogląda na mnie podejrzliwie.

– Idź – ponagliam ją. – Zapomnij o naszych umowach. Zapomnij o wszystkim. Znikaj jak najprędzej.

– Dlaczego to robisz? – pyta.

– Robię to dla Cardana – odpowiadam, a mogłabym jeszcze dodać: *Bo jego matka jeszcze wciąż żyje, a moja już dawno nie. Bo nawet jeśli cię nienawidzi, przynajmniej powinien mieć szansę, żeby ci o tym powiedzieć.*

Spogląda na mnie raz jeszcze w osłupieniu, potem zaczyna wchodzić po schodach.

Muszę sprawdzić, czy Balekin nadal jest uwięziony i czy żyje. Schodzę niżej, przemierzam mrok, jedną ręką trzymając się ściany, a drugą dzierżąc miecz.

Duch woła mnie po imieniu, pewnie dlatego, że nie spodziewał się ujrzeć Ashy, ale mam do załatwienia coś ważniejszego. Przyspieszam kroku, teraz pewniej stąпам po spiralnych schodach.

Cela Balekina jest pusta, kraty wygięte i połamane; kosztowne kobierce mokre, pokryte piaskiem.

A więc Orlagh wzięła sobie Balekina. Sprzątnęła mi księcia elfów sprzed nosa.

Przeklinam swoją krótkowzroczność. Przecież wiedziałam o ich spotkaniach, że knują ze sobą. Za sprawą Nicassii sądziłam, że Orlagh szczerze pragnie Cardana jako oblubieńca dla córki królestwa Toni. Nie przyszło mi na myśl, że Orlagh podejmie tak radykalne działania, zanim jeszcze usłyszy odpowiedź. Nie sądziłam też ani przez chwilę, że gdy mówiła o królewskiej krwi, chodziło jej o Balekina.

Balekin. Trudno by było włożyć koronę elfów na jego głowę bez udziału Dęba. Gdyby jednak Cardan abdykował, oznaczałoby to bezkrólewie, chaos, zapewne następną koronację i następną szansę dla Balekina, by objąć rządy.

Myślę o Dębie, który na to wszystko zupełnie jeszcze nie jest gotowy. Myślę o Cardanie, którego tym bardziej teraz trzeba przekonać, by powtórnie oddał się pod moje rozkazy.

Wciąż jeszcze przeklinam, kiedy słyszę potężne uderzenie fali o skały. Tak silne, że wstrząsa całą wieżą. Znowu słyszę Ducha wołającego moje imię; jest bliżej, niż się spodziewałam.

Odwracam się, widzę go po drugiej stronie pomieszczenia. Razem z nim jest trzech mieszkańców Toni, którzy spoglądają na mnie wyblakłymi oczami. Trwa chwilę, nim pojmuję, że Duch nie został pojmany i nikt mu nie grozi. Zanim pojmuję, że to zdrada.

Krew uderza mi do głowy. Chciałabym czuć gniew, ale zamiast tego tylko huczy mi w głowie i to zagłusza wszystko inne.

Fala znów tłucze o brzeg i o ścianę wieży. Myślę, że to dobrze, Brzask już jest gotów w mojej dłoni.

– Dlaczego? – pytam, a w myślach pobrzmiewają niczym przypływ słowa Nicassii. *Ktoś, komu ufasz, już cię zdradził.*

– Służyłem księciu Dainowi – odpowiada Duch. – Nie tobie.

Chcę coś powiedzieć, słyszę za sobą szelest, a potem już jest tylko ból i nic więcej.

KSIĘGA DRUGA

Ukradli małą Bridget
Na siedem długich lat;
A kiedy powróciła,
Już inny był ten świat.
Znów ją do siebie wzięli
Pomiędzy noc i dzień;
że twardo śpi, myśleli,
Lecz to był śmierci sen.
Leży na dnie jeziora,
Z trzcin rzecznych jej posłanie;
Może nadejdzie pora,
Że kiedyś z martwych wstanie.

William Allingham,
Elfowie

ROZDIAŁ

22

Odzyskuję przytomność na dnie morza.

Z początku ogarnia mnie przerażenie. Mam wodę w płucach, coś strasznie uciska moją klatkę piersiową. Otwieram usta do krzyku i wydobywa się z nich dźwięk, lecz zupełnie inny, niż oczekiwałam. Zdumiewa mnie to do tego stopnia, że milknę; jednocześnie zdaję sobie sprawę, że nie tonę.

Żyję. Oddycham wodą. Ciężko, z trudem, ale oddycham.

Leżę na koralowym łożu wysłanym morszczynek, którego podługowate liście poruszają się z prądem. Znajduję się wewnątrz budynku, którego ściany też chyba są z koralu. Przez okna śmigają rybki.

Nicassia unosi się u stóp mojego łoża, a zamiast nóg ma długi ogon. Jakbym widziała ją po raz pierwszy; przebywa w swoim żywiole, błękitnozielone włosy wiją się wokół niej, a jej blade oczy połyskują metalicznym blaskiem. Na łodzi była piękna, tu zaś wygląda, jakby sama była żywiołem, wręcz przerażająca w swojej pierwotnej urodzie.

– To za Cardana – mówi, zaciskając pięść, i uderza mnie w brzuch.

Wydawałoby się, że to niemożliwe, by uderzyć tak mocno pod wodą, ale to jej świat i najwyraźniej dla niej to nic trudnego.

Jęczę z bólu. Próbuję dotknąć dłonią tam, gdzie dosięgnął mnie jej cios, lecz moje nadgarstki krępują ciężkie kajdany, a łańcuchy tak daleko nie sięgają. Odwracam głowę, żeby spojrzeć na głazy kotwiczące mnie do podłogi. Ogarnia mnie nowa fala przerażenia i uczucie odrealnienia.

– Nie wiem, jaką sztuczką się posłużyłaś, żeby go usidlić, ale w końcu się dowiem – mówi.

Niepokoi mnie, że jest całkiem blisko prawdy, podejrzewając, że chodzi o jakąś „sztuczkę”, z drugiej jednak strony pocieszające, że nie wie wszystkiego.

Na tym próbuję się skupić, być tu i teraz, oraz na tym, co mogę zrobić. Muszę mieć jakiś plan. To trudne, kiedy jestem tak wściekła, tak strasznie wściekła. Na Duchą, który mnie zdradził, na Nicassię i na samą siebie. Na siebie, zawsze na siebie bardziej niż na kogokolwiek innego. Ogarnia mnie furia, bo dopuściłam, by przydarzyło mi się coś takiego.

– A co z Duchem? – mówię z trudem. – Gdzie on jest?

Nicassia patrzy na mnie spod przymrużonych powiek.

– Co?

– To ten, co pomógł mnie porwać. Zapłaciliście mu? – pytam, starając się zachować spokój. Przede wszystkim chciałabym wiedzieć to, o co zapytać nie mogę: czy Nicassia wie, jakie plany ma Duch wobec Dworu Cieni. Jednak by się tego dowiedzieć i by go powstrzymać, muszę wpierw uciec.

Nicassia kładzie dłoń na moim policzku, przygląda mi włosy.

– Martw się o siebie.

Może ona sprowadziła mnie tu po prostu przez zazdrość? W takim razie może uda mi się jakoś wydostać.

– Myślisz, że to jakaś sztuczka, bo bardziej podobam się Cardanowi niż ty – mówię. – Jednak to ty postrzeliłaś go z kuszy. Oczywiście, że woli mnie.

Zaskoczona blednie, otwiera usta, potem jej twarz ściąga złość. Dociera do niej to, co chcę powiedzieć – że on już o tym ode mnie usłyszał. Może to nie jest najlepszy pomysł, żeby doprowadzać ją do szału, zwłaszcza kiedy jestem bezbronna i bezsilna, liczę jednak, że w ten sposób ją podpuszczę i dowiem się, dlaczego tu jestem.

No i jak długo muszę tu pozostać. I tak minęło już sporo czasu, gdy leżałam nieprzytomna. Czas ten Madok mógł wykorzystać, by kraj przybliżyć do wojny – zwłaszcza że wie już, jak wygląda mój wpływ na Cardana. W tym czasie nikt też nie powstrzymywał Cardana przed czymkolwiek, co mogłoby mu strzelić do głowy, ani Lokiego przed wykpiwaniem każdego, kogo wyśmiać zechce, i przed tworzeniem swoich niestworzonych historii. W tym czasie Wieczna Rada mogła też bezkarnie przeć do kapitulacji wobec Toni. Ja zaś nie mogę uczynić nic, by temu wszystkiemu przeciwdziałać.

Ile jeszcze spędzę tu czasu? Ile czasu trzeba, żeby wniwecz obrócić dokonania pięciu miesięcy? Przypomina mi się Val Moren, który zonglując, cisnął nagle wszystko w powietrze i pozwolił, by runęło na podłogę. Jego człowiecza, choć nieludzka twarz i pozbawione sympatii oczy.

Nicassia tymczasem odzyskuje panowanie nad sobą, nadal jednak gniewnie macha ogonem.

– Żebyś wiedziała, śmiertelna istoto, że teraz jesteś całkowicie w naszej mocy. Cardan pożałuje, że kiedykolwiek ci zaufał.

Chodzi jej o to, żebym jeszcze bardziej się bała, ja zaś odczuwam ulgę, choć niewielką. Oni nie przypuszczają nawet, że mam jakąś szczególną władzę. Wydaje im się za to, że jestem wyjątkowo nieodporna, jak każda inna ludzka istota, i że mogą dzięki temu zrobić ze mną, co zechcą.

Tymczasem jednak ulga jest ostatnią rzeczą, jaką powinnam okazywać.

– Jasne, to ciebie Cardan powinien obdarzyć pełnią zaufania. Któż inny tak na nie zasługuje jak ty? Przecież to, co w tej chwili robisz, w najmniejszym stopniu nie jest zdradą

wobec niego.

Nicassia sięga do taśmy przewieszanej przez pierś i wydobywa ostrze – ząb rekina. Wpatruje się we mnie.

– Mogłabym cię zranić, a ty nawet byś o tym nie pamiętała.

– Ale ty byś pamiętała.

– Kto wie, czy nie byłoby to jedno z najpiękniejszych wspomnień mojego życia – odpowiada z błogim uśmiechem.

Serce łomocze mi jak szalone, ale nie zamierzam okazać strachu.

– Pokazać ci, gdzie dziabnąć? – pytam. – To nie takie proste, trzeba się na tym znać, żeby wiedzieć, jak sprawić ból, a nie spowodować trwałego uszkodzenia.

– Czy ty jesteś za głupia, żeby się bać?

– Bardzo się boję – odpowiadam. – Tylko że nie ciebie. Ktokolwiek mnie tu sprowadził, a więc pewnie twoja matka, potrzebuje mnie do czegoś. I może Balekin. Ich rzeczywiście się obawiam, ale ciebie nie. Umiesz się tylko pastwić, ale nikt, kto się liczy, nie traktuje cię poważnie.

Nicassia wypowiada jakieś słowo, duszący ból miazdzy moje płuca. Nie mogę oddychać. Otwieram usta, lecz przez to cierpię jeszcze okrutniej.

Niech to się skończy jak najprędzej – to moja ostatnia myśl. Ale nie ma tak dobrze.



Kiedy znów się budzę, jestem sama.

Leżę w tym samym miejscu, otacza mnie woda. Znów mogę oddychać. Dostrzegam łożę, unoszę się nad nim.

Boli mnie głowa, odczuwam też ból żołądka – połączenie doskwierającego głodu oraz obolałości po uderzeniu. Woda jest zimna, chłód przenika mnie na wskroś, spowalnia krążenie. Nie wiem, jak długo byłam nieprzytomna ani jak dawno temu zostałam pojmana. W miarę upływu czasu, podczas gdy ryby skubią moje stopy, włosy oraz szwy na nodze, gniew się rozmywa, ustępując miejsca rozpaczy. Rozpaczy i żalowi.

Żałuję, że przed odjazdem nie ucałowałam Taryn w policzek. Żałuję, że nie zdołałam przekonać Vivi, że skoro kocha śmiertelniczkę, to trochę bardziej musi o nią dbać. Żałuję, że nie wyjaśniłam Madokowi moich intencji. Przecież tak samo jak on pragnę, by Dąb objął tron.

Żałuję, że nie planowałam więcej i skuteczniej. Żałuję, że nie pozostawiłam instrukcji dotyczących przeróżnych spraw. Żałuję, że kiedykolwiek ufałam Duchowi.

Mam nadzieję, że Cardanowi choć trochę mnie brakuje.

Nie jestem pewna, jak długo tak się unoszę, ile razy ogarnia mnie panika powodująca, że zaczynam się szarpać w łańcuchach, ile razy brzemień wody mnie przygniata i dławi. Do pokoju wpływa wodnik. Porusza się z niesłychaną gracją. We włosach ma pasma w różnych odcieniach zieleni, takie same pasma na całym ciele. Jego wielkie oczy połyskują w obojętnym świetle.

Porusza rękami i wydaje jakieś dźwięki, których nie rozumiem. Domyśla się i przemawia znowu, tym razem używając znanych mi słów.

– Mam cię przygotować, będziesz uczestniczyć w wieczerzy u królowej Orlagh. Jeśli spróbujesz się opierać, bez trudu pozbawię cię przytomności. Sądziłem zresztą, że zastanę cię jeszcze bez czucia.

– Zrozumiałam. – Przytakuję skinieniem głowy. – Nie będzie ze mną żadnych problemów.

Pojawiają się inne wodne stwory. Niektóre mają zielone ogony, inne żółte lub czarne. Pływają sobie wokół mnie, gapią się wielkimi błyszczącymi oczami.

Jeden uwalnia mnie z łańcuchów, drugi stawia do pionu. W wodzie prawie nic nie ważę. Moje ciało tam się przemieszcza, dokąd je popchną.

Kiedy zaczynają mnie rozbierać, znów panikuję, choć to tylko zwierzęcy odruch. Szarpie się, ale trzymają mnie mocno, a potem wciągają przez głowę prześwitującą suknię. Jest krótka i cienka, trudno ją nazwać ubraniem. Strój unosi się wokół mnie i jestem pewna, że niemal bez przeszkód widać całe moje ciało. Staram się nie patrzeć w dół, żeby się nie zaczerwienić.

Potem owijają mnie sznurami pereł, zczesują włosy do tyłu, nakładają na nie koronę z muszli i morszczykową siatkę. Ranę na nodze opatrują zielonym bandażem z wodorostów. Wreszcie jestem gotowa. Prowadzą mnie przez korytarze koralowego pałacu, pośród nikłego blasku rozsiewanego przez fosforyzujące meduzy.

Docieramy do sali bankietowej bez sufitu; kiedy patrzę w górę, widzę ławice ryb, a nawet rekina, powyżej zaś połyskującą światłość, zapewne tę nad powierzchnią wody.

Stąd wniosek, że jest dzień.

Królowa Orlagh zasiada u szczytu stołu w ogromnym fotelu przypominającym tron, jej ciało pokrywają muszle i pąkle, wędrują po nich kraby oraz rozgwiazdy, wyrastają koralowe wachlarze i barwne ukwiały poruszające się wraz z prądem wody.

Ona sama jest wprost niemożliwie majestatyczną postacią. Czarne oczy władczyni Toni przyglądają mi się badawczo; kurczę się pod jej spojrzeniem, bo wiem, że sprawuje swe rządy od zamierzchłych czasów, od niezliczonych ludzkich pokoleń.

Obok niej zasiada Nicassia; zajmuje niemal równie imponujące siedzisko. U przeciwległego końca stołu siedzi Balekin, któremu przydzielono zdecydowanie mniej reprezentacyjny fotel.

– Jude Duarte – odzywa się książę. – Teraz już wiesz, jakie to uczucie, kiedy jest się więźniem. Wiesz, jak to jest gnić w celi. Myśleć, że za życia się jej nie opuści.

– Nie, nie wiem – odpowiadam. – Raczej myślę, że kiedyś zostanę uwolniona.

Na to królowa Orlagh odchyła głowę i wybucha śmiechem.

– Zapewne, zapewne. Poniekąd. Podejź no do mnie. – Słyszę w jej głosie urok i pamiętam, jak Nicassia mówiła, że nie będę pamiętać, co ze mną zrobi. Cóż, powinnam się cieszyć, że nie zrobiła czegoś gorszego.

Przez zwiewny materiał przejrzystej tuniki widać, że nie noszę żadnych amuletów ochronnych. Nie wiedzą jednak, że Dain nałożył na mnie géis. Są przekonani, że jestem bezbronna wobec ich magii.

Będę udawać. Jestem w stanie udawać.

Podpływam, zmuszając się jednocześnie do tępego, bezmyślnego uśmiechu. Ona patrzy mi głęboko w oczy i potwornie trudno jest nie odwrócić wzroku, a przy tym zachować wyraz twarzy ufny i szczery.

– Jesteśmy twoimi przyjaciółmi – oznajmia Orlagh, muskając mój policzek długimi paznokciami. – Darzysz nas wielką miłością, lecz nigdy nie wolno ci o tym powiedzieć nikomu poza tą komnatą. Jesteś wobec nas lojalna i uczynisz dla nas absolutnie wszystko. Prawda, Jude Duarte?

– Tak – odpowiadam ochoczo.

– A co dla mnie zrobisz, moja płoteczko? – dopytuje władczyni.

– Cokolwiek moja królowa rozkaże – odpowiadam.

Orlagh spogląda na Balekina.

– Widzisz? Tak to się robi.

Balekin ma ponurą minę. Ma o sobie wielkie mniemanie i wcale nie podoba mu się miejsce, w którym się znalazł. Jest najstarszym synem Eldreda i nie może zapomnieć, że zamordowany przez niego ojciec nigdy nie brał go pod uwagę jako spadkobiercy tronu. Jestem pewna, że wewnątrz zżyma się na to, jak Orlagh go traktuje. Gdyby nie potrzebował tego sojuszu i gdyby nie przebywał w jej królestwie, z pewnością by na to nie pozwolił.

Być może zdołam to jakoś wykorzystać.

Wkrótce pojawiają się dania przyniesione w pełnych powietrza szklanych kloszach, dzięki czemu pozostają suche, dopóki biesiadnicy nie sięgną, aby je zjeść: surowa ryba krojona w wyszukane rozety, w geometryczne figury, ostrygi podsmażane z morszczykiem, ikra lśniująca czerwienią i czernią.

Nie wiem, czy wolno mi jeść bez wyraźnego pozwolenia, ale jestem piekielnie głodna i gotowa zaryzykować reprimendę.

Surowa ryba ma delikatny smak dzięki domieszce jakiejś pieprznej zieleniny. Nie przypuszczałam, że tak będzie mi smakować. Pospiesznie pochłaniam trzy różowe kawałki tuńczyka

Głowa wciąż mnie boli, ale lepiej już mi w żołądku.

Jedząc, zastanawiam się, co powinnam dalej robić. Muszę słuchać uważnie i pod każdym

względem zachowywać się, jakbym bezgranicznie im ufała i była wobec nich lojalna. Aby móc jednak tego dokonać, muszę w to choć odrobinę uwierzyć, inaczej nie będę przekonująca.

Spoglądam na Orlagh i wyobrażam sobie, że zamiast Madoka to ona mnie wychowała, że Nicassia jest moją niby-siostrą, czasem podłą, ale przecież ogromnie ją podziwiam. Jeśli chodzi o Balekina, to wyobrażnia mnie zawodzi, próbuję jednak myśleć o nim jak o nowym członku rodziny, kimś, komu zaufam, skoro wszyscy inni mu zaufali. Uśmiecham się do nich wszystkich dobrotliwie, uśmiechem, który prawie nie wydaje mi się fałszywy.

– Opowiedz mi o sobie, płoteczko.

Uśmiech o mało nie schodzi z mojej twarzy, lecz koncentruję się na pełnym żołądku, na tym, jak tu dziwnie i pięknie.

– Niewiele jest do opowiadania, o pani. Jestem śmiertelną dziewczyną wychowaną w Krainie Elfów. To jedno, co jest ciekawe w mojej historii.

Nicassia marszczy brwi.

– Czy całowałaś się z Cardanem?

– A jakie to ma znaczenie? – wtrąca się Balekin. Zajada się ostrygami, otwiera jedną po drugiej za pomocą małego widelca.

Orlagh nie odpowiada, tylko ruchem głowy daje znak Nicassii. To mi się podoba, bo w ten sposób okazuje, że jej córka jest ważniejsza od Balekina. Dobrze choćby dlatego, że znajduję coś, co może mi się w niej podobać, mam na czym się skupić, aby utrzymać pogodny ton głosu.

– To ważne, jeżeli z tego powodu Cardan nie zgodził się na sojusz z naszym królestwem – wyjaśnia Nicassia.

– Nie wiem, czy wolno mi odpowiedzieć – mówię, starając się okazać szczere zmieszanie.
– Ale tak.

Nicassia zmienia się na twarzy. Teraz, skoro jestem pod działaniem rzekomego czaru, nie zadaje już sobie trudu, żeby udawać.

– Raz czy więcej? Czy on cię kocha?

Jeszcze przed chwilą nie zdawałam sobie sprawy, jakie wywarła na niej wrażenie informacja, że go pocałowałam.

– Więcej niż raz, ale nie, on mnie nie kocha. Nic podobnego.

Nicassia spogląda na matkę i kiwa głową na znak, że otrzymała odpowiedź, którą chciała usłyszeć.

– Twój ojciec musi bardzo się na ciebie gniewać, bo pokrzyżowałaś wszystkie jego plany – podejmuje Orlagh, zmieniając temat rozmowy.

– Tak, bardzo się gniewa – odpowiadam. Krótko i słodko. Dopóki nie muszę kłamać, nie kłamię.

– Dlaczego generał nie wyjawiał Balekinowi pochodzenia Dęba? – pada kolejne pytanie

królowej. – Czy to nie byłoby łatwiejsze, niż przetrząsać pałac i kraj w poszukiwaniu księcia Cardana?

– On mi się nie zwierza ze swoich poczynań – mówię. – Ani wtedy, ani tym bardziej teraz. Wiem tyle tylko, że miał jakieś powody.

– Bez wątpienia zamierzał mnie zdradzić – odpowiada Balekin.

– Gdyby Dąb został Najwyższym Królem, wtedy na Elfhame rządziłby w rzeczywistości Madok – oznajmiam, bo nie jest to przecież żadną tajemnicą.

– A ty tego nie chciałaś. – Wchodzi służący z jedwabną chusteczką pełną rybek. Orlagh przebija jedną z nich ostrym paznokciem, cienka wstążeczka krwi wije się w moją stronę przez wodę. – Ciekawe.

Ponieważ to nie jest pytanie, nie muszę odpowiadać.

Inni służący zaczynają sprzątać nakrycia.

– Zaprowadzisz nas do drzwi Dęba? – pyta Balekin. – Zabrałabyś nas do śmiertelnego świata i odebrała go siostrze, przywiozłabyś go do nas?

– Oczywiście.

Balekin zerka na Orlagh. Jeśli zdołają porwać Dęba, mogą go wychować pod powierzchnią wody, ożenić potem z Nicassią i wyhodować w ten sposób swoją własną linię Kolcowojów, lojalną wobec Toni. Wtedy jednak pojawiłaby się inna opcja, co nie może odpowiadać Balekinowi.

Gra zakrojona na wiele lat, ale pośród nieśmiertelnych takie gry mają sens.

– A ten twój stwór, ten Grimsen – zwraca się Orlagh do córki. – Naprawdę sądzisz, że mógłby sporządzić nową koronę?

Moje serce przestaje bić na krótką chwilę. Dobrze, że akurat w tym momencie nikt na mnie nie patrzy, bo chyba nie potrafiłabym ukryć zgrozy.

– Wykuł przecież Koronę Krwi – mówi Balekin. – Skoro sporządził jedną, może też wykonać drugą.

Jeśli im niepotrzebna Korona Krwi, to nie potrzebują też Dęba, nie muszą go odchować, nie potrzebują go, żeby włożył koronę na skronie Balekina, w ogóle nie potrzebują go żywego.

Orlagh spogląda na Balekina, ale czeka na odpowiedź Nicassii.

– On jest kowalem – mówi Nicassia. – Nie może pracować pod wodą, więc zawsze przedkładać będzie nad nią ład. Jednak od śmierci króla Olszyn nade wszystko pożąda chwały, dlatego pragnie mieć takiego króla, który mu ją zagwarantuje.

A więc na tym polega ich plan – mówię do siebie w duchu, próbując stłumić ogarniającą mnie panikę. A więc wiem, co planują. Jeśli zdołam uciec, zdołam położyć kres tym knowaniom.

Nóż w plecach Grimsena, zanim zdąży ukończyć nową koronę. Czasem zdarza mi się wątpić, czy nadaję się na seneszała, jednak nie wątpię w swoje kwalifikacje zabójcy.

– Płoteczko moja – uwaga Orlagh znów kieruje się na mnie – powiedz mi, co Cardan ci obiecał w zamian za twoją pomoc?

– Przecież ona... – zaczyna Nicassia, lecz spojrzenie Orlagh ją ucisza.

– Córko moja – powiada królowa mórz – nie dostrzegasz tego, co masz pod samym nosem. Cardan dostał tron od tej dziewczyny. Przestań zachodzić w głowę, jak ona go usidliła, a za to zastanów się, co on może dla niej zrobić.

Nicassia spogląda na mnie z nadąsaną miną.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Sama mówiłaś, że Cardan mało o nią dba, a mimo to uczyniła go przecież Najwyższym Królem. Zapewne nie przyszło ci do głowy, że może uznał ją za użyteczną, dlatego postanowił ją wykorzystać, zwodząc słodkimi słówkami i pocałunkami, tak mniej więcej, jak ty tego karła kowala.

Na twarzy Nicassii maluje się niebotyczne zdumienie, tak jakby cały jej świat został wywrócony do góry nogami. Pewnie istotnie nie przyszło jej do głowy, że również Cardan może snuć swoje intrygi. Z drugiej strony, taka wizja całkiem jej odpowiada. Jeśli Cardan uwodził mnie tylko po to, by mnie zwieść, wówczas nie musi się już niepokoić jego zainteresowaniem nędzną śmiertelną istotą. Teraz musi tylko dociec, jaki jest ze mnie pożytek.

– Co on ci obiecał w zamian za koronę elfów? – pyta mnie Orlagh dobrotliwym tonem.

– Zawsze pragnęłam pozyskać dla siebie pozycję w Elizjum. Powiedział, że uczyni mnie swoim seneszalem i stanę się jego prawą ręką, tak jak Val Moren na dworze króla Eldreda. I dopilnuje, żebym była szanowana i nawet żeby się mnie bali.

To wszystko oczywiście kłamstwa, nigdy niczego mi nie obiecywał, a Dain obiecał mi znacznie mniej. Gdyby jednak ktoś taką propozycję mi złożył, choćby Madok, naprawdę trudno by mi było ją odrzucić.

– Chcesz powiedzieć, że zdradziłaś swojego ojca i posadziłaś głupca na tronie w zamian za stanowisko? Za pracę? – dopytuje z niedowierzaniem Balekin.

– Przecież stanowisko Najwyższego Króla na Elfhame to też praca – odpowiadam. – A jak wiele dla niej poświęcono.

Milknę; zastanawiam się, czy nie nazbyt śmiało sobie poczynam jak na osobę omamioną czarem, ale Orlagh tylko wyrozumiale się uśmiecha.

– Prawda to, moja droga – mówi po chwili – i prawdą jest, że podobną wiarę pokładamy w Grimsenie, chociaż oferujemy mu niewiele różniącą się od tego nagrodę.

Balekin sprawia wrażenie, że ta odpowiedź go nie satysfakcjonuje, nie wdaje się jednak w dyskusję. Znacznie łatwiej mu się pogodzić z klęską poniesioną za sprawą swojego brata niż śmiertelnej dziewczyny.

Udaje mi się zjeść jeszcze kilka kawałków ryby i za pomocą sprytnie obmyślonej słomki wypić sporo dziwnej herbaty z wodorostów i prażonego ryżu, nim zostaję odprowadzona do

nowego więzienia, tym razem morskiej jaskini. Eskortującym mnie wodnikom towarzyszy Nicassia.

Tutaj nie ma sypialni, jest tylko klatka, kiedy jednak mnie do niej wpychają, orientuję się, że wokół jest sucho i otacza mnie powietrze, ale niespodziewanie nie potrafię nim oddychać.

Duszę się, dostaję drgawek, z moich płuc wydostaje się woda, a razem z nią kilka kawałków częściowo strawionej ryby.

Nicassia śmieje się do rozpuku.

Potem zaś głosem ciężkim od czaru mówi:

– Czyż to nie piękna komnata?

Widzę tylko kamienną podłogę, żadnych mebli, w ogóle niczego.

Głos Nicassii jest senny, rozmarzony.

– Popatrz na to łóżko z baldachimem i miękkie pierzyny, eleganckie stoliki i twój własny dzbanek z herbatą. Jest jeszcze gorąca, a gdy tylko jej skosztujesz, będzie ci ciepło i rozkosznie.

Stawia na podłodze szklanę pełną morskiej wody, domyślam się, że mam się nią delektować. Jeśli napiję się zgodnie z jej sugestią, wkrótce moje ciało się odwodni. My, ludzie, możemy bez wody przeżyć kilka dni, ale ponieważ już od dłuższego czasu oddychałam słoną wodą, być może już grozi mi niebezpieczeństwo.

– Wiesz co – mówi Nicassia, podczas gdy ja udaję, że podziwiam wspaniałą komnatę, rozglądając się wokół z głupią miną. – Nic, co mogłabym ci zrobić, nie będzie tak straszne jak to, co zrobisz sobie sama.

Spoglądam na nią z udawanym zdumieniem.

– Nieważne – mówi, po czym zostawia mnie na twardej posadzce, bym się wierciła i przewracała z boku na bok, udając, że uważam to za szczyty komfortu.

ROZDIAŁ

23

Budzę się odrętwiała, z zawrotami głowy, zimny pot pokrywa moje czoło, kończyny drżą.

Przez prawie rok zatrzymywałam swoje ciało, moja krew przywykła do codziennych, coraz wyższych dawek, znacznie wyższych teraz niż na początku, uzależniła się od nich i trudno mi jest wytrzymać bez trucizny.

Leżę na kamiennej posadzce i próbuję pozbierać myśli. Próbuję sobie przypomnieć, ile kampanii odbył Madok i powtarzać sobie, że cierpiał wtedy niewygody, czasem spał na ziemi, mając pod głową tylko kłęb zielska lub własne ramię. Bywał też ranny, a przecież walczył i nie umarł.

Też nie zamierzam umierać.

Powtarzam to sobie, ale nie jestem pewna, czy w to wierzę.

Przez długie dni nikt nie przychodzi.

Daję za wygraną i wypijam morską wodę.

Czasami myślę o Cardanie. Leżę i zastanawiam się, jakie miał życie jako potomek królewskiego rodu – miał władzę, ale nikt nie darzył go miłością. Królewicz wykarmiony kocim mlekiem, zanedbywany, bity, gdy taka była zachcianka starszego brata – tego, do którego najbardziej był podobny i który, kto wie, może nie był tak zupełnie wobec niego obojętny.

Wyobrażam sobie tych dworzan, którzy kłaniają się, pokornie znoszą obelgi i policzki. Jednak choćby nie wiem jak ich upokorzyć lub zranić, zawsze ma się świadomość, że ktoś kiedyś uważał ich za godnych miłości, podczas gdy samemu nigdy się jej nie doznało.

Chociaż wyrosłam pośród Małego Ludku, nie zawsze rozumiem, jak oni myślą i co czują. Są bardziej podobni do śmiertelników, niż im się zdaje, a zarazem, kiedy tylko pozwalam sobie zapomnieć, że nie są ludźmi, zawsze robią coś, żeby mi o tym przypomnieć. Choćby z tego powodu głupotą byłoby myśleć, że wiem cokolwiek o sercu Cardana, zawsze jednak mogę o tym rozmyślać.

Nie wiem, co by się stało, gdybym wtedy przyznała, że nie rozładowałam wcale napięcia i nie wyrzuciłam go ze swoich myśli.



W końcu jednak ktoś do mnie przychodzi, dostaję odrobinę wody i coś do zjedzenia. Jestem już zbyt wyczerpana, by udawać, że pozostaję pod działaniem uroku.

Opowiadam ze szczegółami wszystko, co pamiętam z sali strategicznej Madoka i zdaję sprawę z jego poglądów na intencje Orlagh. Relacjonuję drastyczne szczegóły zamordowania moich rodziców, opowiadam przebieg jakichś swoich urodzin, przysięgam wierność. Tłumaczę, w jaki sposób straciłam palec i co kłamałam na ten temat.

Nawet kłamię, kiedy mi każą.

Potem muszę udawać, że zapominam, co każą mi zapomnieć. Muszę udawać, że czuję się syta, kiedy mi wmawiają, że się najadłam i że uderza mi do głowy woda, którą każą mi pić, mówiąc, że to wino.

Muszę cierpliwie znosić wymierzane mi policzki.

Nie wolno mi płakać.

Czasem, leżąc na zimnej kamiennej podłodze, zastanawiam się, kiedy osiągną granicę, jeśli takowa istnieje; czy zrobią w końcu coś, co spowoduje, że oddam cios za cios, nawet gdyby miało to oznaczać moją zgubę.

Jeśli jest taka granica, to byłaby granica głupoty.

Lecz jeśli jej nie ma, to znaczy, że jestem potworem.

– Śmiertelna istota – przemawia do mnie Balekin pewnego popołudnia, kiedy jesteśmy sami. Nie lubi posługiwać się moim imieniem, może dlatego, że nie chce mu się go zapamiętywać, uważa mnie za coś w rodzaju śmiecia, który wkrótce będzie należało wyrzucić, tak samo jak wszystkie inne śmiertelne dziewczyny, które sprowadzał do Próżnego Dworu.

Jestem potwornie osłabiona z powodu odwodnienia, regularnie zaniedbują dostarczania mi wody i jedzenia. Kiedy się skarżę, kiedy błagam, często zamiast tego rzucają na mnie zaklęcia, a wówczas jeszcze muszę udawać sytą i napojoną. Coraz trudniej mi się skupić na czymkolwiek.

Choć w koralowej komnacie jesteśmy z Balekinem sami, a patrole strażników przepływają tylko co jakiś czas (co machinalnie odnotowuję w pamięci), nawet nie zamierzam próbować walki i ucieczki. Nie mam żadnej broni i brak mi sił. Choćbym zdołała uśmiercić Balekina, zbyt jestem słaba i zbyt kiepsko pływam, by dotrzeć na powierzchnię, zanim mnie schwytają.

Mój plan od dawna ograniczył się do przetrwania, a może nawet tylko do doczekania następnej godziny, następnego dnia bez słońca.

Nie można mnie z czarować, ale to nie znaczy, że nie można mnie złamać.

Nicassia kiedyś oznajmiła, że jej matka posiada wiele pałaców w głębinach mórz, a ten jest tylko jednym z nich. Wznosi się na tej samej skale, z której wyrasta wyspa Insweal, a dla mnie to dodatkowa tortura, bo jestem tak blisko domu, a zarazem w innym świecie.

W tym pałacu jest mnóstwo klatek, niektóre puste, ale więźniami wielu z nich są śmiertelnicy. Ich skóra porasta zielenią i zdaje się, że dawno już powinni być martwi, a mimo to czasem poruszają się tak, jakby tliła się w nich jeszcze iskierka życia. Strażnicy mówią o nich „topielcy” i takiego właśnie losu boję się bardziej niż czegokolwiek. Pamiętam, jak podczas niedoszłej koronacji Daina dostrzegłam pośród przedstawicieli podwodnego świata dziewczynę, którą wcześniej wykradłam z pałacu Balekina i która potem rzuciła się do morza, i z całą pewnością utonęła. Teraz tym bardziej podejrzewam, że się nie pomyliłam.

– Powiedz – pyta mnie dziś Balekin – dlaczego brat skradł mi koronę? Orlagh uważa, że to rozumie, bo rozumie żądzę władzy, ale przecież nie zna Cardana. On nigdy nie przykładał się do pracy, lubił zwodzić, lubił niszczyć i siać zamęt, ale stronił od prawdziwego wysiłku. Nicassia też tego nie może zrozumieć, choć nie chce spierać się z matką. Cardan, którego zna, mógł tobą manipulować, ale nie w tym akurat celu.

To próba – przemyka mi przez myśl. Próba, podczas której muszę kłamać, ale obawiam się, że ta zdolność zaczyna mnie już opuszczać.

– Nie jestem wróżką – odpowiadam, mając w pamięci Vala Morena i to, jak maskował swoją niewiedzę gąszczem zagadek.

– W takim razie spróbuj się domyślić – podpowiada Balekin. – Kiedy pojawiłaś się przed moją kratą w Wieży Zapomnienia, dawałaś do zrozumienia, że żywi wobec mnie urazę, jakoby z powodu złego traktowania. Jednak ty akurat powinnaś zdawać sobie sprawę, jak brakowało mu dyscypliny i że robiłem to dla jego dobra.

Nawiązuje z pewnością do turnieju, podczas którego ja i Cardan walczyliśmy i do tego, jak Cardan mnie dręczył. Już płaczę się we wspomnieniach i kłamstwach. Jestem zbyt wycieńczona, żeby wymyślać kolejne opowieści.

– Kiedy chodziliśmy jeszcze do szkoły, wjechał kiedyś konno na lekcję jednego z najbardziej szanowanych preceptorów. Próbował mnie rzucić na pożarcie utopcom. Zranił kogoś podczas biesiady – odpowiadam. – Nie wydawał się zdyscyplinowany, raczej myślałam, że to ktoś, kto zawsze stawia na swoim.

Balekin się dziwi.

– Starał się zwrócić na siebie uwagę Eldreda – odpowiada po dłuższej chwili. – Na dobre czy na złe. Głównie na złe.

– Może więc chce być Najwyższym Królem ze względu na Eldreda – podpowiadam. – Albo wbrew jego pamięci.

Najwyraźniej daje to Balekinowi do myślenia. Powiedziałam to tylko dlatego, żeby właśnie zbytnio nie rozmyślał o motywach Cardana, ale teraz sama zaczynam się

zastanawiać, czy nie tkwi w tym ziarno prawdy.

– A może gniewał się, bo rozciąłeś Eldreda na dwoje? A może chodziło mu o resztę rodzeństwa? A może bał się, że i jego zabijesz?

Balekin krzywi się, wzdryga.

– Milcz – nakazuje, więc przestaję mówić. Nie mam nic przeciwko milczeniu. Po chwili Balekin znów na mnie spogląda. – Powiedz mi, który z nas bardziej się nadaje na króla, ja czy księżę Cardan?

– Ty, panie – mówię z miejsca, przybierając jednocześnie wyraz uwielbienia. Nawet mu nie wypominam, że Cardan już nie jest księciem.

– A powiedziałaabyś mu to prosto w oczy?

– Powiedziałabym mu, cokolwiek zapragniesz, mój panie – powiadam z całą fałszywą szczerością, do której jeszcze jestem w stanie się zmusić.

– A poszłabyś do jego komnat i uderzała nożem raz po raz, aż pociekłaby jego krew? – Balekin przybliżyła twarz do mojej. Mówi łagodnym głosem, jak do kochanki. Nie potrafię opanować drżenia, mam nadzieję, że Balekin uwierzy, że to wpływ czaru, a nie wstrętu.

– Dla ciebie, panie? – pytam, opuszczam powieki, żeby na niego nie patrzeć. – Dla najjaśniejszej Orlagh? Z rozkoszą.

Śmieje się.

– Ależ z ciebie bestia.

Przytakuję ochoczo, bo z chęcią dałabym się posłać z takim czy jakimkolwiek innym zadaniem, którego przecież bym i tak nie wykonała.

– Tak wiele zawdzięczam Orlagh, ona traktuje mnie jak córkę. Chciałabym jej się odwdziżyć. Choć piękne są moje komnaty w tym pałacu i choć karmią mnie smakołykami, nie jest moim przeznaczeniem bezczynność.

– Pięknie powiedziane. Spójrz na mnie, Jude.

Otwieram oczy i posłusznie patrzę. Jego czarne włosy falują wokół twarzy, a tutaj, pod wodą, ciernie na jego knykciach i ramionach wyglądają jak kolczaste płetwy ryby.

– Pocałuj mnie – mówi.

– Co? – Teraz nie muszę udawać zaskoczenia.

Na pewno jednak to lepsze niż wymierzane mi policzki.

– Sądziłam, panie, że jesteś kochankiem najjaśniejszej Orlagh – mówię. – Albo pięknej Nicassii. Czy nie będą miały mi za złe?

– Ani trochę – mówi, spogląda na mnie uważnie.

Nawet chwila wahania mogłaby wzbudzić podejrzenie, więc przybliżam się, przyciskam usta do jego warg. Woda jest zimna, lecz jego usta jeszcze zimniejsze.

Po dłuższej, w moim mniemaniu wystarczająco długiej chwili odsuwam się. Ociera usta wierzchem dłoni, z wyraźnym obrzydzeniem, ale kiedy na mnie patrzy, w jego oczach dostrzegam pożądanie.

– A teraz pocałuj tak, jakbym był Cardanem.

By dać sobie chwilę do namysłu, patrzę prosto w jego sowie ślepie, przesuвам dłońmi po jego kolczastych ramionach. Jasne, że to próba. On po prostu chce wiedzieć, na ile jest w stanie mnie kontrolować. Mam jednak wrażenie, że chce się też dowiedzieć czegoś innego, czegoś o swoim bracie.

Trochę trzeba się zmusić, ale mają tak samo czarne włosy, tak samo wydatne kości policzkowe. Trzeba tylko trochę kłamać, tym razem dla odmiany oszukując samą siebie.



Następnego dnia otrzymuję cały dzban czyściutkiej rzecznej wody, którą wypijam z rozkoszą. Następnego dnia zaczynają mnie przygotowywać do powrotu na powierzchnię.



Najwyższy Król zawarł układ, by sprowadzić mnie z powrotem.

Pamiętam, że wydałam mu wiele rozkazów, żaden z nich nie dotyczył jednak zapłacenia za mnie okupu. Uwolnił się ode mnie, a teraz z własnej woli znowu oddaje się w moją służbę?

Nie wiem, co to ma znaczyć, może to kwestia polityki, a może naprawdę, z całego dzikiego serca nie znosi przesiadywania na spotkaniach Wiecznej Rady?

Tyle wiem, że słabo mi od wyczekiwania i tym słabiej od obawy, że to tylko znowu jakaś gra, żeby mnie ostatecznie złamać. Jeśli nie wydostanę się na powierzchnię, to już chyba – nie jestem pewna, ale obawiam się tego – nie będę umiała dalej udawać.

Balekin raz jeszcze rzuca na mnie czar; muszę jeszcze raz go zapewnić o swojej lojalności, miłości i niechybnych zabójczych zamiarach wobec Cardana.

Przychodzi do jaskini, po której przechadzam się tam i z powrotem, wsłuchując się w odgłos własnych stóp na kamiennej posadzce. Nigdy nie byłam tak długo sama i nigdy tak długo nie odgrywałam jakiejś roli. Czuję się wypalona, wypłukana, zredukowana do nicości.

– Gdy wrócimy na dwór Elfhame, nie będziemy już tak często się widywać – oznajmia, jakbym miała czego żałować.

Ogarnia mnie taka radość, że nie ufam samej sobie, więc siedzę cicho.

– Będziesz jednak przychodzić do Próżnego Dworu, gdy tylko nadarzy się okazja.

Zdumiewa mnie, że zamierza znów zamieszkać u siebie, że nie obawia się, iż zostanie ponownie zamknięty w Wieży. Domyślam się, że jego uwolnienie to część ceny, jaką

zapłacono za moje uwolnienie, więc tym bardziej jestem zaskoczona, że Cardan na to poszedł.

Kiwam głową.

– Gdybym cię potrzebował, dam ci znak, to będzie kawałek czerwonej materii na twojej drodze. Gdy ją zobaczysz, musisz natychmiast przyjść. Wysł swój umysł, a znajdziesz jakiś wykret.

– Znajdę – odpowiadam; mój własny głos pobrzmiwa zbyt głośno w moich własnych uszach.

– Musisz odzyskać zaufanie Najwyższego Króla, znaleźć się z nim sam na sam, a potem znaleźć sposób, by go zabić. Nie próbuj tego, gdy ktoś inny będzie w pobliżu. Musisz być przebiegła. Nawet gdybyś musiała go spotkać więcej niż raz, bo najważniejsza jest pewność. Może zdołasz też dowiedzieć się więcej o zamiarach swojego ojca. Gdy nie będzie już Cardana, będziemy musieli prędko działać, aby zapewnić sobie wsparcie jego wojsk.

– O tak – mówię. Odczekuję jeden oddech, a potem zadaję jedyne pytanie, które się w tej chwili liczy: – Czy masz już, panie, koronę?

Robi dziwną, krzywą minę.

– Niewiele brakuje.

Nie mówię nic więcej, pozwalam wybrzmieć ciszy.

Odzywa się za to Balekin:

– Grimsen nie dokończy dzieła, nim ty nie spełnisz swojego zadania. Najpierw mój brat musi umrzeć.

Aha.

– Aha – odpowiadam niby bezmyślnie, lecz mój umysł gwałtownie przerabia otrzymane informacje. Gdy Cardan stanął między Balekinem a koroną, książę całkiem chętnie gotów jest poświęcić brata. Próbuję odnaleźć w tym jakiś sens, ale nie mogę się skupić. Moje myśli rozjeżdżają się, odpływają.

Balekin uśmiecha się uśmiechem rekina.

– Coś nie tak?

Już prawie mnie złamali.

– Nie, tylko troszkę mi słabo – wyznaję. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. Pamiętam, że jadłam. Przynajmniej wydaje mi się, że pamiętam.

Spogląda na mnie z niepokojem, po czym przywołuje służbę. Po chwili przynoszą talerz z surową rybą, ostrygami oraz atramentową ikrą. Balekin z obrzydzeniem patrzy, jak się obżeram.

– Będziesz się wystrzegać wszelkich amuletów, rozumiesz? Żadnej jarzębiny, liści dębu ani żołądzi, popiołu ani cierni. Nie będziesz ich nosić. Nawet ich nie tkniesz palcem. Kiedy dostaniesz od kogoś amulet, zaraz go wrzucisz do ognia. Jak najprędzej, kiedy tylko będziesz mogła zrobić to po kryjomu.

– Rozumiem – odpowiadam.

Służący tym razem przyniósł nie wodę, tylko wino. Piję chciwie, nie przejmując się jego dziwnym smakiem ani tym, że uderza mi do głowy.

Balekin wydaje jeszcze więcej rozkazów i nawet próbuję go słuchać, ale kiedy odchodzi, jestem oszołomiona winem, wycieńczona i jest mi niedobrze.

Zwijam się w kłębek na kamiennej podłodze mojego więzienia i przez chwilę, tuż przed zamknięciem oczu, niemal w to wierzę: znajduję się w tej wspaniałej sali, którą dla mnie chcieli wyczarować za pomocą uroków. Twarde kamienie są dla mnie jak edredonowy puch.

ROZDIAŁ

24

Następnego dnia okrutnie boli mnie głowa. Znów mnie stroją, znów układają mi włosy. Wodne stwory nakładają na mnie mój własny ubiór, czyli srebrną suknię, którą miałam na sobie w dniu ślubu Taryn. Teraz suknia jest spłowiała od soli i pognieciona. Nawet przypasują mi Brzask, chociaż pochwa miecza przerdzewiała, a skórzane części sprawiają wrażenie, że coś próbowało się nimi pożywić.

Potem prowadzą mnie do Balekina odzianego na tę okazję w barwy Toni, liberię zdrajcy z herbem królestwa mórz. Dokonuje inspekcji mojej osoby, po czym wpina mi w uszy nowiutkie perły.

Królowa Orlagh urządziła prawdziwą procesję morskich istot. Wodnicy dosiadają monstrualnych węży oraz rekinów, selkie prują fale w swoich foczych wcieleniach. Ci na żółwiach dzierżą drzewca z długimi czerwonymi sztandarami.

Ja też siedzę na żółwiu, razem z syreną, która ma na sobie dwie bandolierzy z nożami. Trzyma mnie mocno, a ja się nie wyrywam, chociaż trudno mi wytrzymać bez ruchu. Strach to coś potwornego, ale połączenie strachu z nadzieją jest jeszcze gorsze. Mój nieszczęsny skołatany umysł miota się właśnie od jednego uczucia do drugiego, serce bije mi tak mocno, oddycham tak prędko, że aż bolą mnie od tego wnętrzności.

Kiedy zaczynamy się wznosić, coraz wyżej i wyżej, zaczyna mnie ogarniać poczucie nierzeczywistości.

Wyłaniamy się w przesmyku dzielącego Insweal od Insmire. Na brzegu wyspy widzę Cardana w płaszczu obszytym futrem; dosiada siwojabłkowitego rumaka, a otaczają go rycerze w złotych i zielonych zbrojach. U jego boku dostrzegam Madoka na rośłym dereszu, po drugiej stronie Nihuar. Na drzewach gęsto jest od łuczników. Kute złoto dębowych liści na koronie Cardana lśni w promieniach zachodzącego słońca, jakby świeciło własnym blaskiem.

Trzęsę się. Zaraz rozpadnę się na kawałki.

Ze swego miejsca w środku pochodu przemawia królowa Orlagh.

– Królu na Elfhame, tak jak uzgodniliśmy, ponieważ zgodziłeś się na żadaną cenę, zwracam twojego seneszała. Towarzyszy mu nowy ambasador Toni, Balekin z rodu Kolcowojów, syn Eldreda, twój brat. Liczymy, że ten wybór cię zadowoli, gdyż zna on

doskonale obyczaje swojego i twojego kraju.

Oblicze Cardana jest nieprzeniknione, jakby wykute z kamienia. Nie patrzy na brata. Spogląda za to na mnie. Wzrokiem zimnym jak lód.

Jestem mała, pokonana, bezsilna.

Spoglądam w dół, bo w przeciwnym razie zrobiłabym coś głupiego. Orlagh powiedziała, że zapłacił za mnie żadaną cenę. Ile jestem warta? Próbuję przypomnieć sobie wydane rozkazy. Czy w jakiś sposób go do tego zmusiłam?

– Obiecałaś, że wróci cała i zdrowa – odzywa się Cardan.

– Przekonasz się, że tak jest – odpowiada Orlagh. – Moja córka Nicassia, księżniczka Toni, własną królewską ręką pomoże jej wyjść na ląd.

– Pomoże? – powtarza Cardan. – A więc mój senezal potrzebuje pomocy. Zbyt długo przetrzymywaliście ją w chłodzie i wilgoci.

– Może więc już jej nie chcesz? – pyta królowa Orlagh. – Może zamiast niej zechcesz wymienić się na coś innego, królu na Elfhame.

– Wezmę ją – odpowiada; brzmi to wzgardliwie wobec niej, a ja czuję się, jakbym była zwykłym przedmiotem. – Mój brat będzie twoim ambasadorem. Wszystko tak, jak uzgodniliśmy.

Skinieniem głowy król daje znak dwóm rycerzom, którzy brną aż do miejsca, gdzie siedzę, by pomóc mi zejść, a potem pomóc iść. Wstyd mi, bo nogi się pode mną uginają, jestem słaba i śmieszna w tej sukni Oriany z dawno minionego przyjęcia, teraz zupełnie nie na miejscu.

– Jeszcze nie ma między nami wojny – powiada Orlagh. – Nie zawarliśmy jednak pokoju. Zastanów się nad swoim następnym ruchem, królu naziemnej krainy, bo już ci jest wiadoma cena sprzeciwu wobec moich żądań.

Rycerze wyprowadzają mnie na stały ląd i przekazują innym elfom. Ani Cardan, ani Madok nie patrzą w moim kierunku, kiedy ich mijam. Pośród drzew ukryty jest powóz, do którego wsadzają mnie zbrojni.

Jeden z rycerzy zdejmuje szyszak. To elfka, już wcześniej ją widziałam, lecz nie znam jej imienia.

– Generał kazał cię zabrać do swojego domu – oznajmia.

– Nie – sprzeciwiam się. – Muszę się udać do pałacu.

Nie zamierza się ze mną spierać i nie zamierza ustąpić.

– Muszę wykonać jego rozkaz.

I chociaż wiem, że powinnam stawić opór, że kiedyś bym tak zrobiła, ustępuję. Nie robię nic, gdy zamyka drzwiczki powozu. Opieram się o poduszki i zamykam oczy.

Gdy się budzę, konie już stoją na dziedzińcu zamku Madoka, wzbijają kurz, niecierpliwie grzebiąc kopytami. Rycerz otwiera drzwiczki. Gnarbon bierze mnie na ręce i niesie bez najmniejszego wysiłku, tak jak ja mogłabym nieść Dęba. Jakbym była z liści i gałązek, a nie

z krwi i kości. Niesie mnie do mojej dawnej sypialni.

Czeka tam na mnie Strzępka. Rozpuszcza moje włosy, zdejmuje ze mnie suknię, odpiąwszy przedtem Brzask, który dokądś odnosi. Inna służąca przynosi tacę z gorącą herbatą i krwistą dziczyzną na grzance. Siadam, żeby się posilić, chlebem z masłem wycieram resztki smakowitego sosu.

Znowu zasypiam. Budzę się, gdy potrząsa mną Taryn.

Mrugam oczami, półprzytomna. Zrywam się, z trudem jednak utrzymuję równowagę.

– Już, już wstaję – zapewniam. – Jak długo spałam?

Taryn kręci głową.

– Strzępka mówi, że całą noc i cały dzień. Obawia się, że cierpisz na jakąś ludzką chorobę, dlatego po mnie posłała. Daj spokój, idź jeszcze do łóżka.

– Jesteś teraz mężatką – mówię, bo nagle wraca wspomnienie ślubu, a także Lokiego i jeźdźców oraz kolczyków, które miała ode mnie dostać. Wszystko to pamiętam jak za mgłą, jakby wydarzyło się lata temu.

Przytakuje, dotyka dłonią mojego czoła.

– Jestem. A ty wyglądasz jak upiór, ale gorączki chyba nie masz.

– Nic mi nie jest – odpowiadam, bo kłamstwo już weszło mi w krew. Muszę skontaktować się z Cardanem i ostrzec go przed Duchem. Muszę porozumieć się z Dworem Cieni.

– Nie popisuj się – mówi Taryn, a w oczach ma łzy. – Znikłaś w dniu mojego ślubu, a ja aż do rana nawet nie wiedziałam, że cię porwali. Strasznie się o ciebie bałam. Kiedy ci z Toni powiadomili, że cię mają, Najwyższy Król i Madok zaczęli się wzajemnie obwiniać. Nie wiedziałam, co będzie dalej. Chodziłam co rano na brzeg i patrzyłam w wodę, bo miałam nadzieję, że cię zobaczę. Wypytywałam syreny, czy nic ci nie jest, ale żadna nie chciała nic powiedzieć.

Próbuję sobie wyobrazić jej przerażenie, ale jakoś nie mogę.

– W końcu chyba doszli do jakiegoś porozumienia – mówię, bo przecież na brzegu stali obok siebie.

– Tak jakby. – Krzywi się, a ja próbuję się uśmiechnąć.

Taryn pomaga mi z powrotem się położyć, układa dla mnie poduszki. Jestem obolała, mam siniaki na całym ciele; czuję się staro i czuję się jeszcze bardziej śmiertelna niż kiedykolwiek przedtem.

– A Vivi i Dąb? – pytam. – Wszystko w porządku?

– W porządku – odpowiada. – Wrócili do siebie razem z Heather, która podobno jakoś się pozbierała po wizycie w Krainie Elfów.

– Nie pozbierała się, tylko Vivi rzuciła na nią czar zapomnienia – przypominam.

Przez twarz Taryn przemyka cień gniewu, co nieczęsto się zdarza.

– Vivi nie powinna tego robić.

Cieszę się, że nie tylko ja jestem tego zdania.

– Jak długo mnie nie było?

– Trochę ponad miesiąc.

Zdumiewające, że tak krótko. Ja mam wrażenie, że pod powierzchnią morza postarzałam się o sto lat.

Mało tego, minęła już ponad połowa obiecanego przez Cardana roku. Opadam na poduszki, zamykam oczy.

– Pomóż mi wstać – proszę.

Potrzęsa głową.

– Raczej poślę do kuchni, żeby ci przynieśli zupę.

Łatwo daję się przekonać.

W ramach ustępstwa Taryn pomaga mi się ubrać w rzeczy, które kiedyś były na mnie za ciasne, a teraz na mnie po prostu wiszą. Zostaje nawet jeszcze trochę, żeby nakarmić mnie rosołem.

Kiedy ma już odejść, podnosi spódnicę i wyciąga z przymocowanej do uda pochwy długi myśliwski nóż. W tej chwili widać, że wychowałyśmy się w tym samym domu.

Kładzie nóż na kołdrze, a obok amulet, który wyciąga z kieszeni.

– Masz – mówi. – Weź to. Będziesz się czuła bezpieczniej. Musisz jednak odpocząć. Obiecuj, że będziesz się oszczędzać.

– Na razie ledwo trzymam się na nogach.

Taryn spogląda na mnie surowo.

– Tak jest. Będę się oszczędzać – obiecuję.

Ścisła mnie przed odejściem. Pozostaję o króciutką chwilkę zbyt długo w jej ramionach, rozkoszując się zapachem potu i skóry. Żadnego oceanu, żadnych sosnowych igieł, żadnej krwi ani nocnego kwiecia.

Usypiam z dłonią na rękojęści jej noża. Nie bardzo wiem, kiedy budzi mnie czyjś podniesiony głos.

– Nie obchodzą mnie żadne rozkazy głównodowodzącego. Muszę się widzieć z seneszalem Najwyższego Króla i nie dam się odprawić!

Kobięcy głos, który wydaje mi się skądś znajomy. Dźwigam się z trudem, chwiejnie wychodzę na korytarz, skąd mogę patrzeć przez balustradę. To Dulcamara z Dworu Termitów. Patrzy w górę, widzi mnie. Na twarzy ma świeże skaleczenie.

– Upraszam o wybaczenie – woła w moją stronę takim tonem, żeby nie było żadnych wątpliwości, że o nic nie zamierza prosić, a już zwłaszcza za nic przepraszać. – Muszę uzyskać posłuchanie. Rzecz w tym, że mam właśnie przypomnieć ci o twoim zobowiązaniu.

Przypomina mi się pan Roiben, jego włosy białe jak sól oraz obietnica, którą mu złożyłam w zamian za poparcie udzielone pół roku temu Cardanowi. Złożył przysięgę Koronie i nowemu Najwyższemu Królowi, jednak pod pewnym określonym warunkiem.

Pewnego dnia poproszę twojego króla o przysługę. Tak powiedział.

Co mu odpowiedziałam? Oczywiście próbowałam się targować – coś o równej wartości. Coś, co będzie w naszej mocy.

Domyślałam się, że przysłał Dulcamarę, by zażądała ode mnie spełnienia obietnicy, chociaż nie wiem, na co mogę jej się przydać, będąc w takim stanie.

– Czy pani Oriana jest teraz w swoim salonie? Ach, jeśli nie, wprowadź tam Dulcamarę, ja zaraz przyjdę. – Mówiąc to, przytrzymuję się balustrady, żeby nie upaść. Strażnicy Madoka są niezadowoleni, ale nie ośmielają się sprzeciwić.

– Tędy proszę – mówi ktoś ze służących. Dulcamara rzuca mi jeszcze nieprzyjazne spojrzenie i idzie do salonu.

Dzięki temu mam chwilę, żeby powoli i ostrożnie zejść po schodach.

– A twój ojciec kazał, żebyś nie wychodziła – powiadamia mnie jeden ze strażników, który przywykł, że jestem dzieckiem, któremu zwraca się uwagę i wydaje polecenia, nie zdążył natomiast przyzwyczaić się, że jestem seneszalem Najwyższego Króla i należałoby może zwracać się do mnie nieco inaczej.

– Rozumiem jednak, że nie wydał polecenia, abym nie odbywała tu żadnych spotkań, tylko dlatego, że nie przyszło mu to do głowy. – Strażnik nie bardzo rozumie, marszczy brwi. – Doskonale. Twoja troska oraz jego zostały wzięte pod uwagę.

Udaje mi się dowlec do salonu Oriany. Czasem tylko przytrzymuję się odrobinę zbyt długo drewnianych parapetów okien czy krawędzi stołu, nic strasznego.

– Proszę nam przynieść herbatę, mocną i gorącą – mówię do służącego, który nieco zbyt uważnie mi się przygląda.

Biorę się w garść, przestaję się trzymać ściany i ruszam ku drzwiom salonu. Wchodzę, witam Dulcamarę skinieniem głowy i bez sił padam na fotel, chociaż ona wciąż stoi z rękami za plecami.

– Teraz widzimy, jak wygląda lojalność twojego Najwyższego Króla – mówi. Zbliżyła się o krok, a jej twarz ma tak wrogi wyraz, że nie mogę się nie zastanawiać, czy przypadkiem nie ma zamiaru przejść od nieprzyjaznych słów do wrogich czynów.

Instykt każe mi wstać, ale nie mam siły.

– Co się stało?

Odpowiada sardonycznym śmiechem.

– Dobrze wiesz. Twój król dał królowej Orlagh zgodę, by nas zaatakowała. Wielu naszych zginęło, nim zorientowaliśmy się, w czym rzecz. A teraz zakazano nam odwetu.

– Jak to, zakazano odwetu?

Królowa Orlagh mówiła, że nie ma jeszcze wojny, ale jak może nie być wojny między lądem a morzem, skoro morze już zaatakowało? Cardan, jako Najwyższy Król, winien jest swoim lennikom pomoc w razie niebezpieczeństwa. Pomoc swojej armii, armii Madoka. Natomiast zakaz obrony i odwetu jest czymś zupełnie niesłychanym.

Dulcamara obnaża zęby.

– Towarzyszka pana Roibena jest ranna – mówi. – Ciężko ranna.

Ta zielonoskóra, czarnooka pixie, która mówiła jak śmiertelnicy. Groźny pan Roiben odnosił się do niej z szacunkiem, żartowali.

– Czy przeżyje? – pytam cicho.

– Miej taką nadzieję, śmiertelna istoto – odpowiada Dulcamara. – W przeciwnym razie pan Roiben użyje całej swojej mocy, by unicestwić twojego chłopięcego króla, i to nie zważając na słowa przysięgi.

– Poślemy wam rycerzy – mówię. – Pozwólcie, by Elfhame naprawiło swój błąd.

Dulcamara spluwa na podłogę.

– Nie rozumiesz. Twój król zrobił to dla ciebie. To był warunek, który postawiła królowa Orlagh. Tylko dlatego odzyskałaś wolność. Balekin wybrał jako cel Dwór Termitów, Toń nas napadła, a twój Cardan jej na to pozwolił. Nie ma tu żadnego błędu.

Ściskam palcami nasadę nosa.

– Nie. To niemożliwe.

– Balekin od dawna pała do nas nienawiścią, zrodzona z brudu istoto.

Nie bez trudu przełykam obelgę. Ale to jej prawo, niech mnie obraża, ile chce. Najwyższy Dwór z mojego powodu zdradził Dwór Termitów.

– Niepotrzebnie dołączyliśmy do Najwyższego Dworu. Źle zrobiliśmy, składając lenną przysięgę twojemu królowi, który jest głupcem. Jestem tutaj, by przekazać ci tę wiadomość. Tę oraz jeszcze jedną. Winna jesteś panu Roibenowi przysługę i lepiej dla ciebie, byś spełniła obietnicę.

Obawiam się, czego może ode mnie chcieć pan Roiben. Nieokreślona przysługa to niebezpieczna obietnica, nawet dla istoty śmiertelnej, której nie można zmusić do jej spełnienia.

– Mamy swoich szpiegów, seneszału. Od nich wiemy, że te drobne rączki potrafią dobrze zabijać. Tego właśnie chcemy, musisz uśmiercić księcia Balekina.

– Tego zrobić nie mogę – mówię, jednocześnie dziwiąc się, że wypowiadam te słowa. Nie obraża mnie to, że zwraca się do mnie jak do morderczyni czy płatnego zabójcy, ale zadanie, które mi wyznacza, jest niewykonalne. – On jest teraz ambasadorem Toni. Jeśli go zabiję, wybuchnie wojna.

– To niech wybuchnie.

Nie mówi więcej ani słowa, zamaszystym krokiem wychodzi, pozostawiając mnie samą w salonie Oriany. Właśnie wtedy, kiedy służba przynosi gorącą herbatę.



Siedzę, rozmyślam, aż herbata całkiem już stygnie. Dźwigam się i wchodzę po schodach, potem docieram do mojej komnaty. Biorę nóż Taryn i ten drugi, który czeka w ukryciu pod moim łóżem. Ostrzem jednego z nich rozcinam kieszeń w sukni, żeby móc przymocować go do nogi i w razie potrzeby szybko wydobyć. Owszem, w zamku Madoka jest mnóstwo oręża, również mój Brzask, ale jeśli teraz zacznę się zbroić i mocować broń jak należy, strażnicy bez wątpienia zwrócą na to uwagę. Ja zaś chcę, żeby pozostali w przekonaniu, że grzecznie poszłam spać do łózczka.

Spoglądam w lustro, by przekonać się, czy przypadkiem kształt noża nie odznacza się zbytuo pod suknią. Wstrząs. Przez chwilę nie poznaję samej siebie. Widok jest przerażający. Moja skóra jest trupio blada, schudłam tak, że wyglądam jak ktoś wyniszczony chorobą. Patykowate ręce i nogi, zapadnięte policzki.

Odwracam się, nie mogę na to patrzeć.

Wychodzę na balkon. W dawnych czasach bez trudu zeszląbym na dół po ścianie, ale gdy przekładam nogę przez balustradę, uświadamiam sobie, że teraz nie mam na to siły. Nie dam rady.

Pozostaje mi tylko jedno wyjście. Skaczę.

ROZDIAŁ

25

Wstaję, na kolanach mam zielone plamy od trawy, pieką mnie dłonie pobrudzone ziemią. Kręci mi się w głowie, poza tym tak przywykłam do wodnej nieważkości, że niepewnie stąpam teraz po ziemi.

Oddycham kilka razy głęboko, sycę się wiatrem owiewającym mi twarz i szumem drzew. Wdycham zapachy ziemi, Krainy Elfów, mojej ojczyzny.

Nie mogę przestać myśleć o tym, co usłyszałam od Dulcamary. Cardan odmówił swoim lennikom prawa odwetu w zamian za mój bezpieczny powrót. Nie spotka się to z uznaniem jego wiernych poddanych. Podejrzewam, że nawet Madok nie uznałby tego za dobre posunięcie. Trudno mi pojąć, dlaczego się na to zgodził. Co więcej, dopóki więziła mnie królowa Toni, pozostawał przecież poza moją kontrolą. Nigdy nie pomyślałabym, że mu na mnie zależy, że chciałby mnie ocalić. Nadal zresztą tak nie przypuszczam. Domyślam się, że powodowało nim coś innego i chcę z jego własnych ust usłyszeć, co to było.

W każdym razie nieważne, jakie przesłanki nim powodowały, muszę koniecznie ostrzec go przed Duchem, zawiadomić o knowaniach Grimsena i Balekina w kwestii nowej korony. Muszę mu też powiedzieć, że Balekin chce go zamordować, a tak zupełnie nawiasem mówiąc, chce się posłużyć mną, żeby tego dokonać.

Idę pieszo, jestem przekonana, że dzięki temu strażnicy o wiele później zorientują się, że już mnie nie ma, przecież niewątpliwie stajenni również zostali poinstruowani, żeby odmówić mi wydania wierzchowca lub powiadomić o moim wyjeździe.

Kłopot w tym, że brak mi sił. Z trudem łapię oddech. W połowie drogi naprawdę muszę się zatrzymać i przysiąść na jakimś pniaku.

Nic ci nie jest – powtarzam sobie. Wstawaj.

Trwa to długo, bardzo długo, ale w końcu docieram na miejsce. Gdy zbliżam się do bramy, prostuję się, próbując nie pokazać po sobie zmęczenia, słabości.

– Seneszalu – odzywa się jeden ze strażników. – Upraszam o wybaczenie, lecz zabroniono ci wstępu do pałacu.

Wydałam przecież wyraźny rozkaz: nie wolno mu odmówić mi posłuchania ani też wydać rozkazu, abym została odprawiona. Przez krótką, lecz budzącą zawrót głowy chwilę wydaje mi się, że może spędziłam w odmętach więcej czasu, że może źle zrozumiałam słowa Taryn.

Może minął już rok i dzień. Nie, nie. To niemożliwe. Patrzą w oczy strażnika.

– Z czyjego rozkazu?

– Błagam o wybaczenie, pani – odzywa się inny rycerz. Ma na imię Diarmad. Znam go, to wojownik, do którego Madok z pewnością ma zaufanie. – Generał, twój ojciec, pani. To on wydał ten rozkaz.

– Muszę się zobaczyć z Najwyższym Królem. – Mówię tonem, który miał być rozkazujący, ale mój głos drży.

– Głównodowodzący kazał wezwać powóz, jeśli się zjawisz, pani. I w razie potrzeby dotrzymać ci towarzystwa. Czy może chcesz, pani, byśmy cię odeskortowali?

Stoję oniemiała i ogłupiała ze złości.

– Nie.

Oczywiście, Cardan nie może odmówić mi posłuchania, ale może przecież pozwolić komuś innemu wydać taki rozkaz. W dodatku Madok wcale nie musiał prosić Cardana o pozwolenie. Może przecież bez trudu wyobrazić sobie, jakie rozkazy mogłam wydać Cardanowi. Przecież on na moim miejscu postąpiłby dokładnie tak samo.

Wiem od zawsze, że Madok chce rządzić królestwem elfów jako szara eminencja stojąca za tronem. Jak dotąd jednak nie przyszło mi do głowy, że zdoła na tyle zbliżyć się z Cardanem, żeby mnie od niego odciąć.

Dałam się ograć. Razem czy osobno, ale mnie ograli.

Czuję skurcz strachu w żołądku.

Poczucie, że ktoś mnie oszukał. Przechytrył. I to poczucie zaczyna mnie prześladować.

Przypomina mi się Cardan siedzący na grzbiecie siwojabłkowego wierzchowca – twarz bez wyrazu, obsyty futrem płaszcz i korona, w której tak podobny był do Eldreda. Podstępem zmusiłam go do objęcia tej roli, ale nie mogłam oszukać ziemi elfów, bo ta przyjęła go jako swojego władcę. Teraz naprawdę stał się królem, a im dłużej zasiada na tronie, tym większa staje się jego moc.

Tak. Staje się, stał się Najwyższym Królem i dokonał tego bez mojego udziału.

Tego właśnie się obawiałam, gdy obmyślałam swój niedołączny plan. Być może z początku Cardan nie pragnął władzy, ale teraz, gdy ją posiadał, władza już do niego należy.

Najgorsze jednak jest to, że Cardan znalazł się poza moim zasięgiem, że po prostu nie mogę do niego dotrzeć. Diarmad i inni rycerze otrzymali wyraźne rozkazy, by nie wpuszczać mnie do pałacu i jest to spełnienie lęków, które dręczyły mnie, odkąd korona uwieńczyła skronie Cardana. I choć to dla mnie koszmar, przecież trudno się dziwić, że te wszystkie złudzenia obróciły się w nicość. Ja miałabym być seneszalem Najwyższego Króla elfów, posiadać prawdziwą władzę, rozgrywać decydujące posunięcia w tej grze?

Zastanawia mnie już teraz tylko jedno, dlaczego nie pozwolił mi skonać tam w głębi morza?

Odchodzę, nie mam czego szukać u bram dworu.

Kieruję się do zagajnika, w którym znajduje się tajne wejście do Dworu Cieni. Mam nadzieję, że nie spotkam Ducha. Nie wiem, co wtedy by się stało. Jeśli jednak zdołam spotkać się z Karakanem i Bombą, może wówczas zaznam nieco wytchnienia. Może czegoś istotnego się dowiem. Może zdołam posłać kogoś, kto poderżnie Grimsenowi gardło, zanim zdradziecki karzeł wykuje nową koronę.

Kiedy jednak docieram na miejsce, okazuje się, że wejście się zawaliło. Chociaż nie przyglądam się dokładnie, to widzę, że nastąpił tu wybuch. Ktokolwiek je zniszczył, spowodował znacznie większe szkody, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

Nie mogę oddychać.

Klękam na sosnowych igłach i próbuję zrozumieć to, co widzę, a wygląda na to, że Dwór Cieni został żywcem pogrzebany. Musiał tego dokonać Duch. Dodatkowa zdrada nad zdradę. Mogę tylko mieć nadzieję, że Karakan, Bomba i inni żyją.

Proszę, oby tylko nic im się nie stało.

Nie mam jak do nich dotrzeć, więc jestem zupełnie bezsilna, bardziej niż kiedykolwiek. W otępieniu kieruję swoje kroki do ogrodu.

Wokół preceptora gromadzi się chmara elfowej dziatwy. Skowrończy chłopiec zbiera kwiaty błękitnych róż z królewskich krzewów, wraz z nim przechadza się Val Moren, pali długą fajkę. Wyleniały kruk siedzi na jego ramieniu.

Włosy nadwornego poety są zmierzwiłone, tu i ówdzie zaplótł w nie jaskrawe szmatki oraz dzwoneczki. W kącikach jego ust widać drobne zmarszczki od śmiechu.

– Czy możesz wprowadzić mnie do pałacu? – pytam.

Mało prawdopodobne, żeby się zgodził, ale już mi nie zależy na zachowaniu pozorów. Mniejsza o urażoną dumę. Jeśli dostanę się do środka, będę mogła się zorientować, jaki los spotkał Dwór Cieni. Będę też mogła dotrzeć do Cardana.

Val Moren unosi brwi.

– Czy wiesz, kim oni są? – pyta, pokazując chłopca, który odwraca się i rzuca nam baczne spojrzenie.

Być może Val Moren nie może mi pomóc. Być może Kraina Elfów to miejsce, w którym szaleniec może być zarazem błaznem i prorokiem, ale jednak raczej jest tylko szaleńcem i niczym więcej.

Skowrończy chłopiec dalej zbiera kwiaty do bukietu, nucąc pod nosem.

– Są elfami?

– Tak, tak – odpowiada niecierpliwie. – To Powietrzny Ludek. Ulotny, pozbawiony formy, nie jest zdolny zachować kształtu. Jak nasiona rzucone w niebo.

Kruk kracze.

Val Moren zaciąga się dymem z fajki.

– Kiedy poznałem Eldreda, dosiadał mlecznobiałego rumaka, a wszelkie moje wyobrażenia o życiu były pyłem i popiołem.

– Czy go kochałeś?

– Jeśli to nie była miłość, to coś bardzo do niej podobnego.

Wspominam Eldreda, jakiego znałam, leciwego, przygniecionego wiekiem. Pamiętam też jednak, jak odmłodził, gdy zdjęto mu ze skroni brzemień korony. Być może całkiem odzyskałby młodość, gdyby go nie rozcięto na pół.

– Proszę – odzywam się. – Pomóż mi dostać się do pałacu. To wystarczy.

– Kiedy Eldred nadjechał na swym mlecznobiałym rumaku – powtarza Val Moren – złożył mi propozycję. *Pójdź ze mną – rzekł – zamieszkaś pod wzgórzem, a ja ciebie karmić będę jabłkami i miodowym winem, i miłością. Nigdy się nie zestarzejesz, a czego zapragniesz się dowiedzieć, będziesz wiedział.*

– Brzmi obiecująco – przyznaję.

– Nigdy nie wchodź z nimi w układy – mówi nagle Val Moren, gwałtownym ruchem chwyta mnie za rękę. – Mądre ani niemądre, ani głupie, ani dziwne, a już szczególnie w takie, które zapowiadają się obiecująco.

Wzdycham.

– Mieszkam tu niemal od urodzenia. Przecież wiem!

Mój głos przestrasza kruka, ptak wzlatuje w powietrze.

– A więc musisz wiedzieć i to, że nie mogę ci pomóc – odpowiada Val Moren, wpatrując się we mnie. – To jedna z tych rzeczy, które porzuciłem. Obiecałem Eldredowi, że gdy już będę do niego należał, wyrzeknę się wszelkich cech człowieczych. Nigdy nie przedłożę człowieka nad elfa.

– Przecież Eldred nie żyje. – Nie daję za wygraną.

– Ale moja obietnica wciąż obowiązuje.

Rozkłada ręce na znak bezsilności.

– Przecież jesteśmy ludźmi – mówię. – Potrafimy kłamać. Jesteśmy w stanie złamać dane słowo.

Obdarza mnie spojrzeniem pełnym politowania, jakbym to ja była w błędzie.

Patrzę, jak odchodzi, i w tym momencie podejmuję decyzję. Jest tylko jedna osoba, która ma istotny powód, żeby mi pomóc. Tylko na jedną osobę z pewnością mogę liczyć.

Gdy tylko będziesz mogła, będziesz przychodzić do Próżnego Dworu. Jakoś tak brzmiało polecenie Balekina. Równie dobrze mogę go odwiedzić teraz.

Zmuszam się, by iść i iść, chociaż droga przez Mleczlas jest kręta, a w dodatku wiedzie zbyt blisko morza, bym mogła czuć się dobrze. Za każdym razem, kiedy spoglądam na wodę, odczuwam mdłości. Nie będzie łatwo mieszkać na wyspie, skoro fale zaczęły budzić we mnie taki niepokój.

Mijam Jezioro Masek. Kiedy spoglądam w tamtą stronę, nad jego brzegiem widzę kilka pixie, które też mi się przyglądają, i to z wyraźnym zatroskaniem. Zanurzam dłonie w wodzie, przemywam nią twarz. Nawet wypijam łyk, chociaż to magiczna woda, więc

może być niebezpieczna. Zarazem jednak świeża woda jest dla mnie zbyt cenna, by jej nie skosztować, kiedy tylko nadarza się sposobność.

Gdy Próżny Dwór pojawia się w zasięgu mojego wzroku, na chwilę się zatrzymuję, żeby nabrać tchu i odwagi.

Ruszam prosto do drzwi. Kołatka to metalowy pierścień w nosie ponurej rzeźbionej twarzy. Gdy wyciągam do niej rękę, twarz otwiera oczy.

– Pamiętam cię – mówią drzwi. – Jesteś ukochaną mojego księcia.

– Mylisz się – odpowiadam.

– Nieczęsto. – Drzwi otwierają się, skrzypią przy tym lekko, co wskazuje, że ostatnio rzadko są używane. – Bądź pozdrowiona i witaj.

Nie ma ani służby, ani strażników. Zapewne Balekinowi trudno namówić przedstawicieli elfowego ludku, by mu służyli, bo wszyscy wiedzą, że on sam jest na usługach Toni. Jednocześnie z powodu wydanych przez Cardana dekretów jego możliwości zwabienia omamionych ludzkich istot też zostały ograniczone. Moje kroki odbijają się echem pośród ciszy. Wchodzę do salonu, gdzie z kielichem wina siedzi Balekin. Przyświeca mu tuzin grubych świec. Nad jego głową w powietrzu tańczą czerwone, mechate ćmy. Nie mogły za nim podążyć do wodnego królestwa, ale teraz wróciły, krążą bez wytchnienia.

– Czy ktoś cię widział?

– Nie sędzę.

Wstaje, podchodzi do długiego stołu ustawionego na kozłach, sięga po fiolkę z dmuchanego szkła.

– Nie przypuszczam, żebyś już zdołała zamordować mojego brata?

– Madok zakazał mi wstępu do pałacu – powiadamiam go. – Chyba obawia się mojego wpływu na Najwyższego Króla. Nie mogę nic zrobić, jeśli nie zdołam dotrzeć do Cardana.

Balekin upija kolejny łyk wina, podchodzi do mnie.

– Jutro odbędzie się bal maskowy na cześć jednego z pomniejszych dworów. O ile zdołasz trzymać się z dala od Madoka, znajdę sposób, żeby cię wprowadzić. Czy potrafisz zdobyć dla siebie kostium i maskę, czy również to muszę za ciebie załatwić?

– Zdobędę przebranie – zapewniam.

– Dobrze. – Podaje mi fiolkę. – Cios sztyletem to takie dramatyczne, niestosowne wobec równie wysoko postawionej osoby. Trucizna jest łatwiejsza. Chcę, żebyś nosiła ją zawsze przy sobie, aż nadarzy się chwila, kiedy będziesz z nim sam na sam, a wtedy musisz potajemnie jej dodać do wina, które będzie pił.

– Tak uczynię.

Ujmuje mój podbródek, w jego głosie słyszę urok.

– Powiedz, żeś jest moja, Jude.

Gdy wsuwa fiolkę w moją dłoń, zaciskam na niej palce.

– Należę do ciebie, książę Balekinie – mówię, patrząc mu w oczy i kłamiąc ze szczerego,

złamanego serca. – Rób ze mną, co zechcesz. Jestem twoja.

ROZDIAŁ

26

Mam już wyjść, opuścić Próżny Dwór, kiedy nagle ogarnia mnie potworne zmęczenie. Siadam na schodach, jest mi słabo. Czekam, aż mi przejdzie. W mojej głowie zaczyna się wykluwać pewien plan, który wymaga ciemności oraz odpowiedniego przygotowania.

Mogłabym udać się do domu Taryn, ale tam będzie Loki, który już raz próbował mnie zabić.

Mogłabym wrócić do zamku Madoka, ale służba i strażnicy zapewne otrzymali już polecenie, by natychmiast zawinąć mnie w koce i obezwładnić na tak długo, aż minie czas i Cardan nie będzie już w mojej władzy, a za to przysięgnie posłuszeństwo swojemu głównodowodzącemu generałowi.

Obawiam się, że najlepszym wyjściem będzie pozostać tutaj. Służby nie ma, nie ma kogo się obawiać oprócz Balekina, który zajęty jest jednak swoimi sprawami. Podejrzewam, że nawet nie zauważy mojej obecności w tym wielkim i pustym domostwie.

Tak nakazywałby rozsądek, lecz instynkt każe mi uciekać, jak najdalej od Balekina. Jednak już za bardzo opadłam z sił.

Nie pierwszy już raz skradam się po Próżnym Dworze, więc doskonale wiem, gdzie jest kuchnia. W pobliżu drzwi kuchennych znajduje się studnia. Dręczy mnie pragnienie, więc piję i piję. Potem wspinam się po schodach do komnaty, którą kiedyś zajmował Cardan. Ściany są tak jak wtedy pozbawione ozdób, pośrodku stoi to samo łoże z wezgłowiem rzeźbionym w zwierzęce elfki o nagich piersiach.

Miał tu książki i papiery, te jednak zniknęły, natomiast w szafie wciąż jeszcze pełno jest ekstrawaganckich strojów, które porzucił. Zapewne nie są już dość dziwaczne dla Najwyższego Króla. Wiele z nich jest koloru nocy, znalazłam też obcisłe spodnie, w których łatwo mi będzie się poruszać. Na razie kładę się na łożu Cardana i choć obawiam się, że ze strachu będę się przez całą noc przewracać z boku na bok, usypiam momentalnie, snem głębokim i pozbawionym snów.

Budzę się w świetle księżyca. Ubieram się w najprostsze stroje, jakie znalazłam w jego w szafie – aksamitny kaftan, od którego rękawów i kołnierza odrywam perły. Do tego miękkie, zwykłe rajtuzy.

Znów wyruszam na poszukiwania, ale teraz już czuję się pewniej. W kuchni niewiele

znajduję do jedzenia, trafia mi się jednak kawałek twardego chleba, który przeżuwam, wędrując w ciemnościach.

Pałac Elfhame to okazałych rozmiarów wzgórze, w którego sercu mieszczą się najważniejsze komnaty, łącznie z gigantyczną salą tronową. Na jego szczycie rośnie drzewo o korzeniach sięgających głębiej niż magia. W pobliżu zaś znajdują się nieliczne pokoje, do których cienkie kryształowe szyby wpuszczają dzienne światło. Przez krótki czas były w modzie, kiedy mieszkał tam Cardan, jednak po tamtej nocy, kiedy raniła go Nicassia i kiedy podpalił podłogę, komnaty te opustoszały.

Zostały zapieczętowane, podwójne drzwi zamknięto i zaryglowano, żeby odciąć dostęp do tajnego przejścia, by nikt nie mógł się nim dostać do królewskich apartamentów. Krótko mówiąc, przez drzwi wejść się tam nie da.

Ja jednak zamierzam wspiąć się na szczyt Pagórka.

Po cichu wbijam noże w ziemię, podciągam się, szukam oparcia dla stóp, znów wbijam, podciągam się... Coraz wyżej i wyżej. Widzę krążące nade mną nietoperze, zamieram w bezruchu. Mam nadzieję, że latają w swoich sprawach, że nie pełnią tutaj straży. Na pobliskim drzewie pohukuje sowa. Uświadamiam sobie, że wiele par oczu może mnie obserwować. Mogę tylko przyspieszyć wspinaczkę, nic więcej. Jestem już prawie przy pierwszych oknach, kiedy opuszczają mnie siły.

Zaciskam zęby i próbuję ignorować drżenie dłoni, wiotkość mięśni nóg. Oddycham zbyt szybko, marzę tylko o tym, by choć chwilę odpocząć, ale dobrze wiem, że wtedy mięśnie zeszywnieją i już nie będę mogła się ruszyć. Wspinam się więc dalej, chociaż boli mnie dosłownie wszystko.

Po raz któryś wbijam nóż, ale tym razem naprawdę nie mogę się podciągnąć. Moja ręka jest za słaba. Spoglądam w dół na strome, kamieniste zbocze, na migające światełka przy wejściu. Przez moment mąci mi się wzrok i myślę, co się stanie, jeżeli po prostu wypuszczę rękojeść.

Głupia myśl. Stoczyłabym się na łeb, na szyję i nawet gdybym przeżyła, odniosłabym bardzo poważne obrażenia.

Trzymam się więc i po chwili z najwyższym wysiłkiem wdrapuję się. Wreszcie docieram do szklanych tafli. Wielokrotnie studiowałam mapę pałacu, wystarczy więc chwila, żebym znalazła właściwe okno. Wewnątrz jest ciemno, ale wiem, co bym zobaczyła w świetle dziennym. Biorę się do pracy, uderzam ostrzem, aż kryształ pęka.

Owijam dłoń rękawem kaftana, rozbijam szybę. Skaczę w mrok opuszczonego przez Cardana pokoju. Wewnątrz jeszcze cuchnie dymem i skwaśniałym winem.

Po omacku odnajduję drogę do garderoby i szafy.

Stamtąd prowadzi bezpośredni korytarz do królewskich komnat.

Wślizguję się do sypialni Cardana. Świt jeszcze nie nastał i szczęście mi sprzyja: w komnatach Najwyższego Króla nie odbywa się żadne przyjęcie, w łóżu oprócz niego nikt

nie śpi. Podchodzę, przyciskam dłoń do jego ust.

Budzi się, stawia opór.

Chwyta mnie za gardło i przez chwilę obawiam się, że jestem za słaba albo za słabo wytrenowana. Potem jednak jego ciało się rozluźnia, jakby uświadomił sobie, kim jestem.

Nie powinien sobie pozwalać na takie rozluźnienie.

– Przysłał mnie, żebym cię zabiła – szepczę do jego ucha.

Dreszcz przechodzi przez jego ciało; rękami sięga do mojej talii, ale zamiast mnie odepchnąć, przyciąga ku sobie i w następnej chwili leżę na nim pośród haftowanej pościeli.

Moja dłoń zsuwa się z jego ust. Nagle leżę z Najwyższym Królem w jego nowym łóżku, a przecież nadal jestem zbyt ludzką istotą, by się tu znaleźć, u boku kogoś, kto tym bardziej mnie przeraża, im więcej do niego czuję.

– Balekin i Orlagh chcą cię zamordować – szepczę, zbita z tropu.

– Aha – konstatuje niedbałym tonem. – Jak więc się to stało, że w ogóle się obudziłem?

To krępujące, ta świadomość jego fizyczności i tej chwili, kiedy jeszcze w półśnie przyciągnął mnie do siebie.

– Dlatego że trudno rzucić na mnie czar.

Śmieje się cicho. Wyciąga dłoń, dotyka moich włosów, gładzi policzek.

– Ja to wiem już od dawna – mówi zaskakująco ciepłym głosem.

– Gdyby Madok nie zakazał mi wstępu do pałacu i gdybyś mu na to nie pozwolił, dowiedziałbyś się wszystkiego dużo wcześniej. Mam pilne informacje.

Cardan potrząsa głową.

– Nie wiem, o czym mówisz. Madok powiedział, że wypoczywasz i musisz odzyskać siły.

Marszczę brwi.

– Rozumiem. Tymczasem zaś on chętnie zajmie moje miejsce jako twój doradca. Rozkazał strażnikom, żeby mnie nie wpuszczali do pałacu.

– Wydam im inne rozkazy – odpowiada Cardan. Siada na łóżku. Jest nagi do pasa, jego skóra srebrzyście połyskuje w nikłym blasku magicznych świateł. Nadal patrzy na mnie jakoś dziwnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział albo jakby sądził, że już więcej mnie nie ujrzy.

– Cardan? – mówię, dziwnie jest zwracać się do niego po imieniu. – Odwiedziła mnie przedstawicielka Dworu Termitów. Dowiedziałam się od niej...

– Jakie postawili warunki w zamian za uwolnienie ciebie – kończy za mnie. – Wiem, co teraz powiesz. Że to głupie posunięcie, że nie należało się godzić. Że to osłabia moje panowanie. Że to był sprawdzian moich słabości i że tego sprawdzianu nie zdałem. Nawet Madok uważał, że postępuję niezgodnie ze swoim obowiązkiem. Co prawda inne wyjścia, które proponował, też raczej nie były zbytnio dyplomatyczne. Ale ty nie znasz Balekina i Nicassii tak, jak ja ich znam. Lepiej niech myślą, że jesteś dla mnie cenna, niż żeby sądzili, że nie ma znaczenia, co ci zrobią.

Biorąc pod uwagę, jak byłam traktowana, kiedy uważali mnie za cenną zakładniczkę, robi mi się słabo na myśl, że mogło być jeszcze gorzej.

– Dużo rozmyślałem pod twoją nieobecność i chcę ci coś powiedzieć. – Twarz Cardana jest poważna, niemal surowa, co nie zdarza mu się prawie nigdy. – Kiedy ojciec mnie odegnał, początkowo próbowałem mu udowodnić, że wcale nie jestem taki, za jakiego mnie uważa. Nic to jednak nie dało, a więc postanowiłem być właśnie taki, jakim jego zdaniem byłem. Skoro uważał, że jestem zły, to starałem się być jeszcze gorszy. Skoro zarzucał mi okrucieństwo, to moją ambicją stało się być potworem. Starałem się spełnić wszystkie jego najgorsze oczekiwania. Skoro nie mogłem zdobyć jego względów, chciałem choć wzbudzić jego gniew. Balekin nie wiedział, co ze mną robić. Uczestniczyłem w jego orgiach. Poił mnie winem, żeby popisywać się oswojonym książątkiem. Kiedy podrosłem i stałem się nieznośny, Balekin nagle odkrył, że może mnie wychowywać, to znaczy wyżywać się na mnie. Odnajdywał we mnie swoje własne przywary, a jego frustracja oznaczała dla mnie chłostę. Zarazem jednak on jeden dostrzegał we mnie coś, co lubił, a mianowicie samego siebie. Zachęcał do okrucieństwa, podsycił we mnie złość, więc stawałem się coraz gorszy. Nie byłem dobry. Dla nikogo, a zwłaszcza dla ciebie. Właściwie nie wiedziałem, czy ciebie pragnę, czy też wolę, żebyś znikła mi z oczu, bo wtedy może przestałbym się czuć tak, jak się czułem. I przez to stawałem się jeszcze gorszy. Jednak teraz, kiedy znikłaś, dosłownie jak kamień w wodę, nienawidziłem siebie samego bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Jego słowa tak mnie zaskakują, że machinalnie doszukuję się w nich podstępów. Przecież nie może mówić tego szczerze.

– Może postępuję głupio, ale nie jestem głupcem. Jakoś tam mnie lubisz, coś ci się we mnie podoba – mówi, przybierając przekorny wyraz twarzy, przez co nie wygląda już aż tak dziwnie. – Co jest przyczyną? Moje piękne oczy? Nieważne, istotniejsze jest to, że dużo więcej ci się we mnie nie podoba. Wiem o tym. Nie mogę ci ufać. Kiedy jednak cię nie było, musiałem podjąć mnóstwo decyzji, a kiedy robiłem coś dobrze, wyobrażałem sobie, Jude, że jesteś przy mnie i wydajesz mi te swoje bezsensowne rozkazy, które ja mimo wszystko wykonuję.

Nie wiem, co powiedzieć. Więc nie mówię nic.

Cardan śmieje się, ciepłą dłonią dotyka mojego ramienia.

– Albo cię zaskoczyłem, albo rzeczywiście jesteś chora.

Zanim udaje mi się pomyśleć, co mogłabym powiedzieć, ktoś mierzy do mnie z kuszy. Kuszę trzyma w rękach Karakan, obok niego stoi Bomba ze sztyletem w każdej dłoni.

– Wasza Wysokość, wytropiliśmy ją. Przychodzi prosto z domostwa brata Waszej Wysokości i przybywa, aby zabić. Zejdź, proszę, z łoża – odzywa się Bomba.

– To jakieś kpiny – odzywam się.

– Czyżby? Pokaż mi więc, jakie masz przy sobie amulety – mówi Karakan. – Jarzębinę?

Może garść soli w kieszeni? Jude, którą znam, nigdy nie zapomnieliby o takich środkach ostrożności.

Rzecz jasna, kieszenie mam puste. Po co mi amulety, których do niczego nie potrzebuję? Co więcej, Balekin mi tego zabronił i gdyby odkrył przy mnie zakazany przedmiot, mógłby zwątpić w skuteczność swojego czaru i tym samym w szczerłość mojego oddania. Wszystko to jednak nie stanowi żadnego dowodu. Mogę niby powiedzieć im o géisie otrzymanym od Daina, ale to również tylko słowa, niby dlaczego mieliby mi uwierzyć?

– Proszę zejść z łoża, Wasza Wysokość – powtarza Bomba.

– Chyba to ja powinnam zejść, nie jestem u siebie – mówię, ale Karakan gniewnie potrząsa kuszą.

– Ty się nie ruszaj.

Cardan zsuwa się na podłogę. Jest całkiem nagi, co najwyraźniej zupełnie go nie krępuje, zaraz zresztą wdziewa na siebie bogato zdobiony szlafrok. Jego pokryty delikatnym futerkiem ogon porusza się z irytacją.

– Obudziła mnie – mówi. – Jeśli zamierzała mnie zamordować, to chyba inaczej by się do tego zabrała.

– Opróżnij kieszenie – nakazuje Karakan. – Zobaczymy, jak jesteś uzbrojona. Wyłóż wszystko na łóżko.

Cardan siada, w szlafroku prezentuje się równie godnie jak w gronostajowym płaszczu.

Niewiele mam przy sobie. Kawałek suchego chleba, nadgryziony i niedojedzony. Dwa noże o ostrzach pokrytych resztkami ziemi i trawy. Oraz zakorkowaną buteleczkę.

Bomba bierze ją do ręki, patrzy na mnie i kręci głową.

– No i proszę. Skąd to masz?

– Od Balekina – odpowiadam. – Od Balekina, który usiłował rzucić na mnie czar, żebym zamordowała Cardana. Śmierć króla jest mu potrzebna, bo inaczej Grimsen nie może albo nie chce zrobić drugiej korony. To właśnie miałam oznajmić Najwyższemu Królowi. Dowiedzielibyście się i wy, ale nie mogłam dostać się do Dworu Cieni.

Bomba i Karakan spoglądają na siebie z niedowierzaniem.

– Czy gdybym była pod działaniem uroku, powiedziałabym wam o tym wszystkim?

– Zapewne nie – odpowiada Bomba. – A może jednak wpadłabyś na taki sprytny pomysł, aby wprowadzić nas w błąd.

– No, dobrze. Po prostu nie można rzucić na mnie uroku – wyznaję. – Zawdzięczam to księciu Dainowi, taka była cena za moje usługi jako szpiega.

Karakan unosi brwi. Cardan rzuca mi szybkie spojrzenie, bo pewnie jego zdaniem z czegoś, co pochodzi od Daina, nie może wynikać nic dobrego. A może po prostu jest zaskoczony, bo właśnie odkrył kolejny mój sekret.

– Nawet się kiedyś zastanawiałam, co ci dał, żebyś się zechciała zadawać z takimi nicponiami jak my – przyznaje Bomba.

– Przede wszystkim dał mi sens i cel – odpowiadam – ale również odporność na czary.

– Nadal może kłamać – stwierdza Karakan. – Wypróbuj ją – mówi, zwracając się do Cardana.

– Słucham uprzejmie? – odzywa się na to Cardan i dumnie się prostuje, przypominając w ten sposób Karakanowi, do kogo mój towarzysz z Dworu Cieni zwraca się w tak bezceremonialny sposób.

– Niech Wasza Wysokość nie odgrywa takiej mimozy – odpowiada Karakan, szczerząc zęby. – Ja przecież tylko grzecznie proszę. Chciałem właśnie uprzejmie zaproponować, żeby Wasza Wysokość rzucił czar na Jude. Wtedy się dowiemy.

Cardan wzdycha ciężko i idzie w moją stronę. Wiem, że to niezbędne, że nie chce zrobić mi nic złego. W dodatku wiem, że w żadnym razie nie uda mu się rzucić na mnie czaru, a jednak machinalnie się cofam.

– Jude? – mówi i spogląda na mnie pytająco.

– Proszę bardzo.

Teraz w jego głosie słyszę urok, uderzający do głowy, uwodzicielski i silniejszy, niż się spodziewałam.

– Pełzaj u mych stóp...

Stoję, nie ruszam się, tylko się czerwienię.

– Zadowoleni?

Bomba przytakuje skinieniem głowy.

– Nie jesteś pod działaniem czaru.

– To teraz wy mi powiedzcie, dlaczego miałabym wam ufać? – mówię do niej i do Karakana. – Duch pojawił się razem z Vulciberem i z tobą, po czym zabrali mnie do Wieży Zapomnienia. Zaprowadzili mnie prosto tam, gdzie miałam zostać pojmana. Nadal nie wiem, dlaczego to zrobił. Czy któreś z was mu w tym dopomogło?

– Nie – odpowiada Bomba.

– Nie wiedzieliśmy o zdradzie Ducha do chwili, gdy było już za późno – oświadcza Karakan.

Kiwam głową.

– Widziałam, co zostało z wejścia do Dworu Cieni.

– Duch wykorzystał nasze materiały wybuchowe. – Karakan ruchem głowy wskazuje Bombę.

– Część pałacu się zawaliła, między innymi właśnie Dwór Cieni, że nie wspomnę już o starych katakumbach, w których spoczywają kości królowej Mab – dodaje Cardan.

– Musiał planować to od dawna. Szczęśliwie udało mi się zapobiec najgorszemu – dodaje Bomba. – Kilkoro z nas wyszło bez szwanku, na przykład Smok, który zresztą wypatrzył, że wspinasz się po pałacowym zboczach. Wielu jednak zostało rannych. Sluagh Ninieł uległ ciężkiemu poparzeniu.

– A co z Duchem?

– Duch znikł – odpowiada Bomba. – Przepadł. Nie wiemy, gdzie się podziewa.

Uświadamiam sobie, jakie to szczęście, że Bombie i Karakanowi nic się nie stało. Wszystko naprawdę mogło potoczyć się dużo gorzej.

– Wiem, że nudzę, ale skoro grzecznościom stało się już zadość – wtrąca Cardan – może teraz się zastanowimy, co robić dalej.

– Skoro Balekin chce mnie wprowadzić na bal maskowy, to niech mu będzie. Dalej będę grać swoją rolę. – Przerwywam i spoglądam na Cardana. – Chyba żeby go od razu załatwić.

Karakan klepie mnie w ramię.

– Nieźle, mała. Wyłoniłaś się z głębin jako jeszcze większa twardzielka niż przedtem.

Aż muszę odwrócić wzrok, bo tak strasznie tęskniłam za tym, żeby ktoś to powiedział. Jednak gdy spoglądam potem na Cardana, widzę, jak on na mnie patrzy.

Potrząsam głową, żeby nie myślał tego, co myśli na ten temat.

– Balekin jest ambasadorem podmorskiej krainy – mówi, mniej więcej powtarzając moje słowa wypowiedziane do Dulcamary. – Pozostaje więc pod opieką Orlagh. Orlagh, która ma do swojej dyspozycji Grimsena oraz koniecznie chce mnie wystawić na próbę. Jeśli jej ambasador umrze zbyt nagłą śmiercią, władczyni Toni bardzo się pogniewa.

– Ale przecież Orlagh już zaatakowała ziemskie królestwa – przypominam. – Nie wypowiedziała wojny, bo chce do końca wykorzystać sytuację, ale przecież wojna już się rozpoczęła. Może jednak to my powinniśmy zadać następne uderzenie.

Cardan kręci głową.

– Balekin chce cię zabić, wydał mi taki rozkaz – upieram się. – W przeciwnym razie Grimsen nie sporządzi dla niego korony.

– Trzeba uciąć dłonie kowalowi – powiada Bomba. – Odrąbać w nadgarstkach i po kłopotcie.

Karakan potakuje krótkim skinieniem głowy.

– Zajmę się tym jeszcze dzisiaj.

– Wy troje macie na każdy problem jedno rozwiązanie. Zabić. Tymczasem nie ma takiego klucza, który pasowałby do wszystkich zamków. – Cardan spogląda na nas surowo, grozi palcem, na którym nadal nosi mój skradziony rubin. – Ktoś ośmielił się dopuścić zdrady wobec Najwyższego Króla... zabić. Ktoś spojrzy spođe łba, zabić. Ktoś zachowa się niegrzecznie, zabić. Zniszczy ktoś powłóczkę w praniu, zabić. Im dłużej wam się przysłuchuję, tym bardziej do mnie dociera, że bardzo krótko spałem i obudzono mnie niespodziewanie. Zamierzam posłać po herbatę i coś do zjedzenia dla Jude, bo jest bardzo blada.

Cardan śle służącego po podpłomyki, ser oraz herbatę, nie wpuszcza go jednak do komnaty, tylko sam niesie wielką tacę ze srebra i rzeźbionego drewna, na której buchają parą dwa wielkie imbryki. Stawia ją na niskim stoliku. Jestem zbyt wyposzczona, by móc się

oprzeć pokusie, jaką stanowi jedzenie. Pożeram kanapkę z dwóch podpłomyków i sera, potem następną, popijam to trzema kubkami herbaty i wreszcie czuję się trochę różniej.

– Jutrzejszy bal maskowy jest wydany na cześć pana Roibena z Dworu Termitów. Przebył kawał drogi, żeby na mnie nawrzeszczyć, więc jesteśmy mu to winni. Jeśli zamierza potem knuć w celu uśmiercenia Balekina, trudno. Niech mu będzie. Karakanie, jeśli zdołasz gdzieś upchnąć Grimsena, tak żeby nie mógł szkodzić, będę wdzięczny. Już czas, żeby ugiął kolano przed którymś z graczy, biorących udział w tej zabawie. Nie życzę sobie jednak śmierci Balekina.

Karakan pije herbatę, unosząc jednocześnie krzaczastą brew. Bomba głośno wzdycha.

Cardan mówi do mnie:

– Gdy cię porwano, zacząłem studiować historię naszych relacji z królestwem Orlagh. Odkąd pierwsza królowa, Mab, przyzwała wyspy Elysium spod fal, dochodziło do mniejszych lub większych zatargów, ale wszystko wskazuje na to, że gdyby doszło do prawdziwej wojny, nie będzie w niej zwycięzcy. Mówisz, że królowa Orlagh chce wykorzystać sytuację i dlatego odwleka wypowiedzenie wojny. Ja zaś myślę, że ona stara się wypróbować nowego władcę, bo ma nadzieję, że zdoła mnie wyprowadzić w pole bądź na moim miejscu posadzić kogoś, kto będzie miał wobec niej zobowiązania. Sądzi, że jestem nieudolnym młokosem, i chce sprawdzić, jak daleko może się posunąć.

– A więc co robimy? – pytam. – Na razie inicjatywa jest po jej stronie. Mamy pozwolić jej działać, nie zważając na ofiary i straty, czy wdać się w wojnę, w której nie możemy zwyciężyć?

Cardan potrząsa głową, popija herbatę.

– Wiesz, powinniśmy jej pokazać, że nie jestem nieudolnym młokosem.

– Jak to zrobimy?

– To nie będzie proste – odpowiada Cardan. – Obawiam się bowiem, że nim właśnie jestem.

ROZDIAŁ

27

Nietrudno byłoby przeszmyglować którąś z własnych sukien, nie chcę jednak, żeby Balekin się domyślił, że byłam w pałacu. Wybieram się więc na Targ Mandragory w północnej części Insmoor, aby znaleźć coś stosownego. Jest to takie właśnie miejsce, od jakiego Oriana za wszelką cenę pragnęła trzymać mnie i Taryn z daleka. Pełno Małego Ludku, który tylko patrzy, jak by tu przechytryć pocziwego śmiertelnika. Handel odbywa się tylko w mgliste poranki, kiedy większość mieszkańców Elysium jeszcze śpi. Jeśli nie uda mi się zdobyć jakiegoś stroju i maski, będę musiała okraść którąś z dwórek.

Wędruję pośród straganów, troszkę mnie mdli od smrodu ostryg smażonych na morszczynie, bo nazbyt mi to przypomina podwodne królestwo. Podziwiam zwierzątka z cukru, maleńkie żółdziowe kubeczki z winem i gigantyczne rzeźby z rogu; jest też stoisko, przy którym garbata wiedźma szczotką wyczesuje zaklęcia z podeszew.

Trochę trzeba się porozglądać, ale w końcu znajduję maski tłoczone ze skóry. Przedstawiają dziwne zwierzęta, rozchichotane gobliny i prostackich śmiertelników, a pomalowane są na złoto i we wszystkie inne możliwe kolory.

Wybieram ludzką twarz o niewesołym wyrazie.

– Poproszę tę – mówię do przekupki, wysokiej niewiasty odzianej w przepastną czerń, ona zaś obdarza mnie promiennym uśmiechem.

– Seneszalu – mówi, rozpoznała mnie od razu. – Pozwól, że będzie to mój podarunek dla ciebie.

– To wielce wspaniałomyślne – odpowiadam; problem jednak polega na tym, że każdy podarunek ma swoją cenę, a ja już mam aż nazbyt wiele długów. – Wolałabym wszak...

Kobieta mruga do mnie porozumiewawczo.

– ...A kiedy Najwyższy Król pochwali twoją maseczkę, zechcesz może sprawić, by i on sobie u mnie taką obstalował.

Kiwam głową; przynajmniej nie kręci i od razu mówi, czego chce. Niewiasta bierze ode mnie maskę i wyciąga spod stołu słoik farby.

– Troszkę tylko poprawię.

– Nie trzeba.

Wyjmuje pędzel.

– Będzie podobniejsza.

Kilkoma pociągnięciami nadaje masce moje rysy. Patrę i widzę twarz Taryn.

– Nie zapomnę twojej uprzejmości – mówię, gdy ona tymczasem pakuje maskę.

Potem rozglądam się za strojami. Znajduję wytwórcę sznurówek, czyli blisko, ale nie to. Potem trochę się gubię w labiryncie straganów, na których można kupić napoje miłosne i dać sobie wywróżyć przyszłość. Próbuję wrócić tam, skąd przyszłam, bo wydaje mi się, że w dali widziałam trzepoczącą płachtę oznaczająca stragan krawiecki, ale natrafiam na inny, przy którym pali się małe ognisko. Obok na stołeczku siedzi czarownica. Miesza zawartość kociołka, wokół rozchodzi się zapach gotowanych warzyw. Kiedy spogląda na mnie, poznaję Mateczkę Szpik.

– Może siądziesz ze mną przy ogniu?

Waham się. W Krainie Elfów grzeczność popłaca, można nawet rzec, że jest najwyższym prawem, ale tym razem się spieszę.

– Obawiam się, że nie bardzo...

– Zjedz zupę – mówi i podaje mi miskę. – Tylko najzdrowsze rzeczy.

– W takim razie, czemu mnie nią częstujesz?

Mateczka Szpik śmieje się, zachwycona żarciem.

– Gdyby nie to, że przez ciebie wniwecz obróciły się marzenia mojej córeczki, mogłabym cię polubić. Siadaj. I jedz. Opowiadaj, co cię sprowadza na Targ Mandragory.

– Potrzebuję sukni – mówię, siadając. Biorę miskę pełną niezbyt apetycznego brązowego płynu. – I pomyśl, może twoja córka nie chciałaby mieć za rywalkę księżniczki morskich głębin. Przynajmniej tego jej oszczędziłam.

Czarownica przygląda mi się taksującym wzrokiem.

– Mało tego, oszczędzono jej też ciebie.

– Ten i ów powiedziałyby, że to warte każdej ceny.

Mateczka Szpik gestem daje mi do zrozumienia, żebym jadła, a ja, której nie stać już na przysporzenie sobie jeszcze więcej wrogów, przytykam miskę do ust. Wywar smakuje odległym wspomnieniem, którego nawet nie potrafię dokładnie określić; ma to coś wspólnego z ciepłym popołudniem, pluskaniem się w ogrodowej sadzawce i kopaniem plastikowych zabawek na zrudziałym od letniego upału trawniku. Łzy napływają mi do oczu.

Chciałabym tę zupę wylać na ziemię.

Muszę ją wypić do ostatniej kropli.

– Dobrze ci robi – zapewnia mnie wiedźma, podczas gdy ja mrugam wściekle powiekami. – A teraz ta suknia, tak? Co mi dasz za suknię?

Zdejmuję perłowe kolczyki rodem z głębin.

– Mogą być? Za suknię i za zupę.

Oczywiście warte są tyle co dziesięć sukienek, ale nie chcę się targować, zwłaszcza

z Mateczką Szpik.

Bierze je, próbuje zębem, po czym chowa do kieszeni.

– Niech będzie. – Z drugiej kieszeni wyciąga orzech, podaje mi go.

Unoszę brwi.

– Nie ufasz mi, dziewczyno? – pyta.

– Ani na jotę – odparowuję.

Wiedźma kwituje to rechetem.

Coś jednak musi być w tym orzechu i prawdopodobnie jest to jakiś rodzaj sukni, bo w przeciwnym razie nie dotrzymałaby warunków umowy. Ja zaś nie mam zamiaru odgrywać naiwnej śmiertelniczki i wypytywać, jak to działa. Wstaję.

– Nie za bardzo cię lubię – wyznaje Mateczka Szpik, czym nie zaskakuje mnie specjalnie, choć miłe to też nie jest. – Ale tych spod wody lubię dużo mniej.

W ten sposób odprawiona, zabieram orzech i maskę, po czym ruszam w drogę powrotną na Insmire, do Próżnego Dworu.

Spoglądam po drodze na fale, na bezmiar oceanu rozciągający się wokół wysp we wszystkich kierunkach, bezustanne fale o spienionych grzywach.

Kiedy oddycham, słone rozbryzgi chwytają mnie za gardło, a kiedy idę, omijam pozostałe po przypływie kałuże, w których pełno jest małych krabów.

Czy można walczyć z czymś tak ogromnym i przepastnym? Śmieszna zdaje się myśl, byśmy mogli wygrać taką wojnę.



Gdy wchodzę do Próżnego Dworu, Balekin siedzi na fotelu obok schodów.

– Gdzie się podziewałaś przez całą noc? – pyta tonem dającym do zrozumienia, że na pewno oddawałam się czemuś zdrożnemu.

Podchodzę, żeby mu pokazać maskę.

– Rozglądałam się za kostiumem.

Kiwa głową, już stracił dla mnie zainteresowanie.

– Możesz się przygotować.

Idę na górę. Nie powiedział, z którego pokoju mogłabym skorzystać, więc idę znów do dawnej sypialni Cardana. Tam się kąpię, potem siadam na dywanie przed nierozpalonym kominkiem, otwieram orzech. Wylewa się z niego morelowy muślin, jest go mnóstwo. Suknia ma talię wciętą pod biustem i szerokie, marszczone rękawy zaczynające się tuż nad łokciem, mam więc nagie ramiona. Tkanina spływa kaskadą aż do ziemi. Uświadamiam sobie, że kolor idealnie pasuje do mojej cery, chociaż nie ma takiej sukni, która mogłaby

zamaskować, jaka jestem wychudzona. Co z tego, że mi w niej do twarzy, skoro nie mogę się oprzeć poczuciu, że po prostu moja skóra do mnie nie pasuje. Cóż, suknia jest na tę noc w sam raz. Gdy ją na sobie układam, orientuję się, że ma ona kilka sprytnie ukrytych kieszeni. Buteleczkę z trucizną chowam do jednej z nich, a najdłuższy z moich noży do innej.

Potem próbuję nadać sobie w miarę schludny wygląd. Wśród rzeczy Cardana znajduję grzebień, mogę się więc uczesać. Nie mam czego wpleść we włosy ani czym ich spiąć, będę więc je miała rozpuszczone. Płuczę usta. Zakładam maskę i schodzę do Balekina.

Ktoś, kto mnie zna, mógłby mnie rozpoznać, gdyby przyjrzał mi się z bliska, mam jednak nadzieję, że w tłumie uda mi się pozostać nierozpoznaną.

Na mój widok Balekin okazuje tylko zniecierpliwienie. Wstaje.

– Wiesz, co masz zrobić?

Czasem uwielbiam kłamać.

Wyjmuję zakorkowaną fiolkę z kieszeni.

– Byłam szpiegiem księcia Daina. Należałam do Dworu Cieni. Możesz mi zaufać, panie, że uśmiercę twojego brata.

Na te słowa twarz Balekina rozjaśnia się.

– Cardan okazał niewdzięczność, zamykając mnie w Wieży. Powinien mnie umieścić u swojego boku. To mnie powinien zrobić swoim seneszalem. Co tam, tak naprawdę to powinien oddać mi koronę.

Nie odzywam się, myślę o chłopcu, którego widziałam w kryształach. Tego, który jeszcze wtedy miał nadzieję, że ktoś go pokocha. Nie daje mi spokoju to, co usłyszałam od Cardana: *Skoro uważał, że jestem zły, starałem się być jeszcze gorszy. Skoro zarzucał mi okrucieństwo, moją ambicją stało się być potworem.*

Jak dobrze znam to uczucie.

– Będę nosić żałobę po moim najmłodszym bracie – zapowiada Balekin, a myśl ta wyraźnie poprawia mu humor. – Bo po innych nie, ale na jego cześć każę układać pieśni. Tylko o nim zachowa się pamięć.

Myślę o żądaniu Dulcamary, żeby zamordowała księcia Balekina. Że to właśnie on wydał wyrok na Dwór Termitów. Może to on odpowiada też za wysadzenie w powietrze Dworu Cieni przez Ducha. Pamiętam go pod powierzchnią morza, gdy chełpił się swoją władzą. Myślę o wszystkim, co zrobił i co jeszcze zrobić zamierza. I dobrze, że mam na twarzy maskę.

– Idziemy – rozkazuje, więc idę za nim.



Tylko Loki mógł wpaść na pomysł, żeby urządzić maskaradę z okazji przybycia na dwór Elfhame pana Roibena, który został podstępnie napadnięty i domaga się sprawiedliwości. Kiedy jednak, trzymając pod ramię Balekina, wchodzi na podziemny dziedziniec, wydaje się to już stosowniejszym pomysłem. Gobliny i chochliki, pixie i elfy wirują w niekończących się tanecznych kręgach. Miodowe wino leje się z rogów strumieniami, na stołach piętrzą się stosy dojrzałych czereśni, agrestu, granatów i śliwek.

Idę z Balekinem w stronę pustego podium. Rozglądam się za Cardanem, ale go nie widzę. Dostrzegam za to włosy białe jak sól. Już mam podejść do przedstawicieli Dworu Termitów, kiedy mija mnie Loki.

Ruszam mu na spotkanie.

– Próbowalesz mnie zabić.

Drga nerwowo. Może już nie pamięta, że następnego dnia po zamachu na mnie, kiedy brał ślub, lekko utykał, ale przecież musiał sobie zdawać sprawę z tego, że zauważę kolczyki w uszach Taryn. Może ten głupiec wyobrażał sobie, że skoro konsekwencje tak długo kazały na siebie czekać, nie nadejdą już nigdy.

– To nie miało być na poważnie – tłumaczy i bierze mnie za rękę z głupawym uśmiechem.

– Ja tylko chciałem, żebyś się bała tak samo, jak ja się przestraszyłem.

Wyrywam dłoń z jego uścisku.

– Teraz mam zbyt mało czasu, ale już raz ci mówiłam, że dla ciebie czas znajdę zawsze.

Taryn ma na sobie wspaniałą balową krynolinę koloru błękitnego jak jajko rudzika i koronkową maseczkę.

– Znajdziesz czas dla Lokiego? To dobrze, ale o co chodzi?

On obejmuje ją za ramiona.

– Twoja bliźniaczka jest ze mnie niezadowolona. Miała dla ciebie prezent, a tymczasem to ode mnie go dostałaś.

Jest to na tyle zgodne z prawdą, że nie da się jego słowom zaprzeczyć, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak podejrzliwie patrzy na mnie Taryn.

– A co to za prezent?

Ukryłam przed nią prawdę o potyczce w lesie, bo nie chciałam jej martwić w dniu ślubu. Powinnam po prostu opowiedzieć jej o tej napaści, o tym, jak zgubiłam kolczyki, jak ukatrupiłam jednego z napastników, a w jej męża rzuciłam nożem. I o tym, że może chciał mnie zabić, a może nie chciał, natomiast z całą pewnością nie miał nic przeciwko temu, żebym tam zdechła. Musiał wiedzieć, że jestem ranna, a nie mógł wiedzieć, na ile poważnie. Ten ktoś, kto rzucił toporkiem, mierzył we mnie, nie w pień drzewa. Łucznik także nie żartował.

Pytanie, czy jeśli to powiem, ona mi uwierzy?

Zastanawiam się, jak odpowiedzieć, lecz w tym momencie podchodzi do nas pan Roiben. Mierzy mnie spojrzeniem lśniących srebrnych oczu.

Loki kłania się. Moja siostra wykonuje piękne dworskie dygnięcie; próbuję ją naśladować.

– To wielki zaszczyt – mówi Taryn. – Słyszeliśmy tutaj niejedną balladę o tobie, panie.

– Wiele w tym przesady – zbywa ją. – Choć istotnie, krew odbija się od lodu. Akurat ten wiersz ma w sobie wiele prawdy.

Moja siostra przez chwilę jest zbita z tropu.

– Czy przybyła na nasz dwór, panie, także twoja piękna towarzyszka?

– Kaye. I o niej układano ballady, nieprawdaż? Nie, tak się składa, że tym razem jej tu nie ma. Nasza ostatnia wizyta na Najwyższym Dworze nie przebiegła bowiem w tak miły sposób, jak ją zapewniałem.

Dulcamara twierdziła, że jest ciężko ranna, natomiast Roiben wyraźnie stara się o tym nie mówić. Ciekawe dlaczego. Ani jednego kłamstwa, tylko wymijające frazesy.

– Ach, koronacja – wzdycha Taryn.

– Otóż to – przytakuje Roiben. – Obiecałem swojej Kaye uciechy dworskiego balu, lecz nie była to beztroska i wesoła uroczystość, na jaką liczyliśmy.

Taryn uśmiecha się blado, zaś pan Roiben spogląda na mnie znacząco.

– Proszę nam wybaczyć – mówi do Taryn. – Mamy coś pilnego do omówienia.

– Ależ oczywiście. – Taryn znów dyga, po czym Roiben odprowadza mnie na bok, do jednego z ciemniejszych kątów sali.

– Co z nią? – pytam. – Co z Kaye?

– Przeżyje – odpowiada szorstko. – Gdzie jest teraz twój Najwyższy Król?

Znów patrzę na pusty tron i podium.

– Nie wiem, ale będzie. Nie dalej jak zeszłej nocy wyrażał swoje ubolewanie ze względu na poniesione przez was straty oraz zapewniał, że chce z tobą rozmawiać.

– Wszyscy wiemy, kto stał za tym atakiem – odpowiada Roiben. – Księżę Balekin ma mi za złe, bo opowiedziałem się za tobą i twoim książątkiem. To jego odwet.

Przytakuję. Szczęście, że mówi o tym tak spokojnie.

– Złożyłaś mi obietnicę – ciągnie Roiben. – Teraz niech się okaże, czy słowo śmiertelnika też coś znaczy.

– Załatwię to – zapewniam. – Znajdę sposób, żeby wszystko się ułożyło.

Twarz pana Roibena jest spokojna, lecz nie są spokojne jego srebrne oczy i nie mogę nie pamiętać, że swoją drogę do tronu naznaczył przelaną krwią.

– Porozmawiam z twoim Najwyższym Królem. Jeśli jednak ta rozmowa mnie nie zadowoli, będę musiał cię wezwać do spłacenia długu.

Odwraca się, zamiatając posadzkę długim płaszczem.

Dworzanie płasają w kręgach. Taneczny orszak rozpada się na trzy korowody, po czym znów się formuje. Widzę tańczących Lokiego i Taryn. Taryn zna wszystkie kroki.

Z Lokim trzeba będzie coś zrobić, ale nie dzisiaj.

Do sali wkracza Madok z Orianą pod ramię. Odziany jest na czarno, ona na biało.

Wyglądają jak figury szachowe stojące po przeciwnych stronach szachownicy. Za nimi kroczą Nikkel i Randalin. Rozglądam się dalej i widzę Bafena prowadzącego konwersację z rogatą kobietą, którą rozpoznaję dopiero w następnej chwili. Wstrząs.

To pani Asha. Matka Cardana.

Wiem, że kiedyś była dwórką, widziałam ją w kryształowej kuli Eldreda, ale teraz jakbym ją ujrzała po raz pierwszy. Ma suknię sięgającą tylko do kostek, widać więc buty naśladowujące liście. Suknia jest w jesiennych odcieniach, wyszywana liśćmi i kwiatami. Czubki rogów przyozdobiła miedzią, a głowę jej zdobi miedziany diadem, który nie jest koroną, lecz takową na myśl przywodzi.

Cardan nic mi o niej nie mówił, a przecież musiało jakoś dojść do jego pogodzenia z matką.

Widzę jak pani Asha rusza w tan i obawiam się, że wkrótce odzyska władzę oraz wpływy – i mam niemiłą świadomość, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Gdzie jest Najwyższy Król? – pyta Nihuar. Radczyni z ramienia cnych dworów nie spostrzegłam, dopóki przy mnie nie stanęła, więc drgam nerwowo.

– Skądże mam to wiedzieć? Do niedawna nawet nie miałam prawa wstępu do pałacu.

Wtedy wreszcie zjawia się Cardan. Przed nim podążają dwaj gwardziści, ale doprowadziwszy go do sali tronowej, odstepują na boki.

W następnej chwili Cardan pada. Pełźnie po podłodze w ceremonialnym stroju, potem nagle wybucha śmiechem. Śmieje się i śmieje, jakby to była najzabawniejsza sztuczka, jaką kiedykolwiek wykonał.

Rzecz jasna jest pijany. Bardzo, bardzo pijany.

Niedobrze. Spoglądam na Nihuar, ale jej twarz pozbawiona jest wyrazu. I nawet Loki, który przygląda się scenie z tłumu tańczących, sprawia wrażenie zawstydzonego.

Cardan tymczasem wstaje, wyrывa muzykantowi goblinowi lutnię i chwiejnie wskakuje na bankietowy stół.

Brzdąka w struny, intonuje przy tym pieśń tak wulgarną, że cały dwór przerywa taniec, żeby się przysłuchać. I zaraz wszyscy dołączają do szaleństwa. Dworzanie króla elfów nie są niewiniątkami. Znów upojnie tańczą, tylko że teraz do pieśni Najwyższego Króla.

A ja nawet nie wiedziałam, że on umie grać.

Gdy kończy się pieśń, Cardan właściwie zlatuje ze stołu, padając niezgrabnie na ziemię. Korona mu się przekrzywia, zasłania mu oko. Gwardziści podbiegają, chcąc pomóc mu wstać, lecz on odprawia ich machnięciem ręki.

– Sposób równie dobry na zawarcie znajomości jak każdy inny – oświadcza, zwracając się do pana Roibena, chociaż przecież znali się już wcześniej. – Nie jestem nudnym monarchą.

Zerkam na Balekina, który uśmiecha się złośliwie pod nosem. Twarz pana Roibena jest jak wykuta z kamienia, nieprzenikniona. Widzę jeszcze Madoka, który przygląda się Cardanowi z obrzydzeniem; król tymczasem nieudolnie poprawia koronę.

Roiben mówi pokrótce, co go sprowadza.

– Wasza Wysokość, przybywam prosić o zgodę majestatu na odwet, bo zostaliśmy napadnięci i chcemy się bronić.

Widywałam wielu takich, którzy nie potrafią się ukorzyć, natomiast pan Roiben robi to z wyjątkową gracją.

Wystarczy jednak spojrzeć na Cardana, żeby zrozumieć, że na nic się to nie zda.

– Powiadają, że jesteś wielkim specjalistą od rozlewu krwi. Zapewne chciałbyś popisać się swoimi umiejętnościami – mówi, wyciągając palec w stronę Roibena.

Król Dworu Termitów krzywi się. Widać, że chętnie swoimi umiejętnościami popisałby się, i to natychmiast, ale milczy.

– Musisz jednak się wyrzec krwawych łaźni – mówi dalej Cardan. – Przykro mi, ale wychodzi na to, że całą tę daleką drogę przebyłeś na próżno. No, przynajmniej mamy tu dobre wino.

Pan Roiben zwraca na mnie swoje srebrne spojrzenie. Dostrzegam w nim groźbę.

Wszystko układa się zupełnie inaczej, niż oczekiwałam.

Cardan macha ręką w stronę suto zastawionego stołu; owoce nagle same się obierają, kilka z nich pęka, zalewając siedzących w pobliżu sokiem i zasypując nasionami.

– Też ćwiczę się w różnych umiejętnościach – oświadcza Cardan, śmiejąc się do rozpuku.

Chcę iść do Cardana, wtrącić się, kiedy nagle Madok chwyta mnie za rękę. Wydyma usta.

– Czy aby na pewno wszystko przebiega zgodnie z twoim planem? – pyta półgłosem. – Zabierz go stąd!

– Spróbuję.

– Zbyt długo trzymałem się na uboczu – oświadcza już głośniej Madok, wpatrując się we mnie kocimi oczami. – Zmusz swoją marionetkę do abdykacji na rzecz brata. Najwyższa pora. Więcej cię o to prosić nie będę. Teraz albo nigdy.

Także podnoszę głos.

– Prosisz? A dopiero co zakazałeś mi wstępu do pałacu.

– Byłaś chora.

– Praca z tobą to zawsze będzie praca dla ciebie, dla urzeczywistnienia twoich planów – odpowiadam. – A więc nigdy.

– Naprawdę wybierasz coś takiego, przedkładasz go nad własną rodzinę? – dopytuje jeszcze, prychnąwszy z pogardą. Spogląda na Cardana, potem znów na mnie. Cóż, niby ma rację, a przecież całkowicie się myli.

– Możesz wierzyć lub nie, ale robię to właśnie dla mojej rodziny – odpowiadam i kładę dłoń na ramieniu Cardana. Liczę, że uda mi się wyprowadzić go z sali, nim zdoła jeszcze więcej nabroić.

– O nie – odzywa się Cardan. – Mój kochany seneszalu, najpierw zrobimy rundkę wokół sali. – Chwyta mnie i porywa do tańca.

Ledwie trzyma się na nogach. Trzykrotnie się potyka i trzykrotnie muszę go podtrzymywać.

– Cardanie – szepczę. – Takie zachowanie naprawdę nie przystoi Najwyższemu Królowi.

Odpowiada chichotem. Pamiętam, jaki był poważny zeszłej nocy, a teraz jest wprost nie do poznania.

– Cardanie – próbuję znowu. – Nie wolno tak się zachowywać. Rozkazuję ci, żebyś się opanował. Rozkazuję, żebyś więcej nie pił i postarał się wytrzeźwieć.

– O tak, moja surowa pani, moja bogini ukochana. Będę trzeźwy jak kamienna statua, kiedy tylko zdołam wytrzeźwieć. – To mówiąc, całuje mnie prosto w usta.

Natychmiast ogarnia mnie burza sprzecznych uczuć. Jestem na niego wściekła, bo muszę się pogodzić z bolesnym faktem: nie nadaje się na Najwyższego Króla, nawet marionetkowego. Jest zepsuty do szpiku kości, nieprzewidywalny i w każdym calu spełnia oczekiwania Orlagh. I jeszcze ten pocałunek przy wszystkich, wobec całego dworu. Jakoś dotąd nie okazywał mi publicznie uczuć. Może potem się z tego wycofa, ale teraz już wszyscy widzą.

Zarazem jednak ogarnia mnie słabość, bo marzyłam o jego pocałunku przez cały czas spędzony na dnie morza, a teraz jego wargi na moich... Pragnęłabym wbić paznokcie w jego plecy...

Jego język muska moją dolną wargę. Znam ten smak.

Gniewgrono. Nie jest pijany, tylko go otruto.

Odsuwam się, patrzę mu w oczy. Doskonale je znam. Czarne ze złotą obwódką. Źrenice są bardzo rozszerzone.

– Słodka Jude. Tyś jest moją najcudowniejszą karą. – Tanecznym krokiem oddala się ode mnie i natychmiast znów się przewraca, śmieje się, macha rękami, jakby chciał wszystkich wyściskać.

Przyglądam się temu ze zdumieniem i przerażeniem.

Ktoś otruł Najwyższego Króla. Będzie się śmiał i tańczył, aż umrze, do ostatniej chwili budząc skrajne ukontentowanie i prześmiewczą wzgardę swoich dworzan. Gdy padnie trupem, gdy jego serce pęknie, wciąż jeszcze będą się zaśmiewać do łez.

Próbuję się skoncentrować. Antidotum. Musi istnieć antidotum. Na pewno woda, żeby rozrzedzić truciznę. Glina. Bomba będzie wiedzieć więcej. Rozglądam się za nią, widzę jednak tylko rozbawiony tłum dworzan.

Zwracam się więc do jednego z gwardzistów:

– Znajdź mi wiadro, koce, dużo koców. Dwa dzbany wody, wszystko to ma się znaleźć w mojej komnacie. Natychmiast.

– Tak jest! – odpowiada strażnik i wydaje polecenia gwardzistom.

Patrzę na Cardana, który jak można się było spodziewać, właśnie wybrał najmniej odpowiedni kierunek. Idzie prosto na swoich radców Bafena i Randalina, ci zaś rozmawiają

z panem Roibenem i groźną Dulcamarą, zapewne usiłując załagodzić sytuację.

Widzę twarze nigdy nienasyconych plotkami dworaków, przewrotny błysk w ich oczach, żądę sensacji. Widzę, z jaką uciechą obserwują Cardana, który właśnie sięga po karafkę wody, wylewa jej zawartość do roześmianych ust, aż się nią krztusi.

– Proszę o wybaczenie – mówię i biorę go pod ramię.

Dulcamara przygląda się temu z najwyższą pogardą.

– Przebyliśmy daleką drogę, żeby uzyskać posłuchanie u Najwyższego Króla. Przecież chyba tak od razu nie odejdzie?

Został otruty. Mam te słowa na końcu języka, kiedy nagle słyszę, że wypowiada je Balekin.

– Obawiam się, że Najwyższy Król nie jest sobą. Myślę, że został otruty.

O sekundę za późno dociera do mnie, na czym polega jego plan.

– Jude Duarte – mówi do mnie. – Pokaż, co masz w kieszeniach. Ciebie jednej nie obowiązuje przysięga.

Gdybym istotnie była zaczarowana, musiałabym wyciągnąć zakorkowaną flaszeczkę. Gdyby wszyscy ją zobaczyli, a potem okazałoby się, że w środku rzeczywiście jest wyciąg z gniewgrona, nic już by nie mogło mnie uratować. Kto mi uwierzy? Przecież śmiertelnicy kłamią.

– E tam, znów jest pijany – mówię, z pewną satysfakcją odnotowując zdumienie na twarzy Balekina. – A poza tym ekscelencja jako ambasador też nie jest związany przysięgą. Czy może raczej powinnam powiedzieć: nie jest związany z naszym ziemskim królestwem.

– Czyżbym wypił za dużo? Tylko jeden puchar trucizny na śniadanie i drugi do kolacji – oznajmia Cardan.

Balekin piorunuje mnie wzrokiem, ale nie mówi nic więcej; prowadzę zataczającego się Najwyższego Króla do wyjścia.

– Dokąd go zabierasz? – pyta strażnik. – Czy Wasza Wysokość życzy sobie odejść?

– Wszyscy tańczymy, jak nam zagra Jude – odpowiada król ze śmiechem.

– To jasne, że nie chce – wtrąca Balekin. – Zajmij się swoimi obowiązkami, seneszalu, ja zaś zaopiekuję się bratem. Ma on dziś obowiązki do spełnienia.

– Poślę po ciebie, gdy będziesz potrzebny – odpowiadam, usiłując bezczelnością zyskać choćby chwilową przewagę. Serce mi łomocze, obawiam się bowiem, że gdyby przyszło co do czego, nikt nie stanąłby po mojej stronie.

– Jude Duarte, masz natychmiast zostawić w spokoju Najwyższego Króla! – rozkazuje Balekin.

Słyszając ten surowy ton, Cardan na chwilę skupia wzrok. Widzę, jak stara się skoncentrować.

– Nie. Jude Duarte nie zostawi swojego Najwyższego Króla – oznajmia. – Rzekłem.

Ponieważ jemu sprzeciwić się nikt nie ma prawa, nawet w tym stanie, wreszcie mogę go

wyprowadzić. Niemały ciężar Najwyższego Króla spoczywa na mnie prawie przez całą drogę wiodącą przez korytarze pałacu.

ROZDIAŁ

28

Osobista straż Najwyższego Króla podąża w pewnej odległości za nami. Zadaję sobie pytania: jak go otruto? Kto dodał trucizny do napoju? Kiedy to się zdarzyło?

Zaczepiam służącego w korytarzu, posyłam gońców po Bombę lub jeśli jej nie znajdą, po alchemika.

– Nic ci nie będzie – uspokajam.

– Wiesz co – mówi Cardan, opierając się o mnie – to powinny być słowa otuchy, ale kiedy wymawiają je śmiertelnicy, znaczą zupełnie co innego. Taka nieskuteczna magia nadziei. Mówisz, że nic mi nie będzie, bo boisz się, że owszem, będzie.

Przez chwilę milczę.

– Zostałeś otruty – mówię po krótkiej chwili. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

Nie jest zdziwiony.

– A, tak. Balekin.

Sadzam go przed kominkiem w mojej komnacie. Opiera się plecami o kanapę. Dziwnie wygląda: półprzytomny, ubrany w piękne szaty, siedzi na zwykłym, prostym dywanie. I ta jego blada twarz, na której pojawiły się niezdrowe rumieńce.

Wyciąga rękę, przyciska moją dłoń do swojej twarzy.

– Śmieszne, tyle razy wytykałem ci, że jesteś śmiertelną istotą, a tu proszę. Wygląda na to, że mnie przeżyjesz.

– Nie, nie umrzesz – upieram się.

– Och, ile razy pragnąłem, żebyś nie umiała kłamać. Teraz jeszcze bardziej bym tego chciał.

Przechyla się na bok. Chwytam jeden z dzbanów, nalewam pełną szklanę. Przykładam do jego ust.

– Wypij jak najwięcej.

Nie odpowiada, zaczyna usypiać.

– Nie. – Klepię go po policzku, coraz silniej, a w zasadzie go policzkuję. – Nie wolno ci zasnąć.

Otwiera oczy, głos ma rozwlekły.

– Tylko na chwilę...

– Jeśli nie chcesz skończyć jak Severin z Fairfold, zamknięty na stulecia w szklanej trumnie, żeby śmiertelnicy mogli się fotografować z twoimi zwłokami, musisz starać się nie usnąć.

Poprawia się, próbuje się prosto.

– No, dobrze. Mów coś do mnie.

– Widziałam dzisiaj twoją matkę – mówię. – Wystrojoną. Przedtem widziałam ją w Wieży Zapomnienia.

– I zastanawiałas się, czy o niej zapomniałem? – pyta niedbałym tonem, a ja cieszę się, że nadal stać go na kpinę.

– Jeżeli jesteś w stanie żartować, to jeszcze nie jest z tobą tak źle.

– Przypuszczam, że ta moja zaleta odejdzie ostatnia. No, to opowiedz mi o mojej matce.

Próbuję pomyśleć o czymś, co nie będzie dla niej niepochlebne. Staram się wynaleźć coś w miarę neutralnego.

– Gdy pierwszy raz ją zobaczyłam, nie wiedziałam, kim jest. Chciała wolności w zamian za pewne informacje. I nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, jak bardzo się ciebie bała.

– I dobrze – odpowiada Cardan.

– Jak więc się stało, że dołączyła do twojego dworu?

– Chyba jednak trochę ją lubię – przyznaje.

Dolewam wody; Cardan pije, lecz na mój gust za wolno. Gdy tylko opróżnia szklanę, ponownie ją napełniam.

– Jest tyle pytań, które ja chciałabym zadać swojej mamie.

– Ale jakich? – Słowa zlewają się w jedno, ciągle jednak może mówić.

– Dlaczego wyszła za Madoka – mówię i pokazuję mu szklanę, którą posłusznie unosi do ust. – Czy go kochała i dlaczego go porzuciła, i czy była szczęśliwa w ludzkim świecie. I czy rzeczywiście kogoś zabiła, żeby upozorować własną śmierć w pożarze.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Zawsze zapominam o tym fragmencie opowieści.

Myślę, że warto już zmienić temat.

– A ty miałbyś takie pytania do twojego ojca?

– Tak. Dlaczego jestem taki, jaki jestem? – Z tonu jego głosu wynika, że raczej podpowiada pytania, które ja mogłabym zadać. – Nie ma prawdziwych odpowiedzi. Dlaczego byłem okropny wobec elfów? Dlaczego byłem taki okropny wobec ciebie? Dlatego, że mogłem. Bo sprawiało mi to przyjemność. Bo chwilami, kiedy byłem najgorszy, czułem, że mam władzę, że coś mogę, podczas gdy najczęściej czułem się zupełnie bezsilny. I co z tego, że byłem księciem i synem Najwyższego Króla elfów.

– To jest jakaś odpowiedź – stwierdzam.

– Tak uważasz? – A potem dodaje: – Powinnaś wyjść.

– Dlaczego?

Po pierwsze, to mój pokój, a po drugie, właśnie usiłuję go utrzymać przy życiu.

Spogląda na mnie poważnie.

– Bo będę rzygał.

Chwytam wiadro; bierze je ode mnie, a po chwili całym jego ciałem wstrząsają wymiotne konwulsje. Zawartość jego żołądka wygląda jak zmatowiałe liście. Wzdrygam się. Nie wiedziałam, że to tak się robi od gniewgrona.

Ktoś stuka do drzwi, idę otworzyć. Bomba, zdyszana. Wpuszczam ją do środka, nie patrzy na mnie, idzie prosto do Cardana.

– Masz – mówi, wyciągając małą buteleczkę. – To glina. Może wyciągnąć i wchłonąć truciznę.

Cardan kiwa głową. Przełyka zawartość buteleczki i krzywi się okrutnie.

– Smakuje jak ziemia.

– Bo to jest ziemia – informuje Bomba. – I jeszcze coś. Właściwie dwie rzeczy. Grimsen zniknął. Kiedy próbowaliśmy go schwytać, zastaliśmy kuźnię pustą. Musimy założyć najgorsze, że jest u Orlagh. Jeszcze to, dostałam coś takiego. – Wyciąga z kieszeni kartkę. – To od Balekina. Gładkie słówka i okrągłe zdania, które sprowadzają się do tego, że jeśli dasz mu koronę, Jude, on da ci antidotum.

– Koronę. – Cardan otwiera oczy. Nawet nie zauważyłam, kiedy je zamknął.

– Żąda, żebyś ją przyniosła do ogrodu, spotkacie się przy różach – wyjaśnia Bomba.

– Co będzie, jeżeli on nie dostanie antidotum? – pytam.

Bomba przykłada wierzch dłoni do policzka Cardana.

– Jest Najwyższym Królem na Elfhame, więc wspiera go moc jego ziemi. Ale jest już bardzo osłabiony. Poza tym nie wiem, czy on w ogóle ma pojęcie, jak się do tego zabrać, jak z niej czerpać. Wasza Wysokość?

Spogląda na nią kpiąco.

– A co to znowu za pomysły? Właśnie zezarłem całe mnóstwo ziemi, bo mi kazałaś.

Ja natomiast zastanawiam się nad jej słowami i próbuję sobie przypomnieć, co wiem o mocach Najwyższego Króla.

Prędzej nadciągają burze. Kolory są żywsze, zapachy ostrzejsze.

Tylko że to jakoś samo wyszło. Jestem pewna, że on tego nie zauważył, chociaż Kraina Elfów zaczęła się zmieniać, aby mu się przypodobać.

Na przyjęciu miesiąc temu mówił, że jego poddani – wedle jego słów moi poddani – nie wiedzą, kto naprawdę nimi rządzi.

Jeśli Cardan nie uważa się za prawdziwego króla na Elfhame, jeśli nie sięga świadomie do zasobów swojej mocy, to moja wina. Jeśli zabije go gniewgrono, to przeze mnie.

– Dostanę to antidotum – mówię.

Cardan zdejmuje koronę z głowy, patrzy na nią przez chwilę, jakby się zastanawiał, skąd taka błyskotka wzięła się w jego rękach.

– Jak zgubisz, nie będziesz mogła jej przekazać Dębowi. Chociaż muszę przyznać, że w razie mojej śmierci kwestia sukcesji i tak stanie się nieco skomplikowana.

– Już ci mówiłam, nie umrzesz. A ja korony wziąć nie zamierzam.

Idę do drugiego pokoju, przeglądam kieszenie. Narzucam płaszcz z głębokim kapturem i zakładam nową maskę. Jestem tak wściekła, że aż ręce mi się trzęsą. Gniewgrono, na które kiedyś byłam odporna, a to dzięki wytrwałemu truciu się małymi dawkami. Gdybym zdołała przy nich pozostać, może udałoby mi się przechytryć Balekina, tak jak kiedyś oszukałam Madoka. Jednak po moim przymusowym pobycie w królestwie Toni mam o jeden atut mniej, a gram o dużo wyższe stawki. W każdym razie straciłam odporność, jestem tak samo podatna na truciznę jak Cardan.

– Zostaniesz z nim? – pytam Bombę.

Przytakuje.

– Nie – oznajmia stanowczo Cardan. – Ona idzie z tobą.

Potrząsam głową.

– Bomba zna się na truciznach i na magii. Lepiej, żeby tu została, na wypadek gdyby ci się pogorszyło.

Nie zwraca na mnie uwagi, bierze ją za rękę.

– Liliver, jako twój król rozkazuję – mówi z wielką godnością osoby siedzącej na podłodze obok kubła z własnymi rzygowinami. – Idź z Jude.

Spoglądam na Bombę i widzę po jej twarzy, że nie przeciwstawi się rozkazowi króla. Złożyła przysięgę i nawet zdradziła mu swoje imię. On jest jej królem.

– Niech was – szepczę.

Ślubuję sobie w duchu, że zdobędę antidotum jak najprędzej, ale wcale przez to nie jest łatwiej mi go zostawić – wiem, że gniewgrono w każdej chwili może zatrzymać jego serce. Odprowadza nas spojrzeniem poszerzonych źrenic aż do drzwi, a w ręce trzyma koronę.



Balekin czeka na mnie w ogrodzie opodal kwitnącego krzewu srebrnobłękitnych róż. W ogrodzie nie jest pusto, w pewnej odległości inni dworzanie zażywają przechadzki o północy. Znaczy to, że Balekin nie może mnie zaatakować, ale ja również nie mogę mu nic zrobić.

W każdym razie nie tak, żeby ci inni się nie dowiedzieli.

– Bardzo się na tobie zawiodłem.

Do tego stopnia mnie zaskoczył, że aż się roześmiałam.

– Dlatego, że nie da się na mnie rzucić uroku? Tak, rozumiem, że to nieprzyjemna

świadomość.

Balekin aż się gotuje z wściekłości. Jest sam, nie ma przy nim nawet Vulcibera. Może sądzi, że jako ambasador krainy mórz jest nietykalny.

Wspominam, jak mnie traktował i że nakłonił Orlagh do napaści na ziemię elfów. Dobrze pamiętam, że otruł Cardana. Czuję gniew, jednak staram się trzymać go na wodzy, aby móc zrobić to, co zrobione być musi.

– Przyniosłaś koronę?

– Jest niedaleko – zapewniam go, niezgodnie z prawdą. – Zanim ci ją przekażę, chcę zobaczyć antidotum.

Wyjmuje buteleczkę z kieszeni, jest prawie taka sama jak ta, którą mi dał. Wyciągam swoją, potrząsam.

– Gdyby mnie z tym przyłapali, z miejsca by mnie skazano na śmierć. O to ci chodziło, prawda?

– Nadal ktoś cię może skazać na śmierć – stwierdza.

– Robimy tak. – Wyciągam korek z butelki. – Napiję się trucizny, a potem ty mi podasz antidotum. Jeżeli na mnie zadziała, przyniosę ci koronę i w zamian wezmę antidotum dla Cardana. Jeżeli nie, to pewnie umrę, ale korona przepadnie na zawsze. Czy Cardan przeżyje, czy umrze, jest tak ukryta, że nigdy jej nie znajdziesz.

– Grimsen może sporządzić nową – przypomina Balekin.

– Skoro tak, to po co tracisz czas na rozmowę ze mną?

Grymas na twarzy Balekina zdradza, że być może karzeł jednak nie przeszedł całkowicie na stronę Orlagh. Może po prostu zniknął, uprzednio zadbawszy, żeby wszyscy wszystkim skoczyli do gardła.

– Ukradłaś mi tę koronę.

– Trudno zaprzeczyć – przyznaję. – Teraz mogę ci ją oddać, ale nie za darmo.

– Ja nie umiem kłamać, śmiertelniczko. Skoro mówię, że dam ci antidotum, to je dostaniesz. Moje słowo jest dostateczną gwarancją.

Patrzę na niego spode łba tak nieprzychylnie, jak tylko potrafię.

– Wszyscy wiedzą, że nie wolno się układać z elfami. Co z tego, że nie kłamiecie, skoro potraficie zwodzić i łudzić. Jeśli rzeczywiście masz antidotum, to co ci szkodzi, że się otruję? Myślę, że nawet byś się ucieszył.

Spogląda na mnie uważnie. Na pewno się wścieka, że nie udało się na mnie rzucić uroku. Musiał się mocno zaniepokoić, kiedy pospiesznie wyprowadziłam Cardana z sali tronowej. Czy od początku miał to antidotum pod ręką? Czy od razu sądził, że zdoła namówić Cardana do abdykacji i ukoronowania starszego brata? Czyżby naprawdę przypuszczał, że po jego stronie stanie Wieczna Rada, a przynajmniej mu się nie sprzeciwi?

– Doskonale – odpowiada. – Jedna dawka odtrutki dla ciebie, reszta dla Cardana.

Odkorkowuję otrzymaną od niego fiołkę, jednym haustem wypijam całą jej zawartość.

Krzywię się. Znowu się na siebie wściekam, kiedy sobie przypomnę, jak trąłam się całymi miesiącami – wszystko na nic.

– Czujesz, jak gniewgrono już rozkłada twoją krew? Na ciebie działać będzie szybciej niż na kogoś z nas. A w dodatku zażyłaś sporą dawkę. – Patrzy na mnie z dzikim wyrazem twarzy, na pewno żałuje, że nie może pozwolić mi umrzeć. Gdyby tylko mógł tak po prostu odejść i zostawić mnie na pastwę trucizny. Zresztą przez chwilę odnoszę wrażenie, że to właśnie robi.

Jednak podchodzi do mnie i odkorkuje swoją buteleczkę.

– Nie myśl sobie, że dam ci ją do ręki – mówi. – Otwórz usta jak ptaszyna, a dostaniesz swoją dawkę. A potem dasz mi koronę.

Posłusznie otwieram usta, pozwalam, by wpuścił do nich gęstą, gorzką substancję przypominającą miód. Cofam się zaraz, przywracając dystans między nami – tak, żeby znaleźć się bliżej wejścia do pałacu.

– Zadowolona?

Wypluвам antidotum do szklanej buteleczki, tej, którą mi dał, tej, w której kiedyś był wyciąg z gniewgrona, ale którą dopiero co wypełniłam wodą.

– Co ty wyprawiasz? – dziwi się.

Zatykam buteleczkę korkiem, rzucam ją Bombie, która z wdziękiem chwyta odtrutkę i znika. Balekin gapi się na mnie.

– Coś ty zrobiła?

– Oszukałam cię. Gra pozorów, dezinformacja. Wylałam twoją truciznę i umyłam butelkę. Ciągłe zapominacie, że ja też tu się wychowałam i że mną tak samo niebezpiecznie jest się układać. Zwłaszcza że, jak widać, umiem kłamać. Co więcej, jak kiedyś mi przypomniałeś, muszę się spieszyć, bo mam mało czasu.

Dobry miecz. Długie, wąskie ostrze. To chyba nie jest ten sam miecz, którym walczył z Cardanem w sali na wieży, ale kto wie.

– Jesteśmy na widoku – przypominam mu. – Przy tym nadal jestem seneszalem Najwyższego Króla.

Rozgląda się i dopiero teraz zauważa przechadzających się dworzan.

– Zostawcie nas samych – woła do nich donośnym głosem.

Nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego może zrobić, ale on jest przyzwyczajony do tego, że jest księciem, że rozkazuje i jego polecenia zostają wykonane.

Rzeczywiście, spacerowicze odchodzą, rozpluwając się w cieniach, umożliwiając nam odbycie pojedynku, który zdecydowanie odbyć się nie powinien. Wsuwam dłoń do kieszeni, dotykam rękojeści noża. Nie ma takiego zasięgu jak miecz. Madok wygłosił kiedyś jedną ze swoich maksym: *Miecz to broń na wojnę, sztylet to broń dla mordercy*. Pewnie, że lepiej mieć nóż, niż być bezbronną, ale w tej chwili najbardziej pragnęłabym mieć w dłoni Brzask.

– Czy dajesz mi do zrozumienia, że chcesz stoczyć ze mną pojedynek? – pytam. – Jestem

pewna, że nie pragnąłbyś zhańbić się walką, w której masz tak wielką przewagę.

– Myślisz, że wierzę w twój rzekomy honor? – odpowiada i trzeba przyznać mu rację, bo z tym u mnie nie najlepiej. – Tchórzysz. Taki sam z ciebie tchórz jak z tego twojego ojczyma.

Zbliża się, gotów zaatakować, niezależnie od tego, czy mam broń, czy nie.

– Madok?

Dobrywam noża. Nie jest mały, ale i tak ponad dwa razy krótszy od głowni, którą Balekin zamierza się na mnie.

– To był plan Madoka, żeby uderzyć podczas koronacji. Zakładał, że gdy usuniemy z drogi Daina, Eldred przejrzy na oczy i mnie ukoronuje. Wszystko to uknuł, a mimo to zachował stanowisko głównodowodzącego i generała, podczas gdy mnie wtrącono do Wieży Zapomnienia. Czy choć kiwnął palcem, żeby mi pomóc? Nic podobnego. Ugiął kolano przed moim bratem, którym gardzi. A ty jesteś taka sama jak on, gotowa płaszczyć się i żebrać, i poniżać, byle tylko zdobyć władzę.

Szczerze wątpię, by Madok kiedykolwiek rzeczywiście brał pod uwagę osadzenie na tronie Balekina, raczej utrzymywał go w tym złudzeniu, ale w słowach Balekina coś jest. Przez całe życie starałam się nie rzucać nikomu w oczy, mając nadzieję, że w ten sposób zdobędę dla siebie jakieś stanowisko u dworu, zaś potem, kiedy dokonałam największego z możliwych wyczynów, tym bardziej musiałam skrywać swoje umiejętności.

– Nie – odpowiadam. – Nic podobnego.

Znowu się dziwi. Nawet w Wieży Zapomnienia, gdzie był więźniem, pozwoliłam, żeby Vulciber mnie uderzył. W krainie mórz udawałam, że w ogóle nie mam żadnej godności. Dlaczego miałby sądzić, że mam nieco inne mniemanie o sobie?

– To ty poddałeś się rozkazom królowej Orlagh, zamiast pozostać lojalnym wobec własnego brata. Ty jesteś tchórzem i zdrajcą. Mordercą, który przelał krew swoich bliskich. A najgorsze z tego wszystkiego, że jesteś głupcem.

Obnaża zęby, rusza w moją stronę, a ja mam okazję przypomnieć sobie, że moim największym i jakże kłopotliwym talentem jest umiejętność doprowadzania elfów do furii.

– No, biegnij – ponagla mnie. – Ucieknij, jak na tchórza przystało.

Cofam się, ale tylko o krok.

Musisz uśmiercić księcia Balekina. To były słowa Dulcamary, ale teraz nie słyszę jej głosu, tylko swój własny, ochrypły od morskiej wody, przerażony, przeziębiony i samotny.

Wracają do mnie dawno wypowiedziane słowa Madoka: *Czymże jest szermierka, jeśli nie grą strategiczną rozgrywaną w błyskawicznym tempie?*

Nie walczy się po to, żeby stoczyć piękną walkę. Walczy się po to, żeby zwyciężyć.

Długość głowni daje mu przewagę, paskudną przewagę. W dodatku jestem osłabiona po pobycie u królowej Orlagh. Balekin może trzymać dystans, a ja nie będę w stanie nawet się do niego zbliżyć. Spokojnie i systematycznie pokroi mnie na kawałki. Jedyna moja szansa to

szybkie skrócenie dzielącej nas odległości. Muszę znaleźć się wewnątrz jego gardy. Muszę się na niego rzucić.

Będę miała tylko jedną szansę.

Krew huczy mi w uszach.

Balekin rozpoczyna wypad; zasłaniam się nożem, blokując jego miecz u samej rękojeści, potem lewą ręką chwytam go za przedramię. Wykręcam, jakbym chciała go rozbroić. Szarpie nim, by się wyzwolić z mojego chwytu i w ten sposób odsłania szyję.

– Stój – krzyczy. – Podd...

Krew z przeciętej arterii cieknie po mojej ręce, tryska obficie na trawę, czerwieni się na moim nożu. Balekin chwieje się, pada martwy na ziemię.

Wszystko to dzieje się tak szybko.

Wszystko to dzieje się zbyt szybko.

Chciałabym jakoś zareagować. Na miejscu byłoby nerwowe drżenie czy mdłości. Może nawet chciałabym się rozplakać. Chciałabym być kimkolwiek innym niż tą osobą, którą jestem, bo ja tylko się rozglądam, czy nikt nie widział, wycieram ostrze noża, potem rękę o jego strój i odchodzę, zanim pojawi się straż.

Te drobne rączki potrafią dobrze zabijać.

Gdy spoglądam za siebie, oczy Balekina są nadal otwarte, wpatrzone w nicość.



Cardan siedzi na kanapie. Wiadro znikło, Bomby też nie ma.

Spogląda na mnie z leniwym uśmiechem.

– Twoja suknia. Znowu ją włożyłaś.

Patrzę na niego zmieszana. Trudno mi się pogodzić z konsekwencjami tego, co właśnie zrobiłam, choćby z tym, że muszę o wszystkim powiedzieć Cardanowi. Jednak rzeczywiście, mam na sobie suknię od Mateczki Szpik. Teraz na rękawie jest krew, ale poza tym to nadal ta sama suknia.

– Czy coś się wydarzyło? – pytam.

– Czy ja wiem? – odpowiada zdziwiony. – Trudno powiedzieć. Udzieliłem łaski, o którą prosił twój ojciec. Czy jest bezpieczny?

Łaski?

Mój ojciec?

Madok. Oczywiście. Madok mi groził, Madok oburzał się na Cardana. Tylko co on takiego zrobił i co to ma wspólnego z suknią?

– Posłuchaj mnie – mówię, starając się zachować spokój. Podchodzę do kanapy, siadam.

Nie jest wcale mała, leży na niej ułożony na poduszkach Cardan. Choćbym siedła jak najdalej od niego i tak wydaje mi się, że jestem za blisko. – Musisz mi powiedzieć, co się zdarzyło. Nie było mnie tutaj przez ostatnią godzinę.

Dziwi się jeszcze bardziej.

– Jak to? Pojawiła się Bomba z antidotum – odpowiada – i powiedziała, że ty też zaraz przyjdiesz. Jeszcze mocno kręciło mi się w głowie, kiedy przyszedł strażnik i odwołał ją w jakiejś pilnej sprawie. Potem weszłaś ty, tak jak Bomba to zapowiadała. Powiedziałaś, że masz plan...

Patrzy na mnie; czeka, aż sobie przypomnę i wszystko się wyjaśni. Jednak, rzecz jasna, nie mam co sobie przypomnieć.

Po chwili Cardan zamyka oczy i kręci głową.

– Taryn.

– Nie rozumiem – mówię, bo nie chcę zrozumieć.

– Wyjaśniłaś mi... Wyjaśniła mi, że Madok z połowy naszych wojsk utworzy samodzielną armię, ale żeby móc skutecznie działać, musi zostać zwolniony z przysięgi złożonej Koronie. Miałaś na sobie swój kaftan, jeden z tych, które zawsze nosisz. I te takie dziwne kolczyki. Księżyc i gwiazdka. – Znów kręci głową.

Przechodzi mnie zimny dreszcz.

Przed laty, jeszcze w śmiertelnym świecie, często zamieniałyśmy się z Taryn miejscami, żeby spłatać figła naszej matce. Nawet w Krainie Elfów tego próbowałyśmy, żeby się przekonać, co nam ujdzie na sucho. Czy preceptor się zorientuje? A Oriana? Madok? A Dąb?

A wspaniały i potężny Najwyższy Król Cardan?

– Ale jak ona cię zmusiła do zgody? – pytam. – Ona nie ma takiej mocy. Mogła mnie udawać, ale nie mogła cię zmusić...

Długimi palcami dłoni podpira głowę.

– Nie musiała mi rozkazywać. Nie musiała uciekać się do żadnej magii. Ufam ci. Ufałem ci.

A ja ufałam Taryn.

Kiedy się rozprawiałam z Balekinem, kiedy Cardan był zdezorientowany, oszołomiony trucizną, Madok wykonał swój ruch przeciwko Koronie. Przeciwko mnie.

Umożliwiła mu to jego córka. Taryn.

ROZDIAŁ

29

Najwyższego Króla przeniesiono do jego sypialni, aby mógł wypocząć. Ja wrzucam swoją poplamioną krwią suknię do ognia, wkładam szlafrok i zaczynam rozmyślać.

Zapewne żaden z odprawionych przez Balekina dworzan nie widział mojej twarzy, poza tym miałam na głowie kaptur, więc może mnie nie rozpoznano. Do tego, jak wiadomo, umiem kłamać. Jednak kwestia, jak uniknąć konsekwencji zamordowania ambasadora podwodnego królestwa mocno błędnie wobec kłopotu, który sprawił Madok.

Połowa armii przepadła razem z wodzem. Jeśli teraz Orlagh postanowi uderzyć, nie mam pojęcia, jak ją odeprzeć. Cardan jak najprędzej będzie musiał wybrać nowego głównodowodzącego.

Będzie też musiał zawiadomić niższe dwory o odejściu Madoka, żeby stało się powszechnie wiadomo, że nie przemawia on głosem Najwyższego Króla. Musi być jakiś sposób, żeby sprowadzić Madoka z powrotem na Najwyższy Dwór. Mój ojczym jest dumny, ale i praktyczny. Być może rozwiązanie wiąże się z osobą Dęba. Może powinnam jaśniej mu przedstawić swoje zamiary. Rozmyślania przerywa mi pukanie do drzwi.

Stoi za nimi posłanka, dziewczyna o liliowej skórze odziana w królewską liberię.

– Najwyższy Król żąda twojej obecności. Mam cię zaprowadzić do jego komnat.

Oddycham głęboko. Może i nikt mnie nie widział, ale przecież Cardan musi się domyślić. Wie, z kim się spotkałam i że z tego spotkania wróciłam późno. Może widział też krew na moim rękawie. *To ty wydajesz rozkazy Najwyższemu Królowi, nie odwrotnie* – powtarzam w myśli, ale nie przekonuję tym nawet samej siebie.

– Tylko się przebiorę.

Dziewczyna kręci głową.

– Najjaśniejszy pan wyraźnie powiedział, że masz przyjść od razu.

Kiedy znajduję się w królewskich apartamentach, zastaję tam Cardana samego, w prostym stroju. Siedzi na fotelu przypominającym tron. Jest blady, jego oczy wciąż jeszcze za bardzo błyszczą, być może resztki trucizny nadal krążą w jego żyłach.

– Proszę – mówi. – Usiądź.

Nie wiem, czego się spodziewać.

– Kiedyś złożyłaś mi pewną propozycję – powiada. – Teraz ja mam propozycję dla ciebie.

Zwróć mi moją wolę. Zwróć mi wolność.

Jestem zaskoczona, chociaż pewnie nie ma w tym nic dziwnego. Nikt nie chce pozostawać pod stałą kontrolą innej osoby, nawet jeśli równowaga władzy między nami waha się i różnie wygląda. Moja władza nad królem to jak balansowanie na ostrzu noża, coś prawie niemożliwego i prawdopodobnie niebezpiecznego. Jednak nie mogę tej władzy się wyrzec. Straciłabym wtedy zupełnie wszystko.

– Wiesz, że tego nie zrobię.

Moja odmowa go nie dziwi, ale i nie zniechęca.

– Wysłuchaj mnie. Chciałabyś mojego posłuszeństwa dłużej niż przez rok i dzień, a tu ponad połowa twojego czasu już upłynęła. Czy jesteś gotowa posadzić Dęba na tronie?

Przez chwilę się nie odzywam, bo mam nadzieję, że to pytanie retoryczne. Kiedy dociera do mnie, że nie, potrząsam głową.

– Więc chciałabyś przedłużyć okres mojego ślubowania. Tylko jak to sobie wyobrażasz?

Znow brak mi odpowiedzi. W każdym razie dobrej.

Uśmiecha się.

– Bo sądzisz, że już nie mam o co się targować.

Zdarzało mi się go nie doceniać i mam wrażenie, że to właśnie jeden z tych przypadków.

– Jakie targi wchodzi w grę? – pytam. – Jak możemy się układać, jeżeli ja bym chciała, żebyś powtórzył to ślubowanie co najmniej jeszcze na rok, a lepiej na dziesięć lat, zaś ty chcesz się ode mnie uwolnić?

– Twój ojciec i siostra mnie oszukali – podejmuje Cardan. – Gdyby Taryn wydała mi rozkaz, wiedziałbym, że to nie ty. Ale byłem chory, zmęczony i nie chciałem ci się sprzeciwiać. Nawet nie pytałem, po co i dlaczego. Chciałem pokazać, że możesz mi zaufać, że mogę coś dla ciebie zrobić bez rozkazu. Chciałem pokazać, że wierzę w ciebie i skoro coś postanowiłaś, to na pewno to przemyślałaś. Tylko że tak nie można rządzić. To nawet nie jest prawdziwe zaufanie: ufasz czy nie, a i tak ktoś ci może wydać rozkaz. Niepotrzebnie skakaliśmy sobie do gardeł i nie było to z korzyścią dla kraju. Ty usiłowałaś mnie zmusić, żebym zrobił to, co uważałaś za konieczne, a kiedy się nie zgadzaliśmy, mogliśmy tylko z lepszym lub gorszym skutkiem wzajemnie sobą manipulować. To się nie sprawdzało. Nie może tak być dalej. Najlepszym dowodem jest to, co się dzisiaj wydarzyło. Muszę mieć możliwość podejmowania własnych decyzji.

– Kiedyś mówiłaś, że nie masz nic przeciwko moim rozkazom – przypominam, ale to słaby żart i Cardan nawet się nie uśmiecha.

Odwraca wzrok, jakby unikał mojego spojrzenia.

– W takim razie to jeszcze jeden powód, żebym się wyrzekł tego luksusu. Uczyniłaś mnie Najwyższym Królem, Jude, więc pozwól mi nim być.

Krzyżuję ramiona na piersi.

– A czym ja będę? Służącą?

Nie sposób odmówić mu racji i jest to przykre, bo przecież nie mogę spełnić jego prośby. Nie teraz, kiedy zagraża nam Madok, kiedy jest tyle innych problemów. Nie mogę się usunąć. Pamiętam też, co mówiła Bomba, że Cardan może nie wiedzieć, w jaki sposób przywołać moc swojej ziemi. I o słowach Karakana, że Cardan może się uważać za szpiega, który bawi się w monarchę.

– Wyjdź za mnie – mówi. – Zostań królową na Elfhame.

Odbieram to jak kubeł lodowatej wody, jakby ktoś mi zrobił wyjątkowo okrutne świństwo. Jakby zajrzał w samo serce i dostrzegł tam najśmieszniejsze, najbardziej dziecinne pragnienie małej dziewczynki, a potem wykorzystał je przeciwko mnie.

– Nie możesz...

– Ależ mogę – odpowiada. – Owszem, królowie i królowe rzadko zawierają małżeństwa dla innych powodów niż polityczne alianse, ale możesz to właśnie uznać za coś w rodzaju sojuszu. Mogłabyś rządzić i wydawać własne rozkazy, a ja stałbym się wolny.

Zaledwie kilka miesięcy temu mogłam tylko marzyć o jakiegokolwiek pozycji u dworu, snuć nadzieje na powołanie do stanu rycerskiego, a przecież nie zdobyłam nawet tego.

Ironia losu polega na tym, że ten sam Cardan, który wtedy upierał się, że jestem tu obca i nie przynależę do Krainy Elfów, teraz proponuje mi coś tak niebywałego.

– Co więcej – mówi dalej Cardan – nie oznacza to związku na zawsze. Małżeństwa królewskie trwają, dopóki małżonkowie sprawują rządy, lecz w naszym przypadku nie musi to być długo. Tylko do czasu, kiedy Dąb osiągnie odpowiedni wiek, aby objąć tron. Oczywiście pod warunkiem, że będzie tego chciał. Możesz mieć wszystko, czego zechcesz, a jedyną ceną za to jest zwolnienie mnie z przysięgi posłuszeństwa.

Serce mi tak wali, że nie wiem, czy to wytrzyma.

– Mówisz poważnie? – udaje mi się wreszcie wykrztusić.

– Oczywiście. Poważnie i szczerze.

Dopatruję się w tym wszystkim jakiejś sztuczki, bo to musi być jeden z tych elfowych układów, które wyglądają doskonale, a potem okazują się czymś zupełnie odmiennym.

– Niech no zgadnę, w zamian za obietnicę ślubu mam cię zwolnić z przysięgi posłuszeństwa, tak? Potem zaś ten ślub nastąpi w miesiącu nigdy, kiedy księżyc wzejdzie na zachodzie, a rzeki odmienią swój bieg.

Kręci głową, śmieje się.

– Jeśli się zgodzisz, weźmiemy ślub dziś w nocy – mówi. – Nawet teraz. Tutaj. Wymienimy ślubowania i po wszystkim. To nie jest małżeństwo śmiertelników, które trzeba zawrzeć przed kimś i wobec świadków. Ja nie mogę kłamać, więc nie mogę się ciebie wyprzeć.

– Ale twoje ślubowanie posłuszeństwa wkrótce wygaśnie – mówię, bo pomysł jest bardzo kuszący. Nie tylko należeć do tego dworu, lecz stanąć na jego czele. Aż trudno się nie zgodzić, niezależnie od konsekwencji. – Przecież to tylko kilka miesięcy, to nie będzie aż

tak trudne, żebyś musiał się ze mną wiązać na lata.

– Jak kiedyś mówiłem, przez rok i dzień wiele może się zdarzyć. Już przez połowę tego czasu wiele się zdarzyło.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, próbuję się zastanawiać. Przez ostatnie siedem miesięcy niemal bezustannie dręczyła mnie kwestia, co stanie się po upływie roku i jednego dnia. Cardan proponuje mi teraz rozwiązanie, ale wydaje się ono zupełnie niepraktyczne. To jest jakiś pomysł rodem z marzeń, można by go sobie wymyślić podczas drzemki w zacisznej omszałej dolince, jednak to marzenie jest zbyt wstydlive, żeby się zwierzyć z niego choćby siostrze.

Śmiertelne dziewczyny nie zostają królowymi elfów.

Wyobrażam sobie, jakby to było – mieć własną koronę i własną władzę. Może nie musiałabym się go bać i wreszcie mogłabym go kochać. Może wszystko poszłoby dobrze. Może nie musiałabym się obawiać tych wszystkich rzeczy, które przez całe życie napawają mnie lękiem: bycia pomiataną, słabą, bezbronną istotą. Może sama stałabym się troszeczkę magiczna.

– Tak – mówię, ale zawodzi mnie głos. Zabrakło mi tchu. – Tak.

Pochyliła się, unosi brwi, ale jednak nie przybiera swej zwykłej aroganckiej pozy. Ma tajemniczy wyraz twarzy.

– Na co się godzisz?

– No, dobrze – mówię. – Zrobię to. Wyjdę za ciebie.

Uśmiecha się przekornie.

– Nie wiedziałem, że to aż takie poświęcenie.

– Przecież wiesz, że nie to mam na myśli.

– Zostać małżonką Najwyższego Króla na Elfhame to w powszechnym mniemaniu zaszczyt i wyróżnienie, którego mało która niewiasta jest godna.

No tak, udało mu się przez jakiś czas zachować powagę, ale nie na długo. Dobrze, że znów zachowuje się naturalnie, dzięki temu łatwiej mi będzie udawać, że to, co ma się zdarzyć, nie zwała mnie z nóg.

– To co teraz?

Pamiętam ślub Taryn i tę część ceremonii, która odbyła się bez świadków. Myślę też o ślubie mojej matki i przysiędze, którą złożyła Madokowi; przechodzi mnie dreszcz i mam nadzieję, że nie ma to nic wspólnego z przecuciem.

– To proste – odpowiada, przesuwając się bliżej krawędzi fotela. – Wymienimy przysięgi małżeńskie. Ja pierwszy, chyba że jeszcze chcesz poczekać. Może sobie wyobrażałaś coś bardziej romantycznego.

– Nie – odpowiadam natychmiast, żeby nie przyznać, że w ogóle o żadnym małżeństwie nie myślałam.

Zdejmuje z palca mój rubinowy pierścionek.

– Ja Cardan, syn Eldreda, Najwyższy Król na Elfhame, biorę sobie ciebie, Jude Duarte, śmiertelną wychowaną Madoka, za swoją żonę i swoją królową. Pozostanemy małżeństwem, dopóki nie przestaniemy tego pragnąć i dopóki korona znajdować się będzie w naszych rękach.

Słuchając jego słów, nie mogę opanować drżenia. Nadzieja i lęk. Wypowiedziane przez niego słowa brzmią tak uroczyście, że aż nierealnie. Szczególnie tutaj, w komnatach Eldreda. Czas jakby stanął w miejscu. Gałęzie nad nami zaczynają wypuszczać pąki, tak jakby ziemia usłyszała wypowiedziane przez niego słowa.

Bierze mnie za rękę, zakłada pierścionek na mój palec. Wśród elfów nie ma tego zwyczaju, więc jestem zdziwiona.

– Teraz twoja kolej – rozlega się w ciszy jego głos. Potem uśmiecha się. – Liczę, że dotrzymasz słowa i zwolnisz mnie potem z przysięgi.

Odpowiadam uśmiechem, próbując się otrząsnąć z wrażenia, jakie na mnie zrobiła jego przysięga. Nadal nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Zaciskam dłoń na jego dłoni.

– Ja, Jude Duarte, biorę sobie ciebie Cardana, Najwyższego Króla na Elfhame, za swojego męża. Bądźmy małżeństwem, dopóki nie przestaniemy tego chcieć i dopóki korona pozostanie w naszych rękach.

Cardan całuje szramę na mojej dłoni.

A ja nadal mam krew jego brata pod paznokciami.

Nie mam pierścionka, który mogłabym mu wręczyć.

Nad nami kwitną kwiaty, ich aromat wypełnia komnatę.

Przemawiam znowu, odpychając myśli o Balekinie, choć w końcu będę musiała wyznać Cardanowi, co zrobiłam.

– Cardanie, synu Eldreda, Najwyższy Królu na Elfhame, rezygnuję z wszelkiej władzy nad tobą. Zwalniam cię z przysięgi posłuszeństwa teraz i na zawsze.

Oddycha głęboko, jakby nawet się chwieje. Do mnie jeszcze nie dociera, że odtąd jestem... Nawet te słowa są nie do pojęcia. Zbyt wiele wydarzyło się tej nocy.

– Wyglądasz, jakbyś niewiele odpoczywał. – Na wszelki wypadek wstaję, żeby go podtrzymać, gdyby stracił równowagę i miał upaść. Co prawda, swoich sił też nie jestem taka pewna.

– Położę się – mówi, dając się prowadzić do swojego wielkiego łóża, lecz gdy się do niego zbliżamy, nie puszcza mojej dłoni. – Położę się, jeśli ty położysz się ze mną.

Poczucie odrealnienia jeszcze narasta. Gdy kładę się na misternie haftowanej pościeli, uświadamiam sobie, że udało mi się znaleźć coś jeszcze bardziej bluźnierczego niż wylegiwanie się w łóżu Najwyższego Króla, bardziej jeszcze niż posługiwanie się sygnetem Cardana albo nawet zasiadanie na tronie.

Zostałam mianowicie królową elfów.



Zmęczeni, w ciemnościach wymieniamy pocałunki. Nie spodziewałam się, że zasnę, lecz usypiamy spleceni w uścisku. To pierwszy krzepiący sen po moim powrocie spod powierzchni wód. Budzi mnie łomotanie do drzwi.

Cardan już wstał, bawi się flaszeczką, w której Bomba przyniosła mu glinę; przerzuca szkiełko z ręki do ręki. Nadal jest ubrany, wymięty strój nadaje mu tylko bardziej rozpustny wygląd. Owijam się ciaśniej szlafrokiem, zawstydzona, że przyłapano mnie w tak oczywisty sposób na dzieleniu z nim łoża.

– Najjaśniejszy panie – odzywa się posłaniec. To rycerz. – Twój brat nie żyje. Chyba odbył się pojedynek.

– Aha – odpowiada Cardan.

– I przybyła królowa Toni – głos rycerza drży – i żąda sprawiedliwości za śmierć swojego ambasadora.

– Trudno jej się dziwić. – Głos Cardana jest oschły, stanowczy. – Cóż, nie wypada, żeby czekała. Jak się nazywasz?

– Rannoch, Najjaśniejszy Panie – odpowiada rycerz niepewnym głosem.

– Szlachetny Rannochu, zgromadź dla mnie orszak rycerzy. Udajemy się nad wodę. Czekać na dziedzińcu.

– Ale generał... – zaczyna Rannoch.

– Generała akurat nie ma – kończy za niego Cardan.

– Tak jest – woła służbiście rycerz. Słyszę, jak zamykają się drzwi, w komnacie pojawia się Cardan. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Cóż, żono – mówi do mnie lodowatym głosem. – Jak widzę, zachowałeś w swoim wianie jeszcze co najmniej jeden sekret. Chodź, musimy się przebrać do pierwszej wspólnej audiencji.

Nie ma czasu na tłumaczenia, zresztą nie ma też dobrego wytłumaczenia.

Muszę biec do swoich komnat w szlafroku. Tam każę podać sobie miecz, potem ubieram się w aksamity, jednocześnie zastanawiając się, co zmieni się w moim życiu w związku z tak niespodziewaną zmianą pozycji oraz co Cardan uczyni z odzyskaną wolnością.

ROZDIAŁ

30

Orlagh czeka na powierzchni wzburzonego oceanu w towarzystwie córki i oddziału rycerzy na fokach, rekinach oraz wszelkich innych ostrożnych morskich stworach. Sama dosiada orki, a odziana jest w lśniącą srebrzyście zbroję z łusek, które wyglądają, jakby były metalowe, ale wyrastają z jej skóry. Włosy władczyni skrywa szyszak z kości i zębów.

Obok niej dostrzegam Nicassię na grzbiecie rekina. Dzisiaj nie ma ogona, jej długie nogi również pokrywają łuski.

Wzdłuż plaży, jak okiem sięgnąć, leżą kłęby morskoczynu wyrzucone na brzeg niczym po sztormie. W wodzie dopatrzyć się też można innych stworzeń. Tuż pod falami pływa jakiś olbrzym, widać tylko jego czarny grzbiet. Przy brzegu w wodzie falują jak wodorosty włosy utopionych śmiertelników. Siły Toni są liczniejsze, niż mogłoby się zdawać na pierwszy rzut oka.

– Gdzie mój ambasador? – odzywa się Orlagh. – Gdzie twój brat?

Cardan dosiada szarego rumaka, ubrany jest na czarno, okrywa go szkarłatny płaszcz; towarzyszą mu dwa tuziny konnych rycerzy oraz Mikkel i Nihuar. Po drodze radcy próbowali poznać zamiary Cardana, lecz niczego im nie zdradził. A bardziej trapi mnie fakt, że ze mną także nie rozmawiał. Odkąd usłyszał o śmierci Balekina, odzywał się mało i unikał mojego spojrzenia. Bardzo się niepokoję.

Na Orlagh spogląda zimno; wiem z doświadczenia, że najczęściej oznacza to albo gniew, albo strach. Być może jedno i drugie jednocześnie.

– Jak dobrze wiesz, królowo, mój brat nie żyje.

– A twoim obowiązkiem było zapewnić mu bezpieczeństwo – oświadcza Orlagh.

– Ej, czyżby? – pyta z udawaną przesadą Cardan i przykłada dłoń do piersi. – Sądziłem, że moim obowiązkiem jest nie występować przeciwko niemu, nie zaś chronić go przed konsekwencjami jego własnych ryzykownych posunięć. Dotarły do mnie plotki, że wdał się w jakiś pojedynek. Otóż pojedynki, jak może wiesz, królowo, właśnie bywają niebezpieczne. Jednak ani go nie zamordowałem, ani nikogo do tego nie zachęcałem. Przeciwnie, jeśli mnie pamięć nie myli, nawet tych i owych zniechęcałem.

Staram się nie okazać żadnych emocji.

Orlagh pochyła się, jakby czuła w wodzie krew.

- Nie powinieneś pozwolić na takie nieposłuszeństwo.
- Może i nie – odpowiada Cardan, niedbale wzruszając ramionami.

Mikkel porusza się niespokojnie. Wyraźnie nie odpowiada mu sposób, w jaki Cardan zwraca się do Orlagh, ten ton lekki i niedbały – jakby odbywał z nią przyjacielską pogawędkę, podczas gdy ona przybywa, aby stąpić ostrze jego władzy, osłabić panowanie. Gdyby dowiedziała się, że Madok odszedł, mogłaby natychmiast uderzyć.

Kiedy na nią patrzę, kiedy widzę pogardliwy wyraz twarzy Nicassii, otaczające je selkie i dziwne, mokre oczy wodników, czuję się bezsilna. Zrezygnowałam z władzy nad Cardanem i jedyne, co otrzymałam w zamian, to jego ślubną przysięgę. Skoro jednak nikt o tym nie wie, coraz bardziej wydaje mi się to bez znaczenia, jakby się nigdy nie wydarzyło.

– Domagam się sprawiedliwości. Balekin był moim ambasadorem. Nawet jeśli uważasz, że nie byłeś mu winien zapewnić opieki, ja uważam, że znajdował się pod moją ochroną. Musisz wydać zabójczynię Toni, gdzie nie może liczyć na litość. Wydadz nam swojego seneszala, Jude Duarte.

Przez chwilę nie mogę oddychać. Jakbym znowu tonęła.

Cardan robi uprzejmą, zdziwioną minę. Nadal przemawia beztroskim głosem:

– Przecież ona dopiero od was wróciła.

– A więc nie przecyzysz, że jest winna tej zbrodni? – pyta Orlagh.

– A czemu miałbym przecyzyc? – pyta uprzejmie Cardan. – Jeśli z nią się pojedyńkował, nic dziwnego, że zginął. Mój brat zdecydowanie przeceniał swoją szermierczą biegłość. Duży błąd. Zaś co do ukarania jej, to już do mnie należy, jeśli tylko uznam za stosowne, by tak uczynić.

Nienawidzę, kiedy w mojej obecności ktoś mówi o mnie tak, jakby mnie tam nie było, pomijając już fakt, że dopiero co został moim mężem. Z drugiej strony, gdyby ambasadora zabiła królowa, problem polityczny byłby jeszcze gorszy.

Orlagh nawet nie spogląda w moją stronę. Prawdopodobnie uważa, że skoro w zamian za mój powrót z Toni Cardan poczynił duże ustępstwa, teraz może uzyskać jeszcze więcej.

– Królu, nie przybyłam, żeby walczyć z twoim ostrym językiem. Mam zimną krew i wolę żelazo. Ongiś brałam cię pod uwagę jako partnera dla mojej córki, która jest najcenniejszym skarbem Toni. Ona zaprowadziłaby między nami pokój.

Cardan spogląda na Nicassię i chociaż Orlagh wyraźnie czeka na jego słowa, przez dłuższą chwilę się nie odzywa. Potem mówi tylko:

– Ja jakoś też nie jestem skłonny wybaczać.

Coś w zachowaniu królowej Orlagh się zmienia.

– Jeśli to wojny pragniesz, źle czynisz, wypowiadając ją na wyspie.

Wokół niej woda zaczyna burzyć się jeszcze bardziej, fale stają się jeszcze potężniejsze, o większych grzywach. Przy brzegu tworzą się małe wiry, które się pogłębiają, potem zaś powstają następne.

– Wojny? – Cardan patrzy na nią z niesmakiem, jakby powiedziała coś tak wyjątkowo niemądrego, że aż czuje się urażony. – Naprawdę mam uwierzyć, że chcesz ze mną walczyć? Czy może teraz to ty chcesz mnie wyzwąć na pojedynek?

Wyraźnie ją drażni, a ja nie mogę zrozumieć, w jakim celu.

– A jeśli tak? – pyta królowa. – To co wtedy, chłopcze?

Cardan uśmiecha się wręcz lubieżnie.

– Pod każdym całem twojego morza znajduje się ląd. Rozpalona, wulkaniczna ziemia. Sprzeciw mi się, a pokażę ci, co ten leniwy chłopiec potrafi zrobić, moja królowo.

Wyciąga rękę. Coś wznosi się ku powierzchni morza, wyłania się z niej. To piasek. Ruchomy piasek.

Potem zaś woda zaczyna kipieć.

Patrzę na Cardana, próbuję napotkać jego wzrok, ale jego spojrzenie jest teraz nieobecne. Nie wiem, co to za magia, ale na pewno wiąże się z tym, co Bafen opowiadał o związkach Najwyższego Króla z jego ziemią. Że jest jej bijącym sercem i gwiazdą, na której zapisana jest przyszłość Elfhame. To jest pierwotna, niepojęta moc. Gdy widzę, że Cardan nią dysponuje, zaczynam rozumieć, że nie jest ludzką istotą, że jest kimś przeistoczonym, zupełnie poza moją kontrolą.

– Stój! – krzyczy Orlagh, kiedy woda już na dobre się gotuje. Cała połać oceanu wrze, a podmorskie stwory z wrzaskiem łamią szyki, umykają w popłochu. Foki pospiesznie wyskakują na czarne skały opodal brzegu, nawołując się w swoim szczekliwym języku.

Rekin Nicassii też się przestraszył i córka Toni wpada do gotującej się wody.

Buhają kłęby pary, przez chwilę widok zasłania mi wielka chmura, a kiedy się rozwiewa, dostrzegam nowy ląd, który wyłonił się z głębin. Na naszych oczach stygnie gorący kamień.

Na tej wyspie klęczy Nicassia, zdumiona i przerażona.

– Cardanie! – woła.

W kąciку jego ust pojawia się nikły uśmieszek, lecz poza tym nie zwraca na nią uwagi. Chyba postanowił dać Orlagh nauczkę i pokazać, że nie jest nieudolnym młokosem.

Teraz widzę, że postępuje zgodnie ze starannie opracowanym planem. Podobnie jak przedtem, kiedy dzięki obmyślonej strategii pozbył się mojej kontroli.

Zmienił się podczas mojego pobytu w królestwie Orlagh. Zaczął tworzyć plany i je realizować. Udaje mu się to niepokojąco dobrze.

Gdy o tym myślę, widzę, jak pod stopami Nicassii wyrasta trawa i chwasty, zieleni pokrywa łagodne zbocza wzgórz, wyrastają drzewa i krzaki. Ciało Nicassii obrasta gruby pień.

– Cardanie! – woła powtórnie podmorska królowa, gdy twarda kora sięga już jej talii.

– Coś ty uczynił? – zawodzi Orlagh, gdy kora sięga coraz wyżej, gdy rozprzestrzeniają się konary, pojawiają pąki liści i kwitnie wonne kwiecie. Zdmuchnięte wiatrem płatki sfruwają do morza.

– Zatopisz teraz łąd? – pyta spokojnym głosem Cardan, jakby nie przywołał właśnie z głębin czwartej wyspy swojego królestwa. – Poślesz słoń wodę, by przetrawiła korzenie naszych drzew i zatrąła nasze strumienie oraz jeziora? Zalejesz nasze jagody i poślesz swoich wodników, by podrzynali nam gardła i kradli róże? Zrobisz to, skoro oznaczać to będzie, że ten sam los spotka twoją córkę? Spróbuj tylko.

– Uwolnij Nicassię – mówi zgnębiona poniesioną klęską Orlagh.

– Jam jest Najwyższy Król na Elfhame – oznajmia Cardan. – Czuję się urażony, kiedy ktoś próbuje mi rozkazywać. Napadłaś na łąd. Porwałaś mojego seneszala i uwolniłaś mojego brata, który został uwięziony, bo zamordował naszego ojca, Eldreda. Eldreda, z którym zawarłaś sojusz. Za dawnych czasów szanowaliśmy nawzajem swoje terytoria. Teraz, królowo, zawrzemy nowy sojusz, taki sam, jaki zawarłaś z Eldredem, a wcześniej z Mab. Będzie sojusz lub wojna, lecz jeśli dojdzie do walki, będę bezlitosny. Nikt, kogo kochasz, nie będzie bezpieczny.

Orlagh milczy.

Wstrzymuję oddech, nie wiedząc, co teraz nastąpi.

– Niech tak będzie, Najwyższy. Zawrzyjmy sojusz. Oddaj mi córkę, a odejdę.

Oddycham z ulgą. Dobrze zrobił, że ją przycisnął, chociaż wyglądało to groźnie. W dodatku gdyby się dowiedziała o Madoku, mogłaby czuć się pewniej. Lepiej, że wykorzystał tę właśnie chwilę, świetnie mu poszło. Opuszczam głowę, by skryć uśmiech.

– Niech Nicassia tu pozostanie i będzie twoim ambasadorem jako następczyni Balekina – mówi dalej Cardan. – Dorastała na tych wyspach i wielu, którzy ją kochają, przebywa właśnie tutaj.

Uśmiech znika z mojej twarzy.

Tymczasem na nowej wyspie ze skóry Nicassii opada drewno. Zastanawiam się, po co mu to zagranie, po co ją sprowadza z powrotem do Elfhame. Jej obecność oznacza niewątpliwe kłopoty.

Może jednak są to kłopoty, których on sobie życzy.

– Jeśli zechce zostać, niech zostanie. Czy jesteś zadowolony? – pyta Orlagh.

Cardan przytakuje skinieniem głowy.

– Jestem. Toń nie będzie mi dyktować warunków, choć wielka jest jej królowa. Jako Najwyższy Król muszę rządzić. I muszę też być sprawiedliwy.

Milknie, po czym patrzy na mnie.

– I dzisiaj wydam wyrok. Jude Duarte, czy przecyzysz, że zamordowałaś księcia Balekina, ambasadora królestwa Toni i brata Najwyższego Króla?

Nie bardzo wiem, co powinnam powiedzieć, czego ode mnie oczekuje. Czy mam zaprzeczyć? Gdyby tego chciał, innych słów by użył, nie mówiłby z takim przekonaniem, że istotnie to ja zabiłam Balekina. Cardan od początku miał plan. Teraz mogę mu tylko zaufać.

– Nie przeczę, że doszło do pojedynku, który wygrałam – odpowiadam głosem, który

wcale nie brzmi tak pewnie, jak mogłabym sobie tego życzyć.

Oczy wszystkich skierowane są na mnie. Kiedy widzę te bezlitosne twarze, nawet się cieszę, że nie ma pośród nich Madoka. Orlagh ukazuje w uśmiechu ostre zęby.

– Słuchajcie więc mojego osądu – ogłasza władcym głosem Cardan. – Skazuję Jude Duarte na wygnanie do śmiertelnego świata. Dopóki Korona nie udzieli jej wybaczenia, pod groźbą śmierci nie wolno jej postawić stopy na lądzie naszej krainy.

Dosłownie mnie zatyka.

– Przecież nie możesz tego zrobić!

Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, nawet dobrotliwie, jakby myślał, że wygnanie dobrze mi zrobi. Jakbym była tylko jedną z jego petentek, czyli zupełnie niczym.

– Ależ mogę – odpowiada.

– Ale ja jestem królową elfów! – wołam i przez chwilę panuje milczenie, potem zaś wokół rozlega się ryk śmiechu.

Łzy zawstydzenia, złości i frustracji pieką mnie w oczach, kiedy odrobinę za późno Cardan dołącza do ogólnej wesołości.

W tej chwili czuję już na nadgarstkach twarde dłonie. Pan Rannoch osobiście raczy mnie zwlec z konia; przez obłąkańczą chwilę chcę z nim walczyć, jakby wokół nas nie było jeszcze dwóch tuzinów rycerzy.

– A więc się mnie wyprzyj! – krzyczę. – Wyprzyj się mnie!

Tego oczywiście zrobić nie może, więc tego nie robi. Nasze oczy się spotykają; dziwny uśmiech na jego twarzy najwyraźniej przeznaczony jest dla mnie. Przypominam sobie, jak to jest nienawidzić go z całego serca, jednak przypominam sobie o tym zbyt późno.

– Pójdź ze mną, pani – mówi Rannoch i nie mam wyboru, muszę iść.

Nie mogę jednak się powstrzymać, by nie spojrzeć za siebie. Gdy to czynię, Cardan właśnie stawia pierwszy krok na nowej wyspie. Pod każdym względem wygląda na wielkiego władcę, jakim był jego ojciec, i na potwora, jakim chciał zostać jego brat. Krucze włosy i szkarłatny płaszcz powiewają na wietrze, w jego oczach odbija się szara pustka nieba.

– Skoro Insweal jest Wyspą Trosk, Insmire Wyspą Potęgi, a Insmoor to Wyspa Kamienia – powiada, a jego głos niesie się nad świeżo uformowanym lądem – niech ta mocą naszą zwać się będzie Insear, Wyspą Popiołu.

EPILOG

Leżę na wersalce przed telewizorem. Na talerzu przede mną stygną rybne paluszki z mikrofali. Na ekranie film rysunkowy o skejterze. *To nie jest dobry skejter* – mówię sobie. A może właśnie jest? Ciągle zapominam czytać napisy, a bez nich słabo rozumiem, o co chodzi.

W ogóle ostatnio trudno mi się na czymkolwiek skoncentrować.

Do pokoju wchodzi Vivi, ciężko siada obok mnie.

– Heather nie odpisuje na moje esemesy – mówi.

Dobrnęłam do drzwi mieszkania Vivi tydzień wcześniej, wykończona, z oczami czerwonymi od płaczu. Rannoch i jego ludzie przewieźli mnie na jednym ze swoich koni i zrzucili w przypadkowym miejscu przypadkowego miasta. Szłam i szłam, aż zrobiły mi się pęcherze na stopach i zaczynałam wątpić w to, czy umiem orientować się za pomocą gwiazd. Wreszcie dotarłam do jakiejś stacji benzynowej, gdzie akurat tankowała taksówka i wtedy mi się przypomniało, że istnieje coś takiego jak taksówki. Mało już mnie obchodziło, że nie mam pieniędzy i że Vivi pewnie mu zapłaci garścią zaczarowanych liści.

Nie przypuszczałam jednak, że Heather odeszła.

Kiedy obie wróciły z wycieczki do Krainy Elfów, padło zapewne mnóstwo pytań. A potem pojawiły się kolejne, aż wreszcie Vivi przyznała się, że rzuciła na nią urok. I wtedy się zaczęło.

Vivi zdjęła urok, wróciły wspomnienia. Następnie zaś Heather się wyprowadziła.

Zamieszkała z powrotem u rodziców, więc Vivi nie traci nadziei, że jeszcze kiedyś do niej wróci. Zostawiła zresztą trochę rzeczy. Jakieś ubrania, tablet, komplet nieużywanych farb olejnych.

– Odezwie się do ciebie, kiedy będzie gotowa – mówię, chociaż nie mam pewności, czy sama w to wierzę. – Musi po prostu poukładać sobie to wszystko w głowie.

To, że ja mam gorzkie doświadczenia w sprawach miłosnych, nie znaczy, że wszyscy inni też tak muszą mieć.

Przez jakiś czas siedzimy razem na wersalce, oglądamy animacje o skejterze, który nie umie robić trików i ciągle się przewraca, i chyba kocha się bez wzajemności w swojej trenerce.

Niedługo Dąb wróci ze szkoły i będziemy udawać, że wszystko jest normalne. Zabiorę go do pobliskiego lasu i tam będziemy ćwiczyć szermierkę. Nie ma nic przeciwko temu, lecz dla niego to tylko zabawa, a ja nie mam serca go straszyć i tłumaczyć, że ta zabawa służy do

czegoś więcej.

Vivi ściąga kawałek ryby z mojego talerza, macza go w ketchupie.

– Długo jeszcze będziesz tak się zamartwiać? Przecież byłaś wykończona po pobycie u Orlagh. Punkt dla niego, to się zdarza.

– No – mówię, a ona wyjada rybę z mojego talerza.

– Gdybyś nie spędziła tyle czasu w niewoli, rozniosłabyś go na glanach.

Nawet nie za bardzo wiem, co to znaczy, ale brzmi dobrze.

Spogląda na mnie kocimi oczami, oczami swojego ojca.

– Chciałam, żebyś zamieszkała tu ze mną. A teraz jesteś. Słuchaj, może jednak tu ci się spodoba. Nie skreślaj wszystkiego z góry.

Kiwam głową. Niezobowiązująco.

– A jeżeli jednak ci się nie spodoba – mówi dalej, unosząc jedną brew – to zawsze możesz dołączyć do Madoka.

– Nie mogę – odpowiadam. – Raz po raz próbował mnie namówić, a ja go ciągle spławiałam. Ten okręt już odpłynął w siną dal.

Vivi macha ręką.

– E tam, nie będzie ci miał za złe... No, dobrze, będzie miał. Owszem. Na pewno by ci to wypominał w nieskończoność oraz wyjeżdżałby z tym w najmniej odpowiednich momentach podczas narad wojennych przez najbliższe kilkadziesiąt lat. Ale by cię przyjął.

– I co dalej? Działać z nim ramię w ramię, aby osadzić Dęba na tronie? Po tym wszystkim, czego dokonaliśmy, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo?

– Działać, żeby przywalić Cardanowi – odpowiada Vivi z twardym błyskiem w oku. Nie należy do osób, które łatwo wybaczą.

Co akurat w tym wypadku potrafię docenić.

– Niby jak?

Strategiczna część mojego umysłu powraca jednak z wolna do działania. Grimsen nadal pozostaje w grze. Skoro mógł zrobić koronę dla Balekina, to co może zrobić dla mnie?

– Nie wiem, ale na razie się tym nie przejmuj – mówi Vivi, wstając. – Zemsta jest słodka, za to lody jeszcze słodsze. – Idzie do lodówki, wyjmując plastikowe wiaderko. Wraca na wersalkę, pamiętając, by przynieść też dwie łyżki. – Czekoladowo-miętowe. Na razie rozkoszuj się tym przysmakami, choć niegodny on królowej elfów na wygnaniu.

Wiem, że nie chce się ze mnie naśmiewać, ale ten tytuł jednak boli. Chwytam za łyżkę.

Musisz mieć dość siły, by zadawać cios za ciosem, cios za ciosem, nie poddając się znużeniu. To pierwsza rzecz, jakiej musisz się nauczyć – jak wykrzesać z siebie tę siłę.

Zalewa nas migotliwy blask ekranu. Telefon Vivi milczy. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

PODZIĘKOWANIA



Uporać się z drugą książką tego cyklu byłoby znacznie trudniej bez wsparcia, zachęty i krytycznych uwag ze strony takich osób jak Sarah Rees Brennan, Leigh Bardugo, Steve Berman, Cassandra Clare, Maureen Johnson, Kelly Link, Robin Wasserman. Dzięki Ci za to, Psotna Czeredko!

Dziękuję czytelnikom, którzy znaleźli czas, żeby się ze mną spotykać, i tym, którzy skontaktowali się ze mną, żeby powiedzieć, jak bardzo im się podobał *Okrutny książę* i jego bohaterowie.

Wielkie podziękowania dla wszystkich w Little, Brown Books for Young Readers, którzy wsparli moją dziwaczną wizję. Szczególne podziękowania dla mojej zdumiewającej redaktorki Alviny Ling oraz dla Kheryn Callender, Sieny Koncsol, Victorii Stapleton, Jennifer McClelland-Smith, Emilie Polster, Allegry Green i Eleny Yip.

Podziękowania dla Hot Key Books w Wielkiej Brytanii, zwłaszcza dla Jane Harris, Emmy Matthewson i Tiny Mories.

Podziękowania dla Joanny Volpe, Hilary Pecheone, Pouyi Shahbazian i wszystkich z New Leaf Literary za to, że dzięki nim rzeczy trudne stały się łatwe.

Dziękuję Kathleen Jennings za cudowne i przemawiające do wyobraźni ilustracje.

Przede wszystkim zaś dziękuję Theo, mojemu mężowi, za pomoc w wymyślaniu tego, co chcę powiedzieć naszemu synkowi, Sebastianowi, za to, że zarazem rozprasza i inspiruje.

GŁOSY O „OKRUTNYM KSIĘCIU”

Książkę Holly Black czyta się jak najciekawszą baśń z dzieciństwa, tylko w nieco doroślejszej odsłonie.

booksofsouls.blogspot.com

Jeżeli możesz zamówić tylko jedną książkę do końca roku, niech będzie to *Okrutny książę*.

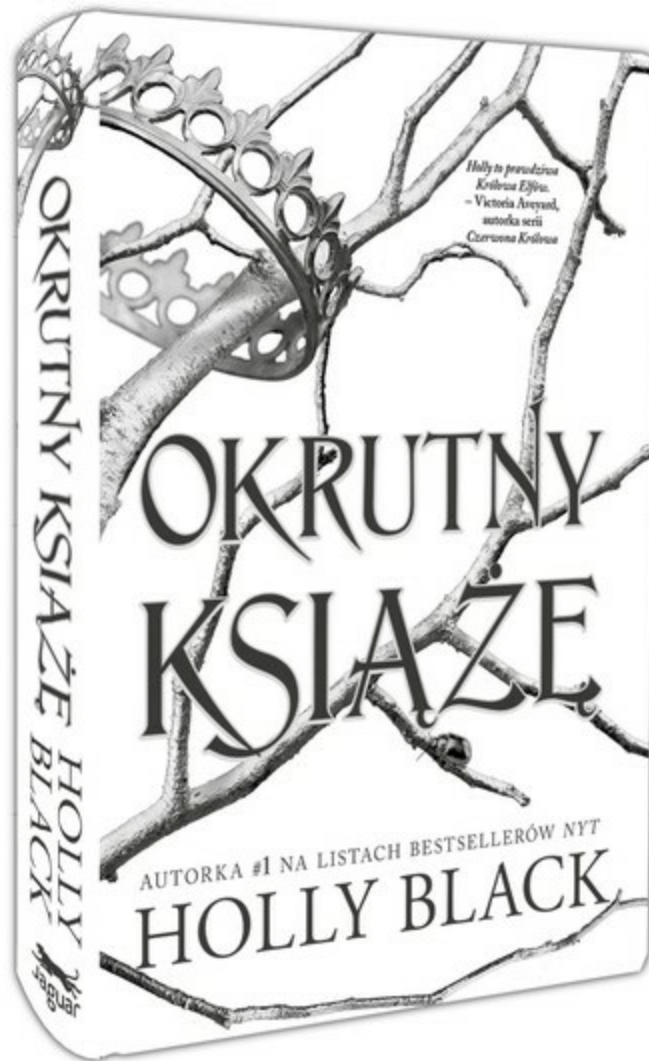
shadowbookczyta.blogspot.com

W końcu otrzymałam kawał dobrej i ciekawej fantastyki, która jest przede wszystkim pięknie wydana, wciąga od samego początku, jest oryginalna, a dodatkowo nie ma w niej przereklamowanego wątku miłosnego. Jest za to przemoc, są intrygi i mnóstwo niewiadomych.

bookparadise.com

Młodzieżowa wersja *Gry o tron* z elfami w roli głównej, gdzie intryga goni intrygę, trup ściele się gęsto i nawet głównym bohaterom nie można w pełni zaufać.

<http://zazyjkultury.pl>



Ta powieść to rollercoaster emocji i wydarzeń.

nocnycien.blogspot.com/2018/06/the-cruel-prince-holly-black-albo.html

To nie jest banalna opowieść o miłości dla nastolatków, ale historia o stracie, żądzy władzy i poszukiwaniu własnej tożsamości. Satysfakcję będą z niej czerpać zarówno młodzi, jak i starsi czytelnicy.

Dziennik Zachodni

Okrutny książę to historia o tym, że pragnienie władzy potrafi czasami przysłonić zdrowy rozsądek oraz popchnąć człowieka do dokonywania haniebnych czynów.

O tym, że czasami ofiara potrafi stać się jedynym wybawieniem dla kata, a marna ludzka jednostka nie zawsze jest bezużytecznym śmieciem, stworzonym by służyć nieśmiertelnym istotom magicznym.

To także historia o tym, że jeżeli mamy jakieś wartości, to należy się ich trzymać i bronić za wszelką cenę.

[instagram.com/katherine_the_bookworm](https://www.instagram.com/katherine_the_bookworm)

Okrutny Książę to genialnie napisana historia z ogromnym potencjałem. Autorka w niezwykły sposób połączyła znany nam ludzki świat z Elysium, czyli Królestwem Elfów.

Brzmi dziwnie, śmiesznie? Oj nie, i możecie być pewni, że wcale nie będzie śmiesznie.

Bowiem Elysium to piękna kraina, w której magia i czary mają swoje własne miejsce, ale to również miejsce przesiąknięte tajemnicami, sekretami, zbrodniami i kłamstwami. Jednak możecie być pewni, że z ust Elfa nigdy nie usłyszycie kłamstwa.

camilleshade-books.blogspot.com